
Andrzej Samson



**Miska
szklanych kulek**

- powieść

Samson Andrzej

Miska szklanych kulek

Te notatki spisuję w celach terapeutycznych. Mój umysł zawsze potrzebował prawie nieustannej aktywności. Przez całe dotychczasowe życie, a przynajmniej przez tę jego część, którą obejmuję pamięcią, bardzo mało śpię, ponieważ mój mózg stale przetwarza jakieś informacje. Jeśli nie mogę rozwiązywać w myśli dowolnego problemu, czytać albo tworzyć w wyobraźni nie kończących się fabuł i wersji rzeczywistości, odczuwam bardzo przykry niepokój i przygnębienie.

Tutaj nie mam już nic do czytania (gazety mnie nie interesują). Nie mam też żadnych problemów do rozwiązania, a warunki nie sprzyjają swobodnemu fantazjowaniu.

Na szczęście około dziesięciu lat temu odkryłem, że w miarę systematyczne pisanie stanowi dla mojego umysłu jeszcze jeden rodzaj zatrudnienia, który przynosi mi pewne uspokojenie i podwyższa nastrój. Stąd te zapiski. I kilka książek, które opublikowałem w czasie, gdy wydawało mi się, że wiem coś, czym warto się podzielić z innymi.

Napisałem pięć nieważnych książek, a potem zostałem Bogiem.

Wbrew pozorom nie jest to początek pamiętnika wariata. Z całą pewnością nie jestem chory psychicznie, chociaż w ostatnich trzech latach mojej publicznej działalności wielokrotnie to podejrzewano i sugerowano. Stary paradoks mówi wprawdzie, że tylko wariat może z całym przekonaniem twierdzić, iż nie jest wariatem, ale ja tu akurat nie mam wątpliwości. Zresztą gdybym był, jak to usiłowano udowodniać, paranoikiem albo psychopata, wszystko byłoby o wiele

prostsze. Rzecz w tym, że jestem zupełnie normalny. Przynajmniej wedle kryteriów medycznych. Jeśli zaś chodzi o inne kryteria, to czyż istnieje jakaś norma? Czy można powiedzieć, iż jakieś postępowanie jest normalne moralnie, tak jak stwierdza się, że 36,6 stopni Celsjusza jest normalną temperaturą ludzkiego ciała? Czy w podobny sposób można o kimś powiedzieć, że jest normalnie uczciwy?

Większość kryteriów oceny ludzkiego postępowania ma charakter statystyczny. Normalne jest więc zgodnie z nimi to, co jest przeciętne, czyli to, co reprezentuje najliczniejsza część populacji. Można przeto być bardzo moralnym, przeciętnie moralnym, mało moralnym lub niemoralnym. Albo bardzo uczciwym, przeciętnie uczciwym itd.

Ja jestem człowiekiem moralnym i uczciwym.

Jedynie prawo, tak jak medycyna, a może jeszcze ostrzej, operuje pojęciem normy. Podobnie, jak w medycynie, gdzie jest objaw albo go nie ma, tak i w prawie albo dany przepis został naruszony, albo do jego naruszenia nie doszło.

Według prawa jestem przestępcą.

Wetelina, 6.05.1999 r.

Drogi Pawle.

Dziękuję za list, chociaż prosiłem Cię, gdy telefonowałeś, żebyś do mnie nie pisał). A już szczególnie, żebyś nie pisał do mnie takich listów. Twoja troskliwość jest całkowicie zbyteczna. Traktuj mnie tu na tyle poprawnie, że przy moich niewielkich potrzebach właściwie niczego mi nie brakuje. Wbrew Twoim sugestiom wcale nie brakuje

mi wolności. Tyle, ile jej tutaj mam, całkowicie mi wystarcza. Nie wiedziałbym nawet, co robić z większą ilością swobody. Jak dobrze wiesz, i tak nie miałbym dokąd pójść oprócz bezcelowej przechadzki dla świeżego powietrza i odrobiny ruchu, na którą tu mogę się wybrać, ilekroć zechcę.

Eudajmonia nie istnieje. Zresztą byłeś świadkiem jej ostatnich chwil. Niedawno znalazłem w lesie kawałek gazety nie większy od dłoni, leżący obok - wybaczyć - potężnego gówna i nie oparłem się gwałtownej chęci jego przeczytania, mimo opłakanego stanu w jakim się znajdował. Właśnie z tej lektury dowiedziałem się, że teren wraz z zabudowaniami wykupiła jakaś spółka, która zamierza urządzić tam ośrodek sportów hippicznych.

Zabawne zdarzenie - prawda? Obsrani strzęp gazety z tą właśnie wiadomością na drodze mojego przypadkowego spaceru tutaj i nieodparta chęć jego przeczytania, chociaż gazety już od dłuższego czasu zupełnie mnie nie interesują. Tak jakby ktoś lub coś chciało mi przekazać wiadomość, że w Eudajmonii będą teraz stajnie.

Nad znaczeniem tej informacji możesz pomedytować w ramach ćwiczeń duchowych, o których zalecenie mnie prosisz. Zrób to zamiast udzielać głupawych wywiadów. Jak wspomniałem Ci przez telefon, moje warszawskie mieszkanie spłonęło doszczętnie w dwa dni po wydarzeniach w Eudajmonii, kiedy Ty byłeś już pewnie w Szwecji. Od sugerowanego przez telewizję zarzutu, że to ja je podpaliłem, uwolniono mnie bez trudu, ponieważ w czasie, gdy wybuchł pożar, siedziałem w areszcie w Iławie. Zatrzymano mnie w

tym samym hotelu, przed którym mnie zostawiłeś, i przewieziono do ciupy nazajutrz po tym, co się stało w Eudajmonii. Przy okazji zapewniam Cię, że nie wiem, kto podpalił mieszkanie, ponieważ tylko ja miałem do niego klucze. To, co powiedziałaś mi przez telefon okazało się prawdą. Rzeczywiście pożar, według opinii strażackich ekspertów, zaczął się w środku, w tak zwanym salonie, prawdopodobnie od szafy z ubraniami. Trudno mi wytłumaczyć ten fakt inaczej, niż zakładając, że ktoś jednak dostał się do salonu i podłożył ogień. Zaś wobec braku jakichkolwiek śladów włamania (obite blachą jeszcze przez poprzedniego właściciela drzwi ocalały) muszę założyć, że widocznie ów „ktoś” sporządził duplikaty jedyne komplety kluczy będącego w moim posiadaniu. W końcu ukraść mi klucze i zrobić ich kopie w pierwszej lepszej dorabialni nie było znowu tak trudno. Nie pojmuję skąd wiedziałaś, gdzie zaczął się pożar, ale Twoje pomysły na temat samozapalenia się szafy w wyniku emanacji jakiejś energii przez znajdującą się w niej stalową kasetkę są dziecinne, absurdalne i niegodne umysłu inżyniera, którym przecież jesteś. Trudno mi sobie nawet wyobrazić, że możesz poważnie przypuszczać, iż źródłem owej tajemniczej energii mógł być maszynopis zawierający różne moje fantazje i fabuły, który nazywałeś „Szóstą książką”. Czy ty już zupełnie oszalałeś?

Czy jakikolwiek stos zapisanych kartek mógłby być źródłem energii podpalającej gdańską szafę wypchaną ubraniami? To niedorzeczne i śmieszne. „Szósta książka” nie zawierała żadnego „Słowa” przez duże „s”, o którym piszesz. Coś Ci się chyba pomyliło.

Był to po prostu zbiór różnych moich zapisków, w większości bardzo osobistych, których nie uważałem za stosowne publikować ani przedstawiać współpracownikom. I tyle. Nie otaczałem ich też wcale jakąś szczególną tajemnicą. Po prostu wsadziłem je do kasetki, którą akurat posiadałem, a kasetkę wepchnąłem do szafy. I już. Jak kobieta chowająca listy od kochanka pomiędzy prześcieradłami w bieliźniarce.

Moja siostra, jak Ci zresztą wiadomo, od trzech lat nie utrzymuje ze mną żadnych stosunków. Nigdy mi nie wybaczyła, że nie chciałem się zająć jej zmarłym później na marskość wątroby mężem. Ona także uległa fali plotek, które się wtedy szerzyły, i w których powstaniu miałeś swój niebagatelny udział.

Jak więc widzisz, nawet gdybym był wolny, nie miałbym dokąd pójść. Nie mówiąc już o tym, że prawdopodobnie nie miałbym z czego żyć ani w ogóle co ze sobą zrobić, ponieważ moje dotychczasowe życie definitywnie się skończyło.

Pozostała mi wegetacja, gdyż boję się i nie potrafię popełnić samobójstwa. Nie zamierzam nigdzie wracać ani nic odtwarzać i dlatego proszę Cię, abyś odstąpił od zamiarów organizowania ze Sztokholmu jakichkolwiek akcji w mojej obronie.

W szczególności wręcz zabraniam Ci poruszania mojej sprawy w Amnesty International czy Europejskiej Komisji Praw Człowieka. Nie ma żadnej „mojej sprawy”. Niech lepiej wszystko pozostanie tak, jak jest.

Co się tyczy Twojego znamienia na twarzy, to po raz nie wiem

który kategorycznie oświadczam, że nie miałem z tym nic wspólnego. Zawsze uważałem, że szpecący Twój policzek rumień jest psychodermatologicznym objawem nerwicy histerycznej, jeśli nie wręcz hysterii, na którą cierpisz. Jego stopniowe zanikanie (a nie nagłe zniknięcie - jak utrzymujesz) łączę z podjętą wtedy przez Ciebie psychoterapią u doktora E. i ważnymi zmianami, jakie zaszły w Twoim życiu.

Chodzi mi przede wszystkim o rozstanie z matką i zaakceptowanie swojego homoseksualizmu. Ja przecież nigdy nie zajmowałem się Twoimi objawami, mimo że od początku naszej znajomości cierpiełaś w różnych okresach na migreny, nawracający bezgłos, uporczywy świąd genitaliów i nie pamiętam już co. Kulkę, którą się posługiwałaś, wzięłaś sobie sam z pudetaka, gdzie trzymałem ich zapas, tak że najprawdopodobniej w ogóle nie miałem z nią kontaktu, a przynajmniej intencjonalnego kontaktu. Cała afera była i jest z Twojej strony nadużyciem. Jedyne, co Cię przynajmniej częściowo usprawiedliwia, to fakt, że być może wierzysz w te bzdury.

Od Piotra, ani od żadnych innych ludzi, nie miałem wiadomości. Prawie nikt nie wie, że tu jestem. I bardzo dobrze. Proszę Cię, abyś nikomu nie dawał mojego adresu, a także ponawiam prośbę, abyś do mnie nie pisał i nie telefonował. Twoje dalsze życie zupełnie mnie nie interesuje. Nie mam Ci też nic więcej do powiedzenia. Nasze drogi naprawdę rozeszły się i chciałbym, żebyś się z tym pogodził.

Życzę Ci powodzenia.

J.

Postanowiłem dołączać do tych notatek każdy zapisany moją ręką kawałek papieru, ponieważ uważam, że wszystko co się teraz dzieje, ma jakieś ukryte znaczenie. Być może jest to początek obłądu, bo niby jakie miałyby mieć znaczenie to, co dzieje się w moim obecnym życiu? I dla kogo? Nie wiem, ale myśl o tym, że wszystkie zdarzenia ostatnich trzech lat miały jakiś nadrzędny sens, i że ciąg owych zdarzeń jeszcze się nie zakończył, nawiedza mnie coraz częściej.

List do Pawła Liberga napisałem wczoraj i oddałem do wysłania. Przypuszczam, że nieliczne listy, które tu do mnie docierają, jak i te, które jaż rzadka wysyłam, są czytane, chociaż nie sądzę, żeby były cenzurowane. A nawet jeśli są, to co? Odpowiednie, aczkolwiek trudno powiedzieć jakie instancje z pewnością dokładnie przestudiowały już zawartość zabranych z Eudajmonii moich dokumentów, ponieważ pod koniec ubiegłego miesiąca zwrócono mi je z policyjnego depozytu. Przywiózł je z Warszawy funkcjonariusz Urzędu Ochrony Państwa (!), porządnie posegregowane i ułożone w trzech kartonowych pudełkach. Jest wśród nich sześć grubych bloków listowych, w których, począwszy od czerwca 1996 r., kiedy zdecydowałem się kandydować do Senatu, zapisywałem ważne, jak wtedy sądziłem, zdarzenia, rozmowy i przemyślenia. Policja, prokuratura, Urząd Ochrony Państwa, kontrwywiad, episkopat i kto tam jeszcze, wiedzą więc już wszystko. Prawie wszystko.

Na imię mam Jan, ponieważ urodziłem się w epoce, kiedy takie imiona jak Dominik, Adrian, Bartek czy Filip zupełnie nie były w

modzie. Wtedy były Andrzej, Janki, Jurki, Antki, a nawet Wacki i Wieki. W klasie pierwszej C częstochowskiej podstawówki, gdzie czterdzieści siedem lat temu rozpoczynałem naukę, na siedemnastu chłopców było nas pięciu Janków. Na drugim miejscu były Jurki w liczbie trzech.

Pospolitość imienia z nawiązką rekompensowało mi zawsze nazwisko, bowiem nazywam się Krass. Nie Kowalski, nie Wiśniewski, ale właśnie Krass.

Przez dwa „s”. Bóg raczy wiedzieć, skąd takie nazwisko wzięło się w rodzinie fernali, którzy po wojnie awansowali na małorolnych chłopów, otrzymawszy kawałek ziemi z rozparcelowanego majątku swojego dziedzica. Nigdy nie starałem się poznać dziejów mojej rodziny, ponieważ nic a nic mnie one nie obchodziły. Wiedziałem tylko, że mój pradziadek był mieszkającym w dworskich czworakach analfabetą. Mój ojciec skończył już dwie klasy gimnazjum.

Ja jestem doktorem nauk humanistycznych.

Niespełna rok po moim przyjściu na świat nasza rodzina, czyli rodzice, moja starsza o dziesięć lat siostra i ja, przeniosła się z zapadłej podsandomierskiej wsi do Częstochowy. Ojciec został robotnikiem, a matka, obyczajem tamtych czasów, prowadziła gospodarstwo domowe i wychowywała dzieci.

Na mieszkanie świeżo upieczony proletariusz otrzymał jednopokojowe pomieszczenie bez tak zwanych wygód, w starej ruderze przy ulicy imienia żydowskiego czerwonego partyzanta Berka Joselewicza. W sześć lat później przyznano ojcu trzypokojowe

mieszkanie w nowowynbudowanych blokach przy ulicy Świętej Kingi. Tam upłynęła jedna trzecia mojego dotychczasowego życia. Nie zamierzam jej tu opisywać. Podobnie zresztą, jak i pozostałych dwu trzecich. To nie są wspomnienia ani pamiętniki, ani tym bardziej autobiografia. Podaję niektóre fakty po to jedynie, aby sprostować rozmaite fantastyczne wersje pochodzenia mojej rodziny i przebiegu mojego życia zawarte głównie w książce Liberga oraz w wypowiedziach różnych osób, z którymi zetknąłem się w różnych okresach mojego życia. Liberg na przykład napisał, że moja rodzina wywodziła się z niemieckich anabaptystów, trudniących się w XVI wieku tkactwem i folusznictwem na przedmieściach Munster. Co za bzdury! Nie mam pojęcia, skąd autor wziął tę informację, bo na pewno nie ode mnie. Prawdziwe jest w niej tylko to, że moja rodzina miała w pewnym sensie kontakt z folusznictwem. Polegał on na tym, iż mój ojciec całe życie pracował w tak zwanej „kapelusowni”, czyli w częstochowskiej wytwórni filcu, pilśniowych kapeluszy i kapci. Inna wersja, rozpowszechniana przez byłą dziennikarkę telewizyjną Alicję P. głosi, że w wieku dwu lat zostałem adoptowany przez rodziców, którym mój anonimowy opiekun, za pośrednictwem pewnego sandomierskiego prałata, miał za to zapłacić dwadzieścia tysięcy dolarów.

Kompletne wariactwo. Pani P, choćby ze względu na swój młody wiek, może nie wiedzieć, że w czasach, gdy miałem dwa, pięć, a nawet dziesięć lat, posiadanie dolarów stanowiło w Polsce zajadle ścigane przestępstwo, za które można było na całe lata, a niekiedy i

bez śladu, zniknąć w więzieniach UB.

A poza tym wymieniona suma była u nas wtedy, jak zresztą i trzydzieści lat później, niewyobrażalną, bajeczną fortuną. Nasza rodzina tymczasem żyła przez całe dziesięciolecia bardzo skromnie, żeby nie powiedzieć biednie.

Dalej pani P. sugeruje, że jestem synem samego Ronalda L. Hubbarda, który, będąc w dianetycznym transie, wskazał adeptom swojego kościoła moich rodziców jako wychowawców tego, kogo jeszcze przed narodzinami rozumne siły kosmosu obarczyły tajemniczą misją w Europie Wschodniej.

Uczył to w swojej kalifornijskiej rezydencji, wypowiadając nazwisko rodziców i pokazując palcem na superdokładnej mapie terenów położonych na wschód od Laby punkt w okolicach Sandomierza. Scjentolodzy przemycili mnie więc do Polski, z pomocą katolickiego kleru (sic!) odnaleźli małżeństwo Krassów i przekazali mnie wraz z okrągłą sumką na tak zwane koszta operacyjne przedsięwzięcia. Jak to mówią, ręce i majtki opadają. Z kolei Piotr Bigowski, znany w końcu publicysta i na pewno nie młokos (kiedy go poznałem miał 46 lat), w wygłaszanych przez siebie odczytach i w artykułach pisanych dla różnych czasopism twierdził, że siedziałem w więzieniu za odmowę służby wojskowej i działalność opozycyjną, że w Kopenhadze odbyłem dogłębne studia antropozoficzne, że mój ojciec zostawił mi pokaźny majątek, który częściowo zużyłem na zakup Eudajmonii oraz że pierwsze kulki otrzymałem od Laurie Cabot, z którą w czasie pobytów w USA łączyło mnie coś więcej niż

przyjaźń. Wszystko nieprawda. Nigdy nie siedziałem w więzieniu, wojsko odsłużyłem w tzw. studenckim trybie na uniwersytecie (jestem nawet podoficerem rezerwy), do dziś nie byłem w Danii, jedyny majątek, jaki dostałem po ojcu, to były jego odznaczenia i szesnastotomowe wydanie dzieł wszystkich Mickiewicza z dedykacją od Komitetu Miejskiego PZPR w Częstochowie, a Laurie Cabot widziałem z daleka podczas jakiegoś przyjęcia, odbywającego się w domu mojej kalifornijskiej przyjaciółki, psychoterapeutki Lorny Pooley. I tak dalej. Mógłbym jeszcze długo prostować tego typu informacje na mój temat, ale po co? I tak nikt nie uwierzy.

W przeszłości nigdy nie zajmowałem się krążącymi na mój temat plotkami. Nie dementowałem ich nawet wtedy, kiedy szeptano, że jestem alkoholikiem, że mam pociąg seksualny do dzieci, że żona porzuciła mnie, ponieważ nie mogła już wytrzymać moich dziwactw i brutalności, że jestem agentem tajnej policji politycznej, że w kasynie w Las Vegas wygrałem 50 tysięcy dolarów i urządziłem za nie w Eudajmonii luksusowy pensjonat dla moich małoletnich kochanek i kochanków, mieszkających tam wraz ze swoimi rodzicami, którym płaciłem miliony za przyzwolenie na seksualne ekscesy z ich dziećmi.

Po prostu mnie to nie interesowało. A poza tym wiedziałem, że nic tak nie umacnia wiary w plotkę, jak żarliwe dementi. Na udowodnieniu, że nie jest się przysłowiowym wielbłądem, szczególnie kiedy inni bardzo pragną go w nas widzieć, można spędzić pół życia. I nikogo nie przekonać. Dlatego też nie będę niczego tłumaczył ani wyjaśniał. Powiem tylko, że zdecydowana większość krążących

informacji na temat mojego życia prywatnego, to stek absurdalnych wymysłów, obrażających inteligencję i zdrowy rozsądek przeciętnego człowieka. Ich źródłem byli ludzie o zachwianej równowadze psychicznej, których rozgorączkowane umysły z łatwością retuszowały rzeczywistość swoimi własnymi wytworami. Szczególnie, jeśli ta rzeczywistość była udręką, spowodowała dzisiaj po śniadaniu odwiedził mnie ksiądz. Przyjeżdża tu swoim okropnie zakurzonym albo - w zależności od pogody - zachlapanym samochodem w każdy czwartek, aby odprawić mszę w przerobionej na kaplicę starej pralni.

Do swoich duszpasterskich obowiązków zalicza też indywidualne rozmowy z pensjonariuszami, które, sądząc z listy chętnych stale wywieszanej w jadalni, cieszą się dużym powodzeniem. Ja nigdy nie wpisałem się na tę listę, ale, jak widać, okazało się to bez znaczenia. Ksiądz i tak przyszedł.

Poniżej zamieszczam zapis naszej rozmowy, dokonany bezpośrednio po jej zakończeniu.

Ksiądz - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

(Jest dużym, starszym mężczyzną o długich rękach i wielkich stopach.

Ogromne buty, zakurzone i mocno rozdeptane, wystają mu groteskowo spod sutanny. Od pasa w dół wygląda jak przebrany za księdza Charlie Chaplin. Ma siwe włosy i na zawsze już opaloną, pobrużdżoną twarz starego chłopca - taką, jaką miał mój dziadek Krass.) Ja - Dzień dobry. Chyba pomylił pan pokoje. Ja nie

wpisywałem się dziś na listę.

- Wiem. Pańskiego nazwiska nigdy nie było na liście, ale chyba nie będzie pan tak nieuprzejmy, żeby wyrzucić mnie za drzwi?

- Słucham.

- Panie doktorze, przyszedłem porozmawiać z panem o pańskiej duszy.

(Mówi to spokojnie i rzeczowo, chociaż nieco złowróżbnym tonem.

Zupełnie jak ojciec pewnego chłopca, któremu moja córka, będąc krewką pięciolatką, rozcięła wargę za pomocą użytej w charakterze maczugi lalki Barbie. Panie Krass - powiedział tamten facet - przyszedłem z panem porozmawiać o pańskiej córce.) - Jestem niewierzący.

- A co to ma do rzeczy? Rozmowy o duszy to część mojego zawodu.

Podobnie jak pańskiego. Porozmawiajmy jak zawodowcy. wana przez chorobę albo traumatyczną sytuację. Rozumiem to i nie mam do nich pretensji. Zwłaszcza że sam uczyłem ich używania fantazji jako antidotum na smutek i cierpienie.

- Nigdy nie zajmowałem się duszą i nie czuję się kompetentny w tej materii. Pańskie uogólnienia są zbyt daleko idące.

- Zajmował się pan duszą, panie Krass. Pan się nią zajmował bardzo dokładnie i bardzo profesjonalnie.

(Zabrzmiało to zupełnie jak u tamtego faceta od rozciętej wargi.

- Pan ją źle wychowuje, panie Krass, a nawet, powiedziałbym, bardzo

źle.) - Nie wiem, o czym pan mówi.

- Pan doskonale wie, o czym ja mówię.

- Nie sędzę. Zresztą to nie ma żadnego znaczenia. Ja nie chcę rozmawiać z panem o mojej duszy. Nie chcę z panem rozmawiać o czymkolwiek.

- Przepraszam. Nie chciałem być napastliwy.

- Proszę bardzo. Ale to nie zmienia mojego stanowiska. Traci pan czas, próbując ze mną swoich księzowskich sztuczek.

- Teraz pan jest napastliwy.

- Oczywiście. I nie zamierzam pana przeproszać. Kto panu dał prawo naruszania mojej prywatności?

- Bóg.

- Kto?

- Bóg. Wczoraj modliłem się za pana i wtedy przyszła mi do głowy myśl, żeby uratować pańską duszę. Była to myśl niesłychanie uporczywa i wyraźna.

Zupełnie jakby jakiś głos w mojej głowie powtarzał - uratuj jego duszę, uratuj jego duszę... Odebrałem to jako boski nakaz.

- Pan wygłasza herezje.

- Być może. Ale ten głos dźwięczał w mojej głowie jak dzwon. Coraz głośniejsze i głośniejsze. Uratuj jego duszę, uratuj jego duszę. A w tle dźwięczały prawdziwe dzwonki. Całą głowę wypełniło mi to dzwonienie.

I ten głos. Ogarnęła mnie ciemność, chociaż nie zemdlałem, a przed oczami przelatywały mi błyskawicznie różne obrazy. Była tam

pańska twarz pochylona nade mną, zatroskana, i jakaś postać w białym fartuchu, która na pańskie polecenie wpychała mi do ust słoną, gąbczastą masę, zalepiającą mi gardło i tamującą oddech. Była też inna postać, niewyraźna, jakby zamazana, ale bardzo podobna do bliskiej mi kobiety, która prawdopodobnie nie żyje.

I znów pańska twarz, przerażona, zmieniona w zgniecioną, zniekształconą maskę. Towarzyszył temu wszystkiemu ból w piersi tak wielki, że pragnąłem, aby moje ciężko łomocące serce wreszcie pękło i stanęło. To trwało z piętnaście minut.

- A potem?

- Powiedziałem: pójdę do niego. Wtedy ból momentalnie ustąpił, głos zamilkł i poczułem przyjemne odprężenie. Szczerze mówiąc, miałem wytrysk.

(Wciąż ten spokojny, rzeczowy ton. I pozbawiona wyrazu twarz starego chłopca.)

- To niesłychane. Przychodzi pan, żeby opowiadać mi o swoich masturbacyjnych fantazjach? Pański wytrysk nic mnie nie obchodzi. Podobnie jak pański Bóg.

- Panie Krass. Mam 62 lata i ostatni raz onanizowałem się jako dziewiętnastoletni chłopak. Później miałem stosunki z kobietami, ale skończyłem z tym 20 lat temu. Seks nigdy nie stanowił w moim życiu większego problemu. Po prostu mam bardzo niewielkie potrzeby, które bez trudu udało mi się okiełznać. Tu nie chodzi o mój wytrysk, panie Krass. Tu chodzi o pańską duszę. Zapewniam pana, że nie jestem wariatem, nawiedzonym histerykiem, ukrytym

homoseksualistą ani nikim takim. Jestem pańską szansą, panie Krass.

- Szansą na co?

- Na zbawienie.

- Mówiłem już panu, że jestem niewierzący. Zbawienie mnie nie interesuje. Nie wierzę w istnienie pańskiego Boga, z czego logicznie wynika, że nie wierzę również w zbawienie ani w żadne inne jego oferty. Pan naprawdę traci czas.

- To nieprawda. Pan wierzy w Boga. Może to nie jest Bóg chrześcijański ani tym bardziej katolicki, ale pan w Niego wierzy. Pan się tylko zagubił.

Utracił pan kontakt ze swoją duszą, a Bóg, z nieodgadzionych dla nas powodów, nie chce, żeby tak było. Dlatego dał mi znak. I niech mi pan nie mówi o logice. Zwłaszcza pan niech mi o niej nie mówi.

- Więc pan otrzymał znak od Boga. Dlaczego akurat pan?

- Jestem przekonany, że to pan otrzymał ten znak. Ja jestem tylko przekąźnikiem. Dlaczego ja? A dlaczego nie? Bóg, jeśli zechce, może przemówić w dowolny sposób. Dawał już znaki przez krzak gorejący, przez gołębicę, a nawet przez osła. Dlaczego nie miałby przemówić przeze mnie? Tym bardziej, że już od dwu lat modłę się za pana. Być może znak został mi dany wcześniej. Wtedy, kiedy pan tu przybył, akurat do mojej parafii. Ale ja go wówczas nie zrozumiałem.

- I Bóg pofatygował się jeszcze raz w mojej sprawie. Tym razem bardziej bezpośrednio?

- Tak.

- Pan z kretesem oszalał. Dlaczego niby Bóg miałby się tak troszczyć o moją duszę?

- Tego nie wiem. Jest pan wielkim grzesznikiem, panie Krass, a tak zaczynało wielu świętych. Może i panu Bóg Wszechmogący wyznaczył jakąś misję.

- Oczywiście. To pan nie wie? Jestem Święty Krass, numer służbowy 007, specjalny agent pana B. w postkomunistycznej Europie Wschodniej.

- Już wiem, że ja osobiście pana nie lubię, panie Krass. Wydaje mi się pan człowiekiem zimnym i aroganckim, który pogardza innymi i uważa ich za głupszych od siebie. Ale to mi nie przeszkadza modlić się na intencję odkupienia pańskich grzechów. A gdyby Bóg tak chciał, bez wahania wziąłbym je na siebie.

Przyjdźcie tutaj to najmniejsza rzecz, jakiej mógł ode mnie wymagać i którą niezwłocznie uczyniłem. Ale niech mi pan wierzy, ta wizyta, podobnie jak panu, nie sprawia mi przyjemności.

- Co pan może wiedzieć o moich grzechach?

- Tyle co nic. Pan prawdopodobnie doprowadził do śmierci wielu ludzi. Innym zatrął pan dusze i wypaczył umysły. Jeszcze innych po prostu boleśnie pan oszukał. Nie wiem, co złego jeszcze pan uczynił. Wystarczy, że pan to wie.

I Bóg to wie.

- I mimo to nakazał panu ratować moją duszę?

- Właśnie tak.

- Ale jak pan widzi, ja nie mam na to najmniejszej ochoty.

Wręcz nie życzę sobie ratowania mojej duszy. W jaki więc sposób zamierza pan wywiązać się z tego polecenia?

- Jeszcze nie wiem. Będę się modlił. Wierzę, że Bóg mnie wspomógł. Na razie zrozumiałem, iż ważne jest, abym do pana przyszedł. Więc przyszedłem.

- Niech pan posłucha: ja nie chcę, żeby pan do mnie przychodził. Żadne boskie plany w stosunku do mnie nie budzą mojego zainteresowania. Pańskie halucynacje i mistycznoseksualne doświadczenia są pańską sprawą i proszę mi nimi nie zawracać głowy. Jeśli pan będzie mnie nachodził, złożę na pana zażalenie do kierownictwa ośrodka i władz, które się zajmują moją sprawą.

Czy pan zrozumiał?

- Zrozumiałem.

- To niech pan już idzie. Żegnam.

- Raczej do widzenia. Ja jeszcze przyjdę, panie Krass. Może pan składać na mnie zażalenia, dokąd pan chce. To bez znaczenia. Pan sili się na cynizm i udaje twardziela, ale naprawdę jest pan zrozpaczony i pan się boi. Pan sam dojdzie do wniosku, że powinniśmy długo i szczerze porozmawiać. Są ku temu ważne powody. Niech pana Bóg ma w swojej opiece.

© m © (aJL®_X

Ma rację. Jestem zrozpaczony i boję się.

Z zawodu jestem, a raczej byłem psychoterapeutą. W 1970 roku ukończyłem psychologię na Uniwersytecie Warszawskim. Była to epoka, w której psychoterapię oficjalnie uważano za burżuazyjny

wymysł, a prym w nauce wiedli uczeni radzieccy. Oni to twierdzili, że mózg wydziela psychikę, jak wątroba żółć, a wszelkie zaburzenia psychiczne są wynikiem takich czy innych jego uszkodzeń. Pamiętam radzieckiego psychiatrę Czistowicza (a może to była ta Czistowicz?), który dowodził, że schizofrenia jest chorobą wirusową, a co za tym idzie, można się nią zarazić jak grypą. Czytając takie dzieła naukowe, tarzaliśmy się ze śmiechu. Wszyscy bez wyjątków byliśmy zafascynowani Freudem, Jungiem, Adlerem, Frommem i innymi głównie amerykańskimi psychoterapeutami, którzy nie sprowadzali zjawisk psychicznych do fizjologii mózgu. Dopiero za Gierka, kiedy polskie drzwi uchyliły się nieco na Zachód, rozwinął się u nas szerszy ruch psychoterapii i pojawili się pierwsi psychoterapeuci. Należałem do tych pierwszych. W dwadzieścia lat później byłem jednym z trzech, czterech najlepszych w kraju, a moja książka o roli sugestii, autorytetu terapeuty i autosugestii w psychoterapii została przetłumaczona na główne języki europejskie.

Psychoterapeuta w potocznym wyobrażeniu to ktoś łączący w sobie cechy czarownika, księdza i dobrotliwego mędrca, ktoś, kto wie, jak żyć, pomaga uporać się z własnym sumieniem oraz potrafi wygnać z duszy demony lęku, smutku i złości. Ludzie sądzą też, że psychoterapeuta nie kłóci się z żoną, nie wrzeszczy na dziecko, nie zdarzają mu się bezsenne noce z powodu natłoku czarnych myśli, nie boi się szefa, nie ma „skoków w bok”, nie narzeka na brak pieniędzy i w ogóle wiedzie wzorowo poukładane życie. Być może zdarzają się i tacy, aleja ich nie spotkałem. Wręcz odwrotnie. Wśród

psychoterapeutów jest wyjątkowo dużo rozmaitych świrów i odmieńców, którzy idą na psychologię lub wybierają psychiatrię na medycynie, bo spodziewają się tam znaleźć sposób na własne problemy. W pewnym sensie ja też do nich należałem, z moim wiecznym niepokojem umysłowym, chociaż na psychologię poszedłem głównie dlatego, że wśród egzaminów wstępnych na ten kierunek nie było matematyki. Zdecydowana większość moich kolegów po fachu to rozwodnicy, mający kłopoty ze swoimi byłymi i aktualnymi żonami, kochankami, pieniędzmi, mieszkaniami oraz setkami temu podobnych rzeczy. Ja też je miałem.

Wprawdzie po rozwodzie z Paulina nie związałem się z nikim formalnie, ale popełniłem jeszcze dwa razy ten sam błąd, próbując na stałe zamieszkać z kobietą. Przez wiele lat borykałem się z brakiem mieszkania i ze stałymi kłopotami finansowymi. Potem zacząłem bardzo dobrze zarabiać, a teraz pieniądze nie stanowią już dla mnie żadnego problemu, choć nie wiem, czy na moim koncie coś jeszcze zostało.

Wbrew temu, co ludzie sobie wyobrażają, psychoterapia nie jest sposobem życia, wiedzą tajemną ani posłannictwem. To zawód. Profesja. Jak kowalstwo, stolarstwo czy chirurgia. I jak w każdej profesji, w niej też są mistrzowie, którzy swoją sprawność i skuteczność doprowadzili do wyżyn sztuki, są przeciętni, rzetelni zawodowcy i są dupki. Należałem do tych pierwszych.

Psychoterapeuta, jakby ktoś nie wiedział, zajmuje się leczeniem ludzi przy pomocy środków psychologicznych. Środki psychologiczne

zaś, to słowo, sugestia, zmiana stosunku do siebie i rzeczywistości, zmiana stosunku do innych ludzi, zmiana sytuacji życiowej itd. Przede wszystkim jest to jednak słowo.

Można więc śmiało powiedzieć, że psychoterapeuta leczy słowem i to nie tylko, jak się powszechnie uważa, schorzenia psychiczne, ale i fizyczne, w których powstaniu psychika ma swój udział. Ja leczyłem łuszczycę, astmę, łysienie plackowate, wiele postaci alergii, nadciśnienie i owrzodzenie żołądka.

Ale też marskość wątroby, chorobę Burgera i raka.

Prawie cały dzisiejszy dzień spędziłem na włóczeniu się po okolicy. Z przyjemnością patrzyłem na wszystkie możliwe odcienie wiosennej zieleni, na rozrzutnie kwitnące drzewa i byłem spokojny. Spokojny, odprężony i niemal szczęśliwy. W moim umyśle, co zdarza się bardzo rzadko, panowała cisza. Wypełniały go bez reszty obrazy bezkresnej zieleni, stykającej się z szarawym błękitem nieba. Na tym tle pojawiały się i znikwały inne barwy. Czerwień pustyni w Kolorado, pokryta dziwacznymi, wpatrzonymi w horyzont pomnikami skał. Białoszarozielona szczelina Wielkiego Kanionu z niebieską sznurówką rzeki na dnie i ciemnozielony ocean trawy na prerii w Kansas albo jeszcze ciemniejsza, prawie czarna zieleń pomarańczowych gajów Florydy, poznaczona słonecznymi iskierkami dojrzewających owoców. I żadnych ludzi. Żadnych miast. Nie Paryż, Wiedeń, Berlin czy Sztokholm, ale bezmiar szarego piachu w Nevadzie. Nie Amsterdam, Wenecja czy Ateny, ale idealnie równe, białe płaszczyzny zamarzniętych jezior w Finlandii. Żadnych ludzi.

Żadnych budowli. Żadnego ruchu.

Nigdy dotąd nie doświadczyłem takiego stanu świadomości w zetknięciu z przyrodą. Nawet najpiękniejsze widoki natury zawsze mnie nudziły. Nie potrafiłem zachwycić się urodą gór. Obojętne było mi piękno oceanów, jezior i rzek, a pustynia kojarzyła mi się z dziesiątkami upiornie nudnych godzin spędzonych w samochodzie. Nie obchodziły mnie też zamki, pałace, katedry, świątynie i inne zabytkowe budowle, a jeśli już na chwilę przyciągały moją uwagę, to wyłącznie w związku z ludźmi, którzy w nich mieszkali albo bywali. Pamiętam, że w ponurych salach i nie kończących się korytarzach Wersalu zainteresowała mnie sprawa toalet. Byłem autentycznie bardzo ciekaw, gdzie otaczający Ludwika XIV tłum dworaków załatwiał swoje potrzeby fizjologiczne, jako że nigdzie nie znalazłem przeznaczonych do tego celu pomieszczeń. Ku mojemu zaskoczeniu, towarzysząca mi polska hrabina, starsza, wytworna pani, odpowiedziała mi na postawione jej w tej materii pytanie z istic wielkopańską dezynwolturą.

- Och! Tylko król, królowa i kilku książąt krwi miało swoje toalety - stwierdziła. - Inni srali, gdzie popadło. W korytarzach, pod schodami, w ogrodzie. W XVII wieku wszędzie tu okropnie cuchnęło uryną i gównem. Taki był wtedy zapach władzy absolutnej.

Natychmiast wyobraziłem sobie te obskurne, mroczne korytarze, w których, mozolnie zadzierając bajecznie strojne suknie, kucają pod ścianami wytworne kobiety, a towarzyszący im mężczyźni cierpliwie i bez zażenowania czekają obok, aby kontynuować rozmowę. Niemal

poczułem duszący, ciężki smród dworcowego klozetu zmieszany z wonią niezliczonych pachnideł i perfum, których obfitość najczęściej zastępowała wtedy higienę osobistą. Zobaczyłem rojące się pod misternymi perukami wszy, pokrywający ściany gęsty deseń pluskiew i umykające przed światłem niezliczone hordy karaluchów. Byłem w tamtym Wersalu. Król szedł korytarzem w otoczeniu adiutantów, przyciskając do nosa i ust koronkową chusteczkę nasączoną wodą różaną. Stąpał dostojnie, niosąc swój majestat przez śmierdzący pałac do kaplicy, gdzie można było swobodniej odetchnąć, bowiem tu nikt nie śmiał sobie ulżyć. Hrabina u mojego boku opowiadała o jakichś obrazach, o cudownym cacku architektonicznym, jakim jest królewski teatr, ale ja nie słuchałem. Interesowali mnie tylko ludzie. To jedno nigdy mnie nie nudziło. Mogłem godzinami słuchać ludzi, mówiących o swoich kłopotach, problemach, obawach, chorobach i fantazjach. Wysłuchiwałem opowieści o urojonych zdarzeniach i relacji o nigdy nie wykrytych przestępstwach. Słuchałem wyznań zboczeńców i opisów najobrzydliwszych czynów.

Poznawałem relacje ofiar i poglądy katów. Rozmawiałem z pijakami, kazirodcami i gwałcicielami. Słuchałem życiorysów prostytutek, dzieciobójczyń i cnotliwych kandydatek na święte. Doradzałem homoseksualnym parom i pocieszałem zdradzanych małżonków. Badałem morderców i starałem się zrozumieć niedoszłych samobójców. Studiowałem kariery oszustów i przestępców gospodarczych. Poznałem polityka, który nosił damską bieliznę i chodził po domu w sukienkach, a także znanego aktora,

którego podniecało wyłącznie przebieranie się w ślubne suknie. Pracowałem z adwokatem, którego z kolei rajcowało zakładanie sobie pieluchy, i z przedsiębiorcą pogrzebowym, który zakochał się w zwłokach młodej kobiety. I tak dalej. Można powiedzieć, że nic, co w ludzkim życiu nienormalne, chore, wynaturzone, nie było mi obce. Zadni też ludzie, nawet dopuszczający się strasznych uczynków, nie budzili mojej nienawiści czy pogardy.

Wszyscy oni mieli swoje powody, motywy, udręki i demony, popychające ich do czynów, które w ich prywatnych światach były całkowicie zrozumiałe. Bardzo szybko stało się dla mnie jasne, że obiektywna prawda o człowieku, a tym bardziej o międzyludzkich relacjach nie istnieje. Otaczająca każdego z nas rzeczywistość jest tylko jedną z milionów rzeczywistości, które otaczają wszystkich ludzi i istnieją niezależnie od siebie, tylko z rzadka przecinając się po dwie, po kilka, kilkanaście lub kilkaset, w nieprzewidywalnych punktachwirach na nieskończonej rzece czasu. Te punkty, w których dzieją się zdarzenia splatające ze sobą ludzkie losy, zawsze interesowały mnie najbardziej i zawsze ich poszukiwałem. Aż znalazłem.

Moja rzeczywistość gwałtownie skrzyżowała się z kilkoma innymi, a w punkcie ich przecięcia czekała śmierć. Jak się okazuje, czekała nie na mnie. Jeszcze nie na mnie.

Notatka z 6 listopada 1989 roku, w zeszycie zatytułowanym „Pacjenci 89”.

Część pracujących ze mną pacjentów odnosi się do mnie w

specyficzny sposób, który nazwałbym religijnym. Można przyjąć, że psychologicznym jądrem każdej religii, z wyjątkiem „religii bez Boga” takich jak buddyzm, jest całkowita zależność proszącego (człowieka) od dystrybutora darów (Boga). Proszący za pomocą modlitw, rytuałów i obrzędów stara się wywrzeć wpływ na tego, który rozdziela dary i pozytywnie go do siebie usposobić. Niektórzy moi pacjenci, szczególnie ci poważnie chorzy i bardzo cierpiący, traktują mnie, mówiąc o tym w sposób mniej lub bardziej otwarty, właśnie jak tego, który przydziela dar zdrowia i dobrego samopoczucia. Demonstrują wobec mnie całkowite oddanie i chęć pełnego podporządkowania się moim wymaganiom, zanoszą do mnie swoiste modlitwy i odprawiają obrzędy mające sprawić, że znajdą się wśród obdarowanych. Pani W. dla przykładu, chora na chorobę RecklingHausena, a oprócz tego trapiąca napadami panicznego lęku, każdą wizytę u mnie zaczyna od tego, że przez kilkanaście minut siedzi w milczeniu i płacze, a następnie mówi: „Ilekoć siadam przed panem, czuję wielkie wzruszenie i ulgę. Pan mi pomoże, prawda?”. Jest to rytualne zaklęcie, niezmiennie przez nią powtarzane przez dwa lata naszej współpracy.

Inna pacjentka na każde spotkanie przynosi jakąś drobną, wykonaną przez siebie rzecz - rysunek, zasuszone kwiatki, figurkę z modeliny, wiersz ozdobnie napisany na kawałku skóry lub jedwabiu. Wręcza mi te podarunki i prosi, żebym przynajmniej raz dziennie dotykał któregoś z nich, bowiem za ich pośrednictwem może odczuwać, gdy się nie widzimy, mój dobroczynny wpływ. Pani T.

przyprawdza do mnie co jakiś czas swoje dzieci, prosząc, abym chwilę z nimi porozmawiał, ponieważ ma to, jej zdaniem, pozytywny wpływ na ich rozwój, stan zdrowia i zachowanie. Pan M. na zakończenie każdej wizyty prosi o wyznaczenie mu jakiegoś „zadania domowego”, które następnie skrupulatnie wypełnia, twierdząc, że łagodzi to jego objawy i przybliży wyleczenie. Nie przeszkadza mu, że zadania te są czasami zupełnie absurdalne, jak wypijanie co wieczór szklanki wody dwudziestoma łykami albo oddychanie przez pół godziny przed snem tylko prawą dziurką nosa. Ci ludzie szukają u mnie nie tylko pomocy w swoim nieszczęściu. Pragną nie tylko cudu uzdrowienia, ale też uwolnienia się od zbyt dla nich trudnej odpowiedzialności za swoje życie. Poszukują we mnie kogoś, kto otoczy ich wszechobejmującą, pełną miłości opieką i, jak kochający rodzic, zdejmie z nich konieczność podejmowania decyzji poprzez drobiazgową i mądre kierowanie ich postępowaniem. Domagają się ode mnie zrozumienia ich problemów, lęków, urojeń i ukrytych pragnień. Chcą, abym wybaczył im ich słabość, małostkowość czy egoizm i odpuścił im popełnione przez nich grzechy. Jednym słowem poszukują we mnie Boga.

Boga, który byłby im bliższy i bardziej ludzki od tego zamieszkującego świątynie. Wielu z nich oczywiście nie zdaje sobie sprawy ze swoich oczekiwań i szuka we mnie boskości całkowicie pozaświadomie. Ale niektórzy zachowują się tak, jakby ich rozum zaakceptował fakt, iż takie jak ja wcielenie boskości jest możliwe. Ci wywierają na mnie świadomy nacisk, aby i mój rozum się z tym

pogodził.

Bez komentarza.

Lourdes, 12 luty 1990 r.

Dr Jan Krass

Ośrodek Medycyny Psychosomatycznej

Warszawa

Polska

Szanowny Panie.

Z przyjemnością służę Panu informacjami, o które zwraca się Pan do Międzynarodowej Komisji Lekarskiej w Lourdes, prosząc jednocześnie o wybaczenie tak dużej zwłoki w odpowiedzi na pański uprzejmy list. Wynikła ona nie tyle z nadmiaru pracy, z jakim się tu borykamy, ile raczej z biurokratycznych zawłościami, których nie ma sensu wyjaśniać.

Od 1862 roku, czyli od oficjalnego uznania przez Kościół widzenia błogosławionej Bernadetty Soubirous, Watykan zatwierdził autentyczność 65 uzdrowień i uznał je za cuda. Zostaty one wyselekcjonowane spośród około 2 tysięcy wyleczeń, uznanych przez różne gremia i komisje za przypadki medycznie niewytłumaczalne. Selekcji dokonywano zawsze w oparciu o teologiczny kanon cudownego uzdrowienia sformułowany w 1734 roku przez kardynała Lambertiniego, późniejszego papieża Benedykta XIV. Głosi on, że wyleczenie może być uznane za rezultat boskiej interwencji, jeżeli: a) choroba jest na tyle niebezpieczna, że zagraża życiu lub pociąga za sobą ciężkie kalectwo, b) nie była w jej przypadku stosowana żadna

inna kuracja, która mogłaby być choćby potencjalnie skuteczna, c) powrót do zdrowia nastąpił w sposób nagły lub w bardzo krótkim (nie więcej niż 7 dni) czasie, d) wyzdrowienie jest całkowite, ostateczne i dobrze udokumentowane medycznie.

Kryteriom tym niełatwo było sprostać, szczególnie jeśli chodzi o niestosowanie innych kuracji, szybkość wyzdrowienia oraz jego definitywny charakter. Toteż w co najmniej kilkunastu przypadkach oficjalnego uznania cudownych wyzdrowień w ciągu ostatnich 50 - 60 lat można dopatrzeć się pewnych uchybień.

Do Lourdes coraz częściej przyjeżdżali ludzie po wielu kuracjach, operacjach i innych zabiegach, które nie przyniosły pożądanego rezultatu, a i same wyleczenia nie zawsze były całkowite i ostateczne, bowiem ustępująca choroba pozostawiała rozmaite uszkodzenia i deformacje wymagające dalszego leczenia. Charakterystyczne pod tym względem było uzdrowienie w 1976 roku dwunastoletniej Delizii Cirolli, które Kościół uznał za cud dopiero w zeszłym roku (opis tego przypadku przesyłam w załączeniu). Na ogół jednak Watykan pozostawał nieugięty, co spowodowało znaczny spadek wyleczeń branych pod uwagę jako ewentualny wynik boskiej ingerencji. W zeszłym roku zdarzyły się dwa takie przypadki (oba odrzucone przez Kościół), a w roku bieżącym nie było jeszcze żadnego.

Spośród 65 oficjalnie uznanych cudów, jakie miały miejsce w Lourdes, dotyczy uzdrowień chorych na gruźlicę, o której dziś wiadomo, że może być opanowana, a nawet uleczona przez system

immunologiczny organizmu. Pozostałe dotyczą głównie różnych postaci raka, marskości wątroby, choroby Burgera, epilepsji i jaskry.

Jeżeli chodzi o drugie pańskie pytanie, to mogę być wyrazicielem jedynie moich własnych poglądów. Komisja Lekarska w Lourdes ma za zadanie jedynie orzec, czy rozpatrywany przypadek uzdrowienia jest niewytłumaczalny medycznie, przy czym werdykt zapada większością głosów. Tym samym jego treść jest mocno zależna od kompetencji i przekonań lekarzy wchodzących w skład komisji i chociaż z reguły tworzą ją ludzie o nieposzlakowanej opinii, to, moim zdaniem, jej orzeczenia nie mogą być uznane za naukowo udowodnioną, ostateczną prawdę. Osobiście uważam, że bardzo trudno jest stwierdzić na pewno, iż którekolwiek z samoistnych wyleczeń jest medycznie niewytłumaczalne. Zwłaszcza, jeśli wziąć pod uwagę powiększającą się z roku na rok wiedzę o skomplikowanych mechanizmach rządzących układem umystciato. Wszystko wskazuje na to, że wzajemne oddziaływania pomiędzy procesami psychicznymi i fizjologicznymi są ogromnym, słabo jeszcze poznany obszarem na styku biologii, psychologii i medycyny, którego istnienie najbardziej otwarci i światli lekarze XIX i początków XX wieku zaledwie przeczuwali. W nim właśnie, jak sądzę, mieści się odpowiedź na pytania o istotę cudownych uzdrowień i należy przypuszczać, że wraz z rozwojem nowych metod badawczych będzie ona coraz bardziej nie po myśli zwolenników tezy o boskich ingerencjach w ziemskie sprawy.

Póki co ich sprzymierzeńcem jest przyrodzona człowiekowi

tęsknota do cudowności i poczucia bezpieczeństwa, płynącego z przekonania o istnieniu wszechpotężnych, boskich sił, których opiece można się powierzyć i na których pomoc można liczyć w trudnych chwilach.

Pan zapewne dobrze wie, że ludzie zawsze poszukiwali i poszukują w lekarzu nie tylko znawcy sił rządzących zdrowiem i chorobami, ale też kaptanapośrednika, sprawującego pewną kontrolę nad owymi siłami, a nawet demiurga, któremu są one częściowo podporządkowane. Wiara w lekarza była i jest jednym z najważniejszych sprzymierzeńców medycyny w walce z chorobą. Coraz więcej jest też dowodów na to, że owa wiara, wsparta ufnością pacjenta co do własnych sił, i podzielana przez jego społeczne otoczenie, może zdziałać „cuda”.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Roger Froisare, Prezydent

Międzynarodowej Komisji

Medycznej w Lourdes

W Lourdes byłem bodajże w 1978 roku wraz z moją ówczesną narzeczoną Zuzanną F., lekarzem psychiatrą. Gościli nas u siebie jej rozmaici francuscy przyjaciele, wśród których był jeden z członków Międzynarodowej Komisji Lekarskiej. Stąd nasza wizyta w tym szacownym mieście.

Pamiętam z niej głównie niesamowitą atmosferę tego miejsca i zabawny kontrast pomiędzy pełnym niemal ekstatycznej pobożności zachowaniem się pielgrzym mówią luzackim, nieco ironicznym

sposobem bycia autochtonów. Tych ostatnich cechował swoiście familiarny stosunek do Pana Boga, świętych i świętości w ogóle, wynikający zapewne z codziennego obcowania z wszechobecną religią i nagromadzonymi tu w niesamowitych ilościach religijnymi symbolami. Moim ulubionym miejscem był bar „Pod dwunastoma apostołami”, którego właściciel, przewiązany białym fartuchem żyłasty wąsacz, podawał wino „Lacrima Christi” w stylizowanych, jak mawiał, „na ostatnią wieczerzę” pucharkach i sypał anegdotami niby to z życia świętych i najświętszych.

Tłumy pielgrzymów, wśród których było mnóstwo ludzi o kulach, na wózkach inwalidzkich, a nawet na noszach, zupełnie mnie wtedy nie zajmowały. Sprawą cudownych uzdrowień zacząłem się interesować dopiero dobrych kilka lat później, kiedy pojawił się problem szklanych kulek. Wtedy nawiązałem korespondencję z Komisją Lekarską w Lourdes. Potem odszukałem Delizię Cirolli.

Palermo, 3 sierpnia 1990 r.

Wielce szanowny Panie.

Doktor Froisaire przesłał mi pański list na mój obecny adres. Ludzie wciąż piszą do mnie i posyłają listy do Lourdes, ale ja nie odpisuję na nie. Nie mam czasu, a także nie chcę wracać do spraw, które dawno minęły. Czasami jednak robię wyjątek. Najczęściej na prośbę doktora Frosaire, który był zawsze dla mnie dobry i bardzo pomógł mi w życiu. On właśnie zaręczył, że nie jest Pan dziennikarzem i nie wykorzysta mojego listu w jakimś sensacyjnym artykule. Poza tym jest Pan Polakiem. Znam trochę pański kraj, mimo

że nigdy w nim nie byłam. Wiem, że Polakiem jest nasz obecny papież i mam książkę, w której są opisy i zdjęcia polskich sanktuariów maryjnych - Jasnej Góry i Lichenia.

Spróbuję teraz odpowiedzieć na pańskie pytania.

1. Obecnie mam 27 lat. Jestem mężatką i mam trzyletnią córkę, Paolę. Mieszkam wraz z rodziną w Palermo. Pracuję jako dyplomowana pielęgniarka w tutejszym szpitalu uniwersyteckim, gdzie sprawuję funkcję przełożonej pielęgniarek w klinice onkologii dziecięcej.

W szpitalu nikt, poza naszym kapelanem, u którego się spowiadam, nie wie, kim jestem i nie zna mojej historii. Ponieważ w sposób widoczny utykam na prawą nogę, mówię wszystkim, że kilka lat temu najechał na mnie samochód i zmiął mi kolano. Zachowuję w tajemnicy moje cudowne wyleczenie, bowiem wiele z jego powodu wycierpiałam.

O mojej chorobie wiedziała cała wieś, w której mieszkałam z rodziną. Jest to mała wioska położona u podnóża Etny. Ludzie są tam bardzo biedni, ale i bardzo pobożni. Z wielkim wysiłkiem zebrali wśród siebie pieniądze, abym mogła wraz z matką pojechać do Lourdes, gdzie spędziłyśmy cztery dni w sierpniu 1976 roku. Brałyśmy udział w wielu procesjach, a ja byłam wielokrotnie kąpana w wodach cudownego strumienia. Nic to jednak nie dało. Po powrocie bóle się nasilały, a narośl na moim kolanie wciąż się powiększała. Moja matka, płacząc po całych dniach, zaczęła przygotowywać dla mnie strój do trumny, ale jednocześnie stale podawała mi do picia

świętą wodę przywiezioną z Francji, a cała wieś schodziła się każdego wieczora na naszej łące za domem, aby modlić się o moje wyzdrowienie. Tak było aż do Bożego Narodzenia. Cały czas miałam straszne bóle, nie mogłam jeść i schudłam tak, że przed świętami ważyłam tylko 46 funtów. Byłam tak słaba, że prawie nie mogłam się poruszać. Dla wszystkich, ze mną samą włącznie, stawało się jasne, że mam przed sobą najwyżej kilka tygodni życia.

Jednakże zaraz po świętach, 28 grudnia, ból niespodziewanie ustąpił, a ja zapragnęłam nagle wyjść z domu na świeże powietrze. Z pomocą oniemiałej matki dokuśtykałam na podwórko. Wszyscy patrzyli na mnie jak na zmartwychwstałą.

W ciągu dwu następnych dni zeszła opuchlizna, ja zaś odzyskałam apetyt i z godziny na godzinę przybywało mi sił. Pod koniec stycznia byłam już właściwie zupełnie zdrowa.

W lecie 1977 roku znów pojechałyśmy z matką za zebrane we wsi pieniądze do Lourdes, gdzie lekarze z Komisji Medycznej stwierdzili całkowite zniknięcie zmian nowotworowych i odbudowę tkanki kostnej. Od tego czasu corocznie wyjeżdżałyśmy do Lourdes (najczęściej na koszt rozmaitych katolickich organizacji charytatywnych, jako że moje wyleczenie nabrało tymczasem rozgłosu), gdzie lekarze poddawali mnie drobiazgowym badaniom, aż wreszcie w 1982 roku (miałam wtedy 18 lat) ogłosili moje wyzdrowienie za medycznie niewytłumaczalne. Siedem lat później Watykan uznał je oficjalnie za cud.

Mój nagły powrót do zdrowia wywarł na mieszkańcach wsi

olbrzymie wrażenie. Tym bardziej, że moja matka od razu głośno nazwała go cudem, a nasz proboszcz don Fabrizio Creschi, obecny kanonik kapituły katedralnej w Palermo, ani jej nie zgromił, ani w ogóle nie zajął żadnego stanowiska. Zostało to powszechnie przyjęte za milczącą akceptację opinii mojej matki, co miało duże znaczenie, bowiem ksiądz Creschi cieszył się wśród wieśniaków ogromnym szacunkiem. Wszyscy we wsi zaczęli się do mnie odnosić z pewnym nabożeństwem, jako do tej, której dotknął miłosierny palec boży. Mówili o mnie „nasza mata święta” i zdejmowali kapelusze, mijając mnie, kuśtykającą na drodze lub odpoczywającą na leżaku, pod wielką morwą rosnącą na naszym podwórku. Matka ubierała mnie w białe sukienki, wita dla mnie wianki ze świeżych kwiatów i napominała mnie łagodnie, kiedy się głośno śmiałam albo chciałam się bawić lalkami czy też innymi zabawkami, które przysyłały mi w paczkach dzieci z całej Italii. Najbardziej lubiła, kiedy spacerowałam poważnie po wsi, odpowiadając łagodnym uśmiechem na pozdrowienia sąsiadów, lub gdy odpoczywałam na leżaku pod morwą z Pismem Świętym w rękach. Z czasem kobiety ze wsi zaczęły przynosić do mnie lub przyprowadzać swoje chore dzieci, prosząc, abym ich dotknęła i pomodliła się za ich zdrowie. Ja zaś z powagą dotykałam ich chorych głów, brzuchów, nosów, zębów i innych części ciała, modląc się w duchu, aby Bóg na nie wejrzał i uwolnił od cierpienia. Następnie z identycznymi prośbami zaczęły się pojawiać matki z sąsiednich wsi, aż w końcu przychodzili również dorośli, mężczyźni i kobiety, a nawet staruszkowie. Od pewnego momentu utarto się, że

wszyscy odwiedzający mnie klękali przede mną i składali drobną ofiarę (kurę, kilka jajek, butelkę wina, czasem pieniądze), a ja miałam naprawdę pełne ręce roboty.

O ile mi wiadomo, nikt od mojego dotykania nie został uleczony, ale liczni twierdzili, że po wizycie u mnie poczuli się znacznie lepiej i szybciej powracali do zdrowia. Ksiądz Creschi nie tylko nie reagował na całe to bałwochwalstwo, ale często odwiedzał mnie pod morwą i, popijając podawane przez matkę wino, rozmawiał ze mną poważnie o Bogu i życiu świętych, opowiadał mi o Rzymie i Etiopii, gdzie był misjonarzem, a nawet uczył mnie francuskiego, którym doskonale władał. Utwierdzało to pielgrzymujących do mnie ludzi w przekonaniu, że Kościół co najmniej nie sprzeciwia się temu swoistemu kultowi mojej osoby, a może nawet, po cichu, go popiera.

Dla mojej matki z czasem stało się oczywiste, że powinnam zostać zakonnica. Ja także, mając wtedy 13-14 lat, byłam o tym całkowicie przekonana. Wydawało mi się, że służenie Bogu jest moim powołaniem i nawet nie wyobrażałam sobie innego losu niż poświęcone modlitwie i kontemplacji życie w zacisznym klasztorze. Tym sposobem zaraz po skończeniu 15. roku życia rozpoczęłam nowicjat w klasztorze karmelitanek w Taorminie.

A jednak życie zakonne nie było mi pisane. Natura, która ocknęła się we mnie w okresie dorastania, nie akceptowała wyrzeczenia się świata i surowej reguły klasztornej. Nie potrafiłam się też odnaleźć w kłębowisku zawiści i intryg, wypełniających życie mniszek. Panujące między nimi stosunki, pełne matostkowej

rywalizacji, zazdrości i złości, byty dla mnie nie do przyjęcia. Nie godziłam się z ustawiczną ciężką pracą, statymi upokorzeniami i wymogiem ślepego posłuszeństwa wobec przełożonych. Co gorsza, bardzo szybko odkryłam, że moja wiara ma więcej wspólnego z dziecinną egzaltacją i upodobaniem do odgrywania „naszej małej świętej” niż z głębszym powołaniem. Nie znajdowałam radości w modlitwie i straszliwie tęskniłam do moich bliskich, do wsi i do ludzi w ogóle. Jediną pociechę stanowiła dla mnie nauka. W klasztorze miałam możliwość nie tylko ukończenia przerwanej z powodu choroby szkoły powszechnej, ale i kontynuowania nauki w liceum. W ciągu trzech lat nauczyłam się łaciny i francuskiego i opanowałam znaczną część materiału szkoły średniej, tak że wkrótce po opuszczeniu klasztoru mogłam zdać maturę. Habit nowicjuszki zrzuciłam, mając 18 lat, w roku, w którym, jak na ironię, Komisja Lekarska w Lourdes uznała moje wyleczenie za zdarzenie nadprzyrodzone.

Do rodzinnej wsi wróciłam na krótko i byt to powrót pełen bolesnych rozczarowań. „Nasza mata święta” stata się tą, która odrzuciła zaszczytną służbę Bogu na rzecz doczesnego świata, czym pokazała, iż nie byta godna cudownego wyróżnienia, jakie ją spotkało. W tych trudnych chwilach pomógł mi bardzo ksiądz Creschi, który już wtedy rezydował w Palermo, i doktor Froisaire. Ksiądz dat mi pracę sekretarki w katedralnej parafii, a doktor ułatwił eksternistyczne zdanie matury i rozpoczęcie studiów pielęgniarских na medycznym wydziale uniwersytetu. Tam poznałam mojego męża, wówczas

studenta stomatologii. Pobraliśmy się w 1987 roku i w tym samym roku urodziła się Paola. Jestem chyba szczęśliwa.

Takie są w skrócie (nie chcę Pana zanudzać zbędnymi szczegółami) moje „dzieje”, o które Pan pytał. Nigdy jeszcze nie napisałam do nikogo tak długiego listu. Proszę mi wybaczyć, ale czynione po raz pierwszy opisywanie mojego życia bardzo mnie wciągnęło i stąd ta rozwlekła relacja. A przecież nie odpowiedziałam jeszcze na drugie pytanie. Zrobię to jutro, bo dziś jest już bardzo późno.

Następnego dnia, 4 sierpnia 1990 r.

2. Dzisiaj nie uważam mojego wyzdrowienia za cud. Nie potrafię co prawda do końca wytłumaczyć, jak do niego doszło, ale mam wrażenie, że gdzieś w głębi duszy rozumiem, co się stało i wiem, że stało się to bez żadnej boskiej ingerencji. Ale po kolei.

Pierwsze objawy choroby wystąpiły, kiedy miałam niespełna dwanaście lat.

Rodzice zawieźli mnie wówczas do kliniki ortopedycznej Uniwersytetu w Katanii. Diagnoza tamtejszych lekarzy była druzgocąca. Rozpoznali nerwiaka niedojrzałego, bardzo złośliwego, w 95% śmiertelnego raka kości, umiejscowionego w okolicach rzepki prawego kolana, z przerzutami do kości piszczelowej.

Jedyny ratunek widzieli w całkowitej, tuż poniżej stawu biodrowego, amputacji nogi. Moi przerażeni rodzice nie wyrazili zgody na tę straszną operację, wobec czego zalecono napromieniowanie kobaltem, ale nie wiązano z nim większych nadziei

na przedłużenie mojego życia. Przerzuty do wszystkich możliwych organów ciała były, zdaniem lekarzy, kwestią kilku miesięcy. Jednakże nie doszło nawet do naświetlań, gdyż podobno wyglądałam i czułam się tak źle, że rodzice zabrali mnie do domu, chcąc, abym spędziła swoje ostatnie chwile życia w otoczeniu rodziny i przyjaciół. Potem nastąpił wspomniany już wyjazd do Lourdes i dziejące się po nim wydarzenia, które opisałam. Warto tu jedynie dodać, że na kilka dni przed owym pamiętnym Bożym Narodzeniem w 1976 roku do moich codziennych koszmarnych cierpień i dolegliwości doszła jeszcze jakaś infekcja, w wyniku której miałam ustawicznie wysoką gorączkę. Byłam tak chora, iż rodzina, przyjaciele, a w dużym stopniu i ja sama byliśmy przekonani, że umieram. Pamiętam jak przez mgłę, że w tej gorączce niemal bez przerwy się modliłam. Byłam pewna, że Pan Bóg wyśle do mnie w końcu anioła, który jednym dotknięciem swojej ręki uwolni mnie na zawsze od bólu i słabości. Być może podświadomie modliłam się o śmierć, ale świadomie chciałam żyć i bardzo na tego anioła czekałam. Chwilami miałam nawet wrażenie (prawdopodobnie były to gorączkowe majaczenia), że widzę bijący od niego blask i czuję na pulsującej bólem nodze dotknięcia jego chłodnych palców, które gdzieś z głębi kości wyciągają cierpienie w postaci czarnych nitek, wijących się jak dżdżownice. Ostatecznie została już tylko jedna taka nitka, gruba i bardzo długa, która ciągnęła się i ciągnęła, aż w paroksyzmie okropnego bólu wyszedł ze mnie jej koniec w postaci czegoś w rodzaju czarnej ośmiornicy, gwałtownie trzepoczącej groźnymi mackami. Zaraz potem - byt to wieczór 27

grudnia - zapadłam w bardzo głęboki sen, który trwał przeszło 16 godzin. Moja matka, sądząc, że jest to przedśmiertny letarg, poleciła rodzinie zgromadzić się wokół mego łóżka z zapalonymi świecami. Dookoła domu, również ze świecami, zgromadził się tłum mieszkańców wsi. Wszyscy modlili się i śpiewali nabożne pieśni. Kiedy więc obudziłam się 28-go wieczorem, przez chwilę myślałam, że umarłam i jestem w niebie, otoczona czuwającymi nade mną świetlistymi aniołami. Było to tym bardziej prawdopodobne, im jaśniej docierało do mnie, iż nie odczuwam żadnego bólu, mojego ciała nie trawi gorączka i mam wielką ochotę wstać z łóżka. Dopiero kiedy matka, widząc, że otworzyłam oczy, przypadła do mnie z ptaczem, zrozumiałam, że nadal żyję i czuję się zdrowa, chociaż bardzo staba. Mimo to powiedziałam matce, że chcę wyjść na podwórko. Kiedy na wpót niesiona przez rodziców dokuśtykatam tam wreszcie, tłum wieśniaków ukląkł w milczeniu. Słychać było tylko płacz małych dzieci i szlochanie wzruszonych dorosłych. I wtedy, tylko ten jeden raz, kiedy tak stałam wśród powszechnego płaczu, a u moich stóp rozpościerał się kobierzec utkany ze światła, poczułam, że stało się coś niezwykłego. Przez moje ciało, poczynając od stopy chorej nogi, przepłynęła nagle fala wielkiego gorąca. Gdy dotarła do głowy, krzyknęłam głośno i straciłam przytomność. Kiedy ocknęłam się już w łóżku, do którego mnie czym prędzej przeniesiono, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczułam, że jestem głodna. Moje wyzdrowienie nie było jednak całkowite. Kiedy z chorej nogi zeszła po dwu dniach opuchlizna, okazało się, że kolano jest krzywe i

nieforemne, a o sprawnym jego zginaniu i chodzeniu nie było mowy. Co prawda latem następnego roku lekarze w Lourdes stwierdzili ze zdumieniem całkowite zniknięcie zmian nowotworowych i zaawansowaną odbudowę zniszczonej tkanki kostnej, ale jednocześnie potwierdzili fakt trwałej deformacji stawu kolanowego. W mniej więcej półrocznych odstępach w „moim” obecnie szpitalu w Palermo dokonano na nim sześciu operacji ortopedycznych, doprowadzając w końcu do tego, że mogę sprawnie chodzić, a nawet biegać, mimo widocznego utykania. Z czasem też lekarze stwierdzili, że „mój” rak nie był śmiertelnie niebezpiecznym nerwiakiem niedojrzałym, ale znacznie łagodniejszym mięsakiem Ewinga. Jak się później uczyłam, jest to nowotwór, który niekiedy podlega szybkiej regresji pod wpływem wysokiej gorączki. Amerykański lekarz Wiliam Coley twierdził nawet, podobno nie bez racji, że celowe wywoływanie gorączki poprzez zakażanie pacjenta różnymi bakteriami może prowadzić do powstania pewnych naturalnych toksyn, zabójczych dla niektórych komórek rakowych, i spowodować cofnięcie się zmian nowotworowych. Tak jak już wspomniałam, dziś nie uważam mojego wyzdrowienia za cud, chociaż jestem nadal głęboko wierzącą katoliczką, a mój Kościół zajął w tej kwestii odmienne stanowisko. Sądzę, że to, co mi się przydarzyło, jest dziwne i rzadko spotykane, ale naturalne. Myślę, iż moja ówczesna ogromna chęć życia i podtrzymywana przez całe otoczenie silna wiara w wyzdrowienie spowodowały powstanie w moim umyśle jakichś potężnych sił psychicznych, które, być może, pobudziły układ immunologiczny do

wzmoczonej aktywności.

Nie znam się na tym za dobrze i nie będę zwracać Panu głowy moimi teoriami. Pragnę tylko nakreślić ogólny kierunek mojego myślenia. Jestem przekonana, że pomiędzy naszym ciałem i umysłem istnieją nie do końca jeszcze znane wzajemne powiązania, które u większości ludzi pozostają w uśpieniu, jakby stanowiły swoistą rezerwę na wypadek zaistnienia jakichś nadzwyczajnych okoliczności. Jest to coś na kształt zapasów mocy i możliwości organizmu, przechowywanych do czasu aż, być może, przekształcimy się w nową, wyższą formę życia, która będzie ich potrzebowała do swojego funkcjonowania. Przecież mózg ludzki wykorzystuje zaledwie jedną trzecią swoich możliwości, a tego, co mieści się w jego olbrzymich zapasach, możemy się jedynie domyślać, obserwując ludzi (np. hinduskich joginów czy tybetańskich mnichów), którzy, dzięki specjalnym technikom psychologicznym, potrafili do nich sięgnąć.

Być może w moim przypadku pod wpływem wielkiej wiary, ogromnego napięcia psychicznego i, niewykluczone, jakiejś jeszcze nieznannej formy zewnętrznej stymulacji mentalnej, wysyłanej do mojej psychiki przez wiele skoncentrowanych na jednej sprawie umysłów, nastąpiło uczynienie pewnej niewielkiej części tych uśpionych rezerw, która błyskawicznie poradziła sobie z rakiem. Jakkolwiek by było, nie czuję się obiektem boskiej ingerencji ani osobą, w pewnym sensie, uświęconą poprzez bezpośredni kontakt ze sferą nadprzyrodzoną. Jestem też przekonana, że, prędzej czy później, dla takich przypadków jak mój nauka znajdzie racjonalne

wytłumaczenie.

Na tym kończę mój bardzo długi list, przesyłając Panu pozdrowienia i wyrazy szacunku Delizia Bonetti

Optymistyczny akcent, którym Delizia kończy swój list, okazał się, jak dotąd, tylko częściowo uzasadniony. Niewytłumaczalne medycznie uzdrowienia zdarzają się nadal, a mechanizmy działające pomiędzy umysłem i ciałem, o których wspomina „nasza mała święta”, pozostają wciąż bardzo prawdopodobną, ale jednak hipotezą. Jej list jest jedną z dwu relacji, jakie udało mi się uzyskać od osób cudownie uzdrowionych. Drugą była opowieść Garreta Parkera, niespełna trzydziestoletniego Amerykanina, który w 1989 roku, jako 28-letni mężczyzna, został uleczony z nieoperacyjnego raka mózgu przez księdza Marka La Bianca w teksaskim mieście Austin. Jego relacji wysłuchałem osobiście. W obu tych historiach zauważyłem zastanawiające zbieżności, mimo że dotyczyły osób skrajnie różniących się od siebie. Ale o tym napiszę później.

Późną jesienią 1988 roku znalazłem się po raz pierwszy w szwedzkim mieście Uppsala. Pojechałem tam na zaproszenie kilkunastu zamożnych rodzin polskiej emigracji, mających wychowawcze i psychiatryczne kłopoty ze swoimi dziećmi oraz wiele nabrzmiałych konfliktów małżeńskich i rodzinnych.

Z powodów językowych, a także ze względu na odmiennosc kulturową, ludzie ci woleli opłacić przyjazd, pobyt i usługi dobrego psychoterapeuty z Polski, niż zwracać się o pomoc do szwedzkich specjalistów. Mój kontrakt opiewał na dwa tygodnie pracy.

Mieszkałem w oddanej mi do dyspozycji wygodnej kawalerce przy ulicy Fródegatan 13 i codziennie od godz.19 do 22 prowadziłem sesje terapeutyczne dla moich pacjentów. Całe dni miałem wolne, więc włączyłem się godzinami po Uppsali, czasami jechałem do odległego o 60 kilometrów Sztokholmu, ale najczęściej siedziałem w mieszkaniu pracując nad przygotowywaną wtedy książką i dużo rozmyślając.

W czasie jednej z wędrowek po najstarszej części miasta znalazłem mały sklep z różnymi magicznymi akcesoriami, amuletami, kartami do tarota, suszonymi ziołami, kadzidłami wypchanymi sowami i astrologicznymi księgami. Wśród mnóstwa tego rodzaju przedmiotów były tam przepiękne, kolorowe, szklane kulki w bardzo stylowych, wyszywanych w tajemnicze symbole jedwabnych woreczkach. Podczas kiedy inne rzeczy zgromadzone na półkach oglądałem jedynie z zaciekawieniem, to kulki od razu zapragnąłem mieć na własność. Krótka walka pomiędzy tym dziecinny kaprysem i argumentami rozumu została przez ten ostatni z kretesem przegrana i za równowartość około 20 dolarów wszedłem w posiadanie czterech woreczków, z których każdy zawierał 50 kulek - od takich jak gołębie jajko, aż do takich jak pingpongowa piłeczka. W mieszkaniu na Fródegatan wsypałem je wszystkie do dużej, szklanej miski, gdzie wyglądały jak bajecznie kolorowe, tajemnicze owoce i postawiłem na stole, przy którym pracowałem.

W dwa dni później, kiedy przy tymże stole piłem poranną kawę, nastąpiło zdarzenie, zapoczątkowujące, jak dzisiaj sędzę, proces zbliżania się do siebie. Na razie wracam do punktu wyjścia mojego

zainteresowania sprawą niewytłumaczalnych medycznie wyleczeń. To, że zacząłem się nimi zajmować, łączyło się ze sprawą szklanych kulek. i krzyżowania różnych ludzkich rzeczywistości i wielu równoległych światów, które znalazło swój dotychczasowy finał w dniu przejścia - 4 grudnia 1998 roku w Eudajmonii. Piszę „dotychczasowy finał”, ponieważ wydaje mi się, że musi nastąpić co najmniej jeszcze jeden. W końcu ci ludzie zniknęli bez śladu. Pozostały po nich tylko męski kciuk, dwa kobiece serdeczne palce, pół dziecięcego ucha i również dziecięcy mały palec lewej ręki. Przecież to się musi jakoś wyjaśnić. Tamtego dnia w Uppsali siedziałem rano przy stole i, pijąc kawę, przeglądałem napisany poprzedniego dnia tekst. Na dworze było zimno i mroczno. Padał drobny, mokry śnieg i wiał silny wiatr. W mieszkaniu było natomiast ciepło i cicho. Tylko od czasu do czasu docierały do mnie odgłosy silniejszych uderzeń wiatru o szyby ogromnego okna. W pewnej chwili zrobiło mi się bardzo gorąco. Od stóp aż do głowy przesunęła się przez moje ciało fala narastającego ciepła. Poczułem, że policzki mi płoną, a czoło pokryło się kroplami potu. Do gardła podeszły mi gwałtowne mdłości, wypełniając usta słodką, gęstą śliną. W lewej ręce oraz w lewej połowie głowy odczułem silne mrowienie, a zaraz potem stan jakby znieczulenia i utraty władzy w tych częściach ciała. Zawał - pomyślałem zupełnie spokojnie, sam tym spokojem zaskoczony - muszę do kogoś zadzwonić, przecież nie znam nawet numeru tutejszego pogotowia. Myślałem cały czas bardzo jasno i spokojnie, chociaż jednocześnie dziwnie wolno. Nie wykonałem jednak żadnego

ruchu w kierunku znajdującego się w głębi pokoju telefonu. Nadal siedziałem nieruchomo przy stole i tylko mój wzrok spoczął przypadkiem na misie wypełnionej szklanymi kulkami. Wydało mi się, że wszystkie one świecą jakimś wewnętrznym światłem, jakby każda stała się małą żarówką. Wpatrywałem się w wypełniającą misę kolorowe światło, słysząc narastający szum w uszach i czując coś na kształt zaciskającej mi się na żebrach bolesnej obręczy. A więc to tak wygląda - myślałem leniwie - tak to wygląda. I dopadło mnie. Dopadło mnie jak cholera. Chryste, tylko żeby bardziej nie bolało.

W pewnym momencie szum w uszach przeszedł w uporczywe dzwonienie, a kolorowe światło zaczęło się przybliżać do mojej twarzy. Nie widziałem już pokoju. Wydawało mi się natomiast, że siedzę na fotelu dentystycznym albo leżę na stole w jakimś gabinecie zabiegowym, a nade mną pochylają się niewyraźne postacie, które badają mnie, a może operują. Ich przyrządy przenikały ubranie i wnikały chłodnymi ostrzami w moje tkanki, ale nie czułem żadnego bólu. Zniknął też ucisk wokół piersi. Trwało jedynie nieprzyjemne dzwonienie w uszach, coraz bardziej stłumione, jakby dochodzące z coraz większej odległości. Przed oczami przebiegały mi błyskawicznie róż-ne obrazy. Były to migawkowe wspomnienia znanych mi ludzi i zdarzeń, pomieszane z przedstawieniami sytuacji zupełnie mi obcych. Widziałem przez moment uśmiechającego się do mnie mojego nauczyciela, doktora K. i niewyraźną twarz jakiegoś mężczyzny trzymającego w ustach giętki pręt, którego drugi koniec zanurzony był w moim lewym uchu. Przez sekundę ukazała mi się

moja przyjaciółka z dzieciństwa, Ilonka S., podająca mi z tajemniczym uśmiechem coś, co wyglądało jak odrażający, okrwawiony ochłap, i zaraz po niej obca kobieta w chirurgicznej masce, pochylająca się nad moim kroczem.

Obrazy biegły coraz szybciej. Mignęła mi moja matka, regulująca zapamiętany przeze mnie z przeszłości wielki, lampowy radioodbiornik, moja zmarła na raka narzeczona Ola R. z bezwłosą po chemioterapii czaszką i znów doktor K., machający amerykańską flagą. W pewnej chwili poczułem przeszywające ukłucie bólu w lewym uchu i wszystko ustało. Dzwonienie w uszach urwało się gwałtownie, a ja stwierdziłem, że siedzę nadal przy stole, w mieszkaniu na Fródegatan 13., z obiema dłońmi zanurzonymi w stojącej przede mną szklanej misie, wypełnionej szklanymi kulkami. Nie czułem żadnego bólu, żadnych mdłości, żadnego ucisku w klatce piersiowej, tylko nieprzyjemny chłód w dole ciała, gdyż, jak to mogłem namacalnie stwierdzić, zlałem się obficie w spodnie od piżamy, którą na sobie miałem. Poruszając się ostrożnie na krześle, odkryłem, że całe ciało mam zdrętwiałe, jakbym długo siedział nieruchomo w jednej pozycji, zaś kawa, wypełniająca jeszcze do połowy mój kubek, jest zupełnie zimna. Rzut oka na zegarek pozwolił mi stwierdzić, że od chwili, kiedy zasiadłem do jej wypicia, minęły przeszło trzy godziny. Pomyślałem wówczas, że musiałem chyba mieć niewielki wylew krwi do mózgu, który pozbawił mnie na tak długo przytomności, i przestraszyłem się, że upośledził jakieś inne funkcje organizmu. Ostrożnie wstałem z krzesła i przeszedłem się po pokoju.

Wszystko było w porządku. Zniknął nawet niewielki ból w nadwerężonej kilka dni temu stopie. Widziałem i słyszałem wszystko bardzo wyraźnie, mogłem też mówić, śpiewać i sprawnie myśleć, chociaż od momentu, kiedy zrobiło mi się gorąco, pamiętałem tylko bardzo niewyraźne, zamazane obrazy. Poszedłem do łazienki sprawdzić przed lustrem, czy mojej twarzy nie szpeci grymas porażenia albo nagle powstały zez, ale nic niezwykłego nie dało się zauważyć, poza wąską strużką krwi, która wyciekła mi z lewego ucha i zaschła na szyi.

Wrzuciłem do pralki obszczaną piżamę i wróciłem na krzesło przy stole.

Machinalnie sięgnąłem po kubek z zimną kawą i wtedy zobaczyłem nagryzmolone u dołu kartki z tekstem książki słowo „eudajmonia”.

Było napisane dużymi, niedbałymi literami, z których żadna nie zdradzała najmniejszego podobieństwa do mojego charakteru pisma. Wiedziałem, że to niemożliwe, ale musiałem zgodnie ze świadectwem moich oczu stwierdzić, iż były to inne niż moje litery, napisane inną niż moja ręką. Poczulem strach. Czyżby ujawniła się jakaś moja alternatywna osobowość? Czy będąc nieprzytomny, pisałem automatycznie? A jeśli byłem nieprzytomny, to dlaczego nie spadłem z krzesła?

Dlaczego pamiętałem widziane w nieprzytomności obrazy? A może nie byłem nieprzytomny, tylko znajdowałem się w jakimś odmiennym stanie świadomości, w czymś w rodzaju transu hipnotycznego? Jeśli tak, to dlaczego weń zapadłem? W głowie

pojawiło mi się coraz więcej pytań. Odruchowo włożyłem dłonie do misy z kulkami i strach natychmiast zniknął. W jego miejsce poczułem wielki spokój a w chwilę później obezwładniającą senność. Chwiejnie dowlokłem się do tapczanu i zwałem nań, zasypiając, zanim jeszcze moja głowa dotknęła poduszki.

Obudziłem się równo po trzech godzinach rześki i wypoczęty. Cały poranny incydent wydał mi się koszmarnym snem, a przypuszczenia dotyczące wylewu uznałem za idiotyczne. Być może po prostu zatrąłem się jakimś pokarmem albo jakimiś wyziewami w powietrzu. Albo może zdrzemnąłem się przy stole i wszystko mi się przyśniło. Tylko że ja nigdy w życiu jeszcze nie zdrzemnąłem się przy stole, krew wyciekająca z mojego ucha wciąż tkwiła zaschnięta na mojej szyi, a słowo „eudajmonia”, napisane obcym charakterem pisma, wciąż widniało na moich notatkach.

Po powrocie do Warszawy wsypałem kulki do dużego szklanego słoja i postawiłem na półce w moim gabinecie. Od czasu do czasu bawiłem się, wydając kilka z nich i przesypując w dłoniach. Lubiłem ich czysty, chłodny dotyk, a wpatrywanie się w ich kolorowe, delikatne wnętrza niejednokrotnie pomogło mi się skupić. Cieszyłem się z ich posiadania, mimo że przypominały mi tamto nieprzyjemne zdarzenie na Fródegatan 13. Tego wspomnienia zdecydowanie nie lubiłem.

Z czasem zacząłem dawać kulki moim lejkom, jako nagrody za postępy w terapii. Lejki były to dzieci w różnym wieku, cierpiące z powodu mimowolnego moczenia łóżka w nocy. Już w 1986 roku

zainteresowałem się tą pozornie śmieszną, a w rzeczywistości groźną i niesamowicie uciążliwą dolegliwością. Trzy lata później miałem opracowaną dosyć skuteczną procedurę terapeutyczną. W jej wyniku dzieci przestawały się moczyć w czasie od kilku tygodni do kilku miesięcy. Kulki, jak klejnoty, wyjątkowo dobrze nadawały się do wynagradzania niektórych, bardziej zahamowanych, dzieciaków za przybywające im kolejne suche noce. Stopniowo ta skromna rola kulki w całej procedurze zaczęła się rozbudowywać, aż w końcu niektóre lejki otrzymywały ją ode mnie na samym początku terapii z zapewnieniem, że jest to specjalny, zawierający czarodziejską energię talizman, który pomaga uniknąć zsikania się do łóżka, pod warunkiem, że dziecko nosi go cały dzień przy sobie, a na noc umieszcza pod poduszką. Znaczna część dzieci, szczególnie tych pomiędzy 6 a 10 rokiem życia, traktowała otrzymane kulki z wielkim nabożeństwem, skrupulatnie przestrzegając moich zaleceń. Wychodziłem wówczas z założenia, że oddziaływanie na wyobraźnię dziecka, wykorzystujące jego naturalną podatność na sugestię, może zmotywować je do systematycznego wykonywania zadań, będących częścią procedury, z czym zawsze było nieco kłopotów. Kulka przypominała o nich i jednocześnie umacniała wiarę w końcowy sukces. Chodziło mi przede wszystkim o uatrakcyjnienie procedury, poprzez nadanie jej, fascynującego dla dzieci, tajemniczego charakteru.

 Nie przeczuwałem nawet, na jaki teren wkraczam.

 Dzisiaj przy śniadaniu podeszła do mojego stolika pani Wanda

Ż., była główna księgowa w jednej z państwowych agencji finansowych, podejrzana o gigantyczne malwersacje. Jest to drobna, siwowłosa, ale całkiem jeszcze atrakcyjna kobieta, odznaczająca się wielką religijnością. Jej nazwisko niemal na stałe figuruje na liście potrzebujących wsparcia duchowego od naszego księdza. Plotka krążąca wśród personelu i pensjonariuszy ośrodka głosi, że znalazła się tu, ponieważ wzięła na siebie finansowe machinacje paru ważnych figur ze sfer politycznorządowych, w zamian za pozostawienie jej rodzinie kilku kont bankowych, pełnych ukradzionych państwu pieniędzy. Podobno wie tyle, że nikt nie odważył się zamknąć jej w normalnym więzieniu, mimo wydanego przez sąd wysokiego wyroku. Pani Wanda, oprócz zwykłego u niej ciepłego uśmiechu, miała dla mnie list od naszego duszpasterza. - Ksiądz Jan - powiedziała, podając mi białą kopertę - prosił, abym zaczekała na pańską odpowiedź, pisemną lub ustną.

Skinąłem głową i otworzyłem kopertę. Zawierała ona pojedynczą kartkę o następującej treści:

Szanowny Pan Jan Krass w miejscu

Panie Krass, bardzo Pana proszę, aby jednak zechciał się pan jeszcze raz ze mną spotkać. Muszę z Panem porozmawiać o bardzo ważnych sprawach.

Nasze poprzednie spotkanie miało tak niefortunny przebieg głównie z winy mojej nieumiarkowanej napastliwości. Tym razem obiecuję zachować się przyzwoicie. Jeżeli wyrazi pan zgodę na rozmowę, proszę dać znać przez panią Wandę, a wtedy odwiedzę pana

w najbliższy czwartek po śniadaniu.

Wyrazy szacunku

Jan Weise

Jakoś nie mogłem sobie początkowo wyobrazić żadnych ważnych spraw, które mógłby do mnie mieć ksiądz Weise, z wyjątkiem swoich zamiarów co do mojej duszy. Ale jego nazwisko, które już wcześniej wydało mi się znajome, dopiero teraz skojarzyłem z osobami jednej z pierwszych mieszkanek Eudajmonii, cierpiącej na cykliczną depresję, i jej dziewięcioletniej córki, chorej na białaczkę. To mogły być owe ważne sprawy, o których chciał ze mną rozmawiać. Jeśli w istocie tak było, nie miałem prawa mu odmawiać. Powiedziałem więc pani Wandzie, że moja odpowiedź brzmi - tak.

Rysująca się perspektywa ponownego spotkania z księdzem Weise mocno mnie zaniepokoiła. Połączenie jego nazwiska z tak samo brzmiącym nazwiskiem Marianny spowodowało, że wiele elementów tworzonej przez mój umysł kolejnej układanki nagle przestało pasować do całej reszty. Groteskowe przeżycia księdza, związane z ratowaniem mojej duszy, wcale nie musiały być wynikiem jego manii religijnej. Szczerze mówiąc, nie wyglądał na człowieka owładniętego jakąkolwiek manią, a to, co mu się przydarzyło, mogło mieć całkowicie inne niż podawał wytłumaczenie. Jeżeli tak było, to istniała możliwość, że ksiądz wie znacznie więcej, niż przypuszczałem, i że jego rzeczywistość należy do tych, które skrzyżowały się z moją, chociaż obaj nie mieliśmy o tym pojęcia. Znałem przecież z własnego doświadczenia część przeżyć, o których

opowiadał. Dzwonienie w głowie, ból w piersi, niejasne obrazy jakichś dziwnych zabiegów medycznych - wszystko to pamiętałem najpierw z Uppsali, a potem z Warszawy. Może zresztą jego doznania były inne? Może przeżył stan przedzawałowy albo niewielki wylew? Może. Ale Marianna, która nosiła to samo co on nazwisko i Madzia jej córka, zaginęły w Eudajmonii 4 grudnia 1998 roku i do dzisiaj ich nie odnaleziono. Ani ich, ani 34 innych osób. Znaleziono tylko cztery obcięte palce i kawałek ucha. I ani kropli krwi.

Niech mi nikt nie każe wierzyć, że spotkanie akurat z tym człowiekiem, mające taki akurat przebieg, było przypadkiem. Mam wrażenie, że już od dawna nic, co mnie dotyczy nie jest przypadkiem, a moje życie zmierza do jakiegoś od dawna zaprojektowanego finału.

Marianna, czytając te słowa, uśmiechnęłaby się ze zrozumieniem.

Mniej więcej po roku zorientowałem się, że terapia dzieci, które dostawały kulki i poważnie traktowały dotyczące ich zalecenia, trwa znacząco krócej niż tych, które kulek nie otrzymywały. Początkowo wydawało mi się to czystym przypadkiem, ale po bliższym zbadaniu różnice w długości trwania terapii w obu grupach lejków okazały się być istotne statystycznie, czyli o przypadku raczej nie mogło być mowy. Aby mieć większą jasność, stworzyłem jeszcze jedną, trzecią grupę lejków, w której dzieci dostawały kulki, ale bez żadnej sugestii, dotyczącej ich wpływu na sikanie do łóżka. Prosiłem tylko, żeby często miały je przy sobie. W tej grupie terapia moczenia nocnego również trwała znacząco krócej niż w grupie, która z kulkami w ogóle

nie miała do czynienia. Wynikałoby z tego, że kulki rzeczywiście jakoś wpływają na dzieci w pożądanym przeze mnie kierunku. Wniosek ten, choć logiczny i wysnuty zgodnie z naukową procedurą, nie mieścił mi się początkowo w głowie. Byłem i częściowo nadal jestem zatwardziałym racjonalistą, którego na wskroś ateistyczny światopogląd nie dopuszczał możliwości zaistnienia zdarzeń, nie dających się objąć rozumem i wytłumaczyć przy pomocy poznanych praw przyrody. W ich zaś świetle szklane kulki, czyli pieprzone kawałki zwykłego pieprzonego szkła, nie mogły wpływać na niczyje sikanie bądź niesikanie do łóżka. Nie mogły też wpływać na funkcjonowanie czyjejs, powiedzmy, wątroby albo innego organu, czy na czyjś poziom inteligencji, jeśli żyjemy w świecie bez cudów. Nie znałem wtedy jeszcze prac Komisji Medycznej w Lourdes i nie słyszałem o Alistairze Crowleyu ani o Laurie Cabot - nie wiedziałem więc, że cuda jednak się zdarzają.

Wyniki tych wszystkich badań były dla mnie co najmniej niepokojące, tym bardziej, że łączyły się jakoś z tym, co mi się przydarzyło w Uppsali i co bezskutecznie usiłowałem wyrzucić z pamięci. Tamten epizod, którego wówczas zupełnie nie rozumiałem, zostawił w mojej psychice osad jakiegoś obrzydliwego, nieokreślonego lęku, pełnego jednocześnie niemal erotycznego podniecenia, pomieszanego ze wstydem i poczuciem winy. Podobnych emocji doświadczałem w dzieciństwie, kiedy mając 9-10 lat, stałem się obiektem seksualnych eksperymentów mojego o 5 lat starszego kuzyna, który pieścił mnie erotycznie, a nawet próbował ze

mną odbywać coś na kształt stosunków płciowych. To, co obaj robiliśmy, podniecało mnie i sprawiało mi pewną przyjemność, ale jednocześnie miałem świadomość uczestniczenia w sprawach absolutnie zakazanych, występnych i odrażających, udział w których przesądzał o moim moralnym upadku i skazywał mnie na nieuchronne potępienie przez ludzi i Boga. Co prawda nasza tajemnica nigdy się nie wydała i nigdy nie stałem się z jej powodu obiektem potępienia, ale przez kilka lat dręczył mnie strach, że tak się stanie albo że, co gorsza, znowu ulegnę pokusie takich zabaw, jeśli nadarzy się ku nim okazja. Ilekroć pomyślałem o tym, co miało miejsce w Uppsali, czułem się jak ów nie bez własnej woli wykorzystywany seksualnie chłopiec, którym kiedyś byłem. Postanowiłem jednak posunąć się w moich badaniach jeszcze krok naprzód. Dałem mianowicie kulkę Mariannie. Tak, tak, tej samej Mariannie, która nosi, jak się okazuje, nazwisko naszego księdza. Wówczas była ona dwudziestosiedmioletnią kobietą, cierpiącą od 14 roku życia na wciąż nawracające rzuty głębokiej depresji, przeplatane krótkotrwałymi okresami maniakalnie podwyższonego nastroju. Dałem jej kulkę pod koniec jednego z takich okresów, mówiąc, że jeśli codziennie rano, trzymając kulkę w lewej ręce, będzie przez pół godziny wyobrazać sobie, że depresja wychodzi z niej wraz z oddechem w postaci czarnego oparu ulatniającego się z ust, to będzie ona tym razem dużo łagodniejsza albo nawet w ogóle się nie pojawi. I tak się stało. Rzut depresji nie nastąpił, chociaż ogólny nastrój pacjentki mocno się obniżył, co wobec uprzedniego maniakalnego rozkręcenia oznaczało,

że stał się mniej więcej wyrównany. Marianna przeżyła pół roku, nie rozstając się z kulką i depresja nie powróciła. W siedem miesięcy po swoim, jak to nazywała, nadzwyczajnym wyleczeniu zaszła w ciążę i urodziła córkę, którą postanowiła sama wychować. Po ośmiu latach okazało się, że sens jej życia, jej mała, śliczna dziewczynka, jest chora na białaczkę. Wtedy znów przysłała do mnie, prosząc o kulkę dla Madzi.

Ale to było później. Prawie osiem lat później, kiedy byłem już, w pewnym sensie, innym człowiekiem od tego, który, dręczony wyrzutami sumienia, po raz pierwszy dawał innemu dorosłemu człowiekowi kawałek szkła, zapewniając, że przyniesie mu on ulgę w cierpieniu.

Marianna przyjęła kulkę z całą powagą, a zalecony przeze mnie rytuał szybko stał się dla niej najważniejszym momentem dnia. W czasie cotygodniowych wizyt terapeutycznych mogłem obserwować, jak rodzi się w niej niezachwiana wiara w skuteczność owego zabiegu, a pośrednio również w moją uzdrawiającą moc czy też energię, którą, w jej mniemaniu, naładowałem kulkę, tak jak się ładuje akumulator. To mnie uspokoiło, bowiem mogłem założyć, iż to nie kulka, ale właśnie wiara Marianny i oparta na niej nowa motywacja do życia zapobiegła nawrotowi choroby. Spokój prysnął dopiero, kiedy po pół roku lekarze stwierdzili u Marianny zniknięcie bez śladu licznych zrostów i zbliznowaceń jajowodów, będących następstwem przebytego ich zapalenia i przyczyną jej niepłodności. Tego, w moim przekonaniu, nawet największa wiara w moją rzekomą moc,

zmagazynowaną w szklanej kulce, uczynić nie mogła. Marianna nie podzielała tych wątpliwości. Wręcz przeciwnie. Była najgłębiej przekonana, że to moja uzdrawiająca energia przywróciła jej płodność i mawiała nawet żartobliwie, że dzięki temu, w pewnym sensie, ja jestem ojcem Madzi.

Mój umysł w żadnym sensie nie mógł się z tym pogodzić. Miałem co prawda świadomość swego potencjalnego i faktycznego wpływu na ludzi, będącego rezultatem moich umiejętności terapeutycznych, ale w tym akurat nie ma nic tajemniczego. Po prostu lepiej znałem i rozumiałem mechanizmy rządzące ludzkim zachowaniem, szybciej kojarzyłem wynikające z nich fakty, sprawniej wyciągałem wnioski i odważniej podejmowałem decyzje odnośnie działań, mających te mechanizmy modyfikować. I to wszystko. Ale moc? Tajemnicze energie? Nadzwyczajne uzdrowienia? Nigdy, ale to nigdy nie wierzyłem w takie rzeczy i zawsze byłem w pierwszych szeregach prześmiewców, wyszydzających wszelkie formy nawiedzenia. Aż do momentu wyzdrowienia Marianny. Wtedy zrodziło się w moim umyśle następujące pytanie: jeśli, oddziałując na psychikę człowieka i modyfikując jego zachowanie, można wyleczyć owrzodzenie żołądka albo łysienie plackowate, to czemu nie miałyby być możliwe usunięcie tą drogą zrostów w jajowodach? Albo nowotworu? Zacząłem poszukiwać odpowiedzi. Pochłaniałem doniesienia dotyczące cudownych uleczeń przypisywanych boskiej interwencji i uzdrowień dokonywanych przez szamanów. Szukałem kontaktu z uzdrowionymi i uzdrowicielami. Chodziłem do czarownic

w Kalifornii i do ruskich hipnotyzerów w rodzaju osławionego doktora Kaszpirowskiego, który za pośrednictwem telewizji likwidował blizny, czy Borysa Streszniewa, który wzrokiem usuwał brodawki skórne. Słuchałem hinduskich joginów i tybetańskich łamów, którzy poprzez różne formy medytacji potrafili osiągnąć niesamowite spowolnienie pracy serca lub nadzwyczajny wzrost ciepłoty ciała. Byłem gościem wyznawców kultu voodoo i członków sekty wicca, którzy potrafią, nie używając przemocy ani nie kontaktując się z nimi fizycznie, sprowadzić śmierć na upatrzone ofiary. Zacząłem więc zajmować się cudami. W tym też okresie założyłem specjalną teczkę, w której gromadziłem moje własne przemyślenia i hipotezy dotyczące cudownych uzdrowień i przypadków wpływu ducha na materię. Nie publikowałem ich i, w zasadzie, nikomu nie pokazywałem, traktując je jako moją, nieco wstydliwą, tajemnicę. Z czasem moi przyjaciele i współpracownicy, wiedzący o ich istnieniu, nazwali te notatki „Szóstą książką”. Odegrała ona pewną rolę w powstaniu Eudajmonii dzięki legendzie, jaką wokół niej stworzył Paweł Liberg, chociaż znał jedynie dwa jej fragmenty, które pokazałem mu w dobrej wierze na początku naszej znajomości. Dotyczyły one przypadku Marianny, która była już wtedy szczęśliwą matką malutkiej Madzi. Liberg z kolei był ledwie co „ukończonym” inżynierem, specjalizującym się w budowie silników lotniczych. Pojawił się na prowadzonych przeze mnie otwartych seminariach z zakresu psychologii praktycznej i psychoterapii, przeznaczonych w zasadzie dla pracujących już w zawodzie

psychologów. SeminaRIA te cieszyły się w tak zwanym środowisku niejakim rozgłosem, toteż przychodzili na nie często również lekarze, pedagodzy, socjolodzy i przedstawiciele różnych innych profesji, zainteresowani poruszaną problematyką. Paweł trafił na nie najprawdopodobniej z powodów czysto osobistych, chociaż nigdy się do tego nie przyznał. Ten młody, piekielnie zdolny technokrata był bowiem ciężkim neurotykiem, trapiącym niezliczonymi dolegliwościami natury histerycznej, i mimo formalnej dorosłości, całkowicie uzależnionym od swojej matki, bezradnym chłopcem oraz tłumiącym i odrzucającym swoją seksualną orientację homoseksualistą. Jego twarz, nawiasem mówiąc bardzo urodziwą, szpecił od urodzenia rozległy, ciemnopurpurowy rumień, obejmujący część lewego policzka i sięgający aż na szyję. W swoich psychologicznych zainteresowaniach Liberg pozaświadomie poszukiwał przede wszystkim wyjaśnienia swoich licznych lęków, obsesji i kompleksów, czyniących jego życie pasmem dojmujących udręk. Wychowany tylko przez nadopiekuńcza matkę, przekonany o swoim odrażającym wyglądzie samotnik, prawdopodobnie znalazł we mnie substytut akceptującego, przyjaznego ojca, którego na dobrą sprawę nigdy nie posiadał.

Wkrótce też, dzięki ogromnemu zaangażowaniu i wręcz uwielbieniu, jakim mnie darzył (któż w końcu jest całkowicie odporny na tego rodzaju manifestacje), został kimś w rodzaju mojego asystenta.

Sprawę szklanych kulek, a szczególnie to, co zdarzyło się z

Marianną, od początku potraktował bardzo poważnie. Do tego stopnia poważnie, że po pewnym czasie, ignorując moje wątpliwości, którymi się z nim dzieliłem, poprosił mnie, abym przy pomocy „odpowiednio naładowanej” kulki usunął znamię z jego policzka. Oczywiście odmówiłem. Nie kryłem też mojego rozczarowania, iż zamiast sprawnego intelektualnie współpracownika, trafił mi się bezkrytyczny wyznawca. Doradziłem mu podjęcie psychoterapii u mojego przyjaciela doktora E. (co też uczynił) i nasz kontakt zdecydowanie się rozluźnił.

Po upływie około miesiąca zauważyłem jednak, że jego rumień zbladł i znacznie się zmniejszył, a po dalszych dwu miesiącach całkiem znikł. Na policzku pozostał mu tylko fragment odrobinę ciemniejszej skóry, z łatwością maskowany kwarcówkową opalenizną.

Sam Liberg w czasie tych trzech czy czterech miesięcy stał się zupełnie innym człowiekiem. Przede wszystkim nagle zaakceptował i ujawnił światu swój homoseksualizm, demonstrując otwarcie zainteresowanie mężczyznami i wdając się w burzliwy romans z dwa razy od siebie starszym, znanym ze swoich upodobań, pisarzem. Wyprowadził się też od matki, początkowo do swojego partnera, a potem do wynajętego mieszkania, gdzie później odbywały się zebrania pomysłodawców i założycieli Eudajmonii.

Obserwując z zadowoleniem te wszystkie przemiany, byłem przekonany, że są one wynikiem intensywnej pracy terapeutycznej Liberga z doktorem E. Niestety myliłem się. Paweł potraktował

bowiem sprawę kulek jeszcze poważniej, niż myślałem, chociaż, gdybym się bardziej zastanowił, to mogłem spodziewać się tego, co zrobił. Moje dość obcesowe potraktowanie jego prośby musiało go przecież zranić. W istocie zachowałem się jak jego ojciec, który odrzucił syna za jego brzydotę i słabość. Mogłem się przecież łatwo domyślić, że będąc małym chłopcem, Liberg musiał podświadomie odczuć odejście ojca jako karę dla niego za jego oszpeconą twarz i dla matki, która usiłowała zrekompensować synkowi przykrą odmienność, otaczając go małą, bezkrytyczną miłością i upiększając długimi lokami oraz wyszukany, strojnymi ubrankami. Do rosnącego w małym Pawle poczucia winy z powodu rozczarowania, jakie sprawił ojcu, doszło jeszcze poczucie winy za to, iż ukochana matka, za jego sprawą, została porzucona przez męża. Z tym bagażem, pełen wściekłości i wstrętu do samego siebie, Liberg żył co najmniej od trzeciego roku życia, kiedy zyskał świadomość bycia odrębną od matki istotą. Jego rzeczywistość była ponurym piekłem pełnym samopotępienia i rozpacz, w którego trującej atmosferze kiełkowały perwersja i obłąd. Ponieważ nie mógł być takim chłopcem, jakiego chciał ojciec, próbował być przynajmniej dziewczynką, której zapewne pragnęła matka. Ale dziewczynką też nie mógł być, bo jego ciało coraz bardziej stawało się męskim ciałem. Jego podświadomość rozpaczliwie usiłowała zahamować ten proces. Stąd wciąż nawracający bezgłos histeryczny, który pojawił się u niego po raz pierwszy w okresie mutacji. Stąd uporczywy, doprowadzający go do szaleństwa świąd genitaliów, występujący od czasu pierwszych

erekcji i nocnych polucji. Stąd wreszcie lęk przed erotycznie zabarwionym kontaktem z kobietami i bardzo wczesne (od 12 roku życia) fantazje homoseksualne, znów uruchamiające poczucie winy z powodu godnych pogardy, zboczonych upodobań.

W ciemnościach tego piekła zajaśniał niewielki promyczek nadziei w momencie, kiedy jego rzeczywistość skrzyżowała się z moją, ale ja ten promyczek brutalnie zgasilem. Odepchnąłem chłopaka na zimną kanapę terapeutyczną, gdzie wielkooki rozum doktora E. prowadził swoje pedantyczne obserwacje ludzkiej fauny. Nic dziwnego, że Paweł mnie oszukał. Przez cały ten czas spotykał się wprawdzie z E., ale ani przez chwilę z nim nie współpracował. Po prostu przychodził na sesje, robił, co E. mu kazał i wychodził. Obserwował na luzie, a nawet z pewną pogardą wysiłki terapeuty, bowiem w kieszeni miał to, co w jego przekonaniu miało mu pomóc, czyli szklaną kulkę ukradzioną mi z pudełka, w którym trzymałem ich zapas. Codziennie rano i wieczorem przez godzinę przeprowadzał przy jej pomocy zabieg, który mu rzekomo zaleciłem, chociaż w rzeczywistości tylko mu opowiadałem o przeczytanych opisach tego rodzaju postępowania. Trzymając mianowicie kulkę w złożonych dłoniach, skupiał się na wyobrażaniu sobie pokrywającego policzek znamienia jako płata purpurowego śniegu polewanego ze wszystkich stron wrzątkiem, pod wpływem czego topi się on i coraz bardziej kurczy, aż zupełnie znika. Z czasem zaczął osiągać taki stopień koncentracji na owej fantazji, że czuł dojmujące pieczenie całego policzka, tak jakby rzeczywiście lała się nań gorąca woda, a

zszpecona rumieniem skóra puchła i pokrywała się pęcherzami. Wtedy przykładał kulkę do tych niby oparzelin i piekący ból ustawał, zaś pęcherze błyskawicznie przysychały i złuszczały się, ukazując pod spodem nowy, już nieco mniej przebarwiony naskórek.

Wszystko to Liberg opowiedział mi, kiedy wreszcie zwróciłem uwagę na jego nowy wygląd i zapytałem o postępy terapii u E.

- Chodziłem do E., ale się u niego nie leczyłem - powiedział wtedy. - Leczyłem się u pana.

Mniej więcej od tego czasu Liberg, najpierw nieco ukradkiem, w prywatnych rozmowach, a potem już otwarcie zaczął głosić, że jestem uzdrowicielem i cudotwórcą. Zaś w dwa lata później opublikował swoją książkę „Niewidzialna Ziemia”, wedle której moc cudownego uzdrawiania jest tylko jednym z moich atrybutów. Dzieło to, oprócz niezwykle szczerej, wręcz ekshibicjonistycznej autobiografii autora, zawiera przypisywane częściowo mnie poglądy i teorie rodem z literatury science fiction i fantasy, przedstawione z absolutną powagą słowa objawionego. Na tle standardowej produkcji literackiej i „naukowej” New Age’u książka Liberga nie jest niczym szczególnym, może poza emanującą z niej żarliwością przekonanego proroka. Toteż komercyjny sukces, jaki odniosła, i, przede wszystkim, jej niespotykane szerokie oddziaływanie społeczne były dla mnie pewnym zaskoczeniem. Na prośbę autora czytałem, nawet chyba dwukrotnie, maszynopis dzieła, poczyniłem też pewne uwagi na marginesach i przekazałem kilka sugestii co do zmian i uzupełnień w jego treści, ale nie sądziłem, że aż tylu ludzi przeczyta tę, w gruncie

rzeczy, mieszanię literatury popularnonaukowej, reportażu i filozoficznej bajki, a w dodatku uwierzy w zawarte w niej rewelacje. Zresztą nie wiem, czy nie sądziłem.

W końcu brałem udział w jej powstawaniu i w końcu jest to książka przede wszystkim o mnie. Przypuszczam, że wtedy, sześć lat temu, podzielałem wiele z przedstawionych przez Liberga poglądów. Prawdopodobnie pociągała mnie też rola, jaką autor przydzielił mi na scenie opisywanego przez siebie świata. Tym bardziej, że w tym okresie już znacznie odważniej eksperymentowałem z kulkami, a wyniki tych eksperymentów przyprawiały mnie o coraz większe pomieszanie co do tego, kim naprawdę jestem i czy jestem tym, czym mi się czasami wydawało, że jestem. Krótko mówiąc, wcale wtedy nie byłem pewien, czy dokonany przez Liberga opis i interpretacja mojego „przypadku” jest produktem rozgorączkowanego umysłu egzaltowanego historyka, czy też przedstawieniem obiektywnie istniejącego fenomenu zwanego Jan Krass. Jednocześnie jednak mój rozum ironicznie szczyrzył zęby i zanosił się chichotem, obserwując poczynania guru, który wprawdzie przekazuje pewne treści czekającym na jego słowa wyznawcom, ale tak naprawdę nie wie, co się dzieje, i na dodatek nie bardzo wierzy w istnienie sił, którymi rzekomo, a może rzeczywiście, włada. Dokładnie taka była moja ówczesna sytuacja. Nie miałem pojęcia, dlaczego kulki i związane z nimi moje działania powodują takie, a nie inne skutki, zaś wszystkie próby wyjaśnienia tego, co się wydarzało, wywoływały protest mojego racjonalnego umysłu i były przezeń klasyfikowane jako new

age'owe bajdy.

Jedynym jako tako dopuszczalnym wytłumaczeniem moich uzdrowicielskich osiągnięć było przyznanie Libergowi racji, że jestem jeszcze nieświadomą siebie samej i swoich atrybutów nową formą życia. Kimś w rodzaju pierwszego noworodka całkowicie nowej generacji ludzkiego gatunku, który to gatunek wstępuje właśnie na wyższy, nieznany jeszcze poziom ewolucji. W tym właśnie momencie mój rozsądek wyszczerzał się ironicznie i pytał: Krass! Do kogo ta mowa? Powiedz od razu, że jesteś po prostu Bogiem. No, powiedzmy, półbogiem. A czemu nie? - pytał z drugiej strony Liberg.

- Właściwie czemu nie? - myślałem. - W końcu moje życie już od dobrych kilku lat jest jednym wielkim „czemu nie?”.

Krass jest wysoki i nieco otyty. Jego ciato na pewno nie mogłoby służyć za kanon współczesnej męskiej urody i sprawności. Chodzi trochę przygarbiony, z opuszczonymi ramionami i wysuniętym brzuchem, pochylając swoją dużą głowę jakby mu ciążyła. Wyraz jego twarzy jest zawsze odrobinę nieobecny, nieprzytomny albo zdziwiony. Rozmawiając, bardzo często patrzy w bok lub w górę.

Sprawia wtedy wrażenie, jakby znał już treść wypowiedzi rozmówcy i tylko czekał niecierpliwie na jej wyartykułowanie. Oczy ma duże, zielone i nieruchome. Bardzo rzadko mruga, a mrugnięcia te są powolne i długie. Trudno je nawet nazwać mrugnięciami, raczej można powiedzieć, że wolno przemyka na chwilę oczy i znów powoli je otwiera. Kiedy uważnie stucha albo intesywnie o czymś myśli,

często zamyka oczy i zaciska usta. Jego ręce są zawsze zajęte. W jednej najczęściej trzyma papierosa, a w drugiej jakiś przedmiot, którym wciąż obraca i manipuluje. Najczęściej jest to szklana kulka, moneta czy spinacz do papieru. Bardzo dużo pije.

Zawsze ma pod ręką szklankę albo duży szklany kubek z jakimś napojem. Najczęściej jest to mrożona herbata, sok owocowy lub po prostu czysta woda. Prawie nigdy nie pije alkoholu, chociaż podobno w przeszłości pit sporo.

Jego głos jest dość niski, jakby stłumiony, i matowy. Mówi raczej mato i niechętnie, ale bywają chwile, kiedy jest bardzo rozmowny i wręcz nie dopuszcza innych do głosu. Uwielbia ironiczny dowcip i cięte riposty, którymi posługuje się po mistrzowsku. Lubi rozmawiać z dziećmi i wtedy nigdy nie bywa ironiczny.

Często używa wulgarnych słów, ale w jego wykonaniu nikogo to nie razi.

Wręcz wydaje się, że takie lub inne brzydkie słowo przezeń użyte byto konieczne właśnie w tym miejscu i trudno bytoby zastąpić je innym, mniej dosadnym.

W stosunku do siebie zachowuje zawsze pewien ironiczny dystans, w związku z czym nigdy nie można mieć pewności, czy mówi o sobie poważnie, czy żartuje. Nie dotyczy to oczywiście pacjentów. Z nimi zawsze i o wszystkim rozmawia poważnie, chociaż często posługuje się zabawnymi metaforami lub przykładami, aby lepiej wyrazić, o co mu chodzi.

Krass jest jak wielki stary pies z innej planety. Słyszy to, czego

my nie słyszymy, i widzi to, czego my nie możemy zobaczyć, ale niczemu się już nie dziwi. Wygrzewa się tylko w promieniach, które dla nas są zabójczo zimne, z rzadka kiwając komuś przyjaźnie swoim pokrytym elektryczną sierścią ogonem. I wtedy ów ktoś czuje, jak wypełnia go radość pomieszana z czymś w rodzaju tęsknoty, a jego rany fizyczne i psychiczne zasklepiają się i goją.

*

Krass jest przypuszczalnie pierwszym znanym reprezentantem nowego etapu ewolucji człowieka. W pewnym sensie stanowi on wręcz nową formę życia. Jego procesy psychiczne przebiegają znacznie intensywniej niż u innych ludzi, generując przy tym zupełnie nieznane rodzaje energii. Wszystko wskazuje na to, że jego zadowolający się minimalną ilością snu mózg potrafi wytworzyć swoisty energetyczny pomost, umożliwiający przenikanie się światów A i B, dzięki czemu może między nimi zachodzić wymiana informacji, a nawet materii. Uczynnianie się lub pozostawanie niejako na jałowym biegu tej specyficznej formy kontaktu pozostaje na razie poza kontrolą świadomości Krassa. Nie wie on nigdy, kiedy i jakie informacje będą przekazane, ani nie orientuje się, czy nastąpi transfer materii i w którą stronę będzie przebiegał. Nie ma też pojęcia, kto, komu i po co owe informacje i fragmenty materii przekazuje. Tak jest na razie, bowiem Krass, dzięki uporczywym wysiłkom odkrył, że pewne rodzaje jego psychicznej koncentracji m^ogą jednak, choć nie muszą, owo przekazywanie nieco ukierunkować. Można Przyjąć w uproszczeniu, że silne skupienie się psychiki Krassa na wyobrażeniu

chorego narządu pacjenta uruchamia proces wymiany informacji, w trakcie którego rodzaj impulsu energetycznego ze świata B, przekazany przez mózg Krassa, trafia do systemu immunologicznego chorego i uruchamia w nim specjalny, głęboko ukryty w rezerwach organizmu program samoleczenia, w wyniku którego następuje, powiedzmy, regresja nowotworu. Ale może to być też inny impuls, który spowoduje przetransferowanie całego pacjenta do świata B, a tym samym jego zniknięcie ze świata A.

*

Krass to „obcy”, należący do innego świata.

*

Krass jest jedynym lub jednym z bardzo niewielu ludzi, w których organizmach uruchomiony został nowy program ewolucji. Należy przypuszczać, że rozumne sity kosmosu wyposażyły gatunek ludzki w możliwości rozwoju daleko większe niż osiągnięte obecnie stadium. Nasza struktura biologiczna zawiera, jak się zdaje, specyficzne (prawdopodobnie biochemiczne) czujniki, ukryte w subtelnych mechanizmach przekazywania genetycznych informacji, które, na określony sygnał, uruchamiają dane stadium rozwoju. W trakcie jego trwania zmieniają się też i ewoluują same te czujniki, tak aby móc odebrać następny sygnał, inicjujący kolejne stadium.

W ciągu każdego okresu rozwojowego tylko niektóre osobniki wykorzystują do końca oddane do ich dyspozycji potencjalne możliwości i to właśnie u nich powstają nowe czujniki, gotowe do odbioru dalszych stymulujących impulsów. Inne pozostają na danym

poziomie rozwoju, nigdy nie osiągając stadium poczwarki. Krass należy do tych, którzy to stadium osiągnęli, odebrali sygnał inicjujący i przeistoczyli się w nową formę życia, będącą kolejnym etapem na drodze do nieznannej doskonałości. Przeistoczenie to odbywa się najprawdopodobniej poprzez pobudzenie do aktywności olbrzymiej ilości niewykorzystanych dotychczas komórek nerwowych w mózgu, dzięki czemu psychika wzbogaca się o nowe, nieprzeczuwane nawet możliwości i zdolności, wśród których generowanie nowych rodzajów energii, bezpośrednie oddziaływanie psychiki na materię czy możliwość manipulowania czasem należą do najzupełniej normalnych.

W pewnym sensie - jeśli chodzi o możliwości sprawcze i dający się wyobrazić zakres oddziaływania na rzeczywistość - Krass jest Bogiem.

*

Krass jest, jak autystyczne dziecko, niezdolny do związania się z innymi ludźmi jakimikolwiek więzami uczuciowymi. Jego emocje, jeśli to, co przeżywa, można w ogóle tak nazwać, są prawdopodobnie jakościami psychicznymi całkowicie odmiennymi od tych, które są naszym udziałem. Nie jest wykluczone, że w powszechnym, ludzkim rozumieniu, Krass nie odczuwa lęku i nie doświadcza miłości.

Ale też nie jest wykluczone, że te uczucia, które my traktujemy jako marginalne (np. zdziwienie czy zniecierpliwienie) są dla niego silnymi i znaczącymi przeżyciami.

*

Krass jest Bogiem kalekim, nieświadomym swej boskości.

*

Teoretycznie nie można wykluczyć możliwości, że Krass jest oszustem.

Są to niektóre z dotyczących mnie fragmentów książki Liberga. Tak jak całość dzieła, były one wnikliwie przeze mnie czytane i zaakceptowane. Ich treść nie budziła więc moich zastrzeżeń. Bałem się oczywiście, że mogą mnie ośmieszyć w oczach ewentualnych czytelników, ale ich nie wykreśliłem ani nie zmieniłem. Moje obawy okazały się zresztą całkowicie nieuzasadnione.

Dziesiątki tysięcy ludzi przyjęły rewelacje Liberga za dobrą monetę, a tysiące zaczęły szukać ze mną kontaktu. Szerzące się już wcześniej plotki na temat moich umiejętności zyskały teraz oficjalne niejako potwierdzenie w postaci budzącego szacunek, prawie naukowego dzieła, które obwieszczało, że jestem ni mniej, ni więcej, tylko Bogiem. Jeżeli sądziłem wtedy, że tego rodzaju enuncjacja wywoła gromki śmiech naszego katolickiego społeczeństwa, to byłem w błędzie. Okazało się, że ludziom, w gruncie rzeczy, jest wszystko jedno, kto i dlaczego jest Bogiem, jeżeli tylko ów Bóg daje nadzieję na ulgę w cierpieniu, przedłużenie życia czy zdjęcie z siebie odpowiedzialności za jego przebieg. To, że okazywał się on być grubawym mężczyzną o niezbyt mądrym, mało przytomnym wyrazie twarzy i pustych oczach, również nie miało większego znaczenia. W końcu dlaczego brodaty starzec miał mieć przewagę nad zielonookim grubasem po czterdziestce? Tym bardziej, że starca nikt właściwie nie

widział, a grubasa, owszem, widziano. I to w trakcie najbardziej boskiego z boskich zajęć, a mianowicie podczas robienia cudów. Starzec już od niepamiętnych czasów do nikogo się bezpośrednio nie odzywał, a z grubasem, choć nie patrzył w oczy, można było jednak pogadać. I to pogadać o swoim konkretnym bólu, strachu i kłopotach, a nie o grzechu, pokucie i enigmatycznych nagrodach w przyszłym życiu.

Krótko mówiąc, ten niepozorny, nieefektowny Bóg był jak najbardziej do przyjęcia dla tych, którzy rzeczywiście potrzebowali i oczekiwali boskiej pomocy. Tacy też, chorzy, cierpiący i zagubieni, pisali do mnie listy, telefonowali i przyjeżdżali do mojego gabinetu.

Przypuszczam, że, mniej lub bardziej świadomie, spodziewałem się takiego efektu i dlatego nie sprzeciwiłem się publikacji książki Liberga ani nie wniosłem do niej istotnych poprawek, mimo zachęt ze strony autora.

W gruncie rzeczy tylko część mojego umysłu przyjmowała zawarte w niej interpretacje i teorie za skrzyżowanie new age'u i science fiction. Inna jego część zgadzała się z nimi i pragnęła, aby pewne rzeczy zostały wreszcie nazwane po imieniu i poddane ocenie szerokiej opinii publicznej. Była to część, która zakładała, w oparciu o doświadczenia z Uppsali i o to, co zdarzyło się trzy lata później w Warszawie, że Liberg może mieć do pewnego stopnia rację. Ja sam byłem świadom tego, że latem 1991 roku zaszła we mnie jakaś przemiana. Nie wiedziałem tylko, czy stałem się, jak chce Liberg, „nową formą życia”, czy po prostu zwariowałem.

Planeta Ziemia istnieje jednocześnie w dwu odrębnych przestrzeniach i w dwu odrębnych strumieniach czasu - powiada Liberg. Zewnętrzny obserwator, który byłby wyposażony w odpowiednie właściwości oraz urządzenia techniczne, pozwalające mu pełnić swoją rolę, mógłby dostrzec dwie Ziemie - Ziemię A i Ziemię B, które przenikają się nawzajem, choć jednocześnie jedna dla drugiej w sensie fizycznym nie istnieje. Dzieje się tak, ponieważ obie zbudowane są z nieco odmiennej materii. Autor z niezwykłą (choć moim zdaniem pozorną) erudycją objaśnia owe subtelne różnice, z czego ja mogłem zrozumieć tylko tyle, iż materialnym substratem Ziemi A są kwarki czerwone, zielone i niebieskie, mające spin $1/2$, zaś Ziemię B tworzą te same kwarki, ale o spinie $0,1$ lub 2 , które na Ziemi A są nośnikami oddziaływań i sił międzycząsteczkowych. Dzięki temu cząsteczki Ziemi B istnieją niejako pomiędzy cząsteczkami Ziemi A, co powoduje, że obie Ziemie doskonale się przenikają i zajmują niemal ten sam obszar przestrzeni, chociaż czas, światło i wektory sił tworzących pole elektromagnetyczne biegną na nich nieco inaczej. Szczegółowe opisy tych odmienności oraz wysiłki podejmowane przez autora dla racjonalnego uzasadnienia możliwości istnienia światów równoległych są poza zasięgiem mojego rozumienia, aczkolwiek uważam je w większości za typowy dla science fiction pseudonaukowy bełkot, choć wiele współczesnych teorii fizycznych, dotyczących budowy materii i pochodzenia wszechświata brzmi identycznie. Liberg, jako inżynier, pasjonat fizyki i egzaltowany fantasta, z dużą swobodą posługuje się owym

specyficznym żargonem, znanym z fantastycznonaukowych powieści, w którym pojęcia z zakresu teorii pola czy naukowej kosmogonii mieszają się z wymyślonymi, ale bardzo naukowo brzmiącymi terminami. Według niego, realnie i materialnie istnieją więc dwie Ziemie, pomiędzy którymi w zasadzie niemożliwa jest jakakolwiek styczność, ponieważ każda z nich dla tej drugiej jest czymś w rodzaju ciała astralnego. Na obu Ziemiach rozwija się specyficzne dla nich życie, a następnie rozkwitają cywilizacje. Na Ziemi B, z bliżej niewyjaśnionych powodów, dzieje się to o kilka milionów lat wcześniej niż na Ziemi A, naszej ojczystej staruszce.

W efekcie, kiedy my odkrywamy koło, ziemianie B swobodnie penetrują kosmos i zabierają się serio do badania mikrokosmosu cząstek elementarnych.

Wkrótce odkrywają istnienie Ziemi A, na której krok po kroku rozwija się cywilizacja. Mniej więcej trzy tysiące lat temu tworzą wreszcie energie i urządzenia techniczne, pozwalające na w miarę bezpieczne przenikanie na Ziemię A i wszechstronne jej badanie, aczkolwiek nie potrafią jeszcze tak ustabilizować struktury swoich ciał i maszyn, aby mogły one być dostrzegalne dla jej mieszkańców. Ten problem zostaje rozwiązany w niespełna tysiąc lat później.

Następuje teraz długi okres naiwnych prób nawiązania kontaktu z ludźmi z Ziemi A, a nawet przyspieszenia jej cywilizacyjnego rozwoju. Ziemianie B pojawiają się wśród naszych przodków pod postacią bogów, półbogów i duchów. W rezultacie ziemianie A tworzą niezliczone mitologie i religie, a ich cywilizacja zaczyna podążać w

zupełnie innym kierunku niż na Ziemi B. Zniechęceni tym ziemianie B wycofują się na zajmowane uprzednio pozycje obserwatorów, pozostawiając po sobie pewną liczbę genetycznie zmodyfikowanych i zaprogramowanych osobników, którzy mają być łącznikami pomiędzy obydwoma światami. Na określony sygnał uczynniają się w ich organizmach i psychice procesy i mechanizmy, które pozwalają im osiągnąć pewne właściwości ziemian B, a nawet przenikać do, jeśli tak można powiedzieć, sąsiedniej rzeczywistości. Właściwości te, to przede wszystkim zdolność generowania swoistych, nie występujących na Ziemi A energii oraz związane z tym umiejętności bezpośredniego, psychicznego oddziaływania na materię i przemieszczania się w strumieniu czasu. Stąd stała obecność w historii wszystkich naszych cywilizacji wszelkich magów, uzdrowicieli i cudotwórców.

Dokonane przez ziemian B modyfikacje genetyczne miały być oczywiście przekazywane z pokolenia na pokolenie, co miało zapewnić stopniową przemianę całej populacji Ziemi A, aż w końcu oba światy byłyby zamieszkałe przez bardzo do siebie zbliżone istoty, zdolne do wzajemnych kontaktów i współpracy. Ale tu spotkało sąsiadów pierwsze niepowodzenie.

Nie przewidzieli bowiem, że zdecydowana większość odmienionych przez nich osobników, dzięki swoim niespotykanym atrybutom, zwiąże się z jakąś religią, a niektórzy z nich staną się twórcami systemów religijnych albo wręcz obiektami religijnego kultu. Zaś większość powstałych na Ziemi A religii czyniła z życia

seksualnego srogie tabu dla czczonych przez siebie bogów i ich kapłanów, przez co najlepsi z nich, jak Chrystus czy Mahomet, pomarli bezpotomnie. Budda na szczęście, przynajmniej w pewnym okresie życia, nie stronił od łoża podobnie, jak Mojżesz i Konfucjusz. Dzięki temu w populacji zamieszkującej subkontynent indyjski, Chiny, Koreę i Japonię było i jest stosunkowo dużo jednostek posiadających wymienione wcześniej zdolności, które są jednak bardzo często zubożone, fragmentaryczne i niepełne, jakby pierwotny zapis genetyczny uległ z czasem stopniowemu zatarciu i degeneracji. Wśród ludów arabskich, semickich i w Europie było pod tym względem jeszcze gorzej. Tutaj przekazy genetyczne uległy jeszcze szybszej degeneracji z powodu praktykowanego przez Arabów rozpasanego wielożeństwa, a przez Żydów - rozmnażania się tylko wewnątrz swojej zamkniętej grupy etnicznej. Chrześcijanie zaś, dzięki wstrzeźliwości Jezusa, niejako na starcie zostali pozbawieni najsilniejszego impulsu, gdyż „przeprogramowanie” Jana Chrzciciela i apostołów było znacznie gorszej jakości.

Toteż magowie, cudotwórcy i uzdrowiciele trafiali się na tych terenach znacznie rzadziej, a skarlenie i degradacja boskich atrybutów była bardziej zaawansowana.

W czasach nowożytnych i współczesnych do potomków pierwszych mutantów, którzy wyszli spod ręki ziemian B - zdaniem Liberga - należeli między innymi Albert Wielki, Nostradamus, Cagliostro, Messmer, Maharishi, Wilhelm Reich, Alistair Crowley, Helen White, Harry Houdini, Laurie Cabot, Ronald L. Hubbard,

David Copperfield i inni. No i oczywiście Jan Krass.

Moim dalekim przodkiem miał być natchniony duchem świętym, szalony anabaptysta, król ogarniętego heretycką rewoltą Munster - Wilhelm Knipperdoling, który wprowadził w mieście wielożeństwo i sam miał kilkanaście żon.

Zjedna z nich, córką rajcy miejskiego Krassa, spłodził syna, który przyjąwszy nazwisko matki, stał się moim protoplastą.

Moim głównym atrybutem jest bezpośrednio, psychiczne oddziaływanie na materię. Posiadam także zdolność do transferowania, czyli przemieszczania obiektów materialnych z Ziemi A na Ziemię B. W odwrotnym kierunku zdolność ta nie działa.

Oto główne tezy książki Liberga, będącej dziełem pełnym erudycji i błyskotliwych konstrukcji myślowych, ale jednocześnie zdradzającym niepokojące podobieństwo do wymyślonych prac naukowych, z których równie wymyślone recenzje pisywał Stanisław Lem. Wrażenie to dotyczy jedynie całości książki i jej naczelnej tezy o istnieniu Ziemi B, bowiem większość opisanych w niej faktów jest bezspornie prawdziwa. Z wyjątkiem oczywiście niektórych faktów dotyczących mojej osoby. Liberg przedstawia wprawdzie różne dokumenty historyczne, z których wynika, że istotnie zamożna rodzina Krassów mieszkała w szesnastowiecznym Munster i należała do anabaptystowskich prominentów, ale co z tego? W jaki sposób potomkowie bogatych i wykształconych niemieckich mieszczan mieli zostać żyjącymi w nędzy, niepiśmiennymi polskimi fornalami, nawet Liberg, przy całej swojej egzaltowanej wyobraźni, nie mógł wymyślić.

Jedynym, co zdołał ustalić, to fakt, iż niedługo po wydarzeniach w Munster nazwisko Krass znika z miasta i okolicy i więcej się już tam nie pojawia. Autor „Niewidzialnej Ziemi” wnioskuje z tego, że po miinsterskiej masakrze ci Krassowie, którzy wynieśli z niej głowy, uciekli przed prześladowaniami do tolerancyjnej Rzeczypospolitej. W Westfalii ich majątki zostały skonfiskowane, nazwisko wyzute z czci, a siedziby zrównane z ziemią. W ten sposób narodzili się polscy Krassowie. Być może właśnie tak było, lecz nie ma na to żadnych, ale to żadnych dowodów. Co prawda równie trudno byłoby udowodnić, że tak nie było, a za tym, że mogło tak być, przemawia prosty fakt istnienia jednak polskich, ciemnych chłopów noszących to nietypowe w ich sferze nazwisko.

Jeśli chodzi o moje umiejętności czy, jak chce Liberg, atrybuty, nic pewnego nie mogę powiedzieć. Bezsprzecznie, wiele beznadziejnie chorych osób, na które najpierw oddziaływałem poprzez „ładowane” przeze mnie szklane kulki, a potem przez bezpośredni dotyk, wyzdrowiało. Ale czy na pewno ich wyzdrowienie było wynikiem zastosowanej kuracji? Być może byłem dla nich, jak ksiądz LaBianca dla Garreta Parkera, jedynie czynnikiem uruchamiającym mepoznane jeszcze do końca mechanizmy samoleczenia, których istnienie wydaje się dziś pewne. Piszę: „być może”, gdyż jednocześnie w lecie 1991 roku Przydarzyło mi się to, co mi się przydarzyło, a 4 grudnia 1998 roku prawdopodobnie przetransferowałem do innej rzeczywistości kilkadziesiąt osób, które Ksiądz Weise przyszedł do mojego pokoju w czwartek zaraz po mszy.

Widocznie odwołał swoje seanse pomocy duchowej, bo jeszcze wczoraj lista pełna była chętnych. Kiedy wszedł bez pukania i stanął przy drzwiach, odniosłem wrażenie, że wcale stąd nie wychodził i że toczymy dalej tamtą pierwszą rozmowę. Jego twarz starego chłopa, podobnie jak wtedy, nie wyrażała żadnych uczuć. Miał na sobie te same buty Charliego Chaplina i podniszczoną sutannę.

W ręce trzymał dużą, plastikową reklamówkę z wizerunkami egzotycznych owoców. Ma tam magnetofon - pomyślałem - albo pistolet. Przez chwilę staliśmy, patrząc na siebie w milczeniu. Byłem ciekaw, czy pomyślał, że mam magnetofon w uchylonej szufladzie biurka. Pistolet, oczywiście, mi odebrano.

W końcu przemówił.

(Przebieg rozmowy częściowo spisałem z taśmy magnetofonowej, a częściowo odtworzyłem z pamięci następnego dnia, 29.06.1999 r.) Ksiądz: Przyszedłem zgodnie z umową. Mam nadzieję, że...

Ja: Czekałem na pana. Proszę siadać.

(Ksiądz siada na krześle stojącym po drugiej stronie biurka. Sięga do reklamówki i wyjmuje z niej dużą butelkę wypełnioną bezbarwnym płynem, dwie szklanki oraz zamknięty białą przykrywką plastikowy pojemnik. Ustawia to wszystko na blacie i zdejmuje przykrywkę z pojemnika. W powietrzu rozchodzi się zapach małosolnych ogórków.) - To jest biber mojej roboty. Ogórki też sam zakisiłem, ale jeśli pan sobie nie życzy...

- Pędzi pan biber?

- Od trzydziestu lat. Ma się rozumieć tylko na własne potrzeby. Jeśli pan sobie nie życzy, to proszę powiedzieć.

- Chętnie się napiję.

(Nalewa mniej więcej po pół szklanki i podnosi swoją, patrząc mi w oczy. Ja też podnoszę swoją.)

- Zwykle w takich sytuacjach mówi się „na zdrowie”. Ale ja nie życzę panu zdrowia, panie Krass.

- Ja zaś przeciwnie. Nie mam nic przeciwko temu, żeby pan był zdrowy. tak jakby umarli, bowiem bezpowrotnie zniknęły z tego świata. Jeżeli zaś tego nie dokonałem, to co się z nimi stało?

- Dziękuję. Dziękuję też, że jednak chciał się pan ze mną spotkać. Wypijmy.

(Pijemy. Książk wychyla od razu szklankę i spokojnie bierze ogórka. Ja wypijam niewielki łyk. Bimber jest bardzo mocny, ale dobry. Przypomina w smaku szwedzką wódkę „Absolut”, którą zawsze lubiłem.

Ogórek natomiast jest wyśmienity. Pachnie koprem i chrzęści w zębach, jak ogórki mojej matki.)

- A miałem wyjście?

- Pewnie. Mógł pan najzwyczajniej w świecie powiedzieć „nie”.

- To nie jest takie proste. W każdym bądź razie od momentu, w którym zorientowałem się, kim pan jest lub też kim pan może być.

- Panie Krass, wyjaśniam panu od razu, że nie jestem agentem policji ani Urzędu Ochrony Państwa. Moje kontakty z panem mają charakter ściśle prywatny i wynikają wyłącznie z pobudek osobistych.

- Oczywiście nie wierzę panu. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Mówiąc o tym, kim może pan być, nie miałem na myśli pańskiej ewentualnej dodatkowej pracy. Zresztą nawet jeżeli jest pan agentem, to i tak musiałbym z panem porozmawiać. Mam wrażenie, że to się panu ode mnie należy. Kim pan jest dla Marianny?

- Jestem jej ojcem.

- Ojcem?

- Tak. Marianna o tym nie wiedziała i uważała mnie za brata swego ojca.

- Chce pan powiedzieć, że jej matka, pani profesor, znana kompozytorka, autorytet moralny i emocjonalne monstrum, miała romans z księdzem?

- Tak. W 1962 roku, kiedy Marianna się urodziła, owo, jak pan był uprzejmy się wyrazić, „emocjonalne monstrum” było 24-letnią studentką Warszawskiej Akademii Muzycznej, a ja byłem 25-letnim świeżo upieczonym księdzem, studiującym w Akademii Teologii Katolickiej. Był to w istocie romans, chociaż wydawało nam się, a szczególnie mnie, że to wielka miłość. Przeżywałem wtedy bunt przeciwko swemu powołaniu, co przytrafia się niemal wszystkim młodym kapłanom, i bardzo często myliłem palące pożądanie z płomiennym uczuciem. Niestety, moja ukochana zaszła w ciążę, której, mimo nalegań swojej szacownej rodziny, a także, muszę przyznać, moich, nie chciała usunąć.

(Ksiądz znów nalewa sobie wódki, tak jak poprzednio wypija ją jednym haustem i sięga po ogórka.) - Ostro pan pije.

- Niech się pan nie obawia. Nie upiję się. Cały czas kontroluję sytuację.

-1 co było dalej?

- Dalej była trywialna rodzinna intryga. Ja uznałem dziecko i dałem mu swoje nazwisko, a rodzina postanowiła, że będę dla niego wujkiem. Wymyślony „prawdziwy” ojciec został prozaicznie uśmiercony w wypadku samochodowym, który miał mieć miejsce, gdy Marianna dobiegała drugiego roku życia. Ta mistyfikacja nigdy się nie wydała. Szacowni rodzice Marii zabrali tajemnicę ze sobą do grobu.

- Tak. Marianna zawsze mówiła o panu jako o wuju. Ja też, do dzisiaj, uważałem pana za jej stryja.

- Więc pan wiedział, kim jestem, kiedy tu pierwszy raz przyszedłem?

- Tak. Ale jak widać niedokładnie.

- Czemu mi pan o tym nie powiedział?

- Pan też mi nic nie powiedział, oprócz tych absurdalnych rzeczy związanych z ratowaniem mojej duszy.

- Wszystko, co panu wtedy powiedziałem, jest szczerą prawdą.

- Nie wszystko.

- W porządku. Rzeczywiście nie wszystko. Ale przyszedłem po raz drugi.

- Więc powiedzmy sobie tym razem wszystko.

- Dobrze. Niech pan pyta.

- Pan pierwszy.

- Jak pan chce. Czyim dzieckiem była Madzia?
- Moim. I nie była, ale jest. Jest moją zaginioną córką.
- Jest pan tego pewien?
- Oczywiście. Co do mojego ojcostwa Marianna nie miała żadnych wątpliwości.
- Czemu więc utrzymywała, że ojcem Madzi jest Piotr Bigowski? I czemu zgodziła się, żeby dał jej swoje nazwisko?
- Bigowski za bardzo wczuł się w rolę.
- Nie rozumiem.
- Marianna, oprócz wszystkich innych powodów, sypiała ze mną także w celach, powiedzmy, terapeutycznych. Wierzyła mocno, że tą drogą zostanie uleczona i kiedy rzeczywiście wyzdrowiała, a na dodatek zaszła w ciążę (co lekarze uważali za absolutnie wykluczone) uznała mnie za kogoś w rodzaju Boga. Uważała, że nikt nie może się dowiedzieć o łasce, jaka na nią zstąpiła, ponieważ mogłoby to skomplikować życie jej dziecka. Odrzucała też pomysł naszego cichego małżeństwa, do którego byłem ewentualnie gotowy, gdyż, jak mówiła, nie byłaby zdolna do życia w podziemiu, a poza tym uważała, że Bóg nie powinien się z nikim w ten sposób wiązać. Zwróciła się więc do Bigowskiego, któremu ufała i który był wtedy ze mną bardzo blisko (pracowaliśmy razem nad poznaniem mechanizmu samoleczenia u chorych na marskość wątroby, z której on, jak twierdził, został przeze mnie wyleczony), aby wystąpił w roli ojca. Miało się to ograniczyć do tego, by nie zaprzeczał rozpuszczanym przez Mariannę pogłoskom o ich krótkotrwałym romansie i jego

mającym przyjść na świat efekcie. Bigowski, proszony o to samo również przeze mnie, zgodził się chętnie, ale nieco przesadził. Mam wrażenie, iż z czasem uwierzył w całą tę mistyfikację i zaczął się zachowywać, jakby rzeczywiście był ojcem dziecka. Tego jednak Marianna nie chciała. Nie życzyła sobie, aby do jej córki (Madzia przyszła już wtedy na świat), która miała w sposób naturalny odziedziczyć moje boskie atrybuty, ktokolwiek prócz niej (i ewentualnie mnie) rościł sobie jakiegokolwiek prawa. Bała się, że Bigowski, jako formalny ojciec, może zechcieć mieć wpływ na wychowanie Magdaleny i przygotowanie jej do roli, jaką miała w przyszłości odegrać. Nie muszę chyba mówić, bo pan to zapewne wie, że Marianna, bardzo blisko zaprzyjaźniona z Libergiem, przyjmowała jego pomysły jak objawienie i wierzyła, aż do zachorowania Madzi, że jest ona, jako spadkobierczyni moich genów, nową, wyższą formą ludzkiego gatunku.

- Co się stało z Marianną i Madzią?

- Nie wiem.

- Panie Krass, myślałem, że rozmawiamy poważnie.

- Niech pan posłucha. Nigdy nikomu nie powiedziałem tego, co panu mówię i co zamierzam jeszcze powiedzieć. Nie wiem, co się stało z Marianną i Madzią, bo nie wiem, co się właściwie wydarzyło w Eudajmonii 4 grudnia 1998 roku. Mam tylko pewne hipotezy, ale są one tak nieprawdopodobne, że sam nie potrafię w nie do końca uwierzyć. Boję się, że i pan nie uwierzy. Rozmawiamy bardzo poważnie, panie Weise. Pan nawet nie wie, jak poważnie. Ja też

spodziewam się dowiedzieć od pana pewnych bardzo istotnych dla mnie informacji, które, być może, wyjaśnią kilka dręczących mnie problemów. Dlatego mówię prawdę, panie Weise. I oczekuję tego samego od pana.

- Rozumiem. Niech pan mówi dalej. Moja wiara została ostatnio poddana wielu ciężkim próbom. Ta będzie tylko kolejną z nich.

- Zaczniemy więc od faktów. W dniu 4 grudnia 1998 roku o godzinie 20, w głównej sali Eudajmonii odbywała się sesja terapeutyczna, czyli to, co pańscy koledzy po fachu nazwali, o ile dobrze pamiętam, „bałwochwalczą parodią obrzędu religijnego”.

- Panie Krass, oni się do pana modlili. Klęczeli przed panem, okadzali pana, a pan dotykał ich swoimi szkiełkami i mówił im jakieś słowa, które powtarzali później w ekstatycznym zapamiętaniu. Siedział pan na podwyższeniu, które wyglądało jak ołtarz i było ołtarzem. Ubrany na białe, w długim, białym płaszczu i czymś w rodzaju piuski na głowie, wyglądał pan jak papież. Nawet podeszwy pańskich białych butów były białe.

- Zna pan zadziwiającą ilość szczegółów.

- Opisy pańskich „sesji” wypełniały kiedyś gazety.

- Nie będę panu teraz wyjaśniał sensu tego, co się podczas nich działo. To nie należy do sprawy. W każdym razie był to dzień, w którym czułem w sobie dużą łatwość koncentracji. Umysł miałem wyjątkowo jasny i spokojny, chociaż jednocześnie niezwykle skupiony. Nic mnie nie rozpraszało. Nie pojawiały się żadne uboczne myśli ani wyobrażenia. Cała moja psychika była skoncentrowana na

byciu tam, z tymi ludźmi. Bez wysiłku przechodziłem od osoby do osoby, zanurzając moje mentalne sondy w ich chore narządy lub umysły i posyłając w nie dobroczynną energię. Sesja trwała już długo, ale ja nie czułem najmniejszego zmęczenia. Wręcz przeciwnie, w pewnym momencie doznałem nagłego przyływu sił, a mój umysł jeszcze się rozjaśnił. Poczulem idącą przez moje ciało, od stóp aż do głowy falę gorąca. W uszach rozbrzmiało mi natarczywe dzwonienie i zobaczyłem, jak wszystkich nas ogarnia jaskrawe, zimne światło, przenikające nasze ciała milionami promyczków, tak jakby były w nich niezliczone maleńkie otworki, przez które ten blask bez przeszkód przenikał. Wszyscy, nawet dzieci, zastygli nieruchomo, a zimna poświata przepływała przez nich pulsującymi falami jak przez ażurowe filtry. Potem światło nagle zgasło i widziałem, chociaż nie wierzyłem własnym oczom, jak poszczególne osoby, będące teraz tylko czarnymi sylwetkami, jakby kruszą się, łamią, rozpadają, nikną. Chciałem krzyknąć, poruszyć się, biec do nich, ale wtedy w mojej głowie pojawiła się myśl, a może odezwał się głos, że to tylko wizja, halucynacja, obudź się, oprzytomnij. Zrobiłem więc wysiłek, żeby się ocknąć, wyszarpnąć ciało ze stężałego bezruchu i w tej samej chwili w oczy i skronie uderzył mnie straszny ból. Usłyszałem jeszcze mój własny krzyk, słaby i daleki, a potem spadła na mnie ciemność. Kiedy się ocknąłem, Eudajmonia płonęła. Leżałem na śniegu w głębi ogrodu, a dookoła trwał dziki zamęt.

Biegali krzyczący ludzie, jeździły samochody. Zabudowania płonęły wysokim ogniem, na którego tle widać było strażackie wozy,

wypluwające strugi wody.

Gdzieś płakały dzieci i ujadaly psy. W pewnej chwili pojawił się przy mnie usmolony po gałki oczu, rozgorączkowany Bonaro.

- Doszedłeś już do siebie? - krzyknął, szarpiąc mnie za bezwładne ręce - to wstawaj! Wstawaj i zrób coś - wołał - zgaś to, słyszysz? Wstań i zgaś to!

Pomyślałem, że Bonaro oszalał. A zaraz potem poczułem, że mógłbym to zgasić. Naprawdę mógłbym, gdybym się trochę skoncentrował. Potem wydało mi się, że to ja oszalałem. Znów odezwała się w mojej głowie myśl albo głos, że to sen, koszmar, obudź się. Ale ja nie chciałem się budzić. Czułem wielkie zmęczenie i jednocześnie odprężenie. Było mi dobrze tak leżeć bez ruchu, z pustym, spokojnym umysłem, przez który przepływały obrazy ognia, wody, bijącej ze strażackich węży, i miotających się dookoła ludzkich sylwetek. Musiałem na chwilę zasnąć, bo gdy znów otworzyłem oczy, pochylał się nade mną Liberg. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że ma na sobie mój płaszcz, a w ręku moją torbę podróżną. Widząc, że patrzę na niego, postawił torbę, zdjął płaszcz i podał mi go.

- Niech pan się szybko ubiera i chodźmy - głos mu drżał. Zacząłem się niezdarnie zbierać z ziemi i dopiero teraz poczułem, jak bardzo jest mi zimno.

- Co? Gdzie mamy iść? Dlaczego? - bełkotałem, trzęsąc się w nagłej febrze, ale on już nic nie mówił, tylko ciągnął mnie niemal biegiem przez jakieś ośnieżone zarośla, zza których w pewnej chwili wyłonił się stojący ze zgaszonymi światłami i pracującym silnikiem

samochód. Było to czerwone Volvo Liberga.

- Co jest? Zaraz! Dokąd ty... Poczekaj - protestowałem niezdarnie, kiedy mój towarzysz wpychał mnie na tylne siedzenie.

- Niech pan wreszcie wsiada - krzyknął w końcu z rozpaczą - musimy stąd uciekać! Czy pan nie rozumie, co pan zrobił?

- Co zrobiłem? - zapytałem zdziwiony. Machnął tylko ręką i wskoczył za kierownicę. Samochód gwałtownie wyrwał do przodu. Jechaliśmy z wygaszonymi światłami wąską, białą drogą, biegnącą przez czarny, bezlistny las pokryty warstewką błyszczącego lodu. Wciąż nie miałem pojęcia, co się właściwie dzieje ani dlaczego i dokąd tak pędzimy. Byłem otumaniony i wciąż czułem ogromne zmęczenie. Nie pamiętałem wtedy nic z tego, co się działo podczas sesji, wobec czego przez głowę przelatywały mi oderwane myśli na temat podłożonej w Eudajmonii bomby albo wybuchu butli gazowej. Chciałem zapytać Liberga, co się stało, jak doszło do pożaru, czy ktoś nie ucierpiał, ale w samochodzie było cudownie ciepło i chyba znów zasnąłem.

Obudziłem się niemal zrzucony z siedzenia nagłym hamowaniem. Za oknami przesuwwały się wyludnione ulice jakiegoś miasta.

- Co to jest? - zapytałem. - Gdzie jesteśmy?

- Iława - mruknął Liberg, znów nabierając szybkości. Aha! Czyli przejechaliśmy blisko 60 kilometrów. Spałem więc dobrych kilkadziesiąt minut.

- A dokąd jedziemy? - kontynuowałem z pozornym spokojem.

- Do Gdańska. Na prom.

- Na jaki prom?

- Do Oxelesund.

Zatkało mnie. Pomyślałem, że najpierw oszalał Bonaro, a teraz zwariował Liberg. Zupełnie nie rozumiałem, po co miałbym razem z nim nocą, na złamanie karku, jechać do Szwecji.

- Ja nie jadę - powiedziałem - zatrzymaj się przed hotelem.

- Musimy uciekać - Liberg mówił do mnie, spoglądając we wsteczne lusterko. - Widziałem niechcący, co się tam stało. Pan sobie nie zdaje sprawy, co teraz nastąpi. Tylu ludzi...

- Co, tylu ludzi? - spytałem. - Są ranni? Zginęli?

- Nie. Kiedy wybuchł pożar, już ich tam nie było. Pan ich... Pan ich przetransferował - wyszeptał wreszcie i w jego oczach, odbitych we wstecznym lusterku, dostrzegłem grozę i uwielbienie.

Oszalał - pomyślałem znów - jest w szoku. Widocznie doznał jakiegoś wstrząsu podczas katastrofy.

- Przettransferowałem ich, mówisz? To dobrze. O to chodziło. Zatrzymaj się przed hotelem.

- Ale pan nie rozumie. Nikt panu nie uwierzy...

- Nie martw się. Wszystko jest pod kontrolą. Zatrzymaj się przed hotelem.

Kiedy Volvo wreszcie stanęło, wysiadłem i wyciągnąłem tkwiącą między siedzeniami torbę.

- Chodź - powiedziałem do Liberga - prześpimy się, a jutro wszystko będzie lepiej wyglądało.

- Nie - pokręcił głową - dopiero jutro wszystko będzie fatalnie wyglądało. Popełnia pan wielki błąd. Ja jadę dalej. Może dzięki temu będę mógł panu pomóc.

A więc do zobaczenia - miałem już dość jego zwariowanego gadania. Odwróciłem się i wszedłem do hotelu. Wynająłem pokój i natychmiast położyłem się spać. Spałem 13 godzin. Potem obudzili mnie policjanci. Takie mniej więcej są fakty.

- Poszedł pan po prostu spać? Nie myślał pan o pożarze, o losie tych wszystkich ludzi?

- Niech pan sobie wyobrazi, że nie. Z dystansu oceniam, iż znajdowałem się wtedy w jakimś odmiennym stanie świadomości. Tego, co działo się podczas sesji zupełnie nie pamiętałem, a cała reszta właściwie do mnie nie docierała. Pożar obserwowałem jak film. Po głowie snuły mi się tylko jakieś niejasne myśli o bombie i wybuchu gazu. Dominującym wrażeniem, jakiego doznawałem, było straszliwe zmęczenie, które jednak w jakiś sposób było przyjemne. Czułem się wyczerpany, ale też całkowicie odprężony i spokojny. Umysł, co mi się praktycznie nigdy nie zdarza, miałem zupełnie pusty, tak że nawet rozmowa z Libergiem sprawiała mi trudność. Dopiero następnego nocy w iławieckim areszcie wszystko sobie przypomniałem.

- Ico?

- Ogarnęło mnie przerażenie, które jeszcze się spotęgowało, kiedy zaczęto mnie przesłuchiwać. Na początku policja nie pytała o zaginionych. Jeszcze wtedy nie było jasne, że zniknęli. Nikt przecież nie wiedział, kto przebywał w Eudajmonii i kto, podczas zamieszania

spowodowanego pożarem, po prostu stamtąd wyjechał. Na razie policjanci chcieli tylko wiedzieć, skąd w zdumiewająco mało zniszczonej ogniem sali wzięły się ich makabryczne znaleziska - męski kciuk, dwa kobiece palce oraz należące do dzieci ucho i mały palec lewej ręki. Z opinii lekarzy miejscowego szpitala wynikało, że członki te zostały amputowane ich właścicielom przy pomocy jakiegoś niesamowicie ostrego narzędzia, które cięło tkankę kostną z równą łatwością jak mięśnie.

Ponieważ takiego narzędzia w Eudajmonii nie znaleziono, policja przyjęła wersję, wedle której ludzkie szczątki zostały tam przez kogoś przywiezione w celu wykorzystania ich przez członków sekty (tak już wtedy nazywano mieszkańców Eudajmonii) do celów magicznych. Nie trzeba było długiego czasu, żebym się zorientował, że to ja jestem głównym podejrzanym o ten właśnie uczynek i że policjanci chcą się przede wszystkim dowiedzieć, skąd owe „magiczne przedmioty” wziąłem. Byłem przerażony, bowiem wiedziałem, że nikt tych kawałków ciała znikąd nie przywiózł. Należały one z całą pewnością do ludzi, którzy... Właśnie! Którzy co? Wyobraziłem sobie, jak mówię przesłuchującym mnie funkcjonariuszom, iż te fragmenty należą do ludzi, którzy dzięki mnie przenieśli się do innej rzeczywistości i zostali przy tym nieco uszkodzeni, bo techniczna strona przejścia nie była dopracowana. Musiałoby się to skończyć, przynajmniej wstępnie, na uznaniu mnie za symulującego świra cwaniaka, który niejedno ma widać do ukrycia. Poza tym spodziewałem się, że za kilka dni stanie się jasne, iż osoby,

które brały udział w feralnej sesji, zaginęły co do jednej bez wieści, a to da początek nowym podejrzeniom i nowemu śledztwu. Moja szansa tkwiła w milczeniu. Wiedziałem przecież, że policja nie będzie mogła mi niczego udowodnić i potrzebowałem czasu na zrozumienie tego, co się stało oraz na ewentualne odkręcenie całej sprawy. Wybrałem więc najprostszą drogę i na wszystkie pytania dotyczące przebiegu sesji, przyczyn pożaru, pochodzenia ludzkich szczątków, odpowiadałem „nie wiem”. Na wszystkie inne starałem się odpowiadać zgodnie z prawdą. Ta zabawa nie trwała jednak długo. Po 48 godzinach przedstawiono mi sankcję prokuratorską i moje zatrzymanie przeistoczyło się w areszt śledczy, który trwa do dziś.

- Czego więc nie powiedział pan policji?

- Wszystko, co pan teraz usłyszysz, to są, jak już wspomniałem, moje podejrzenia i hipotezy. Niektóre z nich pewnie wydadzą się panu dziecinne i śmieszne. Mnie też się takie wydają, ale jednocześnie mój rozum musiał się już parę razy pogodzić z faktami, które z jego punktu widzenia nie miały prawa się zdarzyć. Przyzna pan, że choćby zniknięcie 40 osób do takich faktów należy.

Podobnie ma się rzecz z pochodzeniem tych makabrycznych szczątków znalezionych w pogorzelisku. A wcześniej były jeszcze inne zdarzenia.

- Jak na przykład dokonywane przez pana uzdrowienia.

- Do pewnego stopnia też, aczkolwiek akurat nie o to mi chodzi. Uzdrowienia to kolejna sprawa. Czy zna pan książkę Liberga „Niewidzialna Ziemia”?

- Oczywiście. Marianna dała mi ją i dopilnowała, żebym przeczytał. To bzdury.

- Jak pan chce. W każdym razie autor wspomina tam o pewnych moich zdolnościach, będących wynikiem uruchomienia we mnie przez Ziemię B specjalnego kodu genetycznego, czyniącego z takich osób jak ja punkty kontaktowe pomiędzy obiema Ziemią. Wśród tych zdolności wymienia generowanie nowych, nieznanych na Ziemi A rodzajów energii oraz przenoszenie materii z Ziemi A na Ziemię B. Podejrzewam, że to, co się zdarzyło podczas sesji terapeutycznej w Eudajmonii, było takim właśnie transferem. Niechcący osiągnąłem stopień koncentracji, który spowodował gwałtowne uwolnienie się wielkiej ilości jednej z tych nowych energii. Ona z kolei spowodowała przeniknięcie cząstek materii z naszej Ziemi w przestrzeń międzycząsteczkową tworzącą materię - Ziemię B. W rezultacie przedmioty z naszej materii, na które ta energia oddziaływała, zdematerializowały się w tutejszej rzeczywistości i zmaterializowały w równoległej rzeczywistości Ziemi B.

- A jak pan to wszystko zrobił, panie Krass?

- Nie wiem.

- Ach, nie wie pan?

- Wiem tylko, że począwszy od zimy 1988 roku zaszły we mnie pewne zmiany, w wyniku których stałem się zupełnie kimś innym niż byłem wcześniej. Mam tu na myśli głównie zmiany psychiczne, ale nie tylko. W ciągu kilku lat zniknęły wszystkie moje dolegliwości, schorzenia i niesprawności związane z wiekiem i dosyć niezdrowym

trybem życia. Te zmiany zaczęły się też w panu i to jest prawdziwy powód pańskiej wizyty.

- Powiedzmy. A co w takim razie było z tymi ludzkimi szczątkami?

- Przypuszczam, że obserwując z narastającym przerażeniem przebieg transferu osłabiłem swoją koncentrację. To prawdopodobnie spowodowało zmniejszenie się dopływu energii, co z kolei dało w efekcie gwałtowne zamknięcie się przestrzeni międzycząsteczkowych. Czyjś kciuk, ucho i palce musiały być tymi elementami, które wystawały poza wytworzone przeze mnie ograniczone pole energetyczne i na których owe przestrzenie zatrzasnęły się jak nożyce, oddzielając je od materializującego się w innej przestrzeni ciała.

- Dawno nie słyszałem nic równie, wybaczy pan, głupiego i dziecinnego, panie Krass. Aż mi się wierzyć nie chce, że człowiek dorosły i wykształcony może gadać takie, przepraszam za wyrażenie, bzdety. Pan w to naprawdę wierzy?

- Mniej więcej tak samo jak pan wierzy w to, że Bóg osobiście nakazał panu ratować moją duszę. Ale przyznaję, że z punktu widzenia nauki i zdrowego rozsądku obie te rzeczy, to, jak pan powiedział, bzdety.

- No więc co?

- No więc nic. Jakby nie patrzeć, proszę księdza, wychodzi na to, że nie wiem, co się stało z Marianną i Madzią. Przecież chyba nie myśli pan, że zamordowałem matkę mojej córki i córkę, uciałem pierwszej palec, a drugiej ucho, które to drobiazgi dla jaj porzuciłem na miejscu

zbrodni, zaś ciała wywoziłem w niewiadomym kierunku albo rozpuściłem w kwasie solnym.

- Rzeczywiście. Aż tak nie myślę, ale mógł je pan swoim praniem mózgu doprowadzić do samobójstwa albo zmusić do wyjazdu gdzieś za granicę.

- Po co? Po co miałbym to robić? Niech pan nie plecie głupot, w które sam pan nie wierzy.

- Wielu ludzi spośród pańskich, nazwijmy to, wyznawców przejrzało potem na oczy i oskarżało pana o różne nadużycia. O zastraszanie, molestowanie seksualne i wywieranie rozmaitych form presji psychicznej. Pisały o tym gazety, zeznawali świadkowie.

- Panie Weise, nikt spośród ludzi, którzy szukali ze mną kontaktu, nie był nigdy molestowany ani zastraszany. Nie wiem, na czym polega „pranie mózgu”, toteż nikt nie mógł mu być poddany. Wszystko, co działo się w Eudajmonii, działo się za zgodą dorosłych ludzi, którzy byli jej członkami.

- Nawet to, że kazał pan wszystkim rozwieść się i wstąpić w nowe związki małżeńskie ze wskazanymi przez pana partnerami?

- Nawet to.

- Ale po co pan to zrobił? Jaki to miało sens?

- To nie należy do sprawy. Pan nie po takie informacje tutaj przyszedł, panie Weise.

- Czyżby? A po jakie, pana zdaniem?

- Pan przyszedł sprawdzić, czy może pan ze mną pomówić o tym, co się z panem dzieje. Bo ten głos Boga, nakazujący ratowanie

mojej duszy, to nie pierwszy raz, prawda?

- Tak.

- Niech pan mówi.

- Nie jestem wcale pewien, czy chcę z panem o tym rozmawiać.

Pan jest wyniosły i arogancki, panie Krass. Ludzie pana tak naprawdę nic nie obchodzą. Może się pan nimi skutecznie zajmować, bo pańskiego umysłu nie rozprasza współczucie ani litość. Bliźni są dla pana problemami do rozwiązania, łamigłówkami dla pańskiego zboczonego rozumu i niczym więcej.

- Niech pan mówi. Wysłucham pana z dobrą wolą.

(Książd po raz nie wiem już który nalewa sobie pół szklanki wódki i wypija jednym haustem. W dwulitrowej chyba butelce została mniej niż połowa zawartości, ale żaden z nas nie jest ani trochę pijany.) - To się zaczęło jakieś dwa lata temu. Na jesieni 1997 roku - pan robił wtedy polityczną karierę - stwierdziłem, że coś dziwnego się ze mną stało. Początkowo zauważyłem tylko, że nie mogę się upić, choćbym wypił nie wiem ile wódki. Osiągałem pewien stan leciutkiego, przyjemnego rausza i koniec.

Dalej mogłem pić właściwie dowolne ilości alkoholu bez żadnego skutku, przez co jego picie straciło swój sens. Przedtem upijałem się dość regularnie.

Myślę, że co najmniej od 35 roku życia byłem alkoholikiem i nagle, w ciągu kilku dni, przestałem nim być, ponieważ alkohol przestał na mnie działać. Teraz, jak pan widzi, też nie jestem nawet wstawiony, mimo że wypiliśmy ponad litr bimbru. Pan także, widzę,

trzeźwy, więc pewnie wie pan, o czym mówię.

- Wiem. Wiem też, że przyniósł pan wódkę, żeby sprawdzić, jak to ze mną jest pod tym względem.

- Potem, ni z tego, ni z owego kwiatki na plebanii, które dotąd przeważnie marniały mimo starań mojej gospodyni, zaczęły wspaniale rosnać. Szczególnie dotyczyło to roślin w moim gabinecie i sypialni, które krzewiły się bujnie i na okrągło kwitły, zupełnie jakby moja bliskość była dla nich nadzwyczajną odżywką.

Wreszcie, oszalała moja kotka. Znalazłem ją jakieś trzy lata temu jako ledwie żywego, malutkiego kociaka i zatrzymałem przy sobie. Wyrosła na piękną, czarną jak smoła kocicę, która okazywała mi niemal psie przywiązanie. Ja też zresztą bardzo ją lubiłem i obdarzałem niezliczonymi pieszczotami. I oto pewnego dnia ta moja pieszczotka na mój widok dostała szału. Ze zjeżonym jak szczotka ogonem syczała niczym kobra i wysuwała ostrzegawczo pazury, a kiedy chciałem do niej podejść, uciekła na złamanie karku, rozpaczliwie miauczając. Od tego dnia już zawsze, ilekroć mnie zobaczyła, jeżyła się, syczała z wściekłością i nawet rzucała się na mnie z pazurami. W końcu któregoś dnia nie wróciła do domu.

W tym samym czasie zauważyłem, że wszystkie koty na mój widok jeżą sierść, syczą i uciekają w popłochu albo usiłują mnie zaatakować, co wcześniej nie miało miejsca. Zupełnie jakby wyczuwały we mnie śmiertelnego kociego wroga, groźnego i nienawistnego, którym w żadnym razie nie byłem.

Z początku nie wiązałem tych wszystkich faktów ze sobą. Aż do

dnia, w którym poraził mnie prąd. Poraził jak poraził. Powiedzmy - solidnie kopnął.

Chwyciłem po prostu za metalowy klosz lampy stojącej przy łóżku, a tam widocznie było przebicie, no i mnie porządnie trzepnęło. Szarpnąłem ręką tak gwałtownie, że wywróciłem się jak długi na podłogę i leżałem tam dobrą chwilę oszołomiony i przerażony. Kiedy wreszcie stwierdziłem, że nic mi się nie stało, i strach zaczął mijać, poczułem ból głowy. W mojej czaszce błyskawicznie narastał niesamowity ucisk, jakby wypełniający ją mózg rósł albo puchł. Ból niemal mnie oślepił i czułem, że za chwilę pozbawi mnie przytomności.

Wylew - pomyślałem resztką świadomości i zemdlałem. Gdy się ocknąłem, leżałem nadal na podłodze obok łóżka, tyle że w pokoju było ciemno.

Musiały więc upłynąć co najmniej 2-3 godziny, bo prąd kopnął mnie gdzieś około siedemnastej, kiedy wstawałem z poobiedniej drzemki. Natychmiast Przypomniałem sobie ból, który poprzedził utratę przytomności i zmartwiałem. Miałem wylew - myślałem - jestem sparaliżowany. Ale czułem się doskonale. Głowa mnie nie bolała, w ogóle nic mnie nie bolało, łącznie z ustawicznie dotąd ćmiącym kręgosłupem. Ostrożnie spróbowałem się poruszyć i twierdziłem, że jestem w pełni sprawny. Wszystkie członki były mi całkowicie posłuszne, a jedynym niemiłym zaskoczeniem było to, że zapaskudziłem spodnie. Upokorzony i wściekły powlokłem się do łazienki. Dopiero tam, badając swoją twarz w lustrze, dostrzegłem

zaschniętą strugę krwi, która wypłynęła mi z lewego ucha aż na bark, plamiąc koszulę. Wtedy przypomniałem sobie, że w moim omdleniu widziałem, albo wydawało mi się, że widziałem, jakieś niewyraźne, pochylające się nade mną białe postacie. Jedna z nich trzymała w ręku srebrzysty pręt, który wsunęła mi głęboko do tego właśnie zranionego ucha, powodując uczucie nieprzyjemnego chłodu, przenikające aż do wnętrza czaszki. Widziałem też przez chwilę matkę Marianny patrzącą na mnie z gniewem, potem twarz mojego zmarłego ojca i jeszcze inną męską twarz, która patrzyła na mnie długo nieruchomymi oczami i uśmiechała się nieznacznie samymi kącikami ust. To była pańska twarz, panie Krass. Znana mi z gazet i telewizji, z tym pańskim spojrzeniem i aroganckim ironicznym uśmieszkiem, który nawet teraz nie schodzi panu z ust. Pod wpływem tego spojrzenia poczułem paraliżujący bezwład całego ciała, serce zaczęło mi ciężko łomotać i właśnie wtedy zapaskudziłem spodnie. Zesrałem się ze strachu przed panem, panie Krass. Zresztą nie wiem, czy to był tylko strach. To było uczucie zapaści i umierania, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyłem.

Wszystko to powróciło do mojej pamięci, kiedy stałem przed lustrem, patrząc na tę zaschniętą strużkę krwi, i przez chwilę miałem całkowitą pewność, że ktoś rzeczywiście wszedł do domu, gdy leżałem nieprzytomny i wsadził mi do ucha coś, co mnie zraniło. Ale natychmiast przywołałem się do porządku. Spokojnie. Kto niby miałby wkładać się tu w takim celu? W domu były cenne rzeczy, na nocnym stoliku leżał mój portfel i różaniec z perełek oprawionych w

złoto, a on nie tknął niczego, tylko wsadził mi drut do ucha i uciekł. Kompletny nonsens. Raczej już należało przyjąć, że miałem jednak niewielki wylew i że, na szczęście, jakieś maleńkie naczynko pękło gdzieś w uchu, co spowodowało spadek morderczego ciśnienia krwi i uratowało mnie być może przed kalectwem.

To wytłumaczenie wydało mi się na tyle wiarygodne, że przyjąłem je z ulgą, uznając tamtą chwilę pewności za fantazję skołowanego umysłu. Niemniej pewne wątpliwości pozostały. Następnego dnia, kiedy znajomy lekarz po dokładnym badaniu potwierdził tę wersję, niemal zupełnie się uspokoiłem, chociaż...

- Chociaż co?

- Chociaż wciąż gdzieś w głębi duszy jestem przekonany, że nie miałem żadnego wylewu. Że wszystko, co widziałem podczas omdlenia było prawdziwe. Że pan tam jakimś cudem był, panie Krass, i tak pan mnie przestraszył, że zesrałem się w portki.

- Przecież to absurd.

- Wiem! Wiem, że to jakiś obłąd. Ale jednocześnie wiem też, że coś się wydarzyło. Papiery na biurku były poprzekładane, na podłodze przy łóżku, tam gdzie leżałem, stała szklanka z jakimś miętowo pachnącym płynem, której tam przedtem nie było, koc, którym byłem przykryty podczas drzemki, leżał złożony na fotelu, chociaż ja go na pewno nie składałem ani tam nie kładłem.

I tak dalej.

- Więc było coś jeszcze?

- Tak. Na tym pieprzonym, nie przeze mnie złożonym kocu

leżała kartka, na której ktoś, bo na pewno nie ja, napisał: „Idź tam śmiało”. Kto to napisał?

Gdzie niby mam iść śmiało? Kto złożył koc? Kto pił z tej cholernej szklanki?

Kto? Dom był pusty i zamknięty. Gospodyni zostawiła klucze i wyjechała na kilka dni do matki. Byłem sam, zamknięty od wewnątrz na cztery spusty, bo boję się bandytów. W oknach są kraty...

- Może to pański Bóg już wtedy do pana przemówił?

- Na pewno nie. I to jest kolejna rzecz. Zaraz po tamtych wydarzeniach zauważyłem, że coś się stało z moją wiarą. Wiele spraw, dotychczas oczywistych i niepodważalnych, zaczęło mi się nagle wydawać dziecinnymi głupstwami. Nie mogłem się modlić, ponieważ sam sobie wydawałem się śmieszny, wypowiadając te wszystkie prośby i zaklęcia. Przede wszystkim jednak dlatego, że nie odczuwałem potrzeby modlitwy. Nie czułem się grzeszny ani winny, nie miałem za co Boga przepraszać, a proszenie Go o cokolwiek wydawało mi się zajęciem równie poważnym jak pisanie przez dzieci listów do Świętego Mikołaja. Najgorzej było podczas odprawiania mszy. Coraz częściej miałem poczucie, że to całe moje krzatanie się przy ołtarzu jest głupawą zabawą niegodną dorosłego mężczyzny. W swoich przeładowanych ozdobami sukienkach sam sobie wydawałem się nadętym błaznem, z komiczną powagą popisującym się przed nieżyczliwą mu publicznością, którą na spektakl przygnał strach przed gniewem władcy. Dostrzegłem też, że teksty, które recytuję przy tej okazji, są, w najlepszym razie, grafomańską, bełkotliwą poezją, pełną

egzaltacji i fałszu. Krótko mówiąc, panie Krass, właściwie wbrew sobie i bez udziału świadomej refleksji, straciłem wiarę. Napęliło mnie to przerażeniem. Czułem, że bez żadnej kontroli z mojej strony zmieniłem się w kogoś zupełnie innego niż byłem, chociaż resztki mojej dawnej osoby wciąż we mnie tkwiły. Wszystkie fakty złożyły mi się nagle w logiczną całość.

Nietypowe samowyleczenie się z alkoholizmu, dobroczynny wpływ na rośliny, rozdrażniające oddziaływanie na koty, utrata wiary - to kolejne etapy przemiany.

Ja się naprawdę zmieniłem, panie Krass, albo raczej wciąż się zmieniam. Wciąż ubywa we mnie dawnego mnie i pojawia się coraz więcej jakiejś nowej osoby, której zachowania nie rozumiem i nie akceptuję. Przyszedłem pana zapytać, co się ze mną dzieje? Czy powoli popadam w szaleństwo, czy też już się to stało i po prostu jestem szaleńcem, choć sam o tym nie wiem? Pan musi znać odpowiedź.

Skierowało mnie do pana zbyt wiele znaków, żeby mogło być inaczej.

- Ma pan może tę kartkę?

- Pewnie. Noszę ją stale przy sobie i czasami oglądam, kiedy chcę się upewnić, że tamte zdarzenia miały rzeczywiście miejsce.

(Wyciąga ze staromodnego portfela złożoną kilkakrotnie kartkę z bloku listowego i rozprostowuje ją pieczołowicie na blacie. Na skos bieżną przez nią napisane zielonkawym kolorem słowa: „Idź tam śmiało”).

Krój pisma jest niewątpliwie nieco archaiczny. Litery „a” i „o” są greckie. Nie jest to jednak pismo w żaden sposób podobne do tego, którym, na podobnej kartce, wykonano w Uppsali napis „Eudajmonia”). - A to jest moja kartka.

- Pańska kartka?

- Znalazła się w moim posiadaniu w okolicznościach podobnych do tych, w jakich pan wszedł w posiadanie swojej.

- Ach tak! Ale pismo nie jest podobne.

- Nie jest.

- A sądził pan, że będzie?

- Wydawało mi się to możliwe.

- Gdyby było podobne albo takie samo, znaczyłoby to, że moje i pańskie doświadczenia mają, jeśli tak można powiedzieć, jedno źródło.

- Można by przyjąć takie założenie.

- Co się panu konkretnie przytrafiło?

- Szkoda czasu na opowiadanie. Pomijając nieistotne szczegóły, spotkało mnie w zasadzie to samo, co pana. Było to w Uppsali jesienią 1988 roku.

- To samo? Łącznie ze zranieniem ucha?

- Tak.

- I pan się też...pan też zapaskudził spodnie?

- Złamię się.

- Widział pan kogoś, kogo się pan przestraszył?

- Wydaje mi się, że widziałem zupełnie mi obcą kobietę w

chirurgicznej masce na twarzy, która patrzyła na mnie nieruchomymi oczami, ale nie jestem pewien, czy właśnie wtedy puściły mi zwieracze. Widziałem też inne osoby.

Jedna z nich z pewnością nie żyje, a jednej nie widziałem od 40 lat. Nie pamiętam, której się przestraszyłem. Myślę, że kobiety w masce, chociaż może kogoś' innego.

- To niesamowite, niesłychane!

- Co?

- To, co nas spotkało. Myśli pan, że to jakaś choroba umysłowa, rozdwojenie jaźni?

- Nie sędę.

- Więc jak to wytłumaczyć?

- Nie wiem.

- Pan nie wie?

- Moje dotychczasowe wyjaśnienia raczej pana nie satysfakcjonowały.

- A pana?

- Mam do nich pewne zastrzeżenia, ale nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. Poza tym to, co przydarzyło się mnie i panu, to jednak trochę inne sprawy od tych, które miały miejsce w Eudajmonii.

- Panie Krass, co to tak naprawdę jest Eudajmonia?

- Jeśli już, to raczej co to była Eudajmonia. To była wspólnota terapeutyczna, założona w 1996 roku przez grupę moich pacjentów z Libergiem na czele.

Tak się też nazywała jej siedziba, czyli duży dom wraz z zabudowaniami gospodarczymi położony we wsi Rybna, około 60 kilometrów od Iławy. Został on zakupiony ze składek członków wspólnoty, którzy na czas szeroko rozumianego leczenia, rekonwalescencji i rehabilitacji postanowili zamieszkać razem, tworząc alternatywną, sprzyjającą ich powrotowi do zdrowia i normalności społeczność.

- Pamiętam to wszystko z pańskich wywiadów dla gazet i wystąpień w telewizji. Dopóki pan tych wywiadów udzielał. Ale ja pytałem, czym Eudajmonia była naprawdę?

- Powiedziałem panu o tym przed chwilą.

- A Delta i Dobro?

- To były kolejno powstające filie Eudajmonii, gdyż liczba jej członków stale rosła.

- Pan zaś był głównym przywódcą i „guru” całości?

- Byłem terapeutą i superwizorem.

- Jak oni mieli wracać do normalności, skoro zakazał im pan w pewnym okresie używania mowy na rzecz wymyślonego przez pana „języka ciała”?

W Delcie osiemdziesięciu ludzi, w tym wiele dzieci, żyło bez elektryczności, radia, telewizji, gazet i jakichkolwiek środków transportu. W Eudajmonii dzieci nie chodziły do szkoły i nie miały żadnych zabawek. Mieszkańcy nie korzystali z opieki lekarskiej i dentystycznej. Pan leczył wszystkie ich schorzenia.

W dodatku unieważnił pan wszystkie małżeństwa i kojarzył

nowe pary wewnątrz grupy w dowolny sposób. Dorosłe kobiety współżyły z 13-14 letnimi chłopcami, a mężczyźni nawet z młodszymi dziewczynkami. Co to tak naprawdę było, panie Krass?

- W Eudajmonii były prowadzone pewne badania i eksperymenty socjopsychologiczne za zgodą uczestników.

- Eksperymenty socjopsychologiczne?

- Staraliśmy się badać różne aspekty życia w małych samowystarczalnych społecznościach i ich wpływ na funkcjonowanie człowieka. Docelowo chodziło o stworzenie modelu społeczności stymulującej procesy samoleczenia w ludzkim organizmie.

- Staraliście się? Kto się starał? Kto prowadził te badania?

- Ludzie związani z ideą Eudajmonii. Ja, Liberg, Bigowski, Rossner, Holstrem, Cardenas i paru innych.

- Liberg - inżynier mechanik, ufolog, homoseksualista, Bigowski - absolwent AWF, specjalista od hokeja na trawie, dziennikarz, były alkoholik, Rossner - Amerykanin, przedsiębiorca, były instruktor skautingu poszukiwany w sześciu stanach za czyny lubieżne z nieletnimi, Holstrem - Szwed, były kapitan armii szwedzkiej, homoseksualista, uzdrowiciel i wróż, Cardenas - Argentyńczyk, były nauczyciel, jasnowidz i wróż. A byli jeszcze, przypomnę panu, Pelc - psycholog, siedział w więzieniu za uwiedzenie nieletniej, współpracownik tajnej policji, specjalista od psychologii przesłuchań, Mira Rejmer - dietetyczka i propagatorka wymyślonej przez siebie „diety pierwotnej”, karmiła dzieci surowym mięsem, wodą i mlekiem, Kulawik - fotograf, jogin, wyznawca parapsychologii, robił zdjęcia

aury Kirliana wszystkim członkom wspólnoty, Bonaro - były aktor, teoretyk „nowej rodziny” i „małżeństwa rotacyjnego”, „instruktor seksualny”. Zaiste, to świetna ekipa badawcza do prowadzenia eksperymentów socjopsychologicznych.

- Eudajmonia była z założenia miejscem dla jednostek nieprzystosowanych, skłóconych z oficjalnym stylem życia i obowiązującą hierarchią wartości. Zresztą prasa przesadzała, publikując życiorysy tych ludzi, a za to nie podała, że wszystkie te osoby były samoukami. Miały gruntowne, choć zdobyte nieformalnie wykształcenie w zakresie psychologii praktycznej i pracowały swego czasu jako psychoterapeuci i doradcy rodzinni.

- Jaki był cel tych waszych badań?

- Już mówiłem. Chcieliśmy poznać możliwości tworzenia warunków społecznych, sprzyjających uruchamianiu i podtrzymywaniu mechanizmów samoleczenia w organizmie ludzkim.

- Panie Krass, w 1998 roku w pańskiej organizacji było ponad dwa i pół tysiąca osób. Z tego prawie trzysta mieszkało w Eudajmonii, Delcie i Dobru.

Na ostatni ośrodek, Dobro, przeznaczony został były hotel robotniczy w Pucku, za który zapłaciliście 800 tysięcy nowych złotych. Kompleks zabudowań Delty, obejmujący trzy domy i zaadaptowane do potrzeb mieszkalnych budynki gospodarcze, wyceniono wraz z gruntem na prawie 2 miliony.

W Eudajmonii miał pan trzypokojowy apartament o powierzchni 120 metrów kwadratowych wart wraz z wyposażeniem około miliona.

W sumie posiadłości sekty wyceniono na ponad 5 nowych milionów. Skąd pan miał tyle pieniędzy?

- Ja nic nie miałem. Wszystkie fundusze pochodziły ze składek członków wspólnoty i były jej własnością.

- Ale pan był głównym depozytariuszem tych funduszy. Miał pan dostęp do wszystkich kont i nieograniczone pełnomocnictwa. Poza tym Eudajmonia została zarejestrowana jako związek wyznaniowy, panie Krass, i oficjalnie nosiła doskonale nic nie mówiącą nazwę: „Fundacja Oświecenia, Badań i Apercepcji”, w skrócie FOBiA. Może pan o tym nie wiedział? De facto założył pan sektę, panie Krass. Sektę, w której był pan bóstwem, której członkowie oddawali panu niemal cały swój majątek i dochody, w której, wreszcie, część wyznawców mieszkających w czymś w rodzaju komun była panu całkowicie i ślepo podporządkowana. Członkowie i sympatycy pańskiej organizacji zebrali 200 tysięcy podpisów pod pańską kandydaturą na senatora i tylko cudem nim pan nie został. Otrzymywał pan pokaźne wsparcie finansowe od Kościoła Scjentologii i Kościoła Zjednoczenia wielebnego Moona, chociaż nie mógł pan nie wiedzieć, jaką opinią cieszą się na świecie obie te sekty. Żył pan na koszt swoich wyznawców i na ich koszt usiłował pan robić karierę polityczną.

Przypuszcza się, że kilkunastu swoim fanatycznym akolitom, z niewiadomych powodów, nakazał pan popełnienie samobójstwa. Innych zaś poddawał pan próbom lojalności i posłuszeństwa, polegającym na odcięciu sobie lub swojemu dziecku różnych części

ciała.

- Czy pan zwariował? Powtarza pan wszystkie niedorzeczne oskarżenia, które formułowały pod moim adresem różne szmatławce. Pan w to naprawdę wierzy?

- Czemu nie? Sam nie wiem.

- To niech pan użyje swojej inteligencji. Wspólnotę trzeba było jakoś nazwać i jakoś zarejestrować, skoro miała działać legalnie i mieć osobowość prawną. Kwoty, które pan podaje, są wysrane z palca. Eudajmonia kupowała za bezcen zdewastowane rudery i opuszczone gospodarstwa, które potem jej członkowie własnymi siłami remontowali. Hotel w Pucku kosztował nie 800, a 80 tysięcy złotych i był remontowany przez dwa lata.

Za namową przyjaciół rzeczywiście kandydowałem do Senatu, ale, jak pan zapewne pamięta, przegrałem wybory. Głównie zresztą dzięki skierowanej przeciwko mnie niewybrednej kampanii Kościoła Katolickiego, który nazywał mnie przywódcą satanistów, oszustem, deprawatorem, ponieważ sprzeciwiałem się zakazowi przerywania ciąży, popierałem edukację seksualną w szkole i dążyłem do usunięcia z niej nauki religii. Postulowałem też poddanie Kościoła Katolickiego ścisłej kontroli państwa, szczególnie w dziedzinie finansów, prowadzonej przezeń działalności gospodarczej i podatków. Sugerowałem, aby nadać księżom status urzędników państwowych i zatrudniać ich na odpowiednich etatach w ramach służby cywilnej. Domagałem się zakazu oficjalnego, publicznego występowania kapłanów i usunięcia ich z wojska i policji.

Mój program polityczny, przy którym i dzisiaj pozostaję, był skrajnie liberalny, jeśli chodzi o swobody demokratyczne i wolności obywatelskie, toteż prawica zarzucała mi, że chcę z Polski zrobić Danię, gdzie homoseksualiści będą się ze sobą żenić, pornografia będzie dostępna w przedszkolach, a w szkołach podstawowych będą stały automaty z prezerwatywami. Ale i tak przegrałem z moim chadeckim konkurentem tylko o kilkaset głosów.

Wspólnota faktycznie otrzymywała niewielkie datki z zagranicy. Być może i od Moona. Ale nigdy nie towarzyszyły im żadne warunki ofiarodawcy ani nasze zobowiązania. Nic takiego nam nie udowodniono, chociaż podjęto w tym celu niebagatelne wysiłki.

W pewnym sensie żyłem częściowo na koszt wspólnoty, ale wykonywałem na jej rzecz masę pracy terapeutycznej, która na całym świecie należy do najdroższych usług. Eudajmonia była więc niejako moim pracodawcą.

O zmuszaniu ludzi do samobójstwa albo do obcinania sobie palców nawet nie chce mi się mówić. Po co miałbym to robić? Jeszcze raz powtarzam panu, że nie wiem, co się stało z pańską córką i wnuczką. Od pewnego momentu straciłem kontrolę nad sytuacją i coraz częściej myślę, że wszystko to, co mi się przydarzyło, było zupełnie czymś innym, niż mi się wydawało. Tak samo zresztą jak to, co dotąd przydarzyło się panu, a raczej co nam obu się nadal przydarza.

- Jak to?

- Czy sądzi pan, że nasze spotkanie było przypadkiem? Czy nie

dziwi pana zbieżność pewnych naszych doświadczeń? Czy nie wygląda to tak, jakbyśmy, nie wiedząc o tym, brali udział w jakimś większym przedsięwzięciu?

- Sam nie wiem.

- To niech pan raczej pomyśli, zamiast recytować mi mój akt oskarżenia, który, o czym pan doskonale wie, nie przekonał żadnego sądu.

- Ale też żaden sąd jednoznacznie pana nie uniewinnił.

- Rzeczywiście. W mojej sprawie w dalszym ciągu toczy się śledztwo, w wyniku którego, jak dotąd, wycofano się z większości stawianych mi rok temu zarzutów.

- Kim pan jest, panie Krass?

- Nie wiem. Być może kimś, kto zaszedł dalej drogą, na którą pan dopiero wkroczył. Może ja jestem bardziej zaawansowany w przemianie, której i pan podlega? Naprawdę nie wiem. Nie znam celu i nie rozumiem sensu tej przemiany. Podziwiam też pana, że tak szybko ją pan u siebie odkrył. Mnie to zabrało znacznie więcej czasu. Być może takich jak pan i ja jest znacznie więcej, a nieznany nam plan zakłada, że na pewnym etapie musimy się spotkać.

Może rzeczywiście, panie Weise, jesteśmy zaczątkiem nowego gatunku człowieka? Możliwe też, że obaj jesteśmy wariatami, zaś wszystko, co nas otacza, to tylko halucynacje naszych chorych umysłów.

- Pójdę już.

- A co z moją duszą?

- Nic. Pańska dusza niewiele mnie obchodzi. Podobnie jak każda inna. Nie powiedziałem panu wtedy całej prawdy. Tamten głos wcale nie mówił: „uratuj jego duszę”. On powtarzał „idź tam śmiało”.

Wczoraj przeczytałem zapis rozmowy z księdzem Weise i całą resztę tych notatek. Wygląda na to, że sam fakt robienia zapisków narzucił mi pewną logikę wyводу, zgodnie z którą układają się one w swego rodzaju wszystkowiśniającą historię kilku ostatnich lat mojego życia, chociaż nie zamierzałem niczego wyjaśniać. Prawdopodobnie podświadomie chciałem wytłumaczyć wszystko, co się w ciągu tego czasu wydarzyło, i oczyścić się z ciężących na mnie zarzutów. Chciałem, aby inni ludzie widzieli we mnie mędrca, uzdrowiciela, przewodnika duchowego i naukowca, a jeszcze przy tym fajnego faceta, który z bliskich niebu wyżyn swej doskonałości potrafi z każdym pogadać o jego życiu i kłopotach.

A czyż tak nie było? Czy nie byłem mędrcom, którego opinie, za pośrednictwem gazet, radia i telewizji, miały znaczący wpływ na opinię publiczną?

Czyż nie uznano mnie za godnego pełnienia funkcji senatora? Czyż nie wyleczyłem mnóstwa ludzi z ciężkich, często uznawanych za nieuleczalne chorób?

Czy nie uwolniłem mnóstwa innych od cierpień spowodowanych psychicznymi dewiacjami i nieprzystosowaniem do rzeczywistości? Czy nie byłem dla setek bliźnich przewodnikiem duchowym i mistrzem, który mówił im, jak mają postępować i uwalniał ich od udręki związanej z odpowiedzialnością za własne

życiowe wybory? Czy nie napisałem naukowej książki, uznanej za ważny krok w poznaniu mechanizmów wywierania przez jednych ludzi wpływu na innych? Czyż wreszcie nie byłem człowiekiem skromnym, łatwym w kontakcie, uprzejmym i cierpliwym? Byłem. Ale byłem też kimś zupełnie innym, kto pewnej sierpniowej nocy 1991 roku pojawił się we mnie, wewnątrz mojego umysłu i mojego ciała, nie pytając mnie o zgodę i już tam został. Weise opisał to bardzo trafnie, jako ubywanie mnie we mnie i przybywanie tam innej osoby, kierującej się motywami i planami, których nie rozumiem. Wiem, że brzmi to trochę jak opis pogłębiającej się schizofrenii, ale nie jestem schizofrenikiem. W odróżnieniu od niego mam świadomość istnienia tej drugiej osoby. Nie rozumiem jej motywów, ale wiem, że je ma. Nie ogarniam do końca jej planów i zamierzeń, ale wynikające z nich postępowanie jest dla mnie wewnętrznie spójne, logiczne i oczywiste. Zachodząca we mnie przemiana nie jest rozpadem osobowości ani, jak to też bywa w schizofrenii, pojawieniem się osobowości alternatywnych, które wzajemnie nie są sobie świadome i nie wiedzą o podejmowanych przez siebie działaniach. Ja zawsze wiem, co robię, chociaż czasami nie rozumiem, dlaczego i po co to robię.

A może jest inaczej? Może tylko oszukuję sam siebie? Może mój umysł, obcując z ludźmi takimi, jacy oni w istocie są, najpierw zwątpił, a potem cynicznie odrzucił obowiązujące wartości? Może, stykając się latami z ludzką uległością wobec dowolnej siły pozwalającej zrzucić z siebie odpowiedzialność za podejmowane decyzje, pokusiłem się zbadać jej granice? Może widząc, jak ludzie

natarczywie wpychają władzę nad sobą każdemu, kto obieca im ulgę w cierpieniu i nadanie jakiegoś sensu ich absurdalnej egzystencji, postanowiłem wziąć tę władzę i, wiedząc, jakie to łatwe, dać im to, czego pragną? Dzisiejszy świat roi się od dorosłych, którzy w istocie są porzuconymi, bezradnymi dziećmi. Wychowani w uczuciowych lodówkach swoich rodzin, gdzie obowiązuje zasada „coś za coś”, nie dostają miłości czy akceptacji za sam fakt istnienia, bez żadnych warunków dodatkowych. Ich życie to ciąg bezustannych usiłowań, aby dostać choć odrobinę tych uczuć w zamian za dobre stopnie, posłuszeństwo, konformizm, pracę, karierę, pieniądze albo cokolwiek innego, czego się od nich zażąda. Ale te wysiłki na ogół nic nie dają. Niewiele też, oprócz podbarwionego zniecierpliwieniem i złością współczucia, daje bycie słabym, nieprzystosowanym czy chorym. Dlatego większość z utęsknieniem poszukuje kogoś, kto zgodziłby się być, chociaż na niby, ich kochającym ojcem czy matką, kogoś, na czyje barki mogliby złożyć odpowiedzialność za swoje życie i w czyich akceptujących objęciach odważyliby się zaprzestać pełnej udręki i niepewności życiowej krzątaniny. W zamian za to gotowi są całkowicie podporządkować się temu komuś i bez reszty oddać się w jego władzę.

Może w pewnym momencie postanowiłem zostać taką osobą dla tych, którzy szukali u mnie pomocy? Może perspektywa ogromnej władzy, jaką mi nad sobą przyznawali, uwiodła mój umysł i zdeprawowała charakter? To, że ludzi pozyskuje się do rozmaitych komun, sekt i innych społeczności alternatywnych za pomocą różnych

odmian presji psychicznej zwanej „praniem mózgu” jest mitem. Chętnych do ucieczki od zbyt trudnej wolności pod władzę Boga, guru czy mistrza jest pod dostatkiem. I nie tylko nie ma potrzeby, aby im ich niechcianą swobodę odbierać, ale niejednokrotnie trzeba z nimi walczyć, żeby choć trochę zechcieli jej zatrzymać. Przez całe lata znosiłem ich uparte zabiegi, aby mnie swoją wolnością obdarować, widząc w tych manipulacjach objawy nieprzystosowania i choroby. Bardzo długo starałem się pomagać im w uzyskaniu zdolności do mierzenia się z wyzwaniem życia, usiłowałem leczyć ich z paraliżującego lęku i uniemożliwiającej działanie apatii. Aż któregoś dnia wziąłem ich wolność i powiedziałem - teraz bądźcie posłuszni.

A oni odetchnęli z ulgą.

Mogło tak być. Może nawet tak było? Nie wiem tego do końca. Ale czy coś w ogóle można wiedzieć do końca?

Ksiądz Weise zniknął. W dwa dni po naszej rozmowie jego gospodyni oraz mieszkający na plebanii wikary stwierdzili, że proboszcz wyjechał. Zabrał ze sobą bardzo niewiele rzeczy osobistych i wszystkie znajdujące się w jego pieczy pieniądze wraz z funduszami zbieranymi od parafian na remont kościoła.

Na biurku zostawił list, z którego wynikało, że otrzymał od biskupa niespodziewane polecenie wyjazdu do Rzymu w jakichś niecierpiących zwłoki kościelnych sprawach.

Dowiedziałem się tych szczegółów od pani Wandy, która nawet nie próbowała kryć swojego sceptycyzmu.

- To pachnie aferą - szeptała podczas śniadania. - Biskupi raczej

nie zwykli wysyłać z dnia na dzień do Rzymu proboszczów z jakichś Pipidówek.

- Jednakże ksiądz Weise chyba nie był jakimś tam sobie proboszczem z Pipidówki - zauważyłem.

- A kim? - pani Wanda prychnęła z lekceważeniem. - Mówię panu, że tu chodzi o babę. Zwinął kasę i pojechał w Polskę z jakąś młódką, która zawróciła mu w głowie. Pan sobie nie wyobraża, jakie teraz są te młode. Na nic nie zważają, a stary chłop, choćby nawet i ksiądz, wiadomo - na młode leci.

W oczach pani Wandy gorzało moralne oburzenie, ale jego źródłem było chyba bardzo osobiste rozczarowanie. Być może wiązała z księdzem nadzieje nie tylko na pociechę religijną i nie tylko duchowej komunii serc z nim pragnęła.

- A pan nic nie wie? - nie wytrzymała w końcu. Rozmawiał pan z nim przedwczoraj chyba ze trzy godziny.

- Nawet dłużej - odparłem sucho. - Ale była to rozmowa o charakterze ściśle religijnym.

Pani Wanda popatrzyła na mnie z niesmakiem.

- Oczywiście - jej głos znów opadł aż do syczącego szeptu - jakże by inaczej? Przecież kwestie religijne są tymi, które najbardziej pana interesują, prawda, panie Krass? A to, że niektórzy ludzie po kontakcie z panem znikają bez śladu, to czysty przypadek. Tak samo jak to, że ksiądz Weise, wbrew zakazowi swoich przełożonych, bardzo popierał pańską kandydaturę w wyborach do senatu.

- On popierał moją kandydaturę? - zdziwiłem się. - Co też pani

opowiada?

- Po pierwsze nie ja, tylko senator KubaKubicki oraz generał Penar, którzy są tu już od dobrych dwu lat. A po drugie, wewnątrz episkopatu była pewna grupa, która po cichu popierała pana, chcąc doprowadzić do konfrontacji pomiędzy ówczesną władzą polityczną i Kościołem, a przy okazji zdyskredytować w oczach reszty katolickiego narodu wyznawców odmiennych religii. Pański szokująco radykalny w sprawach wyznaniowych program miał otrzymać poparcie przede wszystkim na terenach zamieszkałych przez prawosławnych, grekokatolików, muzułmanów i przedstawicieli innych niekatolickich religii. Szły na to pieniądze z pewnych kościelnych funduszy.

- Skąd pani to wie? - spytałem spokojnie, chociaż wcale nie byłem spokojny. Czułem, jak flaki przewracają się we mnie powolnym skurczem, niby przekręcający się z boku na bok wielki płód, a usta wypełnił mi słodkawy smak strachu. Pani Wanda wzruszyła ramionami.

- Ze źródła, panie Krass, z samego źródła - powiedziała z ironicznym uśmiechem. - W takich sprawach zawsze potrzeba pos'redników, ja zaś miałam dobre układy zarówno wśród hierarchów, jak i w sferach politycznofinansowych. Można mi więc było powierzyć przekazywanie pieniędzy rozmaitym przywódcom i liderom w terenie. Najczęściej działało się to przy pomocy, wskazanych przez ową grupę biskupów, zaufanych proboszczów, świetnie przecież zorientowanych w swoich parafiach. Weise był jednym z nich. Jego

parafia to w 80 procentach prawosławni.

- Więc pani znała go wcześniej?

- Nie! Skądże. Widziałam tylko jego nazwisko na jakichś listach, pokwitowaniach. Poznałam go rok temu, kiedy się tu znalazłam.

- Jestem zaskoczony - powiedziałem wciąż spokojnie. - Zaskoczony i zdumiony.

Pani Wanda nalała sobie jeszcze kawy i zapaliła papierosa. Wydmuchnęła dwa idealnie okrągłe kółka dymu, których lot śledziła w milczeniu przez dłuższą chwilę.

- Ee tam - powiedziała w końcu flegmatycznie. - Ani pan zaskoczony, ani zdumiony. Pan przecież o wszystkim wiedział. Zanim zdecydował się pan kandydować, odbył pan spotkania z wiceministrem spraw wewnętrznych i z biskupem Burzyńskim. Rozmawiał pan też z szefem UOPu, Bąkiem. Ja oczywiście rozumiem, że teraz nie chce pan o tym pamiętać. Zresztą motywy i cele pańskich politycznych machinacji mało mnie interesują.

Zapewne miał pan swoje powody, żeby dać się użyć Kościołowi i prawicy jako straszak. Na przykładzie pańskiego skrajnie antykatolickiego programu biskupi i ich polityczni klienci mogli pokazać wierzącym, co może ich czekać, kiedy socjaldemokraci, których uważał pan za swoją partię, dojdą do władzy. No i udało się. Nie został pan senatorem, a lewica przegrała wybory. Dzisiaj nie ma to już żadnego znaczenia. Nasz czas minął, panie Krass. W końcu, jakby na to nie patrzeć, siedzimy w więzieniu. I, jak pan dobrze wie, nie siedzimy w nim za niewinność. Ja te minione sprawy mam już, z

przeproszeniem pana, w dupie. Interesuje mnie jeszcze tych parę lat, które mi zostały do przeżycia, i dlatego chcę wiedzieć, co się dzieje i gdzie jest ksiądz Weise.

- Nie wiem, co pani ma na myśli, mówiąc, że coś się dzieje. Nie mam też pojęcia, gdzie jest ksiądz, ale sądzę, że dowiemy się tego za kilka dni.

- Albo się nie dowiemy. Skąd pan wie, gdzie pan będzie za kilka dni?

A dzieje się coś na pewno. Wczoraj przywieźli z Warszawy kilka osób, a wśród nich byłego już, jak rozumiem, szefa UOPu, Bąka. Dzisiaj, o czym pan może jeszcze nie wie, wstrzymano wszystkie wolne wyjścia, odwiedziny i zezwolenia na korespondencję. Coś musiało się wydarzyć.

- Ale co? - spytałem, przypuszczając mimo wszystko, że moja rozmówczyni coś wie. Jednak pani Wanda znów spojrzała na mnie z niesmakiem.

- Nie wiem, panie Krass - odpowiedziała. - Może upadł rząd, może był zamach na prezydenta, może ktoś ważny zwariował, a może tylko papież nieoficjalnie wstąpił pomodlić się na grobie rodziców. W końcu to pan jest jasnowidzem i pan powinien coś wiedzieć.

- Nie jestem i nigdy nie byłem jasnowidzem.

- Wiem, proszę pana. Żartowałam. Gdyby był pan kimś więcej niż oszustem, wariatem albo graczem, któremu nie dopisało szczęście, to nie siedziałby pan tutaj.

- To nie jest do końca tak - pokręciłem głową. - Mój przypadek

jest bardziej skomplikowany.

- To tak jak mój - podchwyciła z ironiczną skwapliwością - jak senatora Kubickiego, jak generała Penara, jak pułkownika Kaliny, jak mecenasa Taborskiego i jeszcze paru innych rezydujących tu osób. Gdziekolwiek pan spojrzy, same skomplikowane przypadki. Ale tak naprawdę to albo oszuści, albo wariaci, albo przegrani gracze. Ja na przykład zaliczam się do oszustów, a Penar i Kalina to gracze. KubaKubicki i Taborski to cwani wariaci.

- A ja? - spytałem.

Moja rozmówczyni po raz ostatni zaciągnęła się z lubością papierosem i zgmiotła niedopałek w popielniczce. Dopiero wtedy zauważyłem, że paznokcie ma polakierowane na śliwkowy kolor, taki sam, jak barwa jej kosztownej jedwabnej bluzki.

- Pan wygląda mi na trochę zwariowanego oszusta - powiedziała z namysłem. - Oczywiście jest pan graczem. Niewykluczone, że jeszcze pan wypłynie, bo umie pan świetnie manipulować ludźmi i nie ma pan przy tym żadnych moralnych skrupułów. Tacy jak pan zawsze są potrzebni.

Dwa ostatnie zdania wygłosiła, patrząc mi prosto w oczy, jakby chciała powiedzieć - „No! Zaprzecz, powiedz, że nie mam racji”.

Nie zaprzeczyłem. Patrzyłem jej w oczy i płód strachu znów boleśnie przekręcił się w moim brzuchu.

Ile ona jeszcze wie? - myślałem gorączkowo. - I ile jest takich osób jak ona? Ciekawe, czy wie o moich kontaktach z Penarem? Wie, że widziałem się z biskupem, ale czy wie po co? Bąk przestał być

szefem UOPu. Dlaczego? Co to może dla mnie oznaczać? Jego następcą zostanie prawdopodobnie Pelc, mój były współpracownik, oficer kontrwywiadu, który za moją wiedzą wszedł do Eudajmonii ze sfalszowaną biografią. O nim wiedziałem. A inni? Ci, o których nie wiedziałem?

Pani Wanda dopiła ostatni łyk kawy i wstała.

- To na razie - powiedziała poufale. - Jak czegoś się dowiem, to panu powiem. Ale może niczego się nie dowiem. W końcu, co mnie obchodzi ksiądz Weise? Mało to innych mężczyzn?

Odeszła wolno i, tak jak przewidziałem, po kilku krokach odwróciła się i pomachała mi z uśmiechem ręką. Miała buty chyba od Gucciego, na bardzo wysokim obcasie.

Ośrodek, w którym przebywam, albo, jak chce Wanda Ż., w którym od siedmiu miesięcy po prostu siedzę, oficjalnie nazywa się Centrum SzkoleniowoWypoczynkowe Bieszczadzkiego Okręgu Wojskowego. W rzeczywistości jest to umiarkowanie luksusowe specwężenie. Wyższy standard ma podobno tylko specciupa znana w odpowiednich kręgach pod nazwą Wojskowego Ośrodka Przygotowań Olimpijskich w Kozim Jarze koło Jastrzębiej Góry.

Tam jest kryty basen, hala sportowa, pole golfowe i trzypokojowe apartamenty dla pensjonariuszy. U nas jest tylko odkryty basen i cele, jeśli tak można powiedzieć, składające się z małej sypialni, gabinetu i łazienki.

Cztery funkcjonujące więzienia specjalne, o których wiem, mieszczą się w dawnych obiektach wypoczynkowych należących do

MSW i wojska, przeznaczonych podczas stanu wyjątkowego na miejsca internowania ważniejszych przedstawicieli ówczesnej antykomunistycznej opozycji, a następnie stopniowo rozbudowywanych i ulepszanych. Nasz ośrodek mieści się w centrum ogrodzonego terenu o powierzchni ponad 50 hektarów przepięknych lasów i połonin. Teren jest pilnie strzeżony, ale ze względu na jego rozległość oraz na oddalenie ogrodzenia od zabudowań ów nadzór nie jest specjalnie odczuwalny, nie mówiąc już o jego uciążliwości. Po całym obszarze można się swobodnie poruszać, a towarzystwo odpowiednio wykwalifikowanego strażnika mają zapewnione jedynie pensjonariusze o wyraźnie zachwianej równowadze psychicznej. Jadalnia jest właściwie zupełnie przyzwoitą restauracją z wyszynkiem, działającą od 8 do 22, potem zostaje tylko bar czynny do 24.

Nie ma tu więc sztywnych pór posiłków, a regulamin pobytu przypomina przepisy obowiązujące w hotelach. Na miejscu jest jeszcze całkiem przyzwoita biblioteka, duża pracownia plastyczna, ciemnia fotograficzna i pracownia informatyczna z kilkoma dobrymi komputerami. W suterenie budynku administracyjnego mieści się też doskonale wyposażona siłownia, sauna i gabinet odnowy biologicznej. Miesiąc temu uruchomiono niezłe zaopatrzoną wypożyczalnię videokaset, gdzie za niewielką opłatą (wszystko inne, z wyjątkiem alkoholu i pozaregulaminowych posiłków w restauracji jest bezpłatne) można wypożyczać filmy. W gabinecie każdej „celi” jest telewizor z magnetowidem i radio.

Nie mamy tu, jak widać, przesadnie spartańskich warunków,

choć w restauracji trudno byłoby dostać omlet z truflami, a w barze tequilę.

W skład ośrodka wchodzi też dwa oddalone od reszty zabudowań pawilony przeznaczone dla tych, którzy jeszcze nie uwierzyli, że ich czas się skończył i że z Weteliny nie ma dokąd ani po co uciekać. Pawilony te, otoczone wysoką na trzy metry siatką z kolczastymi drutami i pilnie strzeżone przez uzbrojonych wartowników, są więzieniem w ściślejszym tego słowa znaczeniu, aczkolwiek daleko wygodniejszym niż ich „normalne” odpowiedniki we Wronkach czy Sztumie.

Istnienie Specjalnych Ośrodków Odosobnienia - jak nazywa się w urzędniczym żargonie - jest osłonięte najgłębszą tajemnicą państwową, ponieważ w demokratycznym państwie prawa tego typu instytucje funkcjonować nie mogą. Zaprzeczają one bowiem zarówno fundamentalnej dla demokracji zasadzie równości obywateli wobec prawa, jak i niezbędnej dla działania samego prawa regule, głoszącej, iż wolność żadnego obywatela nie może być mu odebrana ani ograniczona bez prawomocnego wyroku niezawisłego sądu. Nie przeszkadza to oczywiście temu, że w większości jak najbardziej demokratycznych państw, od Stanów Zjednoczonych po Szwajcarię, specpierdole działają i mają się dobrze. Na ogół też wiedza o ich istnieniu ma szerszy zasięg, niżby sobie tego życzyły władze. W Polsce, gdzie w zasadzie nie istnieje kompetentna i niezależna od politycznych koniunktur zawodowa kadra urzędnicza, o Wetelinie albo Kozim Jarze ćwierkały kanarki w każdym politycznym salonie,

saloniku i buduarze.

W specjwienieniach siedzą przeważnie osoby, przeciwko którym nie toczył się nigdy żaden proces sądowy, a jeśli się nawet toczył, to nie został zakończony prawomocnym wyrokiem skazującym. Trafiają też do nich, naturalnie bez sądu. wyroku i tym podobnych drobiazgów, ministrowie, ambasadorzy, wysokiej rangi wojskowi, prezesi państwowych banków i korporacji przemysłowych, szefowie i wysocy urzędnicy rządowych agend, którym w czasie pełnienia funkcji zdarzyło się zbzikować, pić aż do delirium tremens albo co najmniej niepokojąco otrzeć się o poważne zachwianie równowagi psychicznej.

W naszym ośrodku bez sądu siedzieli: Penar, Kalina, Bigler i kilku innych wyższych wojskowych i urzędników państwowych. Kilka dni temu prawdopodobnie dołączył do nich były szef UOPu - Bąk.

Zbzikowanych reprezentowali: KubaKubicki i była wicepremier Miriam Bisiąg, czyli Maria Klemencja Darn.

Na pograniczu bzika sytuowałem sieja i mecenas Taborski.

Wanda Ź. należała do wcale licznej grupy głośnych aferzystów i oszustów powiązanych ze sferami politycznymi i aparatem państwowym.

Penar, energiczny aparatczyk wojskowy wykształcony w moskiewskiej „woroszyłowce”, przeszedł po upadku komuny, jak zresztą większość jego kolegów w generalskich mundurach, gwałtowną przemianę duchową i z ateisty oraz strażnika zdobyczy socjalizmu w ludowej Polsce przedzierzgnął się ekspresowo w

gorliwego katolika i wielbiciela odradzającego się w Trzeciej Rzeczypospolitej kapitalizmu. Wyjątkowe, nawet jak na komunistycznego oficera, władzidupstwo i serwilizm szybko uczyniły z niego pupilka naszego niezapomnianego prezydentarobotnika. Dzięki żywiłowej sympatii prezydenta Penar objął najwyższe stanowisko w armii, z którego został usunięty po przegranych przez protektora wyborach, gdyż następny prezydent miał już swojego generała. Penar nie chciał się z tym pogodzić i, wykorzystując swoje układy wśród niektórych wyższych dowódców i polityków, usiłował doprowadzić do wojskowego zamachu stanu. Plany te spaliły na panewce, nie znajdując odzewu wśród oficerów średniego i niższego szczebla, a ich twórca wylądował cichcem w specmamrze, ponieważ starająca się o przyjęcie do wojskowych struktur zjednoczonej Europy Polska nie mogła sobie pozwolić na ujawnienie faktu mieszania się armii do polityki i faktycznego braku cywilnego nad nią nadzoru.

Poznałem Penara jakieś sześć lub siedem lat temu, kiedy jego nowa gwiazda zaczęła właśnie wschodzić dzięki prezydenckiej łasce. Był wówczas dowódcą Mazowieckiego Okręgu Wojskowego, miał uroczą, ale znerwicowaną i totalnie nieszczęśliwą żonę, z pochodzenia Rosjankę, i dorastającego syna chorego na anoreksję, czyli tak zwany jadłowstręt psychiczny, objawiający się zanikiem apetytu, czasami aż do zagłodzenia się włącznie. Anoreksja u chłopców zdarza się niezwykle rzadko i jest produktem bardzo specyficznych układów rodzinnych. W przypadku rodziny generała wszystko się zgadzało. Zona, lękliwa i małpio nadopiekuńcza, zajmowała się wyłącznie

synem, mąż zajmował się wyłącznie karierą oraz o połowę młodszą od żony przebojową Ukrainką, oficjalnie pełniącą w domu generałostwa obowiązki gosposi. Ukrainka zajmowała się sobą, generałem i swoją bodajże szesnastoletnią krajanką, występującą w roli sprzątaczk i pokojówki, której nie opiewała safickimi strofami tylko dlatego, że ledwie umiała się podpisać. Syn zajmował się ustawicznym chorowaniem, a ja, przez ponad rok zajmowałem się próbami wprowadzenia do tego układu zmian, które zniechęciłyby chłopca do odgrywania roli rodzinnego wyrzutu sumienia.

Później spotkałem się z generałem w zupełnie innych okolicznościach, podobnie jak z jego żoną, Lusią, która należała do założycieli Eudajmonii i okresowo w niej mieszkała. Śliczna Lusie, udręczona natręctwami, obezwładniona lękami i depresją, w społeczności terapeutycznej odżyła i odzyskała nieco ze swojej naturalnej energii i pogody, która pozwoliła jej potem wyjechać z synem do Rosji i zostać tam dość znaną psychoterapeutką.

Pułkownik Kalina był nieco starszym od Penara absolwentem tej samej wojskowej uczelni w Moskwie. Prawdopodobnie jeszcze w czasie studiów ten szalenie zdolny, żarliwy komunista zwrócił na siebie uwagę KGB, którego agenci rychło złożyli mu stosowne propozycje. Trafiły one na bardzo podatny, internacjonalistyczny grunt i major Kalina, opatrzony licznymi instrukcjami oraz kryptonimem (kryptonim ten nie został nigdy publicznie ujawniony, ale od Penara wiem, że brzmiał on „szwagier”), wylądował w naszym Ministerstwie Obrony Narodowej. Radzieccy towarzysze nie ufali

nikomu, a szczególnie „bratnim krajom”. Choć ich władze głośno deklarowały dożgonną miłość do Lenina, sierpa, młota i czerwonej gwiazdy, woleli po cichu patrzeć im na ręce. Dlatego oprócz oficjalnych rezydentów i kontrolerów różnego szczebla mieli też w Polsce legion „szwagrów”, których zadaniem było, między innymi, kontrolowanie kontrolerów.

Kalina najpierw pracował w pionie kadr, a po szybkim awansie na podpułkownika przeszedł do Działu Planowania Strategicznego, gdzie osiadł na dłużej, osiągając w końcu stanowisko podsekretarza stanu. Pracował bardzo dobrze na obu zajmowanych posadach, a jego raporty były w Moskwie przyjmowane z zadowoleniem. „Szwagier” Kalina przeszedł oczywiście odpowiednie szkolenie, które miało go uodpornić na umizgi konkurencji, ale jego moskiewscy pracodawcy nie przewidzieli, iż skutki owego treningu nie sięgnęły najgłębszych pokładów duszy ich podopiecznego, bowiem zakładali, że niczego takiego jak dusza on nie posiada. Było jednak inaczej, gdyż Kalina jak najbardziej duszę posiadał i była to dusza znakomitej jakości, polska, rogata i strukturalnie antykomunistyczna. Na początku lat osiemdziesiątych w głębinach owej duszy rozpoczęła się przemiana, w wyniku której Kalina zaczął czulej spoglądać na smalących do niego cholewki agentów CIA. Zaloty sfinalizowały się w 1981 roku i pułkownik zaczął robić na dwie strony, stając się dla Amerykanów (znów te rodzinne powiązania) „Wujkiem Wiktorem”.

KGB słynie ze znajomości swojego fachu, toteż CIA, sprawdzając Wujka Wiktora, nie dokopała się jego sowieckiego

szwagrostwa i uznała go za wspaniałą zdobycz. Zupełnie inaczej niż w Moskwie, gdzie nowe koneksje rodzinne Szwagra zostały błyskawicznie namierzone i odpowiednio docenione.

Przez ręce Wujka Wiktora zaczął płynąć za Atlantyk obfity strumień dezinformacji i fałszywek. Wujek niezmordowanie przekazywał stosy supertajnych dokumentów dotyczących Układu Warszawskiego, aż w końcu Amerykanie znali już dokładnie lokalizację i stan nie tylko większych oddziałów lub obiektów wojskowych, ale wręcz poszczególnych stanowisk raketowych w Polsce, NRD i na Węgrzech. I to wreszcie wzbudziło ich nieufność. Powtórne, arcydokładne sprawdzenie ujawniło tym razem moskiewskie powinowactwa Wujka Wiktora. Ludzie z CIA byli wściekli, ale niczego nie dali po sobie poznać, aby nie zakłócać powstałej, subtelnej równowagi wywiadowczej typu: oni przesyłają nam gówno, my wiemy, że to gówno, ale udajemy, że to nie gówno, po to, aby oni myśleli, że my wierzymy w ich gówno. Wszystko więc pozostało po staremu.

Jednakże czas płynął i przemiany w duszy Kaliny nabierały tempa, dorównując szybkością przemianom w kraju. Nie tylko nie był już żarliwym komunistą, ale odkrył w sobie uspięne dotychczas pokłady wiary oraz umiłowanie prawdziwej demokracji i prywatnej własności. Zaczął pilnie uczęszczać do kościoła, a także demonstrować swoje poparcie dla wolnych związków zawodowych, wolności słowa i kilku jeszcze wolności, których istnienie uważał dawniej za burżuazyjne wymysły, mające na celu bardziej

bezwzględny wyzysk człowieka przez człowieka. Tak odmienionemu bliżej było oczywiście do Wujka Wiktora niż do Szwagra. Zaczął więc na własną rękę przekazywać do Waszyngtonu również prawdziwe informacje. Ale nad Potomakiem miał już całkiem przechlapane i jego raporty wciąż lądowały w koszu na śmieci. Tam też znalazła się wiadomość o przygotowywanym przez komunistyczny rząd w Polsce wojskowym zamachu stanu i planach rozprawienia się z opozycją przy pomocy masowych aresztowań. Między innymi dzięki temu zamach w pełni się powiódł.

W ciągu jednej nocy aresztowano ponad 2 tysiące opozycyjnych działaczy, a władzę objęła junta wojskowa, przybierając, jak to zwykle bywa, nazwę Komitetu Ocalenia Ojczyzny. W dzień po zamachu aresztowano też Wujka Wiktora, którego niecny proceder radzieccy towarzysze ujawnili nowym władzom, wszelako zatrzymując dla siebie informacje o jego moskiewskim szwagrostwie. Na wiadomość o aresztowaniu groźnego amerykańskiego szpiega w samym sercu polskiej armii CIA zareagowała skierowaną do KGB tajnymi kanałami groźbą ujawnienia faktu, że był to również szpieg radziecki. Rosjanom specjalnie nie zależało na rozpowszechnianiu tej rewelacji, podobnie jak Amerykanie nie byli zainteresowani, aby świat dowiedział się, że znali plany przewrotu w Polsce i w żaden sposób nie zareagowali. Obie potęgi wywiadowcze dogadały się więc, uzgadniając wersję, zgodnie z którą Kalina w ostatniej chwili zawiadomił Amerykanów o planach zamachu, tak że nie zdążyli oni już nic zrobić, poza pośpiesznym wywiezieniem dzielnego

pułkownika do USA - co udało się niemal cudem - i przyznaniem mu azylu politycznego. Nowe polskie władze ogłosiły tę legendę, urządziły Kalinie zaoczny proces przed sądem wojskowym i skazały go na śmierć. On tymczasem siedział w najtajniejszym specwężeniu niczym współczesna wersja „żelaznej maski”, choć oficjalnie żył w Ameryce pod zmienionym nazwiskiem i stałą ochroną.

Upadek komunizmu w kraju, rozpad Związku Radzieckiego i postępujące u nas zbliżenie z Amerykanami nie zmieniły jego sytuacji. Mimo że polskie władze deklarowały chęć przewiezienia pułkownika do USA, aby jego legenda stała się prawdą, Amerykanie nie wyrażali na to zgody. Najwyraźniej nie chcieli ściągać sobie na głowę kłopotliwego gościa i unikali odgrzewania starej sprawy, aby nie komplikować i tak już złożonych stosunków z Rosją. Tym sposobem powoli o Kalinie zapominano, chociaż nie na tyle, żeby zwrócić mu wolność. Siedział od prawie szesnastu lat w różnych specwężeniach i wiedział o nich tyle, że choćby z tego powodu mógł mieć nikłą nadzieję na uwolnienie.

Tu, w Wetelinie, przebywał od ośmiu lat, pracując wciąż nad kolejną wersją swoich wspomnień. Chodziłem z nim czasami na spacer, podczas których opowiadał mi o swoich doświadczeniach parapsychologicznych. Według jego własnych słów, od pewnego momentu w życiu, kiedy to działy się z nim różne dziwne rzeczy (w znacznym stopniu podobne do tych, które przydarzyły się mnie, księdzu Weise i... komu jeszcze?), dysponował pewnymi zdolnościami do prekognicji i telekinezy. Dwa lata temu przeszedł

coś, co lekarze nazwali niewielkim wylewem krwi do mózgu, a on sam „krótkotrwałym psychogennym letargiem”. Podobno, będąc w silnej depresji, która od wielu lat okresowo wyłączała go z wszelkiej aktywności, niespodziewanie stracił przytomność na prawie cztery godziny, a następnie ocknął się, wstał z łóżka jakby nigdy nic i od tego czasu depresja się nie pojawiła. Stopniowo i bez żadnego specjalnego leczenia wyzdrowiał też ze wszystkich schorzeń i niedomagań trapiących jego ponad już sześćdziesięcioletnie ciało, tak, że od owego „wylewu” stanowił okaz tężyzny i dobrego samopoczucia. Pił jak smok, nie stosował żadnej diety i codziennie rano przebiegał trzy kilometry. Wyznał mi z wahaniem i wielkimi oporami, że ma wrażenie, iż owe cztery godziny nieprzytomności spędził w jakimś innym świecie, z którego zachował liczne, choć niejasne wspomnienia. Nie mówił o tym nikomu, bo bał się, że zostanie uznany za wariata. Skądinąd bał się słusznie.

Biglera poznałem chyba w 1994 roku na chrzcinach jego córki. Znalazłem się tam z wówczas jeszcze moją żoną, Paulina, której Biglerowie byli stosunkowo bliskimi krewnymi. Był wtedy młodym jak na tę profesję, chadeckim politykiem, mogącym się poszczycić nienaganną opozycyjną przeszłością. W okresie rządów wojskowych więzień polityczny, po upadku komuny zrobił błyskawiczną karierę i w trzydziestym siódmym roku życia został wiceministrem przy pierwszym cywilnym ministrze obrony narodowej.

Pełnił tę funkcję w czterech kolejnych gabinetach aż do zeszłego roku, kiedy został po cichu zdymisjonowany i znalazł się w Wetelinie.

Bezpośrednią przyczyną tych wydarzeń był opracowany przez niego, adresowany do prezydenta memoriał, w którym ujawniał, że na polecenie kolejnych premierów zajmował się cichą sprzedażą polskiej broni do Iranu i Libii, ale też do kilku jeszcze innych bliskowschodnich i afrykańskich krajów objętych embargiem ONZ na dostawy uzbrojenia. Był to fantastyczny interes, pozwalający państwu podtrzymać upadający przemysł zbrojeniowy i lotniczy oraz kooperujące z nim zakłady, dające w sumie zatrudnienie przeszło dwustu tysiącom ludzi. Bigler doskonale dawał sobie radę z jego prowadzeniem do chwili, kiedy w zeszłym roku doznał, jak twierdzili lekarze, zawału serca z długotrwałą utratą przytomności i prawdopodobnie niedotlenieniem mózgu. Ku ich zdumieniu wyszedł z tego bardzo szybko i bez dającego się stwierdzić uszczerbku na zdrowiu. On sam twierdził, że przeżył przełom psychiczny, który generalnie odmienił jego poglądy. Zerwał z religią katolicką i przeszedł na buddyzm, a także postanowił oczyścić swoje życie z kłamstwa i posługiwać się w każdych okolicznościach wyłącznie prawdą. Praktycznie oznaczało to koniec jego politycznej i urzędniczej kariery, chociaż nikt w pracy ani w partii jeszcze się tego nie domyślał. Bomba wybuchła dopiero, gdy złożył na ręce prezydenta swój memoriał, z którego wynikało, że zamierza zablokować działania wszystkich utworzonych przez siebie i ściśle powiązanych z rządem niব্যprywatnych spółek handlu bronią oraz ujawnić ich dotychczasowe poczynania. Wtedy został natychmiast zdymisjonowany, aresztowany i przewieziony do Weteliny. Wobec

coraz bliższej perspektywy wejścia do europejskich struktur obronnych Polska nie mogła sobie pozwolić na międzynarodowy skandal związany z łamaniem embarga ONZ. Memoriał Biglera został najpierw ściśle utajniony, a potem prawdopodobnie zniszczony. Z tego, co Bigler opowiadał mi podczas wieczornych posiedzeń w barze, wynikało, że dokument ów był prześląknięty specyficznym mistycyzmem, wynikającym z wiary autora w reinkarnację i wielość rzeczywistości i że zawierał postulaty podporządkowania celów politycznych transcendentalnym wartościom, takim jak prawda i miłość. Biglera uznano nieoficjalnie za niebezpiecznego wariata.

W Wetelinie oddawał się długotrwałym medytacjom, tworzył tuszem subtelne rysunki pełne dziwacznych, uczłowiczonych roślin i „zrośliniałych” ludzi oraz układał prawdziwie piękne haiku, jeśli ktoś lubi ten rodzaj poezji.

Oddawał się też opiece nad zwierzętami, które, z wyjątkiem kotów, lgnęły do niego i obdarzały zaufaniem. Oprócz dwóch psów, w swoim pełnym wspaniale rosnących roślin pokoju miał oswojone myszy i pięknego kruka, którego znalazł chorego w lesie i wyleczył. Kiedyś ogólnikowo wspomniał przy mnie, że posiada pewien specyficzny dar, ale na tym poprzestał. Jak dotąd.

Taborski siedzi w Wetelinie, ponieważ jest faszystą. I to nie cichym faszystą, który daje wyraz swoim poglądom w czterech ścianach własnego domu albo w ścisłym kręgu podobnie myślących znajomych, będąc na co dzień zdyscyplinowanym i spokojnym obywatelem. Takich jest w Polsce legion, ale Taborski do nich nie

należy. Taborski jest faszystą głośnym, ostentacyjnym i aktywnym. Dzisiaj krzepki osiemdziesięciolatek o bystrym umyśle i wyprostowanej sylwetce, od szesnastego roku życia należał do skrajnie nacjonalistycznych organizacji młodzieżowych, bił Żydów i uwielbiał Mussoliniego. Jako osiemnastoletni student prawa wprowadzał ławkowe getto, był działaczem falangi oraz należał do Ligi Morskiej i Imperialnej, snującej plany zdobycia dla Polski kolonii w Afryce. Fanatyczny patriota i antykomunista, podczas hitlerowskiej okupacji walczył w Narodowych Siłach Zbrojnych i z Niemcami, i z czerwonymi „wyzwolicielami”. W 1946 roku wyemigrował do Anglii, gdzie ukończył studia prawnicze i sympatyzował z „czarnymi koszulami” brytyjskiego Hitlerka - Mosleya. Do kraju wrócił w 1989 roku, aby założyć PPNS, czyli wkrótce zdelegalizowaną za podżeganie do waśni narodowościowych Polską Partię NarodowoSocjalistyczną. Skrajny antysemita i rasista głosił hasło „Polska dla Polaków”, wokół którego organizował młodzieżowe bojówki dopuszczające się licznych i brutalnych rasistowskich demonstracji, zakłóceń oficjalnych uroczystości państwowych, pobić, a nawet zabójstw.

Wielokrotnie aresztowany i wypuszczany z aresztu (świektnemu prawnikowi trudno było cokolwiek udowodnić) został w końcu skierowany przez sąd na przymusowe badania psychiatryczne, na które się nie stawiał, schodząc definitywnie do podziemia. Przez dłuższy czas działał i kierował swoimi wyznawcami z ukrycia, aż wreszcie niespodziewanie sam oddał się w ręce policji i wkrótce

znalazł się tutaj.

Był najbardziej milczącym z pensjonariuszy. O swoich poglądach i działalności nigdy nie wspominał ani nie włączał się w żadne dyskusje. Właściwie nie brał udziału w spotkaniach towarzyskich, jedynie w rozgrywkach brydżowych uczestniczył bardzo chętnie. Był znakomitym brydżystą. Czasami też chodził na spacer z byłą wicepremier rządu Wielopolskiego - Miriam Bisiąg albo odwiedzał ją w jej „biurze”. Od niej dowiedziałem się, że Taborski półtora roku temu doznał niewielkiego wylewu krwi do mózgu, w czasie którego, jak się wyraziła, „dotknął go palec boży i całkowicie odmienił jego duszę”.

Nic więcej na ten temat nie chciała powiedzieć. Mnie ostentacyjnie nie poznawał nawet przy brydżowym stoliku, mimo że zostaliśmy sobie przedstawieni i spotykaliśmy się w „salonie politycznym” żony przewodniczącego Polskiej Partii Republikańskiej (republikanie udzielali poparcia mojej kandydaturze do senatu), Mariusza P.

Były senator KubaKubicki i była wicepremier Miriam Bisiąg przebywali w Wetelinie między innymi na prośbę ich rodzin. Obydwoje byli autentycznymi wariatami.

Kubicki - bo tak właściwie brzmiało jego nazwisko - klinicznie rzecz biorąc, przedstawiał sobą rzadki przypadek tak zwanej „prawdziwej paranoi”. Jej cechą charakterystyczną jest posiadanie przez chorego rozbudowanego, wewnętrznie spójnego i pozornie logicznego systemu urojeń. Urojenia Kubickiego związane były z jego

nazwiskiem. Uważał on mianowicie, że jest ostatnim przedstawicielem prastarego i swego czasu bardzo potężnego rodu Kubów, do którego, z racji powiązań rodzinnych i małżeńskich aliansów z różnymi dynastiami arystokratycznymi, należały olbrzymie dobra rozsiane po całym świecie. Z wykształcenia historyk, Kubicki przez całe lata pielęgnował swego bzika, tropiąc ślady Kubów w ciągu stuleci dziejów powszechnych. Powstała z tego opasła, ponad tysięcznoscowa książka, pełna dokumentów, map, szkiców bitew, tablic genealogicznych i zdjęć rozmaitych obiektów archeologicznych, będąca w całości absurdalnym bełkotem, mimo poprawnej formy dzieła historycznego. Kubicki nie zabiegał o publikację tego utworu, uważając go za wciąż nieukończony, dzięki czemu nikt się nie zorientował, że nienagannie wychowany, niezwykle uczynny i zaangażowany społecznie erudyta jest szalony jak przysłowiowy marcowy zajac.

Orientację w tej materii dodatkowo utrudniał fakt, iż późniejszy senator pełnił obowiązki dyrektora jednego z lepszych bydgoskich liceów i udzielał się politycznie w miejscowym oddziale Unii Lewicowych Liberalów. Z jej też ramienia został wybrany do senatu. I wtedy wszystko się wydało, bowiem nowy senator, będąc członkiem komisji spraw zagranicznych, na firmowych papierach Senatu RP i w jego imieniu, przedstawiając senat jako reprezentanta interesów rodziny KubaKubickich (pod tak zmienionym nazwiskiem występował publicznie), zgłosił formalne roszczenia terytorialne do wyspy Kuby, do obszarów położonych nad rzeką Kubań na Ukrainie,

do ujścia rzeki Kubango w Angoli i do paru jeszcze miejsc na świecie o podobnych nazwach. Żądanie zwrotu tych ziem prawowitemu właścicielowi, czyli sobie, Stanisławowi Marii KubaKubickiemu, senator uzasadniał obszernymi fragmentami swego monumentalnego dzieła zatytułowanego ostatecznie: „Dzieje jednego rodu. Przyczynek do powszechnej historii arystokracji”. Ukazywało się wtedy, tak jak zresztą i dziś, bardzo dużo książek o przeżywającej renesans warstwie szlacheckie urodzonych, więc tytuł książki brzmiał jak najbardziej wiarygodnie i na czasie. Dokumenty opatrzone pieczęciami senatu udało się Kubickiemu przesłać pocztą dyplomatyczną do prezydentów i premierów Kuby, Ukrainy i Angoli. Mógł z tego wyniknąć niesłychany skandal, bowiem, mimo kompletnie zwariowanej treści, noty Kubickiego były ponad wszelką wątpliwość autentyczne i zgodnie z dyplomatyczną pragmatyką musiały być potraktowane oficjalnie. Na szczęście wszyscy, z wyjątkiem Kubańczyków, uznali incydent za wyskok wariata i tajnymi kanałami zwrócili się do polskiego rządu o wyjaśnienia. Kuba natomiast zwróciła się o to samo za pomocą oficjalnej noty, wręczonej przez kubańskiego ambasadora naszemu ministrowi spraw zagranicznych. W Warszawie powstało okropne zamieszanie. Ponieważ nikt nic nie wiedział, zaczęto gorączkowo poszukiwać senatora Kubickiego, który przepadł jak kamień w wodę. Co najmniej batalion policjantów i funkcjonariuszy UOP przez kilka godzin dostawał białej gorączki, usiłując namierzyć służbowego peugeot, którym senator odjechał w siną dal. Tymczasem sprawca całego ambarasu objawił się sam we wsi Kubasy

koło Suwałk, do której przybył, powożąc senacką brykę z fantazją szwoleżera, i oświadczył przestraszonemu sołtysowi oraz zebranemu wokół niego stadku bab z dziećmi, że jest ich nowym dziedzicem. Machnął wszystkim przed oczami senatorską legitymacją i pojechał dalej, do Suwałk, aby stamtąd nadać do prezydenta depeszę z żądaniem potwierdzenia jego praw własności do przełęcz Kubalonka. Dzięki tej właśnie depeszy został wreszcie zlokalizowany przez policję i zatrzymany.

Niestety, nie dało się już z nim nawiązać rzeczowego kontaktu, więc przewieziono go do szpitala psychiatrycznego w Abramowicach, skąd uciekł po dwu dobach, dotarł w piżamie do konsulatu białoruskiego w

Białymstoku i poprosił o azyl polityczny. Przekazany przez wystraszonych pracowników białoruskiej placówki polskim władzom, został, na prośbę rodziny, która nie podejmowała się sprawować nad nim nadzoru, przewieziony do Weteliny i tu, na wniosek lekarza psychiatry, bezterminowo internowany. Jest jednym z bardzo nielicznych pensjonariuszy, którym w czasie spacerów towarzyszy strażnikpielęgniarski. Ciche wariactwo Kubickiego uaktywniło się w ciągu kilku dosłownie godzin i rozegrało w ciągu kilku dni. W tym czasie ze spokojnego, nie wadzącego nikomu dziwaka zmienił się w rezonerskiego, napastliwego ekstremistę, którego bała się nawet jego własna rodzina. W Wetelinie zajmował się pisaniem dzieła dotyczącego, jak sam powiadał, „filozoficznofizycznej analizy czasu”. Utrzymywał w nim podobno (tak twierdziła Miriam Bisiąg, której dawał do czytania napisane fragmenty), że czas ma naturę

cząsteczkową i jest rodzajem nieustannie przemieszczającej się materii, w której tworzą się specyficzne wiry, będące różnymi, dziejącymi się równolegle rzeczywistościami. Sam Kubicki nic na ten temat nie wspominał, jak zresztą na żaden inny, jako że z nikim poza Miriam się nie kontaktował.

O tym, że się kiedyś poznaliśmy w „salonie politycznym” Małgorzaty P. i że nawet opracowywaliśmy razem pewną ekspertyzę dla Ministerstwa Edukacji najwyraźniej nie pamiętał. Personel twierdził, że jego rzeczy osobiste i pokój przesiąknięte są dziwnym, nieco odurzającym zapachem, którego źródła w żaden sposób nie dało się ustalić.

Miriam Bisiąg znalazła w Wetelinie azyl, do którego schroniła się przed prześladowającymi ją demonami. Wciąż jeszcze bardzo atrakcyjna kobieta, socjolog, doktor habilitowany nauk humanistycznych, miała za sobą wspaniałą opozycyjną przeszłość. Była doradcą niezależnych związków zawodowych od zarania ich nielegalnej jeszcze działalności, członkiem Komitetu Helsińskiego oraz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, działaczką Amnesty International i członkiem Komitetu Wspomagania Robotników.

Aresztowana w czasie przewrotu wojskowego spędziła trzy lata w więzieniu, gdzie napisała sławną później książkę „Demokracja a służby specjalne”. Po upadku komunizmu była jedną z założycielek Partii Liberalnej, z ramienia której weszła jako wicepremier do utworzonego przez Wielopolskiego pierwszego niekomunistycznego

rządu. Ale niestety, podobnie jak KubaKubicki, miała cichego świra. Polegał on na jej niezachwianej wierze w spiskową teorię dziejów, wedle której ponad oficjalnymi strukturami państwowymi stoi potężna międzynarodowa organizacja totalitarna, sprawująca rzeczywistą władzę. Była przekonana, że komunizm jest jednym z przejawów spisku, zawiązanego przez dążącą do objęcia kontroli nad światem stosunkowo wąską grupę superpotentatów finansowych i będących na ich usługach technokratów. Technokraci owi opanowali przede wszystkim służby specjalne większości krajów, dzięki czemu gang kształtujących gospodarkę światową arcykapitalistów stanowi również rodzaj tajnego światowego superrządu.

Służby specjalne, z CIA na czele, podporządkowane powołanej przez J. P.

Morgana prywatnej Radzie Stosunków Międzynarodowych (która jest jawną ekspozyturą wspomnianego tajnego rządu światowego) są, według pięknej Miriam, odpowiedzialne za wywołanie krachu na giełdzie nowojorskiej w 1929 roku, za rozpętanie obu wojen światowych oraz wojen koreańskiej i wietnamskiej, a także za rozpad Związku Radzieckiego i upadek komunistycznych reżimów w jego satelickich krajach. Upadek ów jednakże nie oznacza końca komunizmu, a tylko jego przejs'cie do innych form działania, wśród których na pierwszym miejscu plasuje się międzynarodowy superterrorizm, polegający na stymulowaniu waśni narodowościowych i religijnych, wznecaniu na tym tle wojen domowych i lokalnych oraz na zabójstwach osób publicznych

oddanych ideom ogólnoludzkiego braterstwa i tolerancji, takich jak John Lennon, Jim Morrison, Księżna Diana czy Matka Teresa z Kalkuty. Zarówno służby specjalne, jak i rząd światowy zostały zdominowane przez reprezentantów narodu, który walkę o objęcie władzy nad światem ma wpisana w zbiór najświętszych i jednocześnie najtajniejszych obowiązków religijnych, czyli przez Żydów, i dlatego Żydzi zawsze i wszędzie stanowią zagrożenie dla demokracji.

Tak mniej więcej wyglądał świat według Miriam Bisiąg, choć oczywiście ona sama opisywała go w sposób nieporównanie barwniejszy i pełen niedościgłej erudycji. W rządzie Miriam zajmowała się sprawami strategii politycznej oraz nadzorem nad MSW i służbami specjalnymi. Była to niestety woda na młyn jej bzika, którego coraz szybsze obroty powodowały, że w istocie poświęcała się tropieniu niezliczonych spisków i zbrodniczych tajnych porozumień. Dostrzegając ich coraz więcej wokół siebie, nieustająco dociekała, kto spośród członków klasy politycznej i elity gospodarczofinansowej jest Żydem, a kto nie. Z czasem wszczynane przez nią afery, dochodzenia i śledztwa, rzucane podejrzenia i pomówienia, zbierane na różne osoby teczki, składane do różnych instancji doniesienia, zawiadomienia i raporty zaczęły być mocno kłopotliwe. Punktem zwrotnym w tej radosnej działalności była rozpętana przez panią wicepremier gigantyczna afera, w której padły oskarżenia o zdradę główną wobec kilku jej kolegów z rządu, a nawet samego premiera. Od tego momentu dla większości stykających się z nią ludzi stało się jasne, że piękna Miriam jest, delikatnie mówiąc,

niezrównoważona psychicznie. Została cicho i bez protestu jakiegokolwiek opcji politycznej zdymisjonowana i odesłana na wcześniejszą emeryturę. Zinterpretowała to oczywiście jako rezultat spisku agentów służb specjalnych dybiących na jej życie. Zaczęła się ukrywać, zasypując jednocześnie prokuratury i policję lawiną doniesień i skarg na ogromną liczbę Bogu ducha winnych ludzi, których podejrzewała o udział w skierowanej przeciw sobie zмовie. W końcu wyczerpana i na wpół oszalała ze strachu poprosiła komendanta głównego policji o ochronę i umieszczenie jej w bezpiecznym, dobrze strzeżonym miejscu. Prośbę tę poparła jej udręczona do ostateczności rodzina. Tym sposobem nieco ponad dwa lata temu znalazła się w Wetelinie. Na początku pobytu przeżyła ciężki epizod psychotyczny z katatonicznym osłupieniem, z którego wyszła po trzech tygodniach jako osoba całkowicie odmieniona.

Twierdziła, że nazywa się Maria Klemencja Dam i jest psychoterapeutką (sic!) pracującą w naszym, jak to nazywała, „azylu zbłąkanych”. Opiekujący się nią lekarze stwierdzili z niejakim zaskoczeniem, że Miriam Bisiąg zniknęła całkowicie z jej pamięci, choć wiele faktów z nowej biografii Marii Klemencji było tożsamych z życiorysem Miriam aż do momentu wyjścia z więzienia. Z całego następnego okresu w jej pamięci nie został żaden ślad.

Jako Maria Klemencja Dam po wyjściu z więzienia otrzymała propozycję pracy w Wetelinie w charakterze socjologa i po pewnym czasie, wypełnionym nauką oraz próbami pracy terapeutycznej z pensjonariuszami ośrodka, zaczęła się uważać za psychoterapeutkę.

Całkowicie też zapomniała o swoim mężu, szesnastoletniej córce, dwudziestoletnim synu i siostrze. Maria Klemencja była jedynaczką i nigdy nie wyszła za mąż, gdyż przez całe swoje życie odczuwała pociąg seksualny do kobiet, zaś z mężczyznami mogła się jedynie przyjaźnić.

Kierownictwo ośrodka nie tylko nie wyprowadzało Miriam z błędu co do jej tożsamości, ale przydzieliło jej małe biuro w budynku administracyjnym, gdzie „pracowała”, przyjmując chętnych pensjonariuszy na sesje, jak to ona nazywała, „logoterapii transosobowej, czyli leczenia za pomocą hipnotycznej unii umysłów”. Prowadziła też dwa razy w tygodniu coś w rodzaju grupy terapeutycznej własnego pomysłu, będącej skrzyżowaniem spotkania anonimowych alkoholików i nabożeństwa amerykańskich kwaków. Rządową emeryturę wypłacano jej jako pensję.

Jeden z młodszych pensjonariuszy, korzystający z usług Marii Klemencji powiedział mi, że w czasie terapii zarówno on, jak i terapeutka, zapadali w rodzaj transu, podczas którego, jak twierdził, mógł oglądać świat, swoje życie i problemy jej oczami, co pozwalało mu nieraz dostrzec aspekty i rozwiązania przedtem niedostrzegane.

Żeby bliżej zorientować się, o co chodzi, zgłosiłem się do Miriam na wizytę.

- Pana nie mogę przyjąć - powiedziała, kiedy przyszedłem do jej biura. - To pan mógłby przyjąć mnie - dodała. - Ale ja tego nie chcę.

Więcej nie próbowałem jej podglądać.

Poznałem ją osobiście jeszcze w jej poprzednim wcieleniu przez moją

byłą żonę. Obie panie studiowały na jednym roku i od tamtego czasu przyjaźni-ły się ze sobą. Przyjaciółkami były też nasze córki. Z Miriam byłem nawet po imieniu, chociaż nigdy nie darzyła mnie sympatią, będąc przekonana, że jestem Żydem i członkiem „sekciarskiej międzynarodówki”, powołanej do szerzenia na świecie nietolerancji i religijnego fanatyzmu. Jako Maria Klemencja Darn nawet mnie nie poznała.

Adam Bąk wyłonił się z politycznego niebytu od razu jako szef UOPu, mianowany na to stanowisko na wyraźne życzenie naszego ówczesnego prezydentaproletariusza. Nikomu przedtem nieznan, urodzony w zapomnianej przez Boga nadbużańskiej wsi Pizdury prokurator ze Świecia, przedziwnym sposobem zawładnął sercem ojca narodu i został jego faworytem aż do końca kadencji. Uporczywe plotki głosiły co prawda, że była to miłość nieco wymuszona, ponieważ Bąk miał przypadkowo wejść w posiadanie przeznaczonych do zniszczenia w miejscowej papierni dokumentów, z których wynikało, że szef państwa, zanim zrobił karierę stulecia, dorabiał jako szeregowy agent milicji politycznej, donosząc, za skromnym wynagrodzeniem na kolegów z opozycji. Późniejszy główny ochroniarz państwa miał podobno złożyć nowowybranemu prezydentowi propozycję nie do odrzucenia, w wyniku czego zjechał ze Świecia do Warszawy, prosto do swego zacisznego gabinetu w gmachu UOPu przy ulicy Rakowieckiej. Brzmiało to tym bardziej prawdopodobnie, że był nie kryjącym tego faktu członkiem Kościoła Scjentologii, co dla prezydenta, bezkompromisowego katolika i

rycerza Niepokalanej, w żadnym razie nie mogło być dobrą rekomendacją. Nowy prezydent przez ponad rok nie ruszył Bąka, który miał już wtedy ugruntowaną opinię polskiego Edgara Hoovera, dysponującego odpowiednio kompromitującymi kwitami na każdego, kto w kraju cokolwiek znaczył. Może coś w tym było, a może nie, bo jednak Bąk w końcu znalazł się tutaj i, jak dotąd, przebywał w zamkniętej, ściśle więziennej części ośrodka.

Był to człowiek, którego wszyscy trochę się bali, i którego, w związku z tym, po cichu, serdecznie nienawidzili. Niski, chuderlawy, z oczami, w których było mniej więcej tyle wyrazu, ile jest go w zakrętkach od kanistrów na benzynę, miał umysł równie otwarty, jak zamknięta była jego nieruchoma, nijaka twarz. Współpracownicy nazywali go między sobą „cyborgiem” albo „portretem pamięciowym”, bowiem te określenia doskonale oddawały ilość emocji malującą się zazwyczaj na jego obliczu. Za tą maską krył się pierwszorzędny rozum nasycony imponującą wiedzą, ruchliwy i twórczy, który jednakże skupiał się tylko na jednej sprawie - zdobywaniu i sprawowaniu władzy nad innymi ludźmi. Przy czym chodziło tu o rzeczywistą władzę, a nie jej pozory pod postacią eksponowanych stanowisk i efektownych splendorów.

Bąk prawie nigdy nie występował publicznie, nie wypowiadał się na żadne tematy w mediach (zdawał się cierpieć, jeśli musiał wygłosić zdanie dłuższe niż cztery wyrazy), nie był obiektem prasowych plotek, nie uczestniczył i nie reprezentował, ale przez pięć lat faktycznie rządził krajem.

Pod jego kierownictwem służby specjalne stały się doskonałym instrumentem kształtowania polityki państwa i sprawowania kontroli nad istotnymi obszarami jego funkcjonowania. Był człowiekiem bez potrzeb, pracoholikiem, którego jedyną namiętnością była intryga i gra, a jedyną przyjemnością wygrana. Nie zabiegał o pieniądze ani o dobra materialne, w związku z czym sam był nieprzekupny, będąc jednocześnie mistrzem korupcji, pozbawionym wszelkich zasad i hamulców politycznym gangsterem, zmierzającym do celu, jeśli trzeba, po trupach i bez jakichkolwiek moralnych skrupułów. Jego idée fixe było kontrolowanie Kościoła Katolickiego oraz wszystkich innych wyznań i ruchów religijnych jako organizacji najsilniej oddziałujących na ludzkie masy i wpływających na opinię publiczną. Udawało mu się to zresztą znakomicie, dzięki rzeszy świetnie ulokowanych agentów, wśród których było wielu hierarchów i kapłanów zmuszonych do współpracy za pomocą bezlitosnego szantażu. Inna sprawa, że o zdobycie podstaw do szantażu nie było w ich przypadku trudno. Na podobnej zasadzie kontrolował znaczną część korpusu oficerskiego, policji i sfer gospodarczofinansowych. Mówiąc krótko, niepozorny milczek, pochodzący z zapomnianej przez Boga wiochy, której nazwa brzmiała w dodatku jak nieprzyzwoity żart, był najpotężniejszym człowiekiem w państwie. A teraz siedział tutaj, w zapomnianym przez ludzi więzieniu, ukryty, skrupulatnie odizolowany od źródeł swojej potęgi, bezradny i bezsilny jak meduza na piasku.

Coś się porobiło. Coś się musiało porobić. Jakieś potężniejsze od

niego siły musiały go obalić, bo na pewno nie oddał władzy dobrowolnie. Za bardzo ją kochał i za bardzo jej pożałował.

Te same siły mogły się zwrócić również przeciwko mnie, bowiem Bąk wiedział rzeczy, których nie powiedziałem księdzu Weise i o których wolałem myśleć, że nie miały miejsca. Być może wiedział nawet, gdzie są teraz Marianna i Madzia. Boję się, ale mogę tylko czekać. Wszystko wszystkim wymknęło się z rąk.

Strasznie się rozpisałem na temat naszego, jak mawia Miriam, „ośrodka dla zbłąkanych” i jego głównych, tak chyba należałoby powiedzieć, mieszkańców. W każdym razie nie więźniów. Nikt z nas właściwie nie czuje się uwięziony. Jesteśmy raczej rozbitkami, których ich indywidualne strumienie czasu osadziły na tej samej mieliźnie. Nie mamy już nic do zrobienia, a więc nie ma też dokąd i po co uciekać. Przymusowy pobyt w Wetelinie pozwala nam udawać przed sobą i światem, że nasze egzystencje jeszcze nie wyczerpały do końca zawartych w nich możliwości. Jesteśmy wszak w więzieniu. Pilnują nas, a więc komuś zależy, aby uniemożliwić nam swobodę działania. Owa wyrażająca się odebraniem nam wolności czyjaś wiara w to, że jakaś znacząca aktywność z naszej strony jest jeszcze możliwa, krzepi nasze siły. Zniewolenie podtrzymuje nas na duchu, pozwalając wierzyć, że nasze dalsze trwanie ma jeszcze inny, poza samym trwaniem, ważniejszy sens. Może zresztą ma? Nie wiem. Podobno nigdy nic do końca nie wiadomo. Ale dziś, tu i teraz, jest dla mnie boleśnie jasne, że gdyby nas stąd wypuszczono, nie mielibyśmy dokąd pójść ani co robić. Dlatego tak naprawdę wcale nie trzeba nas

pilnować, a informacje o wartownikach strzegących dzień i noc ogrodzenia są miłosierną legendą, w którą skwapliwie zgadzamy się wierzyć. Sprawdziłem to któregoś dnia empirycznie, odbywając dłuższy spacer wzdłuż odgradzającej nas od wolności siatki i odwiedzając kilka wieżyczek wartowniczych. Tak jak przewidywałem, w siatce ziały liczne, ogromne dziury, zaś pomieszczenia dla strażników służyły najwyraźniej wyłącznie za toalety robotnikom leśnym i grzybiarzom. Przypuszczam, że większość z nas robiła podobne wycieczki i w różnych częściach ogrodzenia, z wyjątkiem okolic bramy głównej, mogła stwierdzić identyczny stan rzeczy. Nigdy jednak nie stanowił on przedmiotu naszej rozmowy, tak jak nigdy nie rozmawiało się o powodach naszego tu pobytu. Były to tematy tabu. Nawet przed sobą nawzajem woleliśmy udawać, że trzymają nas tutaj, ponieważ jesteśmy, każdy na swój sposób, niebezpieczni dla porządku w państwie i stanowimy, chwilowo tylko pokonaną, ale wciąż groźną opozycję. Groźną na tyle, że władze zdecydowały się złamać z naszego powodu prawo i pogwałcić zasady demokracji. Dla byle kogo przecież się takich rzeczy nie robi. Byle kogo sądzi się i skazuje albo uniewinnia w normalnych procesach sądowych. Byle kogo, jeśli stan zdrowia tego wymaga, umieszcza się w normalnych szpitalach psychiatrycznych. Ale byle kto - to nie my! My - to nie byle kto! Aby nas wyłączyć z gry, państwo ryzykuje międzynarodowy skandal, naraża swoją reputację, stawia na kartę wiarygodność.

Ukrywa nas i izoluje, aby nasz los nie poruszył lawiny

solidarnościowych protestów. Czemu jednak nikt nie protestuje, zaniepokojony naszym zniknięciem?

Czemu w naszych sprawach nie interweniuje Europejska Komisja Praw Człowieka? Czemu naszymi losami nie interesuje się Komitet Helsiński i Amnesty International? Czemu nie zajmuje się nami pies z kulawą nogą? Ponieważ o to nie zabiegamy. Nie informujemy świata o swojej krzywdzie, nie piszemy listów otwartych, nie przemycamy apeli i oświadczeń, nie urządzamy głodówek i samobójczych demonstracji. Siedzimy cicho, bo każde z nas gdzieś w głębi duszy wie, że tak naprawdę stanowimy dla władz kłopotliwy remanent z przeszłości, z którym nie bardzo wiadomo, co zrobić. Najchętniej odesłano by nas do domów, na emerytury, pod opiekę rodzin. Ale może wtedy właśnie, zlekceważeni i urażeni w swojej dumie, zaczęlibyśmy głośno krzyczeć o bezprawiu, jakie nas spotkało, ujawniając to, o czym wszyscy wiedzą, ale o czym nie można głośno mówić. A pismacy, zawsze polujący jeśli nie na sensację, to chociaż na drobny skandal, zrobiliby z tego „niusy” na pierwsze strony swoich szmatławców, rozszczękałyby się kundelki, za nimi większe kundle, aż wreszcie dałyby głos brytany, których uważnie słucha zagranica. Lepiej tedy pozwolić nam odgrywać bohaterów na tej prowincjonalnej, ustronnej scenie, stworzonej do takich właśnie spektakli. Trochę to wprawdzie kosztuje, ale czyż, per saldo, się nie opłaca? Czy święty spokój kupiony za cenę wątpliwego luksusu i kilku teatralnych rekwizytów to zły interes? Na pewno nie. Jest to bardzo dobry interes. Tak dobry, że warto do tego co jest,

dorzucić nam jeszcze wypożyczalnię filmów i magnetowidy do „cel”, a nawet, jeśli byśmy zechcieli, po rowerze górskim albo telefonie komórkowym.

Jak widać, bez specjalnych oporów piszę o sobie i swoich współmieszkańcach per „my”, ponieważ uważam, że skrzyżowanie się ze sobą naszych prywatnych rzeczywistości w tym miejscu i w tym właśnie czasie nie może być przypadkiem. Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Nigdy nie uwierzę, że ślepy los zdecydował, iż w więzieniu spotkam się z siedmiorgiem ludzi, których poznałem w różnych okolicznościach mojego życia i z którymi byłem jakoś, na różne sposoby, powiązany. Nasze indywidualne rzeczywistości krzyżowały się już wcześniej, ale były to jakby przymiarki, krótkotrwałe preludia do tego, co nastąpiło tutaj, gdzie już od siedmiu miesięcy naszych siedem osobistych strumieni czasu (Bąk dołączył zaledwie kilka dni temu) skierowało się w jedno koryto. Doświadczenie poucza mnie, że coś takiego z reguły jest koniecznością, ucharakteryzowaną tylko na przypadek w celu zamaskowania jej i ukrycia przed niepowołanymi umysłami. Z tej konieczności zazwyczaj, prędzej czy później, wynikają zdarzenia mające znaczący, a nawet decydujący wpływ na dalsze życie tych, których światy się skrzyżowały. Wiele wskazuje na to, że tak będzie i tym razem. Albo nie będzie. Albo okaże się, że sens owych zdarzeń i ich wpływ na nasz los jest tak ukryty przed naszymi oczami, iż nawet ich nie wyłapiemy w toczących się strumieniach codzienności. Wszystko jest możliwe, chociaż moje przeczucia mówią mi, że coś

wisi w powietrzu. Ale mówią mi to już od trzech lat. Więc może te moje, pożał się Boże, przeczucia, to po prostu narastający strach?

Za prawdziwością moich prekognicji, jeśli to są oczywiście jakiegokolwiek prekognicje, przemawia jeszcze jedna przesłanka. Otóż wszyscy siedmioro (co do Bąka nic wciąż nie wiadomo) przeszliśmy w ciągu ostatnich lat pewną przemianę, która z każdego z nas uczyniła, w pewnym sensie, innego człowieka i uruchomiła w jego życiu ciąg zdarzeń prowadzący go wprost do Weteliny. Najbardziej dramatycznie przemiana owa wyglądała u Miriam Bisiąg, która po prostu stała się inną osobą. Przeżycia Biglera i Kubickiego, jak przypuszczam, niewiele jej w swojej dramatyczności ustępowały. Moje doświadczenia, które znam oczywiście najlepiej, były wręcz przerażające. Najmniej burzliwie przeistoczenie wyglądało u Penara, Kaliny i Taborskiego. Ale też o ich przeżyciach mam najmniejszą liczbę informacji, a na podstawie tych, które posiadam, mogę przypuszczać, że ich przemiany nie były jednak aż tak wyrozumowane, jak się wydaje. Szczególnie dotyczy to Penara i Kaliny, którzy w powszechnym przekonaniu „przefarbowali się” z komunistów na katolików i prawicowców.

I znowu, czy to nie zastanawiające? Czy mam wierzyć, że grupa takich jednostek przypadkowo spotkała się w tajnym więzieniu? Czy można uznać za przypadek to, że wszyscy byliśmy w identycznej, na dobrą sprawę, sytuacji psychologicznej przegranych graczy, którzy toczyli swoje gry o fantazmaty i urojenia zrodzone we własnych umysłach? Wydaje mi się to niemożliwe albo prawie niemożliwe.

Chociaż... Ostatnio przyszła mi do głowy myśl, że istotnie nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ponieważ przemianę przeszli, przechodzą albo przejdą wszyscy, a przynajmniej wszyscy dorośli, u których, inaczej niż u dzieci, zmiana nie wynika już z samej istoty życia i rozwoju. W każdym z nas już ruszył lub za chwilę ruszy ukryty w genetycznych kodach program, przepoczwarzając miliony mężczyzn i kobiet w nowe, wyższe formy życia zdolne do kontaktu i konstruktywnej współpracy ze swymi programatorami. A nasze spotkanie w Wetelinie jest czymś' najzupełniej normalnym. Tak jak nasza wygląda teraz każda, nawet przypadkowo dobrana, grupa w Polsce. Zawsze jest w niej jakiś ambicjusz, jakiś zdrajca, jakiś oszust, jakiś antysemita, jakiś wariat, jakiś intrygant, jakiś nawiedzony i jakiś nawrócony święty. Taki kraj.

Na całe cztery tygodnie porzuciłem te notatki. Nie mogłem pisać. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczułem się spokojny, choć był to spokój wynikający z nie dającego się powstrzymać, mulistego, spowalniającego myśli smutku. Wszystkie te sprawy, które usiłowałem opisać, nagle oddaliły się ode mnie, zaś owe usiłowania wydały mi się pozbawione wszelkiego sensu. Nic z nich nie wynika, chociaż miało wynikać. Zrozumiałem, że te moje zapiski nie są, jak to z fałszywą dezynwolturą zapewniałem na wstępie, jedynie zabijającą czas bazgraniną, mającą dać zatrudnienie mojemu chorobliwie pobudzonemu umysłowi. Nic z tych rzeczy. W istocie od początku miały być one wyjaśnieniem i usprawiedliwieniem, ponieważ w swoim zadufaniu sądziłem, że rozumiem sens zdarzeń, które stały się

moim udziałem, i że potrafię przeniknąć zamysły sił od dłuższego czasu kierujących moim życiem. Ale coraz bardziej wygląda na to, że się myliłem. Zamiast wyjaśnień wychodzą spod mojej ręki zagniatwane półprawdy, a zamiast usprawiedliwień chełpliwe, rezonerskie opowiadania, mające zademonstrować przenikliwość mojej inteligencji i pokazać (komu?) moją moralną poprawność. Im bardziej się staram, tym, w gruncie rzeczy, mniej pojmuję z tego, co chciałem wyjaśnić. A usprawiedliwienie?

Pewnych rzeczy nie można usprawiedliwić i nie należy nawet próbować tego robić. Niby wiem o tym, ale wciąż mi się wydaje, że akurat mnie ta zasada nie dotyczy. Ze jestem szczególnym przypadkiem porządnego faceta, którego niewiarygodne zbiegi okoliczności przywiodły do najpodlejszych występków i zbrodni, przede wszystkim dlatego, że się starał i chciał dobrze.

Faktycznie, od pewnego czasu niemal wszystko, co przedsiębrałem w dobrej wierze, prędzej czy później obracało się na złe z monotonną wręcz regularnością. Aleja tego nie dostrzegałem. Tak jakby jeden człowiek zabierał się do działania, a skutki obserwował ktoś zupełnie inny. Chciałem nieść ukojenie i poczucie bezpieczeństwa, a przynosiłem cierpienie i strach. Chciałem dawać wolność i tworzyć ład, a byłem źródłem chaosu i zniewolenia. Chciałem przysparzać ludziom radości i równowagi, a przyprawiałem ich o melancholię i szaleństwo. Byłem niczym Midas a rebours, wszystko, czego dotknąłem moim zakażonym umysłem, zmieniałem w entropię i rozkład. Ci, których ciała uzdrawiałem, popadali w różne

formy psychicznej degeneracji, a ciała tych, którzy pod moim wpływem wychodzili z zapaści swojego szaleństwa, niedomagały i rozpadały się w przyspieszonym tempie. Chwilami wyglądało na to, że moje dobre intencje i uczynki są śmiertelnym zagrożeniem dla tych, którzy byli ich obiektami. Madzia, moje późne, nieszczęśliwe dziecko, które obudziłem w piątym roku życia z autystycznego uśpiania, w trzy lata później zaczęła umierać na leukemię. Jej matka, Marianna, z której mózgu moje szklane kulki wyssały toksyny depresji, cztery lata później ważyła 90 kilogramów, miała cukrzycę i jaskrę, a jej układ hormonalny przypominał popsuty dystrybutor napojów w restauracji Burger King, podający zamiast coca coli ciepłą ślinę personelu. Z twarzy Liberga usunąłem szpecące ją znamię, ale jego ścisły umysł inżyniera skierował się na mroczne ścieżki fanatyzmu, paranoicznych urojeń i anormalnych podniet seksualnych. Podobna do kupki wyschniętych psich odchodów wątroba Bigowskiego pod wpływem moich kulek odrodziła się niczym u Prometeusza, ale wkrótce po tym jej właściciel zaczął się uważać za zbudowanego z antimaterii Ziemiańska B, unikał ludzi i okresowo popadał w katatoniczne osłupienie. Piękna i utalentowana Nela Sabatówna, w trzynastym roku życia uwolniona przeze mnie z piekła nie kończących się natrętnych rytuałów, w dwa lata później zmarła z powodu opornego na wszelkie oddziaływania raka, który zmienił monstrualnie jej dziewicze narządy rodne. Marek Poraj, filozof, profesor i pisarz, który, zanim zrobiłem porządek z jego burgerem, uciął sobie obcęgami paluch u prawej nogi, ponieważ nie mógł znieść

umiejscowionego w nim bólu, półtora roku później popełnił samobójstwo, wyskakując wśród objawów panicznego lęku przez okno swojego mieszkania. I tak dalej. Mógłbym ciągnąć tę listę jeszcze przez kilka stron.

Najwyraźniej mam pecha. Takiego pecha, że gdyby, jak mawiał Henry Miller, gównem było światową walutą, urodziłbym się zapewne bez dupy.

A może to nie pech? Może chodzi o to, że chcąc w swej pysze naśladować Stwórcę, nierozważnie używałem udzielonej mi mocy, naruszając subtelny równowagę sił rządzących naturą? Uzdrawiając umysł, okaleczałem ciało, a lecząc ciało, mąciłem umysł? Może moja moc była zbyt słaba w stosunku do zadań, na które się porywałem? A może nigdy nie miałem żadnej mocy, zaś wszystko to, co mi się przydarzyło, jest niewiarygodnym, choć przecież możliwym splotem przypadków? Może. Nie da się żadnej z tych ewentualności potwierdzić ani wykluczyć. Nie da się też wykluczyć, że jestem po prostu wariatem. Paranoikiem patrzącym na świat poprzez logiczne kategorie swojego szaleństwa i widzącym w tym świecie zdarzenia, które, oglądane innymi oczami i w świetle innej logiki, mają zupełnie odmienny przebieg i znaczenie.

A jeśli wszyscy, czego także nie da się wykluczyć, żyjemy w uniwersum rządzonego przez pana Tozależy, gdzie tym, co można poznać, są wyłącznie obrazy jakiejś hipotetycznej rzeczywistości tworzone przez nasze umysły?

Byłby to wszechświat, w którym wszystko zależy od

wszystkiego, przez co nic nie jest ani stałe, ani pewne, ani bezwzględne. Nic nie jest twarde, bowiem twardość zależy od tego, który ją bada. Z punktu widzenia obłoku twardy będzie płatek tulipana, a z punktu widzenia kamienia - stalowe ostrze. To samo ostrze będzie miękkie dla przechodzącej przez nie wiązki promieni gamma, a cała Ziemia będzie chmurką pary dla pędzącego neutrina. W tym wszechświecie odpowiedzią na wszystkie pytania jest imię panującego nad nim bożka Tozależy. Z tego względu nie można w nim powiedzieć, czym się różni wariat od nie wariata, tak samo, jak nie można odróżnić prawdy od nieprawdy ani dobra od zła. Czy można usprawiedliwić zbrodniczą pychę i nadużywanie władzy nad ludźmi? Tozależy. Czy dopuszczalne jest oszustwo i manipulacja, mające na celu doprowadzenie drugiego człowieka do całkowitej uległości?

Tozależy. Czy wolno traktować innych ludzi jak nawóz pod własne idee? Tozależy. Czy zdrowie jest przeciwieństwem choroby? Tozależy. Czy śmierć jest opozycją życia? Tozależy. I tak dalej. Ta litania nie ma końca, tak jak nieskończona jest władza pana Tozależy. W jego królestwie każdy z nas istnieje w innej, prywatnej rzeczywistości, pełnej prywatnych znaczeń, z których tworzy prywatne dialekty, służące opisowi dziejących się w tej rzeczywistości zdarzeń. I tylko czasami, kiedy przez przypadek zaczynamy stawiać sobie identyczne pytania i udzielać na nie takich samych odpowiedzi, nasze rzeczywistości krzyżują się ze sobą, przecinają i przenikają. Wtedy przez moment istniejemy dla siebie nawzajem poza władzą

Tozależy i doświadczamy wspólnoty. Ale jest to doświadczenie niejasne i wieloznaczne, bowiem obszary wymykające się jurysdykcji bożka są niewielkie, a poza tym toczy on o ich odzyskanie zaciekłą walkę. Dwa największe, najtrwalsze i najjaśniejsze z nich to miłość i przyjaźń, chociaż i one, w porównaniu z obszarami Tozależy, są maleńkimi pływającymi wysepkami na oceanie względności. Trzecim jest obszar wiary. Na nim właśnie dokonało się moje uczestnictwo we wspólnocie. Przede wszystkim na terytorium wiary moja rzeczywistość przeniknęła się z rzeczywistościami innych ludzi, bowiem na obszarze miłości znalazłem się tylko ze trzy razy w życiu, a na obszarze przyjaźni bodajże nigdy.

Kochałem Paulinc i pewnie Paulina kochała mnie, ale nasza wspólnota była wyjątkowo niejasna, niepełna i ułomna, bowiem ona kochała swoje wyobrażenie mnie, któremu nie do końca umiałem i chciałem sprostać. Zgodnie z nim miałem być prawdomównym, słownym, skromnym i szlachetnym supermenem o wysublimowanym umyśle, ostrej jak brzytwa inteligencji i potencji rozplodowego królika. Niestety, na ogół byłem kłamliwym i egoistycznym bufonem, którego seksualne apetyty nie dorównywały możliwościom. Tozależy nie miał więc poważniejszego kłopotu z odzyskaniem terytorium, na którym skrzyżowały się moja i jej rzeczywistości. Dzisiaj nasze strumienie czasu płyną w różnych kierunkach i nie mają wspólnego zlewiska.

Kochałem też i kocham nadal moją i Pauliny córkę, Kassandrę. Przez czternaście lat pan Tozależy nie miał władzy nad naszym

zaczarowanym ogrodem, w którym tylko we dwoje doświadczaliśmy wspólnoty, a nasze życie wyglądało niczym amerykański serial o ślicznej córeczce i wspaniałym ojcu, gdzie każdy odcinek wyciska widzom z oczu łzy wzruszenia. Później było nieco gorzej. Panna Cassandra Krass rzuciła w kąt lalki, odstawiła swój górski rower, odłożyła rollery, cisnęła w diabły raketę tenisową i wyszła z ogrodu. Pobiegnęła buszować wśród pierwszych miłości, nowych przyjaźni, obezwładniających fascynacji i samotnych rozczarowań. Zanurzyła się w cieniu innych ogrodów, w których dla mnie nie było już miejsca, a strumień jej czasu oddzielił się od mojego i podążył w innym kierunku. Tylko na kilku małych odcinkach w dalszym ciągu płynęły one razem. Ale i to było niemało. I za to dziękuję losowi, bowiem Cassandra jest ogieńkiem oświetlającym od czasu do czasu mroczne ścieżki, po których błąka się mój umysł. Tylko przy niej doznawałem zawsze uspokojenia i wewnętrznej ulgi, płynącej ze świadomości, iż moja egzystencja ma pewien sens i znaczenie. Ona była jednym i drugim, ponieważ byłem jej potrzebny. Umiała sprawić, że czułem się jej mysią norką, ptasim domkiem, ciepłą rękawiczką lub ukradkiem ssanym kciukiem i jako wszystkie te rzeczy byłem całkowicie prawdziwy, uczciwy i czysty. Potrzebny czułem się oczywiście i później. Wielu ludziom w wielu sprawach. Ale nigdy tak bezwarunkowo, bezapelacyjnie i bezinteresownie jak Kassandrze.

W pewnym sensie kochałem też Mariannę i Madzię, które stanowią dla mnie nierozdzielny całość, będąc niejako dwoma aspektami tej samej osoby.

Piszę, iż kochałem je „w pewnym sensie”, bo nie wybrałem tej miłości. Nie skierowałem ani świadomie, ani chyba podświadomie swojego strumienia czasu w pobliże ich podwójnego nurtu. To Marianna wybrała mnie i poniekąd przymusiła nasze rzeczywistości do skrzyżowania się. Jej absolutne przekonanie o posiadaniu przeze mnie boskich atrybutów początkowo było dla mnie niezrozumiałe i zatrważające, choć jednocześnie łechtało moją próżność i podniecało wyobraźnię. Wchodząc wobec niej w rolę cudotwórcy, folgowałem swojej pysze i pragnieniu władzy nad ludźmi, mając jednocześnie świadomość, że dopuszczam się podłego nadużycia jej dobrej wiary. Byłem jednak zbyt wielkim narcyzem i egoistą, aby tego nie czynić. Pławiłem się w jej uwielbieniu, odgrywając z powagą rolę boskiego oblubieńca, i żyłem równocześnie w przerażeniu, że zaraz cała ta mistyfikacja się wyda i wszyscy zobaczą, jakim jestem błaznem.

Sprawa skomplikowała się, dopiero gdy naprawdę zdarzył się cud - czyli kiedy Marianna wyzdrowiała, a na dodatek za moją sprawą zaszła w ciążę, uważaną przez lekarzy za fizycznie niemożliwą. Wtedy uwierzyłem, no, może to za dużo powiedziane, może jeszcze nie uwierzyłem, ale dopuściłem taką ewentualność, że istotnie posiadam pewne cechy przypisywane raczej Bogu niż ludziom. W tym momencie doszło do skrzyżowania się naszych rzeczywistości. Ponieważ ona jedyna widziała we mnie to, co i ja zaczynałem dostrzegać pod wpływem jej niezachwianego przekonania, oboje staliśmy się wtajemniczeni. Zaczęliśmy zadawać identyczne pytania i udzielaliśmy sobie na nie identycznych odpowiedzi, przez co pan

Tozależy utracił władzę nad obszarem naszego spotkania, a jej i mój strumienie czasu skierowały się w tę samą stronę, do wspólnego zlewiska.

Owo wtajemniczenie nabrało jeszcze dodatkowej głębi, kiedy w macicy Marianny pojawiła się grudka życia - Madzia (Marianna od pierwszych dni ciąży wiedziała, że urodzi dziewczynkę), owoc cudu i obiektywne poświadczenie posiadanej przez nas prawdy. Nadzwyczajna uroda dziecka i jego ewidentna odmienność, uwidaczniająca się już w pierwszym roku życia, były dla nas dodatkowym tej prawdy potwierdzeniem, zaś fakt jej posiadania stanowił istotę naszego związku i bazę naszej miłości, jeśli to w ogóle była miłość.

Marianna i Madzia były, praktycznie rzecz biorąc, nierozłączne. Milcząca, zawsze spokojna i nieco sennie zdziwiona światem dziewczynka, o niezwykle subtelnej, niemal doskonałej urodzie, wydawała mi się częścią zawsze przy niej obecnej, pełnej ruchu i niepokoju, żyjącej jakby za nie obie matki. Kochałem to dziecko z pełnym zachwytem lękiem, bo było rzeczywiście jak uosobienie Boga - dalekie, niepojęte, przyciągające jak magnes i nieziemsko piękne.

Madzia, zupełnie inaczej niż Cassandra, nie potrzebowała mnie wcale. Nie potrzebowała zresztą nikogo. Nigdy o nic nie prosiła, niczego się nie domagała, o nic nie pytała. Nie miałem żadnego dostępu do jej prywatnego zaczarowanego ogrodu, mimo że w jakiś niewytłumaczalny sposób czułem się jego częścią.

Wraz z Marianną byliśmy w tym ogrodzie roślinami, które nasza

córka traktowała jako rzeczy w nim oczywiste i przez to nie wymagające specjalnej uwagi, podobnie jak nie wymagają specjalnej uwagi deszcz, wiatr lub ziemia pod stopami. Kierowała wprawdzie na nas swoje ogromne, zamyślane oczy, ale spoglądała poprzez nas, na jakąś inną rzeczywistość, pochłaniającą całą jej uwagę. Czasami wpatrywała się z napięciem w liść, kamień, ptaka, psa lub cokolwiek innego, patrząc poprzez zewnętrzną formę owej rzeczy jakby chciała zobaczyć samą jej istotę, samą pierwszą przyczynę, która powoduje, że z tej samej przecież materii powstaje kamyk, kura, łopian, jamnik i człowiek.

Żadne z nas, ani ja, ani tym bardziej Marianna, nie śmiało zakłócać jej ustawicznego skupienia, toteż, jak doskonali chińscy służący obsługiwaliśmy ją bezszelestnie, doprowadzając do tego, że w piątym roku życia ta, jak nam się wydawało, niezwykła istota z innego wymiaru nie umiała sama jeść, ubrać się ani załatwić potrzeb fizjologicznych. Byliśmy ślepi i szaleni. Aja szczególnie.

Miałem wtedy oczy zapłnione gównem, zaś w miejscu mózgu gotowane brokuły z majonezem. Nie umiałem więc, a może nie chciałem dostrzec tego, co dziś wydaje mi się oczywiste.

Marianna widziała we mnie co najmniej półboga wcale nie dlatego, że wykazywałem jakieś nadnaturalne właściwości, ale z zupełnie innego powodu.

Jej z początku tajemnicze symptomy i zaburzenia okazały się rezultatem chronicznego urazu, jakiego doznawała w przeszłości, będąc od siódmego roku życia wykorzystywana seksualnie przez

wychowującego ją dziadka (matka była bez reszty zajęta swoją karierą), a potem przez wuja, zastępującego jej rzekomo zmarłego ojca. Wspomnienie przerażającego osamotnienia i bezsilności, kiedy dziadek związywał ją ściągniętymi z niej rajstopami i wpychał do jej ust swojego monstrualnie nabrzmiałego członka, niszczyło jej życie. Przekonanie o własnej bezradności, opuszczeniu i fatalnej nieuchronności losu, zatruwające jej późniejsze kontakty z mężczyznami, umocniło się w niej jeszcze, gdy ukochany wujek, wybawca, który wyrwał ją z rąk dziadka, wkrótce sam zaczął zabierać siostrzenicę do swojego łóżka, gdzie sprawiał jej przejmujący ból. Od tej pory pojawiła się w Mariannie rozpaczliwa potrzeba oddania się pod opiekę prawdziwego, wszechmocnego wybawcy, którego uporczywie poszukiwała przez lata prób uwolnienia się od tkwiącego w jej psychice koszmaru za pomocą wciąż ponawianego leczenia psychiatrycznego i psychoterapii. Usiłowała narzucić rolę wybawcy kolejnym terapeutom, rozwijając wobec nich skrajnie wyidealizowane, infantylne oczekiwania, i za każdym razem okazywało się, że terapeuci nie chcieli tej roli podjąć, unikając wplątywania się w niebezpieczny zależnościowy układ ze swoją pacjentką. Dopierają, w swojej odbierającej rozum pysze, podjąłem ją aż nazbyt chętnie, stając się dla Marianny wyidealizowanym półbogiem, którego opiece powierzyła się całkowicie i bez wahania.

„Możesz mnie zabić jednym swoim słowem albo swoją obojętnością i jednym słowem możesz sprawić, że będę się czuła bezpieczna i szczęśliwa” - mawiała do mnie, aja, dureń upojony

władzą, jaką mi nad sobą dawała, bełkotałem niezliczone zapewnienia i zobowiązania. Kolejny krok był logicznym następstwem zaistniałej między nami relacji. Ponieważ Marianna od dzieciństwa była przekonana, iż jedyną wartością, jaką może stanowić dla mężczyzny, jest jej przydatność w charakterze uległego obiektu seksualnego, czuła, że skoro nie znalazła się ze mną w łóżku, to moje nią zainteresowanie nie może być ani tak głębokie, ani tak autentyczne, jak tego pragnęła. Dlatego chciała nade wszystko w tym łóżku się ze mną znaleźć, co zresztą osiągnęła bez specjalnego trudu, sugerując moim gotowanym brokułom, że posiadane przeze mnie, raczej skromne męskie utensylia mają uzdrawiającą moc dla jej bezpłodności. Jednocześnie jej podświadomość cofnęła psychiczną blokadę organizmu, wynikającą z emocjonalnego odrzucenia roli kobiety, która to blokada hamowała do tej pory owulację. W ten sposób powstała Madzia, ja zyskałem „dowód” moich uzdrowicielskich umiejętności, a cudowna, eteryczna odmienność naszego „boskiego” dziecka umacniała mnie w poczuciu mojej nowej misji.

Po pięciu latach gorączkowego snu pełnego pracy, religii i polityki, jakim było moje ówczesne życie, oprzytomniałem na tyle, żeby dopuścić do siebie myśl, że Madzia może być dzieckiem autystycznym, a jej inność i wyłączenie się z dostępnej nam rzeczywistości nie dowodzi bynajmniej jej nadprzyrodzonego rodowodu, ale jest formą umysłowego niedorozwoju. Słuszność tego przypuszczenia potwierdził fakt, że po niezrozumiałym (cóż jest

zresztą w sprawach autyzmu zrozumiałe?), samoistnym (moje uzdrowicielskie wysiłki nie miały tu najprawdopodobniej żadnego znaczenia) ocknięciu się z psychicznego uśpienia dziewczynka stała się (ku skrywanej rozpaczy matki) zwyczajnym dzieckiem, nadrabiającym z trudem swoje rozwojowe opóźnienia.

Dla Marianny białaczka, która w dwa lata później znów uczyniła z małej drogocennego odmieńca, była, w pewnym sensie, błogosławieństwem, pozwalającym jej zachować niewzruszoną wiarę w Madzi i moje „boskie naznaczenie”. Było to przerażające i bolesne, jak niemal wszystko w jej życiu, ale jednak wyjście z trudnej sytuacji, dzięki któremu mogła żyć dalej i pogodzić się nawet z moją, tym razem całkowitą, bezradnością wobec choroby córki. Dla jej matki paradoksalnie wszystko było w porządku - z atrybutów boskości nikogo nie można wyleczyć, bo nie są one chorobą. Gdyby Madzia była po prostu chora, to ja przecież na pewno uzdrowiłbym ją moimi kulkami. Ponieważ nie mogłem tego uczynić, oczywiste stawało się, że nie jest ona chorym dzieckiem, tylko odmienną formą egzystencji, a jej los i przeznaczenie stanowią nieodgadnioną tajemnicę, na której rozwikłanie ona, Marianna, nie powinna się porywać. Trwała więc w pokorze coraz silniej związana z córką, coraz bardziej wsysająca ją w swój umysł i w swoje potworniejące ciało, zaś strumień ich czasu coraz bardziej oddzielał się i oddalał od mojego, aż zniknął w rozświetlonych pożarem Eudajmonii mrokach grudniowej nocy.

Na obszarze przyjaźni tak naprawdę nie znalazłem się nigdy, ponieważ jej nie potrzebowałem. Od dziecka moje pragnienie

wszelkiej bliskości z innymi ludźmi było niewielkie. Najchętniej przestawałem sam ze sobą, chociaż, gdy już nie można było uniknąć kontaktu, umiałem zachować się tak, jak sobie tego życzyli rodzice czy rówieśnicy, przez co byłem uważany za grzecznego chłopca oraz dobrego i zgodnego kolegę. Ale właściwie zawsze, ze swoim wciąż niespokojnym umysłem, nieustannymi fantazjami i dziwacznymi obsesjami, czułem się osobny, oddzielony od innych. Nigdy do nikogo nie czułem przywiązania (w odróżnieniu od związania z Marianną czy wręcz poczucia tożsamości z Cassandra), bo nie potrafiłem dostatecznie zainteresować się ani przejąć losem otaczających mnie osób. Ich potrzeby czy pragnienia nigdy nie były ważnym wyznacznikiem mojego działania i nigdy dla nikogo niczego nie poświęciłem. Byłem (i chyba nadal jestem) w najgłębszym tego słowa znaczeniu samotnikiem, ale samotnikiem uprzejmym, zgodnym i spolegliwym, który w kontakcie z innymi ludźmi najczęściej rezygnował z wyrażania siebie na rzecz cierpliwej ustepliwości, mającej uczynić ów kontakt - skoro już był konieczny - przynajmniej znośnym i niekłopotliwym. Dlatego pewnie powszechnie odbierano mnie jako cierpliwego i uprzejmego faceta, tylko jakby nieobecnego, roztargnionego, zajętego wciąż jakimiś ważnymi sprawami.

Oczywiście chętnie wybaczano mi tę słabostkę, a co poniektórzy uważali nawet, że dodaje mi ona specyficznego uroku. W istocie była ona sposobem maskowania ogarniającego mnie w trakcie kontaktów z większością przewijających się przez moje życie osób znudzenia i rozdrażnienia. j Istnieli naturalnie ludzie, z którymi w różnych

okresach bywałem bliżej.

W czasie studiów choćby lubiłem włóczyć się po kinach i knajpach z Janem U., pierwszym homoseksualistą, jakiego poznałem, nie mając pojęcia o jego upodobaniach i narażając się na złośliwe komentarze lepiej zorientowanych kolegów. Lubiłem przesiadywać w modnych kawiarniach i pojedynkować się na słowa z ekstrawagancką inteligencją Ireny R, która później okazała się być schizofreniczką i popełniła okrutne samobójstwo. Uwielbiałem pić wódkę z doktorem E., którego diamentowy intelekt rozpuszczał się w alkoholu aż do stanu beztroskiego zdziecinnienia, kiedy bawiliśmy się w Indian, biegających z bojowym wyciem po korytarzach szacownego hotelu „Cracowia” albo w mieszkańców emiratu Dupydaj, zaczepiających przechodniów na krakowskim Rynku długimi przemówieniami wygłaszanymi w nie istniejących językach. Lubiłem pracować z mądrym i zawsze pogodnym doktorem K. oraz podróżować z „Potworem”, czyli Markiem D., konusowatym, zadziornym marynarzem, który został psychologiem, aby pływać na statkach rybackich i pomagać pracującym na nich miesiącami mężczyznom, odchodzącym od rozumu z tęsknoty i seksualnego napięcia. Mogłem długo i bez przykrości przesiadywać z Lorną Pooley w jej kalifornijskim domu, pijąc dziwne drinki i jedząc dziwne potrawy, które przyrządzała. Wysłuchiwałem bez specjalnego zniecierpliwienia fantasmagorii Liberga, a nawet chodziłem z nim na jakieś gejowskie konwentykle. I tak dalej.

Bez wątpienia byłem z tymi ludźmi bliżej niż z jakimikolwiek

innymi (nie licząc oczywiście Kassandry, Pauliny i Marianny z Madzią), co nie znaczy, że moja i ich rzeczywistości się przenikały. A jeśli nawet, to tylko częściowo, tak jakby nasze strumienie czasu przecinały się w jednym punkcie, dążąc poza tym w różnych kierunkach i do różnych zlewisk.

Na obszarze wiary, gdzie uczestniczyłem we wspólnocie z największą liczbą osób, znalazłem się - tak przynajmniej zdarza mi się dzisiaj myśleć - przypadkiem, bowiem, choć urodzony i wychowany w katolickiej rodzinie, od dziesiątego roku życia byłem niewierzący. Zdarzenie, które o tym przesądziło, miało miejsce w jasnogórskiej kaplicy, gdzie znajdował się cudowny wizerunek Matki Boskiej zwany Czarną Madonną. Miałem wtedy osiem lat i na ogół nie cierpiałem chodzić do kościoła, a cały rytuał mszy (odbywającej się wtedy jeszcze po łacinie) był dla mnie niewyobrażalnie nudną mordęgą. Nie dotyczyło to jednak wypraw na Jasną Górę, gdzie rekompensatę za nudę nabożeństwa stanowił tajemniczy obrzęd odsłaniania i zasłaniania cudownego obrazu, przebiegający do wtóru uroczystych fanfar, wydobywających się - jak wtedy sądziłem - co najmniej z archanielskich trąb. Niebagatelne znaczenie miał też zwyczajowo następujący po mszy spacer rodzinny po murach obronnych klasztoru, z których uwielbiałem patrzeć na leżące w dole miasto.

Zdarzenie, o którym mowa, nastąpiło podczas podniesienia, kiedy matka, jak zwykle, dyskretnym kuksańcem przypomniiała mi, że trzeba uklęknąć.

Uczyniłem to niezwłocznie, opadając na kolana tuż przy ciągnących się po obu stronach kaplicy drewnianych stallach. Siedzieli w nich zazwyczaj starsi ludzie, będący obiektem mojej zazdrości, jako że mogli siedzieć, podczas gdy ja skazany byłem na nie kończące się nieruchome stanie, z którym moje pobudliwe ciało radziło sobie jak najgorzej. Klęcząc spostrzegłem, że niemal tuż u samych moich kolan na marmurowych płytach posadzki rozlewa się coraz szerzej kałuża cuchnącego płynu. Nie podnosząc głowy, spojrzałem w bok i skamieniałem. Klęczący w ławce obok mnie starszy mężczyzna z laską, najspokojniej w świecie sikał na podłogę. Jedną ręką kornie bił się w piersi, a drugą przyciskał laskę do swojego obnażonego członka i lał tak, że mocz spływał po niej bezgłośnie, tworząc pod ławką i obok niej coraz większe rozlewisko. Patrzyłem w osłupieniu na jego długiego, pomarszczonego, pokrytego sinymi żyłami ptaka i czekałem na cud. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że takie zachowanie w domu bożym i przed bożym obliczem (kapłan właśnie wznosił po raz kolejny biały krążek hostii) nie może ująć bezkarnie. Instynktownie skuliłem się w sobie, czekając na piorun, który z grzmotem tryśnie z oplatka w rękach księdza i porazi świntucha, ale nic takiego się nie stało. Dziadek lał dalej, a nawet zaczął w górę i w dół poruszać skórą na swoim obrzydliwym narzędziu, co było - wiedziałem o tym z własnego doświadczenia - surowo zakazaną przez Boga, grzeszną przyjemnością. Czekałem więc teraz, aż, zgodnie z przestrogią mojej matki, Pan Bóg spowoduje, że plugawcowi odpadnie jego karygodnie zeszywniały siusiak, zaś

wyuzdana ręka, która tę sztywność wywołała, skurczy się i uschnie jak badyl w ogniu. Ale i to nie nastąpiło. Staruszek, zachowując rozmodloną postawę, skończył sikać i w najlepsze walił konia, a niebiosy milczały. Byłem tym tak poruszony, że chociaż ksiądz już dawno zamknął tabernakulum po skończonym ofiarowaniu, nadal tkwiłem na kolanach, aż moja matka, zdziwiona tą nadzwyczajną pobożnością, pochyliła się i podążyła za moim wzrokiem. Zdażyła na sam finał, kiedy dziadek spuścił się skąpo po lasce i właśnie chował patafiana do rozporoka. Natychmiast walnęła mnie w kark i poderwała na nogi, sycząc: „Gdzie się gapisz, zarazo? Patrz na ołtarz”. A niebiosy wciąż milczały. Pan Bóg tolerował w swoim domu nie tylko jawne, wręcz wyzywające lekceważenie gospodarza i grzeszne wyuzdanie, ale też krzyżącą niesprawiedliwość. Musiał chyba nie dostrzec tego, co się działo, albo był równie krótkowzroczny i stronniczy jak dająca zawsze wiarę załganym skarżypytom moja nauczycielka, pani Boral, skoro dopuszczała, aby matka biła mnie i nazywała „zarazą”, podczas gdy plugawy dziadek zanurzał własną zmęczoną koniobijstwem dłoń w kropielnicy, żeby, przeżegnawszy się, spokojnie podążyć do domu.

Stwórca nie mógł jednak nie wiedzieć, co starszy pan przedtem wyprawiał, bowiem był wszechwiedzący i widział nawet kornika, siedzącego w opaskudzonej, dziadkowej lasce. Nie mógł też być podobny do tłustej, złośliwej i głupiej pani Boral, ponieważ był skończoną doskonałością w formie postawnego mężczyzny z brodą. Jako sprawiedliwy sędzia wszystkich grzesznych uczynków, nawet

tych popełnionych w myśli, nie powinien odpuszczać dziadkowi bezczeszczącemu najświętszy dom boży, skoro, wedle słyszanej na lekcji religii opowieści, poraził natychmiastowym paraliżem rajtara, który w czasie szwedzkiego najazdu ciął wizerunek Czarnej Madonny szablą przez policzek.

Nie musiał oczywiście od razu staruszka paraliżować, ale fiuta powinien go pozbawić choćby dla zasady, tak samo jak moją matkę powinien pokarać, powiedzmy, pypciem na języku i co najmniej trzydniowym bólem ręki, którą mnie tak niesprawiedliwie uderzyła. Pan jednakże nic takiego nie zrobił. Dlaczego? Może dlatego, że Go po prostu nie ma? Może rację miała pani kierowniczką szkoły, mówiąc na apelu, że wszystko zawdzięczamy wujkowi Soso, czyli Józefowi Stalinowi, a Pan Bóg jest zabobonem, w którego istnienie wierzą tylko ciemniaki? Józef Stalin był nawet podobny do Pana Boga, chociaż nie miał brody, więc może rodzicom coś się pomyliło i niechcący przystali do zabobonnych ciemniaków? Matka twierdziła wprawdzie stanowczo, że Pan Bóg istnieje, zaś Józef Stalin jest tylko człowiekiem, i to bardzo złym człowiekiem, ale twierdziła też, że niejaki Mordziałek, największy cykor i włazidup w mojej klasie, jest najmilszym i najgrzeczniejszym chłopcem, jakiego zna.

Ponadto przed chwilą nazwała mnie „zarazą” i uderzyła za zupełną niewinność, co nie było w jej przypadku zdarzeniem odosobnionym. Nie była więc osobą na tyle dobrze poinformowaną ani obiektywną, żeby przyjmować jej opinie za obowiązujące, tym bardziej, że w gazetach pisano, iż Józef Stalin jest najlepszym i

najmądrzejszym człowiekiem na świecie, a w radio nadawano ułożone na jego cześć wiersze i symfonie. Więc może pani kierowniczką, która była jednak kierowniczką, a nie tylko mamą, miała rację? Może rzeczywiście Pan Bóg był wymyślonym dla ciemniaków straszakiem, mającym powstrzymać ich przed robieniem różnych brzydkich rzeczy, takich jak zabijanie bliźnich, złodziejstwo czy bawienie się własnym ptaszkiem? Myśl ta zakiełkowała w moim umyśle zrazu nieśmiało i z przestraczem. Mimo to z czasem popchnęła mnie do pewnych przemyśleń i doświadczeń. Nadszedł czas eksperymentów. Przez następne dwa lata najpierw prosiłem Pana Boga, żeby dał mi jakiś znak, a potem różnymi sposobami usiłowałem Go do tego sprowokować.

Na przykład wieczorami siedziałem po ciemku w pustym mieszkaniu i prosiłem, żeby Stwórca zapalił choćby maleńkie światełko na ścianie, na firance lub w jakimkolwiek innym miejscu, a moja wątpiąca dusza zostanie uratowana.

Celowo obrażałem też Pana Boga myślą, słowem i uczynkiem (kiedyś na przykład nasikałem na obrazek przedstawiający dzieciątko w stajence), chcąc wywołać w Nim choćby owocujący karą odruch gniewu, który potwierdziłby jego istnienie albo chociaż ślad zainteresowania moją osobą (jeśli widzi każdą duszyczkę w swej owczarni). Nic się jednak nie wydarzyło. Wszechmogący, jeżeli istniał, okazał się doskonale obojętny na moje prośby i zaczepki, w związku z czym w dziesiątym roku życia nabrałem przekonania, iż Boga albo nie ma, albo też ludzkie uczynki nic go nie obchodzą. Tak

czy inaczej nie był On kimś, kim się należało w życiu specjalnie przejmować.

Tego pierwszego dziecięcego zwątpienia, wywołanego komicznym, w gruncie rzeczy, wydarzeniem, nigdy już nie byłem w stanie pokonać. Mimo szerokich studiów nad sprawami religii, niezliczonych refleksji i dojrzałego namysłu w późniejszym życiu nigdy nie potrafiłem jeszcze raz po prostu zaufać i uwierzyć. Obłeśny dziadek z jasnogórskiej kaplicy, nawet o tym nie wiedząc, uczynił ze mnie nieuleczalnego ateistę, chociaż zniszczył tylko jedną z wielu możliwych koncepcji Boga. Tę najprymitywniejszą, polegającą na dosłownym rozumieniu zapisów Pisma, wedle których Stwórca aktywnie uczestniczył w ziemskich wydarzeniach i surowo karał ludzi za objawy lekceważenia daleko łagodniejsze niż te, których dopuścił się stary koniobijca. Widocznie jednak ta właśnie koncepcja, najbliższa archaicznej psychice i mentalności dziecka, okazała się w moim przypadku fundamentalna. Bez niej niemożliwa stała się akceptacja jakichkolwiek nadprzyrodzonych zjawisk, będąca psychiczną bazą wiary zarówno w Boga, jak i w baśnie.

Dopiero bez mała czterdzieści lat później, kiedy moje życie zmieniło się w spełnioną baśń, stanąłem znów przed możliwością zaufania i uwierzenia.

Ale było już za późno. Tym bardziej, że przychodziło mi uwierzyć w siebie.

Wspólnotę, w której moja rzeczywistość skrzyżowała się z rzeczywistościami tak wielu ludzi, stanowiło, w szczytowym okresie,

ponad dwa tysiące moich „wyznawców” i kilkakrotnie więcej sympatyków. Wszyscy oni, w taki czy inny sposób, uznali we mnie posiadacza paranormalnych lub też nadprzyrodzonych zdolności, a część z nich (około trzystu osób) dostrzegła we mnie wręcz ucieleśnienie bóstwa, czyli kogoś w rodzaju Jezusa. Biorąc pod uwagę moje niedowiarstwo, były to niezłe jaja. Jeszcze zabawniejsze było to, że ja w tę rolę boskiej inkarnacji wszedłem i to wszedłem nie bez przekonania. Powszechne w pewnym momencie oskarżenia, że jestem zimnym oszustem bezlitośnie manipulującym ludźmi, były krzywdzące, ponieważ ja jednak naprawdę częściowo uwierzyłem w swoją nadprzyrodzoną moc, chociaż ukryłem tę wiarę za zasłoną naukowych i pseudonaukowych teorii dostarczonych mi przez Liberga. Zdaję sobie sprawę z tego, że jego książka jest na ogół traktowana mało poważnie, ale z drugiej strony jest również faktem, że fizyka od dawna wyszła poza cztery wymiary, a teorie wyjaśniające powstanie i funkcjonowanie większości poznanych cząstek elementarnych operują przestrzenią dziesięciowymiarową. W n-wymiarowej przestrzeni Hilberta nieskończona ilość wymiarów wręcz domaga się założenia o istnieniu światów równoległych, które praktycznie nie mogłyby się ze sobą komunikować. Jeżeli jednak wyobrazić sobie wszechświat - co fizycy także już uczynili - jako funkcję pewnych fal, przebiegających w każdej minimalnej jednostce czasu przez tysiące stanów stacjonarnych (uniwersum byłoby wtedy linearnym następowaniem po sobie nieskończenie małych momentów nieruchomości tych fal, podobnie jak strzała Zenona w dostatecznie

małej jednostce czasu trwa w bezruchu), to możliwość pojawiania się i znikania, przenikania przez nieprzeniknione i krzyżowania się jednego świata z drugim, staje się przynajmniej teoretycznie dopuszczalna.

Do dzisiaj nie mam odwagi lub może brak mi dostatecznie silnego przekonania, aby jednoznacznie zakwalifikować moje uzdrowienia i momenty kontaktu z inną rzeczywistością albo do zjawisk nadprzyrodzonych, albo do fenomenów bardzo rzadkich, ale jednak naturalnych. Nie wiem w związku z tym do końca, czy rzeczywistości moja i moich wyznawców krzyżowały się na obszarze wiary czy też na terenie wspólnie posiadanej wiedzy, dostępnej tylko nielicznym, bo złożonej ze zjawisk dających się obserwować jedynie w ściśle określonej konfiguracji wielkiej liczby pozornie nie powiązanych ze sobą czynników. Jednym z tych czynników może być na przykład obecność takiego a nie innego obserwatora w takim a nie innym miejscu i czasie, która zgodnie z teorią chaosu może powodować odległe skutki, postrzegane następnie przez tego samego obserwatora. Innymi słowy, jeśli ów obserwator, powiedzmy, zgubi okulary podczas wycieczki do dżungli na Borneo, jeśli ich soczewka znajdzie się na drodze wędrujących przez las prostopadłych promieni słonecznych, jeśli jest to soczewka skupiająca te promienie, jeśli skupione promienie padną na kawałek suchego drewna, jeśli przez kilka najbliższych dni nie będzie padał deszcz i tak dalej, i tak dalej, to siedząc na przykład w Warszawie przed telewizorem, już w nowych okularach, nasz obserwator może obejrzeć reportaży o gigantycznych pożarach lasów, które niespodziewanie wybuchły na Borneo.

Czuję się zagubiony wobec niezliczonych pytań, pojawiających się w moim umyśle, choć przecież miałem wyjaśniać. Poza tym nie potrafię jednak, a może nie chcę, pisać o sobie do końca szczerze. Wciąż przyłapuję się na tym, że chciałbym wydać się (komu?) mimo wszystko moralnym, uczciwym i malowniczo skomplikowanym wewnątrznie facetem, którego przerosły okoliczności.

Pisząc przed chwilą o swoim zagubieniu, miałem jednocześnie wrażenie, że właśnie robię pod adresem przyszłego czytelnika żałośliwą minę mówiącą: „Patrz, jaki jestem biedny, jak nic nie rozumiem, jak cierpię, jak się szamoczę i jaki jestem w tym wszystkim otwarty”. I tak jest. Tak w gruncie rzeczy chciałbym napisać. Może nawet chciałbym się przed kimś wypłakać nad swoim losem, nad swoją samotnością starego psa i nad swoimi uczynkami samolubnego hucpiarza, ale się wstydzę, bo jestem przede wszystkim inteligencją, która obowiązana jest rozumieć, a nie przeżywać. Jestem rozumem, dla którego uczucia są kłopotliwym balastem, wstydliwą słabością, ukrywaną pod maską nonszalanckiego spokoju. Nie mogę więc po prostu płakać nad sobą ani oczekiwać (od kogo?) współczucia, chociaż jakaś część mojego ja umiera z rozpaczą i krzyczy ze strachu. Jest to niechciany i ukrywany bękart mojej psychiki, moje wewnętrzne bezradne dziecko, do którego się nigdy nie przyznałem, moja niemoc, moja bojaźń i drżenie.

A może to tylko fanaberie starzejącego się umysłu, który popada w coraz większą regresję?

Może bawiąc się ludźmi, niepostrzeżenie zdzieciniałem i teraz

pragnę od moich zabawek, żeby były czymś więcej niż lalkami i przytulankami? A może wreszcie na powrót stałem się człowiekiem?

Przez minione tygodnie zastanawiałem się nad tym wszystkim, prawie nie opuszczając łóżka. Leżałem w barłogu jak stary, leniwy pies, który patrzy przed siebie, mrużąc niedowidzące ślepia i widzi majaczącą we mgle oddalenia śmierć, pod postacią tyle razy ściganego i nigdy niedogonionego białego zająca. Ale już nie zrywa się do biegu. Już wie, że ten piękny kąsek prędeż czy później sam wpadnie w jego starte do dziąseł kły i że będzie to wspaniałe zdarzenie, po którym obaj, pies i zając, zając i pies, biali i nieodróżnialni już od siebie, pobiegną przez białe pola coraz dalej i dalej.

Tymczasem nadchodziły kolejne wieści o poczynaniach księdza Weise, aż w końcu przyszedł od niego list, który przyczynił się do tego, że wstałem z posłania, aby znów usiąść przy biurku. Tak jak przeczuwałem, rozpoczęty wiele lat temu ciąg zdarzeń wcale się nie skończył. Trwał nadal i dalej mnie dotyczył, chociaż nie miałem już wpływu na jego przebieg. Mogłem jedynie rejestrować to, co się działo.

Od początku wiedziałem, że ksiądz Weise nie zrobił tego, o co podejrzewała go Wanda Ż., czyli nie pojechał z młodą kochanką w Polskę za parafialne pieniądze. Potrafiłem też wyobrazić sobie, co uczynił naprawdę, ponieważ, choć nie do końca świadomie, oczekiwałem, że to uczyni. Pamiętałem przecież, jak w niemal identycznej sytuacji zachował się ksiądz LaBianca i miałem podstawy

przypuszczać, że w takich przypadkach działa ten sam, uruchamiany przez takie same sygnały, program postępowania. Jak się okazało, miałem całkowitą rację. Ksiądz Weise objawił się po siedmiu dniach od swojego zniknięcia w Radomiu, gdzie, korzystając z gościny zaprzyjaźnionego z nim kanonika, wygłosił w kościele katedralnym niesłychane, w najwyższym stopniu bulwersujące kazanie. Wyznał mianowicie z ambony, że jest ojcem i dziadkiem oraz wymienił z nazwiska wszystkich duchownych z miasta i okolicy, którzy mieli dzieci, kochanki albo utrzymywali kontakty homoseksualne. Lista była długa, a otwierał ją miejscowy biskup, posiadający zamieszkałą we Francji córkę oraz rezydującą w pobliskim SkarżyskuKamiennej kochankę w zbliżonym do owej córki wieku. Następnie oświadczył zamarłym z wrażenia wiernym, iż większość kapłanów Kościoła Katolickiego to ateści, sam zaś kościół oskarżył o niezrozumienie i głębokie wypaczenie idei chrześcijańskich. Na zakończenie stwierdził, że niniejszym występuje z kościoła, ale nie przestaje być kapłanem, bowiem prawdziwe kapłaństwo, polegające na służbie CzłowiekowiBogu Żywemu, z kościołem pogodzić się nie da, po czym, wśród grobowego milczenia tłumu, wyszedł z katedry i zniknął.

W ten sam sposób postąpił cztery lata wcześniej ksiądz LaBianca, wygłaszając kazanie w kościele pod wezwaniem Serca Jezusowego w Chicago.

Z tym, że wymienił również księży dopuszczających się seksualnego molestowania dzieci, co spowodowało wdrożenie policyjnego dochodzenia i aresztowanie prawie wszystkich

wymienionych. Odbiło się to bardzo szerokim echem w amerykańskiej prasie i w rok później, za sprawą wielkiej liczby procesów o odszkodowania wygranych przez ofiary napastliwości kapłanów oraz bojkotu wiernych, doprowadziło do bankructwa, a następnie likwidacji chicagowskiej diecezji.

W odróżnieniu od Ameryki, w Polsce o sensacyjnym wystąpieniu księdza Weise wspomniało tylko kilka pism, mających tak fatalną opinię, że ich doniesienia powszechnie uznano za wysane z palca. Kościół i sami oskarżeni duchowni zachowali absolutne milczenie i cała sprawa na pozór się skończyła. Ja jednak czekałem na dalszy ciąg. Nastąpił on chyba w pięć albo sześć dni później w Przemyślu, gdzie ksiądz Weise ogłosił powołanie do życia nowej wspólnoty religijnej pod nazwą Centrum Odbudowy Świadomości Boga Żywego. Zgromadzeni wokół niego wyznawcy początkowo w liczbie 23 mężczyzn i kobiet wynajęli opuszczony magazyn kolejowy, gdzie odbyła się inauguracja działalności Centrum, podczas której Weise zapowiedział, że jednym z głównych celów wspólnoty jest, jak to określił, „wykorzystanie mocy Boga Żywego do uzdrawiania tych, którym ludzka moc nie jest już w stanie pomóc”.

Następnie zaś przeprowadził niejako pokazowy seans uzdrowicielski, podczas którego wysiłki kilkudziesięciu zebranych uczestników tego wydarzenia skupiały się na umierającej z powodu raka trzustki 34-letniej Barbarze Kordek.

Wszystko znowu odbywało się niemal identycznie jak w przypadku księdza LaBianki i jego Kościoła Zaświadczonej Prawdy,

mieszczącego się również w starym magazynie na przedmieściach Austin. I tu, i tam zgromadzeni stali wokół uzdrawianej w potrójnym kręgu i, trzymając się za ręce, śpiewali różne, niekoniecznie nabożne pieśni, ale przede wszystkim we wskazywanych przez prowadzącego kapłana momentach, skupiali się w ciszy na przekazywaniu chorej swojej mentalnej mocy za pomocą sterowanych przez niego fantazji.

„Wyobraź sobie, zobacz przed twoimi zamkniętymi oczami - mówił ksiądz Weise do zebranych - jak z twojej lewej ręki wyrasta, niby świetlista gałązka, pęd twojej energii, patrz, jak się wydłuża, jak wnika w ciało Barbary. Skup się, skoncentruj i prześlij jej przez ten pęd swoją siłę, twoją wolę i twoją wiarę w Boga Żywego, która leczy wszelką niemoc, poczuj, jak ta energia wypływa z twojego ciała i wlewa się w ciało Barbary. Patrz na jej brzuch, na to miejsce, gdzie jest jej trzustka. Zobacz, jak pod działaniem twojej energii, komórki rakowe rozpryskują się niby bańki mydlane. Patrz w to miejsce, kieruj tam myślami swoją energię, nie ustawaj, niech cię łączy z Barbarą świetlisty pęd twojej mocy tak długo, aż usłyszysz muzykę. Wtedy otwórz oczy, odpręż się, poddaj się muzyce, odpocznij”. Po pół godzinie znów padała prośba o zamknięcie oczu i wyobrażenie sobie wychodzącego z prawej ręki promienia energii, który pali komórki rakowe i znów, po przerwie, z obu złożonych rąk miały wylatywać iskry energii, porażające chore komórki. Ksiądz Weise kierował tym dobroczynnym ostrzałem chorej trzustki niczym wytrawny artylerzysta. Jego instrukcje były bardzo podobne do tekstów wygłaszanych przez księdza LaBianca. W trakcie całego seansu obaj

kapłani zachowywali się niemal identycznie, chociaż, wiem to na pewno, Polak nie mógł naśladować swego amerykańskiego kolegi, ponieważ nawet nie słyszał o jego istnieniu. Wyglądało to tak, jakby każdy z nich skądś wiedział, co w takiej sytuacji robić i mówić.

Swego czasu sam miałem takie przeżycie. Pośród osób uczestniczących w „komunii umysłów” (tak ksiądz Weise nazywał swoje seanse) byli członkowie najbliższej rodziny i dalsi krewni uzdrawianej, a także wielu jej przyjaciół, znajomych i sąsiadów. Do nich kapłan zwrócił się na zakończenie z prośbą, aby dwa razy dziennie - w samo południe i o siódmej wieczorem - poświęcali kwadrans na powtórzenie w skupieniu wszystkich, że tak powiem, „przerabianych” w trakcie seansu wyobrażeń i starali się przekazać Barbarze jak najwięcej energii. Samej chorej kazał kilka razy dziennie koncentrować się na swej trzustce i wyobrażać sobie, jak „moc świadomości Boga Żywego” gasi, tkwiące w niej pod postacią maleńkich iskierek, komórki rakowe. Zapewnił ją też stanowczo, że w ciągu miesiąca wyzdrowieje.

W przypadku Garreta Parkera ksiądz LaBianca postępował bardzo podobnie. Zaczął od zawiadomienia go, że jego wyzdrowienie, jeśli będzie regularnie nad tym pracował i uczestniczył w seansach „łączenia umysłów”, nastąpi 26 marca 1995 roku o godzinie 17. Był to dzień równo o dwa miesiące odległy od daty ich pierwszej rozmowy. Parkerowi lekarze dawali wtedy 3-4 miesiące życia, a on sam w tym czasie był na wpół sparaliżowanym, ślepym i tracącym na całe godziny świadomość wrakiem człowieka, który w dodatku doznawał

niesamowitych bólów głowy i innych części ciała. LaBianca praktycznie nie odstępował od łóżka chorego, przeniesionego, za zgodą tego ostatniego, do pełniącego funkcję kościoła magazynu. Dwa razy dziennie odbywało się tam „łączenie umysłów”, w którym, w miarę rozchodzenia się wieści o losie Parkera, brało udział coraz więcej ludzi, spontanicznie pragnących udzielić mu pomocy, a ksiądz wykorzystywał niemal każdą chwilę przytomności pacjenta, aby zachęcać go do staczania w wyobraźni zajadłych bitew z komórkami rakowymi.

Parker, fizyk, pracownik uniwersytetu i obiecujący naukowiec, opowiadał mi potem, że początkowo uległ natarczywości kapłana, którego do jego łóżka sprowadziła zrozpaczona matka. Sam określał wtedy siebie jako idyferentnego religijnie materialistę, z najwyższą nieufnością odnoszącego się do wszelkich wykraczających poza ramy naukowego poznania pomysłów.

Kiedy lekarze spasowali w walce o jego życie, przyjął to jak wyrok i poddał mu się, czekając w apatii i strachu na nieuchronną śmierć. Z tego stanu LaBianca wyrwał go niemal siłą. „Olbrzymie wrażenie - wspominał Garret - zrobiła na mnie pewność, z jaką mówił o moim wyzdrowieniu i precyzyjne określenie czasu, w którym miało ono nastąpić. Z dnia na dzień czułem, jak wbrew rozumowi budzi się we mnie wiara w to, czego możliwość nauka kategorycznie wykluczyła. W gruncie rzeczy potwornie bałem się śmierci i bardzo chciałem żyć, mimo że rozum kazał mi pogodzić się z klęską i zachować resztki ludzkiej godności, przyjmując bezlitosny koniec z

jakim takim spokojem.

W momencie, w którym dojrzałem cień nadziei, rozum wraz z jego dotychczas dla mnie świętymi, naukowymi argumentami został odrzucony. Łapczywie słuchałem księdza i wraz z nim zacząłem wierzyć w mentalną energię, z której jeszcze kilka miesięcy temu niemiłosiernie kpiłem, a która teraz miała mnie uleczyć. Ja, zaprzysięgły racjonalista, czując na gardle palce kostuchy, nie tylko bez żadnych oporów, ale wręcz ze skwapliwą wdzięcznością uwierzyłem w możliwość cudu i poddałem się obrządkom, uznawanym przeze mnie do tej pory za głupie zabobony. Tak zwana „potęga rozumu” jeszcze raz okazała się niczym wobec dwu innych potęg, niepodzielnie władających śmiertelnie chorymi - strachu i nadziei”.

Po miesiącu intensywnych ćwiczeń oraz udziału w „łączeniu umysłów”

Parker przestał tracić przytomność i odzyskał wzrok. Lekarze zinterpretowali ten fakt jako najprawdopodobniej przypadkowy efekt rozrostu guza, którego kształt podlegał ustawicznym zmianom, tak że jego wypustki i wyrostki uciskały coraz to inne obszary mózgu. W rzeczy samej, niejako w zamian za powrót wzroku i pełnej przytomności, chory został całkowicie sparaliżowany, łącznie z utratą mowy i kontroli nad zwieraczami. Jednak ta zmiana stała się dla niego, jak mi później opowiadał, momentem ostatecznego wewnętrznego przełomu. „Sam fakt wystąpienia takiej zmiany kazał mi uwierzyć, że możliwa jest każda inna” - powiedział. Od tej chwili

całkowicie i niezłomnie wierzył w możliwość swego wyzdrowienia, a datę 26 marca 1995 roku przyjął za dzień swoich, w pewnym sensie, powtórnych narodzin.

Dalej wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. W ciągu tygodnia odzyskał mowę i władzę w górnej połowie ciała. Po dwu tygodniach paraliż ustąpił całkowicie i minęły obezwładniające bóle. 20 marca, chociaż bardzo słaby i niezdarny, wstał z łóżka i odbył czterominutowy spacer po nawie kościoła, wsparty na ramieniu księdza LaBianca. Jednak po tym wyczynie dostał w nocy bardzo wysokiej gorączki i stracił przytomność. Moment ten opisał mi potem następująco: „Poczułem nagle falę niesamowitego gorąca, przesuwającą się od moich nóg ku głowie. Przez moje ciało szedł niewidoczny ogień, paląc tkanki i kości, aż doszedł do czaszki i spopielił ją w jednym, niewyobrażalnie bolesnym rozbłysku. Koniec - pomyślałem - a jednak koniec. Była to ostatnia myśl, nim mój umysł runął w wypełniony czarnym, kojąco zimnym błotem dół. Ocknąłem się pod wpływem silnego, od dawna mi nieznanego uczucia.

Byłem głodny. Nie odczuwałem żadnego bólu, żadnych mrowień, ukłuć ani pieczeń, dotąd dręczących mnie nieustannie. Czułem się spokojny, wypoczęty i głodny. Obok łóżka dostrzegłem księdza Marka, moją matkę i wiele innych osób z zapalonymi świecami w rękach. Patrzyli na mnie z napięciem, więc pomachałem im ręką i powiedziałem równym, zdecydowanym głosem: Dzień dobry wszystkim. Bardzo chce mi się jeść”.

Okazało się, że był nieprzytomny przez pięć dni, a funkcje

życiowe jego organizmu ciekły coraz cieńszym strumyczkiem, tak że piątego dnia nawet ksiądz LaBianca uznał się za pokonanego i zapalił świecę. Wtedy Garret otworzył oczy. 26 marca udał się w towarzystwie matki do Mount Carmel Hospital, gdzie zajmujący się nim lekarze z najwyższym zdumieniem stwierdzili całkowite zniknięcie rozgałęzionego nowotworu, przenikającego lewą półkulę jego mózgu. Zdumiewające wyniki swoich badań obwieścili mu o godzinie 17.

Nad Austin powiało cudem. Kilkanaście stacji telewizyjnych i radiowych natychmiast przeprowadziło z Parkerem i LaBianca obszerne wywiady. Ich zdjęcia ukazały się na pierwszych stronach gazet pod ogromnymi tytułami w rodzaju: „Współczesny Łazarz”, „Amerykański cud”, „Nowy Chrystus i jego Łazarz”, ale też: „Cud czy zręczna mistyfikacja” albo „Para oszustów czy klęska oficjalnej medycyny”. Do Kościoła Zaświadczonej Prawdy waliły tłumy, a ksiądz Marek w ciągu kilku dni pobił popularnością gwiazdy filmowe i czołowych zawodników amerykańskiego futbolu. Kraj ogarnęła gigantyczna fala nawróceń i bigoterii. Jak okiem sięgnąć, ludzie modlili się do najrozmaitszych wcieleń Boga, czcili przeróżne epifanie, medytowali i praktykowali niezliczone rodzaje ćwiczeń duchowych, zaś spontaniczne „łączenie umysłów” w rozmaitych, większych i mniejszych grupach stało się równie popularne jak jogging. Parkera badało kilkanaście niezależnych komisji lekarskich i za każdym razem ich werdykt był identyczny - w mózgu, jak i w całym organizmie pacjenta, nie stwierdzano żadnych zmian

nowotworowych. Na początku maja doktor Garret Parker powrócił do pracy na wydziale fizyki Uniwersytetu Stanowego w Austin. Jego pierwszy po wyzdrowieniu wykład dla studentów telewizja NBC transmitowała w całości na ogóln amerykańskim kanale, jak przemówienie inauguracyjne nowego prezydenta. Temat wykładu brzmiał: „Fizyka jako poszukiwanie Boga”. Amerykanie mogli się z niego dowiedzieć, że, zdaniem wykładowcy, Przedwieczny jest fundamentalną jednością, leżącą u podstaw głównych sił przyrody, czyli, inaczej mówiąc, jednolitą teorią pola usilnie poszukiwaną przez fizyków, począwszy od Einsteina. Tkwiący przed telewizorami obywatele USA w większości poczuli się rozczarowani enuncjacjami Parkera, gdyż spodziewali się, że, po swoim cudownym uleczeniu, opowie on, jak pewnej nocy dotknął go uzdrawiający palec, należący do siedzącego na chmurze postawnego starszego pana z brodą, co, oprócz wyzdrowienia, spowodowało ocknięcie się jego uśpionej duszy i głęboką przemianę umysłową. Niektórzy oczekiwali, że tknięty bożym palcem doktor ogłosi zamiar wstąpienia do klasztoru, zostania księdzem albo co najmniej telewizyjnym kaznodzieją. Parker nic takiego jednak nie uczynił. Wystąpił za to w teledysku, reklamującym najnowszy model superbezpiecznego Forda, gdzie prowadzony przez niego „Invader” z dużą szybkością wpada na jadącą „pod prąd” ciężarówkę, a on wychodzi spokojnie ze zmiażdżonego wraka, mówiąc z uśmiechem: „Tym razem cud nie był potrzebny”.

Reklama wywołała powszechne oburzenie wierzących. Podobno cyniczną postawę swego byłego klienta potępił nawet sam ksiądz

LaBianca. Parker zaś, zainkasowawszy bajeczne honorarium, zniknął bez wieści. Jak się później okazało, zamieszkał w maleńkiej pustynnej osadzie w Arizonie i oddał się bez reszty pracy nad dziełem, mającym być syntezą teologii dogmatycznej i fizyki teoretycznej. Kiedy rozmawiałem z nim mniej więcej półtora roku od wyzdrowienia, był już najprawdopodobniej paranoikiem. W każdym bądź razie jego psychotyczna dekompensacja była chwilami wyraźnie widoczna, zwłaszcza kiedy porzucał bezpieczny grunt wspomnień i zagłębiał się w absurdalnych, pseudonaukowych dywagacjach, twierdząc na przykład, że miłość i miłosierdzie mają naturę kwantową. Prezentował też dziwaczne, spoczywające w obudowanych elektroniką akwariach miniaturowe pojemniki, wykonane częściowo z żywej, hodowanej in vitro skóry, w których, jak twierdził, magazynował schwytane w elektromagnetyczną pułapkę uzdrawiające kwanty miłosierdzia. Krótko mówiąc, w niespełna osiemnaście miesięcy po swoim cudownym uwolnieniu od raka mózgu, Garret Parker był zdeklarowanym wariatem.

Z obszernego listu księdza Weise wynikało, że, jak dotychczas, losy jego podopiecznej, Barbary Kordek, układały się w ogólnym zarysie podobnie do losów Parkera. Po trzech tygodniach intensywnego udziału w „komunii umysłów” oraz w indywidualnych sesjach terapeutycznych z księdzem jej stan uległ znacznej poprawie. Zaskoczeni lekarze stwierdzili zmniejszenie się guza do jednej trzeciej jego poprzedniej objętości, a także zniknięcie przerzutów do układu limfatycznego i wątroby. Ustąpiły też w dużej części najsilniejsze bóle

i, co najważniejsze, wyniszczony organizm chorej zaczął przyjmować proste, dietetyczne jedzenie, dzięki czemu można było zrezygnować z koniecznego dotychczas odżywiania dożylnego. Jednym słowem, śmierć niechętnie odstąpiła od łóżka Barbary i z ociąganiem zaczęła się zbierać do odejścia, widząc, że łup, który miała już w zasięgu nieomyślnej kosy, jakimś cudem jej się wymknął.

Taki był stan rzeczy na dziś. Ksiądz Weise, jak pisał, nie ustawał w wysiłkach i mniej więcej za dwa tygodnie oczekiwał ostatecznego triumfu. Jego list kończył się następująco:

Nie wiem, czy pamięta pan naszą ostatnią rozmowę? Powiedział pan wtedy, że być może ulegam pewnej przemianie, która jest też pańskim udziałem, ale pan jest na tej drodze dalej niż ja. Miał pan rację, chociaż tej samej nocy nastąpiły pewne wydarzenia, które najprawdopodobniej spowodowały, że dystans między nami mocno się zmniejszył. Z różnych powodów nie chcę tych zdarzeń opisywać, ale jestem pewien, że będzie pan wiedział, o co mi chodzi.

Dzięki nim w końcu zrozumiałem, co znaczyły słowa - „idź tam śmiało” i, jak pan widzi, poszedłem, chociaż nie wiem, dokąd ta droga prowadzi. Mam nadzieję, że nie do takiego punktu, w jakim pan się znalazł. Zresztą, nawet gdybym również miał się w nim znaleźć, to i tak nie zawrócę. Jestem na to zbyt słaby i zbyt podty. Przypuszczam, że i teraz rozumie pan, o co mi chodzi.

Nie wiem, czy jeszcze się z panem kiedyś skomunikuję. Nie mam i prawdopodobnie nie będę miał na to specjalnej ochoty, ale zdaję sobie sprawę, że jeśli zajdzie taka potrzeba, sity, których

niejasnego planu obaj jesteśmy częścią, doprowadzą do naszego spotkania lub jakiejś innej formy kontaktu. Ten list napisałem do pana, ponieważ w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że stał się pan moim krewnym. Jest pan de facto, choć nie de jure, moim zięciem i ojcem mojej wnuczki, co uważam za ponurą ironię losu. W dodatku jestem przekonany, że ponosi pan odpowiedzialność za zaginięcie (i prawdopodobnie za śmierć) mojej córki i jej dziecka, chociaż nie potrafię tego udowodnić. Przypuszczam, że obie padły ofiarą jakichś pańskich zupełnie dla mnie nie zrozumiano tych eksperymentów, których dopuszczał się pan na swoich wyznawcach. Jednak wierzę mimo wszystko, że uniknęły najgorszego i ocalały. Będę ich szukał na własną rękę.

Życzę panu spokoju i zmiłowania, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Weise

PS Przesyłam panu posiadane przeze mnie dokumenty, pochodzące z okresu, kiedy kandydował pan do Senatu. Być może na coś się panu przydadzą.

Oczywiście od początku do końca wiedziałem, o co mu chodzi i rozumiałem, co miał na myśli. Rozumiałem aż za dobrze.

15 sierpnia 1991 roku skończyłem 44 lata. Oprócz tego, że jest to dzień moich urodzin, jest to też święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, czyli kolejna rocznica fundamentalnego dla religii katolickiej cudu albo też, co jest bardziej prawdopodobne, po prostu rocznica śmierci matki Jezusa Chrystusa. W dniu tym w 1769 roku

urodził się Napoleon Bonaparte, w 1950 roku brytyjska księżniczka Anna, która w stosownym miejscu i czasie raczyła spaść z konia, a w 1920 roku rozpoczęła się na przedpolach Warszawy bitwa z bolszewikami, zwana później „cudem nad Wisłą”. Poza tym 15 sierpnia nigdy nic ważnego się nie wydarzyło. I właściwie nie ma się co dziwić. Przecież to schyłek lata. Czas gorąca i obfitości, kiedy nikomu nie chce się do niczego zabierać, niczego wynajdować, ogłaszać, ustanawiać, stwierdzać i uchwalać. Czas dojrzałości i odpoczynku, kiedy sama ziemia zda się oddychać z ulgą po wyczerpującym porodzie swoich owoców.

W 1991 roku sierpień był taki, jak należy - upalny i suchy. Urodziny świętowałem - jeśli to nie za dużo powiedziane - w domu, czyli w moim warszawskim mieszkaniu, które rok temu spłonęło niemal równocześnie z Eudajmonia.

Przyszło paru znajomych, którzy jeszcze nie wyjechali albo już wrócili z urlopów, i choć było dużo wódki, wina, piwa oraz mniej albo bardziej banalnych rozmów, to już około północy wszyscy się rozeszli.

Powietrze stało nieruchome i duszne, jakby zbierało się na burzę, chociaż rozgwieżdżonego nieba nie przesłaniały żadne chmury.

Otworzyłem szeroko wszystkie okna i powoli zabrałem się do sprzątanego porozstawianych wszędzie butelek, kieliszków, szklanek i popielniczek. Wypiłem dużo, ale zawsze miałem na alkohol doskonałą tolerancję, toteż nie czułem się pijany, ale też trudno byłoby mi powiedzieć o sobie, że jestem zupełnie trzeźwy. Chodziłem

po mieszkaniu, popijając wprost z butelki zimne białe wino i znosiłem do kuchni brudne naczynia, kiedy nagle stwierdziłem, że jest bardziej gorąco, niż mogła na to wskazywać temperatura upalnej nocy.

Koszula lepiała mi się do ciała, a pod spodniami, na udach, czułem ściekające, obfite niby gorący mocz, strumyczki potu. Z obrzydzeniem zrzuciłem z siebie ubranie wraz z całkowicie przepoconą bielizną, ale to nic nie pomogło. Nadal było mi nieznośnie gorąco.

Moja skóra, zupełnie dosłownie, ociekała potem, który w dodatku intensywnie śmierdział charakterystycznym odorem na wpół przetrawionego alkoholu.

Szukając ochłody, podszedłem do otwartego na oścież okna, ale tam uderzyła mnie fala jeszcze większego upału. Umieszczony pod parapetem kaloryfer buchał wprost żarem, a kiedy na niego splunąłem, rozległ się syk, jakbym napluł na rozpaloną blachę. Osłupiałem. Kaloryfer grzejący w środku lata i to tak grzejący, to było coś niesamowitego. Musiała nastąpić jakaś totalna awaria - myślałem - jakaś powszechna rozpierducha, w wyniku której wszystko się pomieszało, chociaż największe nawet zamieszanie niczego nie tłumaczyło. Kaloryfer po prostu nie mógł rozgrzać się do tego stopnia, bo znajdująca się w nim woda, fizycznie nie mogła osiągnąć takiej temperatury. Miotając się po mieszkaniu, aby sprawdzić inne grzejniki (działo się z nimi dokładnie to, co z pierwszym), zauważyłem, że już nie jestem ani trochę pijany, a mój wciąż obfity pot przestał cuchnąć gorzelnianym zacierem. Widocznie wydalilem przez skórę cały wypity alkohol. Przez skórę! Jak jakaś pieprzona żaba albo inna

traszka. Spociłem się gorzałą jak salamandra i byłem równie jak ona trzeźwy. Dobrych kilka minut nie uświadamiałem sobie, że czuję na ciele liźnięcia chłodu. Temperatura w pokoju znacznie spadła, zaś upiorny kaloryfer - dopiero teraz to zobaczyłem - pokrył się jakby delikatnym, białym szronem.

- Bez przesady - powiedziałem głośno - proszę bez przesady.

Ale szron bynajmniej nie zniknął. Kaloryfer wyglądał jak wewnętrzne ściany zamrażalnika w lodówce.

- Bez przesady - powiedziałem znowu, chyba do mojego opuszczającego mnie rozumu, bo to, co się działo, z jego obecnością nie dawało się pogodzić.

Nie przeszkodziło mi to jednak skoczyć do łazienki i z ulgą opatulić się w gruby płaszcz kąpielowy. Z małego grzejnika, w kącie za drzwiami zwisały krótkie, połyskujące sople. Działo się coś naprawdę niepojętego. Skulony z zimna przysiadłem na sedesie, usiłując zebrać myśli, ale myśli nie było. A właściwie było jedno bezsensowne zdanie, monotonicznie i obco tłukące mi się po głowie:

„przejdzie w dezintegrację, przejdzie w dezintegrację, przejdzie w dezintegrację”. Siedziałem całkowicie nieruchomo, wsłuchując się w to obracane przez mój umysł zdanie i jednocześnie widząc, jak z soplek na grzejniku zaczyna kapać woda, jak stopniowo znikają, zmieniając się w mokrą plamę na ścianie, jak ta plama kurczy się, schnąc, aż nagle ocknąłem się i poczułem, że pod frotowym płaszczem znów się pocę. Jednocześnie w moim mózgu zapadła cisza i obudziłem się z dotychczasowego odrętwienia, zupełnie jakbym

zerwał się z chwilowej drzemki.

Choć nie było gorąco, po ciele wciąż spływały mi łaskoczące strumyczki potu, więc wstałem z kibla i zrzuciłem płaszcz. To co zobaczyłem, zbiłoby mnie z nóg, gdybym odruchowo nie chwycił się umywalki. Moje ciało pokryte było wyciekającym wszystkimi porami, żółtym jak roztopione masło śluzem zmieszany z gęstą, prawie czarną krwią. Wyglądałem, jak odarta ze skóry i unurzana w ekskrementach tusza goryla albo innego orangutana, bo zachowałem jednak ogólny kształt. Strugi śluzu i krwi ciekły z mojego członka, z odbytu i z lewego ucha, wsiąkając w i tak już przypominający krwawą szmatę płaszcz leżący na posadzce. Krwawy pot - myślało coś w mojej głowie - krwawy pot, zapowiedź śmierci. To tylko krwawy pot, krwawy pot, zapowie... tylko krwawy pot, pot z krwi. Spociłem się krwią. Było mi niedobrze ze strachu, a kiedy pochyliłem się nad muszlą, by zwymiotować, z gardła i z nosa chlusnął mi ten sam śluz wraz z czarną krwią, cuchnący ropą, gnijącym mięsem i zjełczalym tłuszczem.

To był koniec. To była sama odrażająca w swoim rozkładzie śmierć. Oczekując w każdej chwili ostatecznego spazmu porażającego bólu, osunąłem się z jękiem na kolana i objąłem kurczowo klozet, natężając wszystkie mięśnie w instynktownej obronie. Ale ból nie nadchodził. Mało tego! Po kilku minutach skonstatowałem, że właściwie nic mnie nie boli, a nawet że czuję się zadziwiająco dobrze. Nie mogłem w to uwierzyć przez następne minuty albo godziny, w pełnym przerażenia odrętwieniu leżąc zwinięty wokół muszli

klozetowej, w kałuży śmierdzącego śluzu, krwi i gówna, pełnej czegoś, co wyglądało jak cienkie żyły albo sine kurze flaki poprzerastane grudami tłuszczu i co wychodziło ze mnie przez gardło i odbytnicę, w powtarzających się co pewien czas bezbolesnych parodiach skurczów porodowych.

Nie wiem, jak długo tak leżałem, ale chyba długo, bo to świństwo na mnie zdążyło już miejscami zaschnąć. W końcu, szlochając z przerażenia i odrazy, przeczołgałem się na kolanach pod natrysk i puściłem wodę. Czułem, jak gorące strumienie spłukują z mojego ciała stężalą maź, i widziałem, jak do otworu odpływowego brodzika spływa najpierw ciemnoczerwona, potem różowa, aż wreszcie czysta woda. Kilkakrotnie jeszcze dla pewności namydłony i spłukany podniosłem się wreszcie na roztrzęsione nogi i stanąłem przed lustrem.

Widok, jaki ujrzałem, omal znów nie rzucił mnie na kolana. Mój obwisły brzuch i zwały tłuszczu na biodrach zniknęły. Od jakichś pięciu lat, żeby zobaczyć swoje jaja, musiałem się nieźle namęczyć albo skorzystać z lustra.

A teraz miałem sylwetkę sprzed dwudziestu lat, kiedy mówiono o mnie - szczupły, dobrze zbudowany mężczyzna.

- Chryste Panie - wyszeptałem - o Chryste Przenajświętszy. Co się tu dzieje? Co się ze mną wyprawia? Co to jest? Czy po prostu wśród cierpienia i nieczystości postradałem rozum? Ale przecież nie ma nic prócz rozumu, więc, jeśli go utraciłem, to co mamy teraz moje oczy?

Patrzyłem z trwożnym zachwytem na moje odmłodniałe ciało, gładząc rękami gładką skórę, naprężoną na twardych mięśniach. Były tam. Czułem je pod palcami. Spostrzegłem też, że wygładziły mi się zmarszczki na czole i głębokie „bruzdy śmiechu” wokół ust.

Czułem się wspaniale.

Wszystko, co stare, zużyte i chore, wyszło ze mnie przez skórę i otwory ciała - myślałem. Wydałem z siebie starość i choroby, które wsiąknęły w płaszcz kąpielowy, zasychały w śmierdzącej kałuży obok klozetu i wypełniały jego wnętrze. Stało się coś niemożliwego, niedopuszczalnego, co z punktu widzenia nauki, a nawet zdrowego rozsądku, nie mogło się zdarzyć.

Coś, w co nawet w malignie albo wobec śmierci, jako racjonalista i czciciel rozumu, nie powinienem wierzyć. A jednak wierzę w to. Mój umysł jeszcze się opiera, jeszcze wzdraga się przed nieprawdopodobnym, ale jest już gotów przyjąć to za normalne. Po prostu mój organizm, sam z siebie oczyścił się z nagromadzonych w nim produktów rozkładu. Widocznie jest to możliwe. Widocznie w naszej biologicznej strukturze zawarty jest samouzdrawiający kod, który może zostać uruchomiony przez określoną konfigurację czynników. Najprawdopodobniej jest to konfiguracja bardzo rzadko występująca, ale jednak możliwa. W końcu legendy o eliksirze młodości czy „żywej wodzie” są od niepamiętnych czasów obecne we wszystkich kulturach.

Być może znajdują w nich mityczne odzwierciedlenie te przypadki, kiedy ludziom udawało się, mniej lub bardziej

przypadkowo, trafić na takie chemiczne, biofizyczne albo psychologiczne komponenty, które czyniły daną kombinację składników kompletną, zaś ona uruchamiała somoregenerujący kod i dokonywał się rzekomy cud odmłodzenia. A może naprawdę stał się cud?

Może myliłem się, trwając uporczywie w swoim sceptycyzmie, i Bóg, kimkolwiek lub czymkolwiek jest, postanowił dać mi wreszcie tak kiedyś pożądany dowód swojej obecności? Ale cóż to byłby za Bóg, gdyby mu zależało na przekonaniu kogoś takiego jak ja? Taki małostkowy Bóg był nie do pomyślenia jako wszechwładny Pan Stworzenia i Najwyższy Sędzia. Bóg nie może mieć mentalności zadziornego proboszcza, dla którego wątpiący parafianin jest osobistym wyzwaniem. Może On, jeśli jest, być Stwórcą, Demiurgiem albo ogólną zasadą organizacji wszechświata, ale na pewno nie jest katolickim księdzem.

Istnieje jeszcze i taka możliwość, że wszystko, co się teraz dzieje, jest rozbudowaną, wielozmysłową halucynacją mojego umysłu, przeżywaną pod wpływem alkoholu (mało prawdopodobne), jakiegoś narkotyku (jeszcze mniej prawdopodobne) lub będącą wynikiem nagłego szaleństwa. Ta ostatnia ewentualność jest również mało prawdopodobna, ale, powiedzmy, że mogłaby w moim przypadku wchodzić w grę. Tylko dlaczego miałbym nagle oszaleć?

Wedle mojej najlepszej wiedzy nigdy nie byłem kandydatem na szaleńca. Znałem przecież doskonale i potrafiłem wyśledzić w ludzkim życiu owe mikroprocesy, które stanowią bazę człowieczego

cierpienia, wszystkie te niewidzialne pozornie doświadczenia, będące pierwszymi, ukrytymi miejscami bóleści, obłądu, występku i zbrodni, tę całą chwiejną równowagę i przenikanie, decydujące o rozwinięciu się normalnej lub skażonej świadomości.

W moim życiu ich nie było. A przynajmniej nie było ich tyle, żeby miały zaowocować całkowitą dekompensacją psychiczną i pograżeniem się umysłu w niczym nie skrepowanej kreacji obłądnych rzeczywistości. Zresztą umysł rozważający możliwość własnego szaleństwa prawie nigdy nie bywa obłąkany, więc to, co stało się z moim ciałem, jest rzeczywiste i prawdziwe.

Skłonny byłem więc uznać koncepcję kodu genetycznego. Prawda, jakie to proste? Sylogizm naiwnego. Rozumowanie zdolne uzasadnić każdy nonsens, będący koniecznością, które czyniło oprawców z zupełnie przyzwoitych ludzi oraz bezwolne ofiary z tych, którzy mogli stawić opór. Jak wspaniale uporałem się z wytłumaczeniem sobie, że to, co mnie spotkało, naprawdę mnie spotkało i niemal nie ma w tym nic niezwykłego. Musiałem jakoś sobie poradzić z wytłumaczeniem niewytłumaczalnego, bo inaczej naprawdę bym zwariował.

Zresztą jeszcze sobie z tym nie poradziłem. Za ledwie próbowałem, przymierzałem się do tego, usuwając jednocześnie cuchnące pozostałości mojej przemiany Wyrzuciłem do klozetu zebrane z posadzki krwawosine, przypominające podroby farfocle i wielokrotnie spuszczałem wodę, modląc się, aby te świństwa nie zatkały odpływu. Potem dokładnie wyszorowałem posadzkę.

Brunatny od krwi i sztywny od stężałego śluzu płaszcz kąpielowy wpakowałem do foliowego worka na śmieci, który szczelnie zawiązałem. Cała ta gorączkowa krzątanina przychodziła mi z największą łatwością. Schylałem się bez wysiłku i trapiącego mnie od lat bólu kręgosłupa, bez zadyszki machałem ścierką i w kucki przemierzałem wielokrotnie łazienkę, chociaż dotąd ból w kolanach zmuszał mnie do klękania nawet przy zawiązywaniu butów.

Wszystko to, co przed przemianą zajęłoby mi z godzinę, teraz wykonałem w niespełna kwadrans. Czułem się przy tym wciąż znakomicie, tak jakby wszelkie bóle, strzykania, mrowienia i rwania, do których już właściwie przywykłem, opuściły moje ciało, nie pozostawiając nawet wspomnień.

W czystej już łazience znów stanąłem przed lustrem, aby nacieszyć się swoją nową powierzchownością, jeśli jeszcze była. Była. Biała, gładka skóra, twarde mięśnie i twarz bez zmarszczek czterdziestoparolatka. Zęby mi jednak nie odrosły, a broda pozostała siwa. To, co się ze mną stało, nie było więc regeneracją. Nic w moim organizmie się nie odtworzyło i nie odbudowało, a jedynie oczyściło i odświeżyło. Nie było to więc odmłodzenie, ale jakby generalne uzdrowienie i wyleczenie, polegające na usunięciu efektów starzenia się i skutków przebytych kiedyś schorzeń. Ale jak to się stało?

I dlaczego mnie, który w największej skrytości ducha podejrzewał nieśmiało, a może marzył, że sam jest uzdrowicielem, kimś na kształt filipińskiego maga, tylko daleko sprawniejszego i działającego w dużo szlachetniejszej formie? A może to tylko wstęp?

Może, żeby zostać uzdrowicielem, najpierw samemu trzeba być uzdrowionym? W nagłym błysku skojarzenia uprzytomniłem sobie, że w znacznie skromniejszej skali doświadczyłem czegoś podobnego trzy lata temu w Uppsali. Przypomniałem sobie strużkę krwi, ciekącą wtedy z mojego lewego ucha i to, że, podobnie jak teraz, w całym ciele nic mnie nie bolało.

Wtedy zaczął się we mnie jakiś proces. A teraz się zakończył - pomyślałem, czując bolesne uderzenie krwi do głowy, jakby ta myśl walnęła od wewnątrz w moją skroń. Pociemniało mi w oczach i zatoczyłem się do tyłu, uderzając w ściankę kabiny kąpielowej, która rozleciała się z trzaskiem. Wraz z jej fragmentami wpadłem widocznie do brodzika, bo poczułem ból w kręgosłupie i chłód mokrego metalu. Oszołomiony i wciąż nie widzący nic, prócz falującej pomarańczowymi rozbłyskami ciemności, usłyszałem gdzieś obok, a może w głębi umysłu męski głos, który powiedział stanowczo - dezintegracja.

Potem przestałem czuć.

Ocknąłem się pod wpływem bólu, mrowiącego gdzieś za lewym uchem i natychmiast stwierdziłem, że jestem wściekły. Mój umysł wypełniała chmura ciemnoczerwonej furii, która napinała mi mięśnie i zaciskała szczęki na czymś, co tkwiło między moimi zębami. Oczy miałem nadal oślepięte, ale tym razem niezwykle silnym białym światłem, bijącym mi wprost w twarz.

Leżałem na czymś twardym i równym, do czego byłem przywiązany bez żadnej możliwości ruchu. Na przegubach rąk, na

ramionach, na tułowiu, udach, kostkach nóg i na czole czułem wrzynające się w ciało sznury albo pasy, a może raczej sztywne, metalowe uchwyty, bowiem, mimo rozpaczliwego natężania mięśni, nie mogłem spowodować ich choćby najmniejszego, elastycznego odkształcenia. Wypełniająca mnie bezcelowa, na nic konkretnego nie ukierunkowana złość niemal odbierała mi przytomność. Prężyłem wściekle unieruchomione ciało, wydając z głębi gardła, co uświadomiłem sobie dopiero po chwili, coś na kształt psiego warczenia, przechodzącego przy wdechu w bulgoczący charkot. Dopiero po pewnym czasie uprzytomniłem sobie, że to, na czym zaciskam kurczowo zęby, jest ludzkim palcem, należącym do kogoś, kto stoi z tyłu, za moją głową i widocznie robił coś w moich ustach, kiedy byłem jeszcze nieprzytomny. Poprzez dzwonienie i szum w uszach udało mi się w końcu zidentyfikować uporczywy dźwięk, który słyszałem od chwili otwarcia oczu. Był to chyba przeraźliwy krzyk bólu torturowanego człowieka. Piszę - chyba, bo wcale nie byłem taki pewien, że to wyje człowiek, chociaż palec był raczej ludzki. W każdym razie niewidzialny dla mnie właściciel odgryzanego przez moje szczęki palca zanosił się wrzaskiem i, okładając mnie drugą ręką po głowie, usiłował wyszarpnąć dłoń z morderczego uchwytu. Ale ja nie chciałem puścić. Albo inaczej - mój rozum chciał rozewrzeć szczęki, ale coś innego w moim umyśle, coś wściekłego i furiackiego chciało dalej kęsać. Czułem, jak na zębach zostają mi kawałki ciała, a do gardła spływa ciepła krew, ale nie mogłem przestać. Warcząc i charkocząc, jak wściekły pies zaciskałem żuchwy

coraz bardziej i bardziej, w końcu już chyba na kości dławiącego się wyciem nieszczęśnika, aż w jednej chwili wszystko się skończyło. Złość we mnie zgasła, jakby ktoś przekręcił wyłącznik. Puściłem przegryziony palec i słysząc z tyłu, za głową, oddalające się jęki, wyplułem wprost w porażające oczy światło, to co zostało mi w ustach i co smakowało jak nieco przesolony befszytk tatarski.

Oprzytomniałem.

- Gdzie jestem - pytam - widząc wciąż tylko nieznacznie jaskrawy blask obramowany żółcią i czerwienią. - Gdzie ja jestem?

- W szpitalu - cichy, spokojny głos płynie spoza światła, gdzieś z głębi pomieszczenia i należy do kobiety. Jest to głos, który bardzo dobrze znam, i który rozpoznałbym zawsze i wszędzie - głos mojej żony, Pauliny.

- Paulina? - pytam. - Paulina, to ty?

- Miał pan wypadek. Nastąpiły pewne komplikacje - tym razem jest to głos mojej matki.

- Mama? Ty tutaj? - oczywiście, że tutaj - myślę. A gdzie miałyby być?

Mam kłopoty, a więc matka i Paulina są przy mnie. Jasne i oczywiste. Ale dlaczego matka mówi do mnie - „pan”? I jaki wypadek mogłem mieć we własnej łazience?

- Mamo? Co mi się stało? Co mi tutaj robią? Czy tobie coś zrobili? Dlaczego mówisz do mnie „pan”? Słyszysz mnie?

- Miał pan wypadek. Nastąpiły pewne komplikacje - powtarza głos spoza światła. Wreszcie męski i nie znany mi głos.

Widocznie lekarz - myślę. Na pewno lekarz, no bo kto inny? Może anestezjolog albo internista, bo chirurg to chyba ten od palca. Chryste! Źle mnie znieczulili i odgryzłem palec chirurgowi! Prawie odgryzłem.

- Paulina - mówię. - Podejdź bliżej, chcę cię zobaczyć. - Po jej oczach i wyrazie twarzy poznam, co ze mną jest. I jak źle jest ze mną. Bo chyba jest źle, skoro mnie tak unieruchomili i obstawili. Teraz dopiero widzę tkwiące w mojej klatce piersiowej kaniule i wenflony, od których gdzieś tam, poza światło, odchodzą kolorowe przewody i plastikowe rurki. Bolą mnie szczęki, ale to nic dziwnego, zważywszy, że przed chwilą próbowałem przegryźć żywą kość. Warczałem jak pawian i łykałem ciepłą krew. Rany boskie, chyba coś mi się stało w głowę? Miałem jakiś pieprzony atak, epileptyczny albo inny, który na pewien czas pozbawił mnie rozumu, chociaż nie pamięci. A może w ogóle mam uszkodzony mózg i właśnie korzystam z nielicznych chwil przytomności, poza nimi zachowując się jak wilkołak?

- Paulina! - krzyczę. - Podejdź tu, stań tak, żebym cię widział. - Mamo!

Ty też podejdź.

- Miał pan wypadek. Nastąpiły pewne komplikacje - odpowiada znany mi już męski głos.

- Jakie komplikacje? - wrzeszczę. - Co za komplikacje? Paula, podejdź tu na miłość boską. Powiedz mi, co się tu wyprawia? Co tu ze mną robią? Ja chyba nie miałem żadnego wypadku. Zdaje mi się, że upadłem w łazience. Paula, Paulina, dotknij mojej ręki albo głowy,

zrób coś, nie pozwól im...

- Tu nie ma... Pauliny - mówi, jakby z pewnym wahaniem, ten sam głos.

- Musi się pan... uspokoić. Miał pan wypadek. Nastąpiły pewne komplikacje.

Musi się pan... uspokoić.

- Jak to nie ma tu Pauliny? - staram się mówić spokojnie. - Słyszałem jej głos. Mówiła do mnie. Tak samo jak moja matka. Mamo! - wołam. - Dlaczego do mnie nie podejdziesz? Co oni ci zrobili?

- Tu nie ma pańskiej... mamy. Miał pan wypadek.

- Wiem - ryczę. - Miałem, kurwa, wypadek i nastąpiły, kurwa, pewne komplikacje. Jakie? Jakie, kurwa, komplikacje. Nazywam się Jan Krass i, kurwa, pytam, gdzie i po co jestem, i spróbujcie, kurwa...

- Nastąpiły pewne komplikacje. Musi się pan... uspokoić - głos jest nadal cichy i obojętny.

- Gówno muszę! Paulina! Mamo! Ludzie!

- Tu nie ma... Pauliny. - Głos nie zmienia się ani na jotę. Musi się pan...

Białe światło przesłania czarwona mgła i w moich mięśniach znów napręża się furia i strach. Bardziej strach, furiacka panika. Jezu! Jezu Chryste, zmiłuj się. Na pomoc, ratunku, ludzie - wołam w myślach, bo z gardła wychodzi mi tylko nieartykułowany krzyk - robią tu ze mną coś okropnego, zakazanego!

I wtedy nagle zapada ciemność. Ktoś stojący za moją głową

kładzie mi rękę na oczach, zasłaniając przeklęte światło. Ręka jest mała, delikatna i pachnie, pachnie mocno i tak znajomo, że krzyk zamiera we mnie gwałtownym, wysokim spazmem. To rączka Kassandry, pachnąca mlekiem, mydłem, klejem do papieru, miętową gumą do żucia i mokrym psem. Jednocześnie czuję, jak do lewego ucha wsuwa mi się głęboko jakiś zimny, cienki, metalowy pręt. Kulę się wewnętrznie ze strachu, oczekując bolesnego ukłucia i, jak za przekręceniem wyłącznika, strach ustaje. Gaśnie, jak wrzucona do kałuży zapalka.

Ogarnia mnie spokój, całkowite, rozkoszne odprężenie.

- Cassandra, córeczko - mówię sennie - piesku mój, skąd się tu wzięłaś?

Przyszedł z mamą i babcią? Widzisz, jestem chory, ale to nic poważnego. Miałem wypadek. Nic takiego. Jakieś bum, bum zrobiłem, ale wystąpiły pewne komplikacje. Panowie doktorzy na pewno szybko mnie wyleczą. Kass? Powiedz mi teraz - do widzenia i idźcie już do domu. Ja muszę tu jeszcze zostać.

Kass? Do widzenia. Pa, pa.

Ale Cassandra się nie odzywa. Nikt się nie odzywa. Panuje taka cisza, że słyszę w uszach powolne pulsowanie krwi i szmer powietrza w płucach. Mała dłoń już nie zasłania mi oczu, ale nadal jest ciemno. Świecące mi w twarz światło zgasło, zaś ciemność, która nastąpiła w jego miejsce, jest absolutna. Po chwili wpatrywania się w tę jednolitą czerń czuję, jakby ustąpiła siła ciężenia i moje ciało unosiło się swobodnie w przestrzeni, wykonując skomplikowane ewolucje

niczym delfin w spokojnej wodzie. Potem dostrzegam „zajączka”, plamkę światła, która skacze z miejsca na miejsce i swobodnie nurkuje w głębinach mroku. Jej ruchy w jakiś sposób są tak pełne wigoru i radości, że i mnie się to udziela. Ja też jestem pełen radości i wigoru. Tak to się właśnie nazywa - wigor. Co za słowo - wigor! Wigorrr. To brzmi jak rrrradość albo enerrrgia.

Rrrradosny wigorrrr. „Zajączek” z rrrradosnym wigorrrrem nurrrkuje w mrrroku, kórrry jest mrrroczy jak wewnątrz dupy czarrnego kota Mrrruczka. W kocie zaś z natury rzeczy jest ciemno i mokrrro, w odróżnieniu od tego, jak jest na zewnątrz kota, chyba że mamy akurrrat ciemną i deszczową noc. Ale „zajączkowi” to nie rrobi. Może być ciemno nawet jak w dupie tapirra, bo on ma wigorrr i rrrradosną enerrrgię. Od dłuższego już czasu czuję ból w pobitej twarzy, z czego wnioskuję, że się coraz szerzej uśmiecham. Przedziwnie radosne i rozśmieszające „rrr” wibruje najpierw w mojej głowie, a potem i w gardle, aż wybucham głośnym śmiechem. „Rrr” z czarrnego tapirra i krrraciastej zebrrry wibruje już w całym moim ciele, w którym ożywa też coś na kształt rozkosznie podniecających łaskotek, powodujących, że zaśmiewam się na cały głos, ryczę ze śmiechu, i gdyby nie krępujące mnie więzy, pewnie skręcałbym się i wił wśród spazmatycznego rechotu. Kiedy paroksyzmy śmiechu wreszcie mijają, jestem wykończony, zdyszany, zasmarkany i osłabły, ale wciąż rozradowany. Gdzieś w głębi umysłu, na jakimś ledwie dającym się uchwycić poziomie świadomości, wiem wprawdzie, że coś jest okropnie nie w porządku i nadal jestem przerażony, ale to

tkwi tak głęboko, że wydaje mi się teraz cieniem czegoś, co działo się bardzo dawno, a może wcale się nie działo, może było tylko tworem mojej wyobraźni, jednym z wariantów rzeczywistości, wymyślonym kiedyś i teraz prawie zapomnianym? Poza tym cieniem, tym echem cienia, cała moja świadomość to jedna wielka uciecha, śmichychichy i śmojeboje.

- Hej ty, doktor, niech cię cholera. Rób prędzej swoje i odepnij mnie od tego mebla. Miałem, rozumiesz, wypadek, wręcz wypadunek, a tu nastąpiły jakieś, kurde balans, komplikacje. Jakie tam komplikacje? Tycie, tyciunie komplikacyjki: Słyszysz mnie doktorku? Rób raz dwa tę swoją operacyjkętrepanacyjkę i wypuść mnie, to gdzieś pójdziemy na jednego. Rozumiesz? Na jednego, kilka drugich i strzemiennego. A potem znów zaczniemy od jednego.

Zawsze trzeba zaczynać od jednego, bo jeden jest pierwszy, rozumiesz, ty w dupę jeża mózgodłubie? Nie można zaczynać od drugiego, bo drugi już nie jest pierwszy. No nie? - Wszystko, co mówię, wydaje mi się niesłychanie śmieszne. Radość sprawia mi już samo wydawanie głosu, a nawet gwizdanie i naśladowanie ustami pierdzących dźwięków, czym zabawiam się przez następnych kilka minut, choć z głębi umysłu, niemal z dna świadomości, wciąż dobiega szept: „Krrrasss, cośś tu nie grrra”. Ale jest to cichutki szmer, który nie może się przebić do tych ośrodków uwagi, które uczyniłyby z niego myśl, sygnał, ostrzeżenie, bowiem cała uwaga skoncentrowana jest na radosnych pierdzeniach i krzykach.

- Ludzie - wrzeszczę na całe gardło - ludzie oraz zwierzątka i

muszki, i pierdolone komary, i trawki, i rybki, i szczypawki - kocham was. Fajfury i obszczymury, menele i menelki, skurwiele i skurwielki, tatusie i mamusie, córusie i synusie, Polacy i Polki, matkojebcy i dupodajcy, patrioci i kosmopolici, policjanci i złodzieje, oszołomy i realiści, nasi i obcy, pedały i lesbijki oraz wszyscy, którzy jesteście - przyciskam was do serca. Łączcie się ze mną i ze sobą, dwunogi. Odwagi! Razem możemy zrobić kupę większą niż Himalaje.

Hej, wam, wszyscy święci pierdolnięci moi pacjenci - całuję wasze ręce i usta.

Świat bez was byłby niepełny. Jesteście częścią puzzla, który Pan B. ułożył podobno w ciągu siedmiu dni. Nie dajcie się! Nie zmieniajcie swoich umysłów. Błąd tkwi w rzeczywistości.

Od krzyku boli mnie już gardło, ale wciąż chce mi się krzyczeć, wołać, śpiewać. Chce mi się też skakać i biegać, co niestety, ze względu na krępujące mnie więzy, nie jest możliwe, chociaż momentami wydaje mi się, że wystarczy jeszcze trochę natężyć mięśnie, a trzymające mnie klamry puszcza.

Natężam się więc wśród śmiechu i pokrzykiwań, ale uchwyty ani drgną.

- Paula - ryczę - Kass, kocham was monadycznie. Jestem monadą miłości, cokolwiek to znaczy. Powiedz im, żeby mnie puścili. Nic mi nie jest. Chcę iść z wami do domu. Do naszego domu. Pieprzę rozwód, uznaję go za niebyły, bo myśmy się nigdy nie rozstali, Paula. Paula?

Tak jakby ten ostatni okrzyk był hasłem uruchamiającym jakąś

maszynerie, znów rozbłyskuje porażające światło, zaś do uszu znowu dociera delikatne brzęczenie urządzeń pod prądem i rytmiczne posapywanie pracującej gdzieś pompy. Wypełniający mnie radosny entuzjazm znika niejako wpół chichotu, zupełnie jak milknie nagle odłączony od zasilania radioodbiornik.

Wyłączyli mnie - myślę nagle jasno i precyzyjnie - wyłączyli mój pieprzony ośrodek satysfakcji w mózgu, tak jak poprzednio najpierw włączyli, a potem wyłączyli ośrodek agresji. Ktoś bawi się mną jak starym radiem.

Wsadzili mi przez ucho elektrodę do mózgu i teraz stymulują mnie prądem.

Pobudzają i hamują moje centra nerwowe niczym u jakiegoś królika doświadczalnego. Widziałem kiedyś takiego królika z implantem elektrody sterczącym między uszami. Podłączony do słabego prądu, zachowywał się jak zły pies. Dziwnie warczał, jeżył sierść i rzucał się z zębami na wszystko, co się ruszało.

Chryste! Co to za szpital? W czyje ręce wpadłem i jak to się stało? Muszę to wszystko zapamiętać, żeby... żeby. Żeby co? Nie mogę sobie przypomnieć.

Coś miałem zrobić, coś... ale co? Ogarnia mnie nagle zniechęcenie i smutek.

To skleroza. Starzeję się. Już tylu rzeczy nie mogę zapamiętać. Zapominam twarze, sprawy, pacjentów, cytaty, numery telefonów.

- Paula - szepczę pokornie - ja tylko tak się wygłupiałem. Wiem przecież, że się rozeszliśmy, ale dzisiaj chcę z wami iść do domu. Już

będę grzeczny.

W oczach czuję nabrzmiewające, palące łzy. Jestem małym chłopcem, który zgubił się mamie w ogromnym sklepie wypełnionym niebotycznymi półkami. Na półkach leżą potężne bele tkanin. Biegnę pomiędzy tymi półkami, rozpaczliwie szukając znajomej postaci, podczas gdy niektóre bele, nie wiadomo dlaczego, spadają ze stelaży, rozwijając się w locie i ciągnąc za sobą strumienie szarej, czarnej i czerwonej materii. Innych kolorów tam nie ma.

Rzeki miękkich tkanin wkrótce pokrywają podłogę, tak że brodzę w nich z trudem po kolana, potem po biodra, wciąż rozglądając się w poszukiwaniu mamy, bo ona, wiem to na pewno, gdzieś tu jest i tylko na chwilę straciliśmy się z oczu. Ale bardzo się boję, że wśród tego chaosu tkanin, półek, w coraz ciemniejszym i coraz bardziej wypełnionym kurzem pomieszczeniu już jej nie znajdę. Więc staję w końcu pod wodospadem spływającej mi na głowę szarej flanelki i wybucham płaczem. Wyplakuję w kłębiący się kurz mój strach i smutek, od którego niemal pęka mi serce. I budzę się. Był to sen, który prześladował mnie przez całe dzieciństwo. Sen o porzuceniu, opuszczeniu i zagubieniu. No i o strachu, o wielkim strachu, który jest tożsamy z samotnością.

Musiał mi się przyśnić znowu, kiedy, prawdopodobnie, zapadłem na chwilę w płytką drzemkę.

Przebudzenie z koszmaru nie przynosi jednak ulgi, bo zmora już siedzi na mojej piersi i przygniata ją kamiennym przerażeniem. Łzy spływają mi po skroniach, a każdy oddech jest szlochem, od którego

w głębi płuc i w zaciśniętych szczękach rozbłyskują iskry bólu. Bola mnie mięśnie i stawy, piecze skóra. Przed torturą światła nie chronią oczu nawet szczelnie zamknięte powieki. W żołądku miota się kąsający, oszalały szczur. Drugi usadowił się w nerkach i zre je teraz drobnymi kęsami, rozrywając żywy miąższ tkanki. Jestem jednym wielkim bólem, zainfekowaną, rozognioną raną, z której sączy się bezbarwny, lepki smutek. Myślę o śmierci, o tym czystym białym polu i o biegnących przez nie prosto w horyzont białym zającu i białym psie. Chcę umrzeć, ponieważ każda mijająca sekunda jest cierpieniem, zaś moje życie, widzę to teraz wyraźnie, było bezsensowną mordęgą. Nie umiałem być ani psychoterapeutą, ani mężczyzną, ani mężem, ani ojcem, a na koniec zostałem szarlatanem igrającym z ludzkim cierpieniem i nadzieją. Uzmysłowiłem sobie, jak wiele razy w życiu miałem wrażenie, że nikogo nie potrafię kochać ani nic dla nikogo poświęcić, i że tak naprawdę nigdy nie istniały dla mnie bariery moralne. Mogłem kłamać (co zresztą robiłem zawsze w zastraszających rozmiarach), kraść, a nawet, gdybym się tak nie bał, zabić. Strach bowiem był dla mnie najpotężniejszym motywem, zarówno popychającym mnie do działania, jak i od niego powstrzymującym. A bałem się zawsze. Bólu, śmieszności, niepowodzenia, biedy, ludzi, braku ludzi i wielu jeszcze innych rzeczy, włącznie ze strachem przed tym, że mój strach się wyda, zostanie wykryty, dostrzeżony, bo był on (i do pewnego stopnia jest nadal) moją tajemnicą, moim paradoksalnym źródłem siły, ponieważ ze strachu potrafiłem być czasami odważny. Im dłużej myślę o

własnej nicości i emocjonalnym kalectwie, tym bardziej śmierć wydaje mi się wybawieniem od moralnego cierpienia i fizycznego bólu szalejącego w moim ciele. W końcu, nie mogąc już znieść zalewającej mnie rozpacz, wołam ochrypłym szeptem - Jezu! Chryste, pozwól mi odejść. Ulituj się nade mną. Moje życie było stratą Twojego i mojego czasu. Nie zrobiłem w nim nic dobrego, nic znaczącego, poważnego. Pozwól mi je zakończyć, teraz i tutaj, bo sam nie mogę tego uczynić.

Niech następny oddech będzie ostatnim. Potem, niespodziewanie dla samego siebie, modłę się żarliwie i okazuje się, że ja, który nie modliłem się od trzydziestu paru lat, doskonale pamiętam, jak to się robi, szepcząc modlitwy z dzieciństwa.

Wtedy usłyszałem muchy. Najpierw z daleka, gdzieś w głębi pomieszczenia, rozlega się znane mi, obrzydliwe bzyczenie. Jedno, drugie, dziesiąte.

W sali fruwią muchy. Skąd tu muchy? W szpitalu? W sali operacyjnej? A jednak są. Wielkie, błyszczące, czarne muchy, buczące jak bombowce. Najpierw jedna odnajduje moją moką od łez i potu twarz. Po chwili są już dwie. Siadają mi na czole, co odczuwam, jakby usiadły na odsłoniętym mózgu. Są już trzy. Łażą mi po twarzy, pchają się do oczu. Kilkanaście. Całe stado brzęczy nad moją głową, obsiada usta. Ból i obrzydzenie, obrzydzenie i ból. Gwałtowny skurcz kiszek i smak wymiotów na podniebieniu.

Uduszę się rzygowinami - myślę - no i bardzo dobrze, niech będzie. Ale nie mogę. Nie mam tyle siły, żeby zwalczyć odruchową

chęć nabrania powietrza. Muszę otworzyć usta. Wymiociny natychmiast spływają bokami, aż gdzieś za uszy, a muchy siadają na moich uchylonych wargach. Czuję je na zębach i języku. Teraz nie mogę już zamknąć ust. Boję się, że wejdą mi do gardła i dalej do płuc, do żołądka. Jedna z nich, wielka i ruchliwa, wchodzi mi do nosa, łaskocząc cienkimi łapkami jego wnętrze, inne wchodzi do uszu. To koniec. Ból i obrzydzenie, obrzydzenie i ból. Naprężam wszystkie mięśnie i zanoszę się pełnym ostatecznej rozpaczycy wyciem, skowytami udręki i odrazy.

Czuję, jak coś pęka w mojej głowie, opuszczają mnie zmysły i rozluźniają się zwieracze, a smród kału i uryny miesza się ze szpitalnym zapachem lizolu.

Umieram i w jakiś sposób wiem o tym. Osuwam się w coś podobnego do szarej flanelki z mojego dziecięcego koszmaru, rozgryzając muchy i miażdżąc bezwładnym językiem ich włochate odwłoki. Od stóp posuwa się ku górze fala ciężkiego, przytłaczającego zimna, która dochodzi do serca, a ono staje, po prostu zatrzymuje się w pół ruchu, i w moim ciele zalega cisza. W tym zastygłym nagle bezruchu, resztką świadomości gdzieś w mózgu rozbłyskuje nagle, ostatnią jasnością, niczym gasnące ognisko. A może jasność ta wybucha naprawdę, z lamp umieszczonych gdzieś wysoko. Nie wiem. W każdym razie widzę z góry, z lotu ptaka, leżące na czymś w rodzaju stołu sekcyjnego rozkrzyżowane nagie ciało z wbitymi w różne jego miejsca igłami i wenflonami, od których odchodzą wijące się wszędzie kolorowe rurki i przewody, prowadzące do stojących wokół

aparatów i maszyn. Z lewego ucha leżącego wystaje gruby jak ołówek, długi pręt z błyszczącego metalu, drugim końcem połączony z czymś, co ma wygląd wielkiego komputera. Do tego urządzenia prowadzi też kabel, grubszy niż inne, odchodzący od przezroczystego lejka, w którym tkwią jego genitalia. W sali nie ma nikogo, żadnego lekarza, żadnej pielęgniarki, żadnego innego człowieka. Tylko samotne, jakby przybite do krzyża ciało. Moje ciało. Jasność gaśnie, a wraz z nią wszystko inne.

Budzę się gwałtownie od uderzenia w twarz, które jeszcze dźwięczy mi w uszach. Chyba od uderzenia w twarz. Wydaje mi się, że coś uderzyło mnie mocno w prawy policzek, ale jest to wrażenie niejasne. Możliwe, że dostałem w ucho szok elektryczny. Cokolwiek to było, obudziło mnie skutecznie. Odzyskuję świadomość i powstrzymuję chęć otwarcia oczu. Nie muszę zresztą ich otwierać. Przez zamknięte powieki czuję znów to skierowane w moją twarz białe światło. Nic się nie zmieniło. Nadal leżę przymocowany do stołu, choć nie słyszę much i nie czuję odoru ekskrementów.

Widocznie mnie umyli - myślę spokojnie. Doprowadzili wszystko do porządku, kiedy mnie wyłączyli. Przeżyłem chwilę najgłębszej depresji i najdosłowniej doświadczyłem umierania, ale wszystko to nie było rzeczywiste. To była śmierć zakodowana w moim mózgu. Pobudzono engramy pamięci przygotowane gdzieś w głębi psychiki na inną okazję. Na okazję rzeczywistego umierania, która zaktywizuje wewnętrzny zapis mojej śmierci. Ten zapis już jest gotowy. Czeka w psychicznym magazynie na moment, gdy będzie

potrzebny. W jakim jednak celu wyjęto go stamtąd i uruchomiono? Ktoś lub coś pokazało mi, że umrę kiedyś samotnie, wśród much i smrodu wydaliny. Pokazano mi też, że pamięć może zawierać coś, co dopiero się zdarzy. Ale żeby tak się stało, to „coś” musiało się jednak wydarzyć już w innym życiu, w innym wcieleniu, w innej rzeczywistości. To, że oglądałem i przeżyłem własną śmierć oznacza więc, iż aktualnie jestem w innej rzeczywistości, w innym, może biegnącym równoległe moim życiu, w którym zapewne umrę inaczej.

Czyżby Liberg miał rację w swoich miejscami paranoicznych wywodach?

A może wcale tak nie jest? Może tylko przy okazji znalezienia się w wyniku wypadku w, powiedzmy, wojskowym szpitalu, wykorzystywano mnie nielegalnie w jakichś tajnych eksperymentach? Stymulowano moje ośrodki bólu i na chybił trafił aktualizowano wspomnienia, jak choćby ów koszmar z dzieciństwa? Może kiedyś również śniło mi się, że leżałem bezradnie przywiązany do czegoś na kształt sekcyjnego stołu i w tym śnie oblażyły mnie muchy?

Może przed chwilą też mi się to śniło, a teraz śni mi się, że się budzę i rzeczywistość okazuje się dalszym ciągiem snu? I w tym śnie myślę, że pokazano mi własną śmierć, aby przekonać mnie, że równoległość wielu rzeczywistości jest faktem. Naprawdę zaś śpię pijany po urodzinowym przyjęciu w swoim mieszkaniu, w Warszawie przy ulicy Listopadowej 22? Może tak jest, chociaż wszystko, co czuję, mówi mi, że moja świadomość wraz z moim ciałem jest tu i teraz unieruchomiona na operacyjnym stole, w jakimś podejrzanym

szpitalu, gdzie zostałem uwięziony i gdzie dokonuje się na mnie niedozwolonych eksperymentów. Jestem niewątpliwie świadomy i przytomny. Kiedy tak leżę z zamkniętymi oczami, czuję posłuszne mięśnie, napinające się w trzymających mnie okowach, mogę poruszać językiem, mówić, krzyczeć, gwizdać, słyszę swój oddech, bicie mego serca, sapanie pracującej gdzieś pompy i ciche buczenie prądu w otaczającej stół aparaturze. Przed chwilą, dla sprawdzenia, przygryzłem sobie wargę i poczułem adekwatny do ugryzienia ból, a teraz powiem coś dla sprawdzenia, czy słyszę swój głos i rozumiem swoje słowa.

- Jestem Jan Krass, syn Piotra i Amelii.

Słyszę i rozumiem to zdanie doskonale, tak jak słyszę w głowie i rozumiem resztę moich myśli. Jestem tu rzeczywiście i nic mi się nie śni. Ale z drugiej strony, bycie tutaj nie zgadza się z logiką, którą posługuje się mój umysł. Nie mogę tu być, bo jakbym się tu znalazł? Załóżmy, że przywieziono mnie tu po upadku w mojej własnej łazience, to kto to zrobił i właściwie gdzie to jest „tu”? Jeśli doznałem jakiegoś urazu, czemu nikt mnie nie operuje lub nie czuwa przy mnie, jeżeli jestem już po operacji? Czemu służą te wszystkie aparaty? Dlaczego wbito mi do ucha metalowy pręt? Co znaczą te emocjonalne zawieruchy, kolejno, jak w naukowym teście, wybuchające w moim umyśle?

Kto i po co stymuluje mój mózg za pomocą implantu w uchu, jeżeli jest to naprawdę implant? To wszystko nie może się dziać w rzeczywistości, chyba że jest to inna rzeczywistość (powiedzmy ta, co

to o niej wciąż bredzi Liberg), do której trafiłem nieznanym sposobem i w nieznanym celu. A jeśli naprawdę rozłupałem sobie głowę w tej pieprzonej łazience i mój mózg uległ poważnemu uszkodzeniu? Jeżeli naprawdę jestem w szpitalu, a chwile takie jak ta są jedynie krótkimi przebłyskami przytomności i rozumu w chaosie szaleństwa, halucynacji i urojeń, w których pograżył się mój poturbowany umysł? A jeśli to, co teraz myślę, nie jest chwilą przytomności, tylko właśnie kolejnym ciągiem urojeń? Chryste, miej mnie w swojej opiece. Oto spełniło się moje marzenie o badaniu ludzi w sytuacji całkowitej bezradności, które hołubiłem w głębi duszy. Ktoś wydobył je z mojej pamięci i urzeczywistnił, czyniąc mnie samego obiektem doświadczenia. Chciałem wiedzieć, jak reaguje ciało, a zwłaszcza umysł, kiedy ma uniemożliwiony jakikolwiek wpływ na bieg wydarzeń, co zdarza się w ostatnich stadiach wielu śmiertelnych chorób, i oto miałem odpowiedź. Po pewnym czasie taki człowiek nie jest w stanie odróżnić rzeczywistości od psychotycznej produkcji własnego mózgu, tak jak zdarza się to w warunkach pełnej izolacji badanego od wszelkich bodźców. Albo też pewnym wysiłkiem psychicznym osiąga stan umożliwiający mu przejście do innej rzeczywistości, staje się zdolny do następnej inkarnacji. Nie mogę tego rozstrzygnąć, będąc jednocześnie badanym i badającym. Muszę to zapamiętać, żeby... Co zapamiętać? O czymś myślałem, miałem coś... zrobić. Coś miałem...

W otoczeniu zachodzi zmiana. Słyszę zbliżające się do stołu kroki, jakby szła owca albo antylopa. To jest krok czworonoga. Tak

stukają na kamieniach kopyta. Otwieram oczy i natychmiast zamykam je z powrotem, uderzony boleśnie światłem, które jest teraz niebieskawe. Stukanie kopyt, gdzie ja ostatnio słyszałem stukanie kopyt? W Łebie, zeszłego roku we wrześniu. Marianna już w ciąży, przyglądająca się uważnie malej dziewczynce jadącej szosą na osiołku. Widok niemal nie do uwierzenia, jak ze starego obrazu. Może pięcioletnia, śliczna blondyneczka w białej sukience jedzie na osiołku wąską, asfaltową drogą, prowadzącą przez las do słynnych w kraju diun. Kłapouch, prawdopodobnie wynajęty dla dziecka przez idących gdzieś z tyłu rodziców, kroczy statecznie, stukając miarowo kopytkami o asfalt.

- To Madzia - mówi Marianna, kładąc rękę na brzuchu - jedzie, żeby mi się urodzić.

Nic wtedy nie powiedziałem. W obecności Marianny przeważnie nic wtedy nie mówiłem. Jej nagłe wyzdrowienie i styl, w jakim uczyniła mnie ojcem mającego się urodzić dziecka, zrobiły na mnie duże wrażenie. Mówiąc szczerze, bałem się trochę, a może więcej niż trochę, jej wiary we mnie i w los mającej się urodzić naszej córki, jej niezachwianej pewności, że urodzi się dziewczynka i jej pobłażliwej wyższości, z jaką traktowała różne moje obiekcje i zastrzeżenia. Tak więc nie odzywam się, a ona patrzy długo na dziecko siedzące spokojnie w siodle i w końcu przenosi na mnie swoje nieruchome spojrzenie.

- Widziałeś swoją córkę - mówi.

Potem odwraca się tyłem do tupiącego wciąż pracowicie osiołka

i odchodzi szybko, a ja za nią, z niewypowiedzianymi słowami w ustach.

Tego samego wieczoru do pensjonatu, gdzie mieszkamy, gospodarze przynoszą wiadomość o wypadku. Jakieś dziecko, dziewczynka, jechało na osiołku drogą na wydmy, gdy ktoś z mijającej ją grupy turystów na rowerach niespodziewanie chwycił, pewnie dla żartu, osła za ucho. Zwierzę spłoszyło się i pognęło galopem w las. Dziewczynka zginęła na miejscu, uderzając głową w konar drzewa. Słucham z przerażeniem tej relacji, patrząc na Mariannę, która siedzi nieporuszona nad swoją szklanką wody mineralnej, i kiedy otwieram już usta, aby jej zadać cisnące mi się do głowy pytania, podnosi ostrzegawczo rękę, kręcąc przecząco głową. Więc wypuszczam nabrane w piersi powietrze i zostaję z niezadanymi pytaniami w zaciśniętych zębach, a flaki przewracają się we mnie powolnym spazmem strachu. Nigdy później tych pytań nie zadałem, bo bałem się, że uwierzę w jej przeczuwane przeze mnie odpowiedzi.

Teraz znów słyszałem takie samo stukanie małych kopytek, jak tam na szosie. Słyszałem, bo już nie słyszę. Czworonóg zatrzymał się gdzieś blisko, ale poza kręgiem jarzącego się bezlitośnie niebieskawego światła.

- Madzia? - pytam z wahaniem, świadomy absurdalności tego, co robię, ponieważ Madzia urodziła się trzy miesiące temu. Urodziła się jako dziecko Bigowskiego, i nikt, poza mną i Marianną, nie wie, że to moja córka.

- Madzia? - powtarzam cicho - to ty?

- To ja - odpowiada równie cicho dziecięcy głosik - właśnie się obudziłam.

- Spałaś?

- Tak. Bardzo długo spałam. Chyba z pięć lat. Obudziłeś mnie. Znow rozlega się stukanie kopyt, ale teraz oddala się, odpływa, jest coraz cichsze. I z tego oddalenia dobiega jeszcze ni to szept, ni to echo ostatnich słów - obudziłeś mnie, tatusiu.

- Poczekaj! - wołam. - Madzia! - Ale już jest całkiem cicho. Napinam mięśnie, szarpiąc się w uchwytach.

- Dość! - krzyczę - dosyć, dajcie mi spokój, oprawcy, kto wam dał prawo...

- Tu nie ma... Madzi - rozlega się nagle znany mi już głos, o którym zdążyłem zapomnieć. - Miał pan wypadek. Nastąpiły pewne komplikacje. Proszę się uspokoić. Niedługo skończymy i zostanie pan uwolniony. Proszę się nie szarpać. To utrudnia zabieg.

- Gdzie ja jestem? - pytam, szybko zaprzestając nieskutecznego zrywania mięśni.

- W szpitalu. Miał pan wypadek. Nastąpiły pewne...

- W którym szpitalu?

-...komplikacje. Proszę się uspokoić. Nied...

To chyba jakieś mechaniczne urządzenie, taśma magnetofonowa kręcąca się w kółko - myślę - ale próbuję znowu.

- W którym jestem szpitalu?

- W... odpowiednim - znow ta chwila wahania, zanim głos odzyskuje poprzednie brzmienie. - Niedługo skończymy i zostanie pan

uwolniony. Dziękuję.

Nie, to jednak nie jest taśma. Choć i nie człowiek. Może komputer. Będzie prowadził ze mną tę nibykonwersację wciąż na nowo, z nieskończoną cierpliwością maszyny, ale nic mi nie powie. Taki ma program. Ci, co mnie tu trzymają, zdecydowali widocznie, że mogę się dowiedzieć tyle, ile już wiem, czyli nic. A może nie jest to nic?

Przed chwilą rozmawiałem z moją co najmniej pięcioletnią córką (jeśli w ogóle z kimś rozmawiałem, bo przecież nic nie widziałem), chociaż ona ma naprawdę trzy miesiące i kilka dni. Rozmawiałem więc z Madzią, jeśli to oczywiście była Madzia, z przyszłości, z innej rzeczywistości. Stąd wniosek, że ja też jestem w innej rzeczywistości, w której moja młodsza córka ma już pięć lat i właśnie obudziła się z bardzo długiego snu. Dopiero znacznie później miałem się dowiedzieć, co znaczyły jej słowa. Na razie nic nie rozumiałem. Znowu w jakiś sposób czułem, że to była naprawdę Madzia, chociaż jej nie widziałem. Słyszałem tylko charakterystyczne stukanie, które przywołało wspomnienie sprzed roku, i głos, który mógł należeć do każdej pięciolatki, jako że głosu córki będącej w tym wieku jeszcze nie miałem szans nauczyć się rozpoznawać. Więc może rozmawiałem z komputerem albo z halucynacją, z produktem mojego potłuczonego mózgu. Jeśli tak, to być może ja sam, rozmawiający z Madzią w innej rzeczywistości, też jestem halucynacją własnego mózgu, znajdującego się wraz z resztą ciała w rozbitej kabinie kąpielowej mojego mieszkania? Innymi słowy, halucynuję siebie

halucynującego siebie. Chryste Panie - kim więc jestem ja teraz, myślący to, co myślę? A jeśli mnie myślącego na tym cholernym stole, myśli tamten z kabiny w mieszkaniu, to kto myśli tego z kabiny? To obłąd. Zostałem złapany w mentalną pułapkę, gdzie jak szalony pies kręcę się za ogonem, którego nie ma. Psa zresztą też nie ma. Nic nie ma, ale coś się kręci. Kręci się, jak nie wiem co, aż doznaję chyba zawrotu głowy i czuję, jakbym wraz ze stołem, na którym mnie ukrzyżowano, unosił się pod biały sufit sali wirujący coraz bliżej nad moją głową. Jeszcze chwila i uderzę twarzą w pokrywające go płytki.

- Dezintegracja jeden na jeden - głos odzywa się tak niespodziewanie, że serce wskakuje mi do tchawicy, a wirujący sufit staje jak wryty.

- Jeden na jeden 20 sekund, 30, 40, 50 - głos odlicza monotonicznie i dochodzi do 60, zanim udaje mi się złapać oddech.

- Dezintegracja jeden na dwa, rozproszenie koncentracji o jeden - kontynuuje głos. - Jeszcze jeden impuls.

Światło zmienia się na czerwone, jakby mi chluśnięto w oczy szklanką krwi, i słyszę muzykę. Chociaż właściwie nie jest to muzyka, tylko sam rytm, przytłumiony, zamglony rytm bębna, któremu towarzyszy jedna, wciąż ta sama, fraza wykonywana na flecie. Dźwięki powtarzają się obsesyjnie, brzmiąc w mojej głowie albo w klatce piersiowej, nie wiem, czy słyszę je tylko wewnątrz umysłu, czy też dobiegają z ukrytych głośników. Czuję także zgodne z rytmem muzyki wibracje stołu, które przenoszą się na moje uda, biodra i

członek. Nieubłaganie, wbrew sobie, powoli doznaję erekcji. Jeszcze przez chwilę opieram się ogarniającemu mnie przyjemnemu podnieceniu.

- Znów mnie włączyli - powtarzam sobie w myślach - włączyli mnie jak tego królika. Muszę się temu przeciwstawić, muszę im pokazać, że nie mogą ze mną wyczyiniać, co im się podoba.

Ale nie umiem tego zrobić. Otwieram tylko szeroko oczy. Nade mną w słonecznej poświacie zwisają gałęzie czarnego bzu, pełne granatowych jagódek zebranych w płaskie, przypominające rozłożone parasolki, grona. Wyżej chwieją się lekko na wietrze korony wiśni z czerwonymi kropkami dojrzałych owoców. Mam 9, może 10 lat i leżę na trawie pod krzakami bzu w dziczejącym sadzie mojego dziadka Krassa we wsi Przysławice pod Sandomierzem.

Nie mogę się ruszyć, ponieważ mój starszy o cztery lata brat cioteczny, Lucjan, nazywany przez wszystkich w rodzinie Nuckiem, leży na mnie i całuje mnie w usta. Robi to delikatnie, wkładając koniec języka między moje wargi, a potem zsuwa się niżej, całując moją szyję i nagie piersi. Jest mi przyjemnie, choć jednocześnie jakoś strasznie, niczym wtedy, gdy podczas burzy wyłączali prąd i w ciemnościach kuchni, rozjaśnionych płonąca „od pioruna” gromnicą, babcia Krassowa opowiadała o duchach. Zawsze się wtedy bałem, ale czułem też przyjemne łaskotanie w moim ptaszku i pod osłoną mroku dotykałem go, aż stawał się twardy i gorący. Teraz też czuję łaskotanie w siusiaku i unoszę nieco biodra, aby ułatwić Nuckowi ściągnięcie ze mnie kąpielówek, stanowiących nasz jedyny strój w

upalne popołudnie. Od początku wspólnych wakacji Nucek przy różnych okazjach obejmował mnie, tulił, głaskał i, niby żartobliwie, łapał za genitalia, ale dopiero dzisiaj, tu, za gęstymi krzakami bzu, gdzie przyszliśmy na wiśnie, namówił mnie, żebym się położył i pozwolił pocałować. Teraz ściąga mi majtki, bierze do ręki mojego na wpół zeszywniałego ptaszka i porusza pokrywającą go skórką. Jest to bardzo przyjemne, przyjemniejsze nawet niż wtedy, gdy robię to sam pod kołdrą albo bezpiecznie zamknięty w ubikacji, i mój siusiak błyskawicznie staje się twardy. Czuję, że robimy z Nuckiem coś niewymownie okropnego, czego dwaj chłopcy w naszym wieku nie powinni robić pod żadnym pozorem. Boję się oczywiście, ale jest to strach pełen ekscytacji, chęci poddania się biegowi wydarzeń i pragnienia, aby to słodkostraszne, co się właśnie dzieje, mimo wszystko trwało nadal. Dlatego leżę spokojnie nawet wtedy, gdy Nucek obraca mnie na brzuch, przyciska się do mnie i pociera o moje pośladki swoim nabrzmiałym, gorącym ptakiem.

Narastająca przyjemność eksploduje wreszcie w moich genitaliach, aż wyprężam się w twardych objęciach Nuckowych ramion i nóg. Wyprężam się, ale nie mogę wygiąć ciała do tyłu, czego domaga się źródło rozkoszy w moim podbrzuszu. Robię jeszcze jeden wysiłek i daję spokój, ponieważ znowu leżę na plecach, a klamry wrzynają mi się boleśnie w czoło, pierś, przedramiona, ramiona, nadgarstki, uda i golenie. Leżę nadal ukrzyżowany na stole, a rozkosz ciągle rośnie w moim członku, jakby delikatna ręka Nucka (który, nawiasem mówiąc, nie został homoseksualistą i umarł dwa lata temu

na raka prostaty w otoczeniu żony i dzieci) wciąż czyniła swoje. Wreszcie tryskam z jękiem, wybucham, wystrzeliwuję swój nabój i czuję, jakby wraz z nasieniem wypływało ze mnie wszystko, co nie jest ciałem, całe moje ja, moja jaźń lub dusza, i wznosiło się coraz wyżej ku zjednoczeniu z kosmosem, którego jest uwięzioną w kupce tkanek cząstką. Przez członek wchodzi we mnie, płynąca chyba gdzieś z gwiazd, satysfakcja ostatecznego spełnienia i wszechogarniający spokój, w którym mój umysł i ciało rozpuszczają się jak kryształki soli, rozpływają się, rozlewają, przestają istnieć. Jestem próżnią nieba, pustym obłokiem i kosmiczną ciszą. We mnie rodzą się i umierają planety i słońca. Trwam wszędzie i nigdzie, we wszystkim i w niczym, zawsze i nigdy, nieruchomy i wirujący jak galaktyki. Jednym natężeniem woli stwarzam światło i ciemność. Poruszeniem ducha powołuję do istnienia wodę i ogień. Drgnieniem umysłu tworzę liczbę i ideę. Jestem Bogiem.

Czuję tak jeszcze chwilę po tym, gdy wszystko gaśnie, a moja kosmiczna jaźń spada jak kamień z powrotem w leżące na stole ciało, w tę odrażającą w swojej niedoskonałości stertę tkanek. Jestem jednak spokojny. Wiem, że mogę wszystko, że mam w sobie dar, który spłynął we mnie z głębin wszechświata, ale wiem też, że to dar niekompletny, kaleki, niedokończony. Coś jeszcze musi się stać, coś zmienić tu, na tym stole albo w kabinie kąpielowej mojej łazienki lub w ogrodzie dziadka Krassa, wszystko jedno gdzie. Więc muszę tu zostać, poddać się do końca tej przemianie, rozpoczętej jak u gada od zrzucenia starej skóry. Teraz rozumiem. Widać to, co mnie tu trzyma,

chciało, żebym tyle zrozumiał, a nawet podsuwało mi dalsze tropy.

Po raz drugi byłem w ogrodzie dziadka Krassa. Byłem tam naprawdę, chociaż wydawałoby się to niemożliwe. A jednak tam byłem. Przełączyli mnie z tej tutaj rzeczywistości w tamtą, w tamten strumień czasu, dzięki czemu byłem znów z Nuckiem pod wiśniami, w krzakach czarnego bzu. Teraz wiem, że ta scena kiedyś, przed laty, przebiegała właśnie tak, jak jej przed chwilą doświadczyłem, a nie tak, jak dotąd pamiętałem. Nucek wcale mnie nie napastował. To ja uwodziłem i podniecałem jego świeżo wyklutą, pobudliwą seksualność, gotową zadowolić się każdym obiektem, jaki się trafi. Robiłem to, ponieważ pragnąłem przekroczyć siebie, wyjść poza dzieciństwo, bo w pewnej części swojej jaźni nie byłem już dzieckiem. Mój umysł nie zadowalał się już podnieceniami właściwymi dla mego biologicznego wieku. Nie ekscytowały mnie igraszki wyobraźni, fantazje, rozdawanie i odgrywanie wymyślonych ról, zabawy w królów, wodzów i innych władców. Ja pragnąłem rzeczywistego wpływu na ludzi, chciałem prawdziwej władzy. Stąd brało się moje zamiłowanie do wymyślnych intryg i manipulacji, w które wciągałem z upodobaniem, kogo się tylko dało. Nucek był jednym z moich eksperymentalnych obiektów.

Jego amorficzna, rozbuchana seksualność była przeze mnie systematycznie pobudzana aż do chwili, kiedy pozwoliłem mu zaspokoić moim ciałem trawiące go niemal bezprzytomne pożądanie. Odtąd był moim niewolnikiem, a ja stałem się szaleństwem jego dojrzewania. Nadzieja na powtórne zbliżenia między nami opętała go

i czyniła całkowicie uległym i posłusznym moim kaprysom. Nigdy potem nie zdradzał homoseksualnych tendencji, ale wtedy zakochał się we mnie i dla seksualnego spełnienia tej miłości gotów był pokonać wszystkie przeszkody i przekroczyć tkwiące w nim psychiczne bariery. Przez resztę wakacji dręczyłem go ustawicznie rozmaitymi żądaniami, które musiał spełniać w zamian za to, że od czasu do czasu oddawałem mu się (co przecież wcale nie było nieprzyjemne), pozwalając, aby zaspokoił nękające go pożądanie. Moje żądania były dobrze przemyślane, kazałem mu połykać żywe muchy, kraść dla mnie dziadkowi pieniądze, przebierać się w sukienki babci, obnażać się przed córką sąsiadów, moją rówieśniczką, wrzucać żaby do studni i świetnie się przy tym bawiłem. Apogeum tych zabaw nastąpiło, gdy zażądałem, aby odgryzł głowę żywemu pisklęciu gołębia, które znaleźliśmy w gnieździe na strychu. Nucek, szlochając, błagał mnie, żebym się zlitowałem, ale byłem nieugięty, więc w końcu to zrobił. Potem dostał wysokiej gorączki, przez dwa dni wymiotował i przez kilka miesięcy zrywał się z krzykiem po nocach. To zdarzenie otrzeźwiło go z zauroczenia. Odsunął się ode mnie i wymógł na swojej matce pozwolenie na wcześniejszy powrót do Warszawy.

Dotknąłem wtedy pewnej granicy mojej władzy nad nim, co jednak wcale nie znaczyło, że jest to granica ostateczna i nieprzekraczalna. Nucek wiedział o tym i dlatego uciekł ode mnie i nigdy już nie szukał ze mną kontaktu. Nigdy też, choć widywaliśmy się od czasu do czasu, żaden z nas nie napomknął ani słowem o tych wydarzeniach, ale obaj mieliśmy świadomość otarcia się o coś

mrocznego w naszych duszach, co budziło jednocześnie lęk i fascynację.

Było to, mówiąc górnolotnie i zarazem banalnie, po prostu zło.

A więc ktoś lub coś, co trzyma mnie na tym stole, chciało mi pokazać, a może raczej przypomnieć, że co najmniej od trzydziestu paru lat hoduję w sobie zło, które popycha mnie do manipulowania ludźmi i podporządkowywania ich mojej woli, bowiem Nucek nie był jedynym obiektem moich eksperymentów, było nim wiele innych dzieci, a później dorosłych. Ale jednocześnie owo coś lub ów ktoś pozwolił mi przeżyć niesamowity orgazm, nie, nie orgazm, raczej oświecenie, iluminację, w której byłem kosmosem i wszechmogącym Bogiem.

Zupełnie jakby chciał mi powiedzieć: „Hej! Wiem, że jesteś zły, ale wcale mi to nie przeszkadza w obdarowaniu cię pewną cenną rzeczą. Prawdopodobnie nie zasługujesz na nią, ale trudno. Bierz ją i rób, co chcesz”.

Dlaczego - myślę, leżąc spokojnie w oślepiających promieniach białego światła - dlaczego właśnie mnie pozwolono poczuć w sobie niemal boską moc i jednocześnie dano mi do zrozumienia, że na nią nie zasługuję? Może posiadanie owej mocy nie jest żadną nagrodą? Może po prostu znalazłem się na liście mających ją otrzymać niezależnie od ewentualnych zalet ducha? A poza tym, czy ja coś w ogóle otrzymałem? Tak. Oczywiście. Moje przeczucie, intuicja, instynkt, mówią mi, że jak najbardziej. Mam to w sobie. Wiem, że w ślad za moim ciałem zmienił się teraz mój umysł, który zyskał władzę

nad energiami, nie posiadającymi nazwy w żadnym ludzkim języku. Ale nie wiem, jak tej władzy użyć? Nie mam pojęcia, co miałbym zrobić, żeby te energie były mi posłuszne. Mój dar jest niepełny i przez to bezużyteczny. Być może owo trzymające mnie w kajdanach „coś” zakpiło ze mnie? Może był to sposób na włączenie kolejnej burzy emocjonalnej - nadziei? Jeśli tak, to zabieg się udał.

Rzeczywiście mam nadzieję, że jeszcze coś się ze mną stanie, co umożliwi mi świadome używanie mocy, którą otrzymałem (albo która trafiła mi się przypadkiem). Już nie chcę, aby mnie uwolniono, aby koszmar ostatnich kilku godzin (a może dni albo minut?) się skończył. Czekam na ciąg dalszy.

Tymczasem nic się nie dzieje. Światło płonie. Znow słyszę gdzieś w głębi sali posapywanie pompy i delikatne buczenie prądu w obwodach. Dobiegają mnie też ledwo słyszalne szelesty, jakby tam, poza światłem, ktoś się poruszał.

Ale może to szeleści krew w moich naczyniach, bo cisza jest tak wielka, że poruszenia własnego języka w ustach wydają mi się hałasem.

To koniec - myślę - koniec przeznaczonego dla mnie programu. Nie zauważyli, że brakuje w nim jeszcze jednego istotnego elementu. Przeoczyli coś albo ja sam zakłóciłem przebieg operacji. Przecież o mało nie odgryzłem palca ich człowiekowi. Po prostu nie wiedziałem do czego to wszystko zmierza. Myślałem, że... zresztą nieważne co myślałem. A może jednak ważne? Od dawna myślałem, że zostałem w jakiś sposób naznaczony, wybrany. Sądziłem tak właściwie od czasu

wydarzenia w Uppsali. Pozornie o nim nie pamiętałem, ale tak naprawdę, to często rozważałem jego przebieg i znaczenie, patrząc na szklane kulki. W jakimś sensie spodziewałem się i podświadomie czekałem, że rozpoczęty wtedy proces zostanie w końcu dokończony, tym bardziej, że ksiądz LaBianca, który też miał swoją Uppsalę, opowiadał mi o swoich doświadczeniach, mających miejsce dwa lata później. Tyle że on wyszedł z nich z konkretnymi, paranormalnymi umiejętnościami czy atrybutami, a ja, jak na razie, miałem tylko dość niejasne poczucie wewnętrznej przemiany (plus świadomość przemiany zewnętrznej) i wejścia w posiadanie nieokreślonego daru, pewnej władzy nad duchem i materią. Jest to abstrakcyjne przekonanie, które w moim umyśle nabrało mocy przed paroma minutami, a może godzinami - nie wiem, jak tutaj Uczy się czas - kiedy doznałem czegoś w rodzaju psychicznego orgazmu lub może raczej mistycznoseksualnego przeżycia o niezwyklej intensywności. Było to niesamowite doświadczenie zjednoczenia ze wszechświatem i jednocześnie tworzenia go poruszeniami umysłu, który to umysł jest tego wszechświata praprzyczyną, ogarniającą siebie i równocześnie wykraczającą poza swoje granice w świat materii i zjawisk fizycznych. Nie umiem tego dobrze opisać, ale też nie jest to łatwe do opisania.

W każdym razie najistotniejszym elementem tego przeżycia było uczucie wszechogarniającej władzy nad wszystkim, co psychiczne i co fizyczne. To uczucie jest we mnie nadal, chociaż nie potrafię z owej władzy zrobić świadomego użytku. Najzwyczajniej w świecie nie

wiem, jak to zrobić. Wszelkie próby oddziaływania na materię za pomocą koncentracji umysłu czy skupienia woli i wysłania myślowego nakazu spełzły na niczym. Nie otwarły się trzymające mnie klamry, mimo iż z całą siłą woli wydałem im w myślach takie polecenie. Nie nawiązałem żadnej formy kontaktu ani z Paulina, ani z Cassandra, chociaż usilnie koncentrowałem się na przesłaniu im lub odebraniu od nich myślowego przekazu. Nie gaśnie nawet to przekłete, wypalające mi oczy światło, któremu nakazuję w myśli: zgaśnij. Bezskutecznie. Panuje zupełna cisza, bezruch.

- Co mam teraz robić? - pytam głośno. - Co teraz robić? - powtarzam po chwili - Chcę wiedzieć.

- Idź tam śmiało - głos wybucha w moich uszach, a może w głowie, niby trzy krótkie trzaski.

W zapadłej znów ciszy dobiega jego zamierający pogłos. Chociaż może to echo moich własnych słów? Idź tam śmiało? Dokąd? Czy to było powiedziane do mnie? A może to ja sam powiedziałem? Albo pomyślałem?

- Dobrze - mówię spokojnie - pójdę. Pójdę tam śmiało, gdziekolwiek to jest.

Czuję, jak łzy napływają mi do oczu i ściekają po skroniach. Patrzę przez nie wprost w światło i widzę tęczę.

- Zgaśnij - szepczę prosząco. I światło gaśnie.

Leżę wśród potrzaskanych fragmentów kabiny kąpielowej w mojej łazience i płaczę. Bolą mnie plecy i głowa pęka od tępego pulsowania w potylicy.

Czuję piekące klucie w lewym uchu, z którego cieknie strużka krwi, spływając mi po szyi i piersi. Ale przede wszystkim czuję smutek, wypełniającą mnie bezsilną rozpacz zawodu. Wiem, że coś się nie udało, że coś straciłem.

Zabrano mi coś wspaniałego, co już przez chwilę miałem, ale czym nie zdążyłem się nawet trochę nacieszyć. Szlocham głośno i zanoszę się aż do utraty tchu, nie płakałem tak, odkąd skończyłem sześć lat.

Wygrzebałem się z trudem z ruin kabiny, odkrywając przy okazji, że plastikowa zadra z połamanej ścianki rozdarła mi skórę na plecach, od prawej łopatki aż do biodra (mam tam do dziś bliznę). Na ramionach, nadgarstkach, udach i goleniach miałem rozległe siniaki, a na czole sinoczerwoną pręgę. Byłem bardzo zmęczony i obolały, ale poza tym wszystko było w porządku.

Za oknami świeciło słońce, a zegarki pokazywały 7.30. Wynikało z tego, że leżąc na stole operacyjnym (bo jak go inaczej nazwać?) albo w łazience, spędziłem ponad sześć godzin. Siniaki w miejscach, gdzie najbardziej wrzynały mi się uchwyty, kiedy się szarpałem i napinałem mięśnie, krew płynąca wciąż z lewego ucha i ogromne zmęczenie przemawiały za tym, że naprawdę byłem w tamtej sali i leżałem jak ukrzyżowany na tamtym stole. Ale zasinienia mogły też powstać w wyniku upadku i potężnego zderzenia z konstrukcją kabiny. Nawet charakterystyczny ślad na czole mógł być rezultatem uderzenia głową o brzeg żeliwnego brodzika. Mogłem więc równie dobrze leżeć nieprzytomny w łazience (mieszkając

samotnie, bałem się zresztą, co będzie, gdy nagle zasłabnę lub niebezpiecznie upadnę), pogrążony w wizjach mego zamroczonego umysłu. Przeczył temu jednak fakt, że nadal miałem moje nowe, szczupłe i sprawne ciało.

Przynajmniej na razie nie czułem się na siłach rozstrzygnąć, jak było naprawdę.

Obmyłem się z krwi i zadzwoniłem do Liberga. Powiedziałem mu, że niespodziewanie muszę wyjechać na jakieś trzy tygodnie do Szwecji i że dam znać, kiedy wrócę. Potem poszedłem spać. Wieczorem spakowałem torbę i pojechałem do Kwidzyna, gdzie wynająłem apartament w zajezdni „Biały Dworek” i przez 23 dni rozmyślałem, pisałem i jeździłem konno, upajając się odzyskaną sprawnością ruchów. Po powrocie oznajmiłem zdumionym przyjaciołom, że byłem w Turku w Finlandii, gdzie przeszedłem lapońską kurację odchudzającą, która przyniosła, jak widać, nadzwyczajne rezultaty. Marianna uśmiechała się i patrzyła na mnie wzrokiem mówiącym: „Dobra, dobra, Jasiu, dobra, dobra”.

W „Białym Dworku” nic specjalnego nie wymyśliłem. Mimo podejmowania rozmaitych prób, nie zdołałem wywrzeć dostrzegalnego wpływu ani na ludzi spotykanych w hotelu, ani na otaczającą mnie materialną rzeczywistość.

Tylko liczne koty włóczące się wokół zabudowań po kilku dniach moich eksBarbara Kordek wyzdrowiała po 43 dniach nieustannego stosowania „kuracji” księdza Weise. Lekarze stwierdzili, że nowotwór w jej trzustce zmienił się w zwapniała kawernę o

wymiarach 4 na 8 milimetrów, a ona sama szybko przybierała na wadze i odzyskiwała siły. W kilka dni po otrzymaniu wyników badań wypła nawet kieliszek szampana za zdrowie wszystkich tych, którzy jej towarzyszyli w ciągu minionych tygodni. Dowiedziałem się o tym bynajmniej nie z telewizji czy wielkonakładowych gazet, ale z lokalnego, ukazującego się w Przemyślu i Rzeszowie, pisemka pod tytułem „Z tej Ziemi”, specjalizującego się w relacjach o cudach, pojawieniach się duchów, odnalezieniach skarbów i tym podobnych rzeczach. Weise występował w artykule jako kontrowersyjny uzdrowiciel podający się za katolickiego księdza. Kościół miał najwyraźniej na tyle długie ręce, żeby sięgnąć wszędzie i zapobiec rozchodzeniu się wysmażonych w zapyziałej redakcji prowincjonalnego brukowca wieści o działaniach niepokornego kapłana. Były to działania zdecydowanie źle widziane przez stojący blisko politycznej władzy kler, zajęty odbudowywaniem swojego wpływu na życie społeczne i ekonomicznej potęgi. Duchowieństwo nie było zainteresowane jakimikolwiek przejawami religijności, które wymykały się jego kontroli bądź wychodziły poza kruchę, bowiem zwracało to niepotrzebnie uwagę na usilną krzątanie sług bożych wokół spraw jak najbardziej doczesnych. Jak na złość okoliczności polityczne i warunki życia sprzyjały krzewieniu się mocno nacjonalistycznego katolickiego fundamentalizmu, inspirowanego zresztą przez sędziwego papieża. Przez kraj przetaczała się tam i z powrotem fala cudów i objawień, podczas których boskie wizerunki pojawiały się na szybach okien, drzewach, a nawet na kominach

domów w różnych miejscach Polski, stając się natychmiast obiektami adoracji i pielgrzymek tłumów. Mnóstwo było też głośnych, publicznych nawróceń. Z dnia na dzień ogłaszali swój powrót na łono kościoła politycy, znani sportowcy, liderzy zespołów rockowych, popularni aktorzy, pisarze, poeci, a nawet zasłużony w walce w narkomanią psychoterapeuta. Kościół skrupulatnie pilnował, aby nie angażować swojego autorytetu w takie awantury, aczkolwiek towarzyszące im narodowe, a szczególnie antysemickie nastroje były mu w zasadzie na rękę. Skrajnie prawiperymentów zniknęły bez śladu. Musiałem się pogodzić z tym, że nie potrafię czynić cudów, chociaż czułem wciąż, że mam w sobie potrzebną do tego moc.

Czuję to zresztą do dzisiaj. cove, czasami wręcz jawnie rasistowskie katolickie gazety oraz stacje radiowe i telewizyjne nawoływały wciąż do obrony polskości, Kościoła i reprezentowanych przezeń chrześcijańskich wartości, zagrożonych rzekomo przez dążących do ściślejszych związków z Unią Europejską „demoliberalistów”. Zwalczały też namiętnie, nie bez znaczącego wsparcia ze strony politycznych przywódców prawicy, oświatę seksualną, prawo do aborcji i wszelkie przejawy swobody obyczajowej, wykraczające poza surowe reguły rozumienia erotyki przez katolicką doktrynę. Ksiądz Weise, ze swą otwartą krytyką moralnych postaw kleru i triumfalistycznej arogancji kościelnej hierarchii, był więc bardzo nie na czasie i nie miał szans zaistnienia w bojących się Kościoła mediach, choćby nawet dokonywał uzdrowień i codziennie spacerował po wodzie.

Pod tym względem jego los, jak na razie, różnił się od mojego, bo ja od 1996 roku, kiedy powstała Eudajmonia i kiedy, na dobrą sprawę, zaczęła się moja nieudana kariera polityczna, byłem pieśczochem gazet, radia i telewizji. Przez pół roku miałem nawet w telewizji publicznej swój talkshow pod tytułem „O tym trzeba mówić”. Oczywiście występowałem wtedy przede wszystkim jako psycholog, psychoterapeuta i ekspert od wyjaśniania mechanizmów rządzących zachowaniem się ludzi. Zyskałem nawet znaczną popularność, głównie dzięki temu, że nigdy nie odczuwałem tremy i potrafiłem swobodnie mówić przed kamerami na dowolny temat. Z czasem zacząłem być traktowany jako tzw. „osoba opiniotwórcza”, czyli atorytet w sensie ogólniejszym, i wypowiadałem się też na tematy bezpośrednio nie związane z moim zawodem, komentując wydarzenia polityczne, decyzje rządu i nastroje społeczne w kraju. W związku z tym zapraszano mnie coraz częściej na różne uroczystości, bankiety i spotkania w politycznych salonach, gdzie kształtowały się układy i sojusze owocujące później określonymi posunięciami w sejmie czy w senacie. Ze swoją rosnącą popularnością stałem się dla owych grup i koterii łakomym kąskiem, mogącym dopomóc w ich nieustającej grze o pozyskanie wyborców. Tak zaczęła się moja nieszczęsna kariera polityczna.

Później, jako uzdrowiciel i boski awatar, zostałem na krótko bohaterem rubryk kryminalnych.

W ciągu kilku lat, począwszy od 1989 roku, Marianna prowadziła pamiętnik, w którym opisywała ważniejsze, jej zdaniem,

zdarzenia ze swojego życia.

Część tych zapisków udostępniła Libergowi na początku 1992 roku, a on z kolei wykorzystał je w swojej książce, na życzenie autorki nie podając źródła.

Resztę przekazała mnie, do wyłącznej dyspozycji, niedługo przed pożarem Eudajmonii. Dopiero niedawno zdołałem się z nimi zapoznać. Niektóre notatki wydały mi się na tyle interesujące, że postanowiłem je tu przytoczyć.

6.09.1990 r.

Powiedziałam Krassowi, że jestem w ciąży. Przez chwilę wyglądał, jakby dostał solidnego kopa w podbrzusze. To jego bledziutkie boże światełko wydzielane przez skórę przybrało kolor zielonego groszku.

- Jak to w ciąży? - wybełkotał. - Przecież lekarze...

- Co lekarze? - nie dałam mu dokończyć - co lekarze? Lekarze po prostu nie przewidzieli, że zostanę twoją pacjentką. Nie przyszło im do głowy, że ty będziesz mnie leczyć.

Krass, niby skomplementowana dama, spuścił oczy, a poświata nabrała złowieszczych fioletowych tonów.

- Nie pleć - mruknął. - Jesteś pewna, że to ciąża?

- Tak. Na pewno jestem z tobą w ciąży. Ale ojcem będzie Bigowski. Spałam z nim w również odpowiednim czasie.

- Dlaczego?

- Tak trzeba. Nie chcę, żeby Madzia oficjalnie była twoją córką, i mam po temu ważne powody.

- Madzia? Dlaczego...

- Urodzi się nam dziewczynka. Damy jej na imię Magdalena i nie pytaj więcej - dlaczego? Po prostu wiem, że tak będzie i że tak trzeba. I pamiętaj, jeśli nie będziesz chciał, możesz nie brać żadnego udziału w opiece nad nią i w jej wychowaniu. Oficjalnie i nieoficjalnie Madzia jest tylko moja.

Krass patrzył na mnie długo, a jego światełko jeszcze bardziej zbladło, prawie znikło.

- Chcę brać udział w opiece nad nią i w jej wychowaniu - powiedział w końcu. - To moja córka.

- OK - zaśmiałam się - jasne, że to twoja córka. Inna nie mogłaby się we mnie znaleźć, bo lekarze generalnie mieli rację.

Krass już chciał coś powiedzieć, ale zamknęłam mu usta, kładąc na nich dłoń.

- Dobra, dobra, tatusiu - zaśmiałam się znowu - naprawdę nie ma o czym gadać. Chodźmy lepiej gdzieś uczić nasz odmienny stan.

I poszliśmy.

W rzeczywistości opisana scena wyglądała prawie identycznie. Prawie, bowiem Marianna powiedziała wtedy jeszcze, iż dziecko umrze, jeśli zostanie przeze mnie oficjalnie uznane. Nie wyjaśniła skąd to wie, prosząc jednocześnie, żebym zaufałam jej intuicjom. Dodała jeszcze enigmatyczną uwagę, że „Krass może być tylko jeden, chociaż w dwu osobach”. A potem zamknęła mi usta, tak jak opisuje.

19.02.1988 r.

Krass wydziela światło. Zobaczyłam to, jak tylko pierwszy raz

weszłam z matką do jego gabinetu. Wstał na nasze powitanie, a jego twarz wyraźnie, choć bardzo delikatnie, lśniła bledziutką poświatą, taką, jaką ma bursztyn przeświecony słońcem. Poczulałam, jakby moje serce upadło na podłogę, a mój umysł otworzył się szeroko i bez lęku jak na przyjęcie dobrej nowiny. Ale on wypowiedział tylko kilka banalnych słów powitania, na które moja matka odpowiedziała w podobny sposób. Z trudem oderwałam oczy od jego świecących dłoni i spojrzałam na matkę, sprawdzając, czy widzi to, co ja. Ona jednak chyba nic nie widziała, bo usiadła i zaczęła opowiadać, głosem, w którym brzmiało profesjonalnie modulowane zatroskanie, o moich dziecięcych chorobach i późniejszych objawach, oczywiście pomijając najważniejsze wydarzenia, o których po prostu nie wiedziała. Krass słuchał bardzo uważnie, a jego poświata powoli zmieniała się, przyjmując barwę jasnego fioleto z żółtymi refleksami.

On jej nie wierzy - pomyślałam - nie wierzy w jej zapewnienia o wielkiej miłości, którą mnie obdarza i w udrękę, jaką są dla niej moje dolegliwości. Byłam prawie pewna, że Krass nie dał się nabrać na jej aktorsko dopracowane kłamstwa, bo matka kłamała. Zresztą może ona sama uwierzyła w końcu w swoje opowieści i sama sobie wydawała się kochającą, udręczoną przez los matką chorego dziecka. W rzeczywistości, najzwyczajniej w świecie nie kochała mnie, moje choroby i dolegliwości miała w dupie, a jej macierzyńska troska sprowadzała się do ciągnięcia mnie po niezliczonych lekarzach w przerwach pomiędzy swoimi koncertami i kochankami. Robiła to głównie na pokaz, w ramach tworzenia swojego wizerunku

nieszczęśliwej matki, której talent i kariera schodzą na dalszy plan wobec miłości do pokrzywdzonego przez los chorego dziecka, a naprawdę byłam dla niej tylko błędem młodości, wyrzutem sumienia i ciężarem. Krass w jakiś sposób o tym wiedział. Byłam tego pewna, chociaż nie zrobił nic, co by takie przekonanie potwierdziło. Wręcz przeciwnie. Stuchał matki w skupieniu, patrząc w ten, jak się później okazało, charakterystyczny dla siebie sposób, gdzieś ponad jej ramieniem i od czasu do czasu zadawał krótkie pytania. Ale ja czułam, że wie swoje i pomyślałam, że trafiłam na kogoś, kogo będzie trudno oszukać. Moja matka tymczasem tokowała, wczuwając się coraz bardziej w rolę, i z całą pewnością nie dostrzegła światła wydzielanego przez Krassa. Specjalnie mnie to nie dziwiło, ponieważ była kobietą, która w ogóle mało co widziała poza czubkiem własnego nosa. Dlatego zaskakiwało mnie zawsze, że potrafiła tworzyć naprawdę piękną muzykę. Ja natomiast widziałam wszystko bardzo wyraźnie. Światło wydzielane przez Krassa to wcale nie jest jakaś poetycka metafora. On naprawdę po prostu świecił, jakby skórę na jego twarzy i rękach (tyle odsłoniętego ciała pozostawiał jego gruby biały golf) pomalowano specjalną farbą. W dzieciństwie miałam zabawkę, plastikową gąsienniczkę imieniem Liza, która była pokryta taką farbą i świeciła w ciemności pięknym, żółtozielonym blaskiem. Z Krassem było tak samo, tylko blask był dużo delikatniejszy niż w przypadku Lizy, no i mógł zmieniać barwę. Rozumiałam, iż jeśli to, co widzę, jest rzeczywiste, to nie mogło dziać się w sposób naturalny (odrzucałam też hipotezę, że na przyjęcie pacjentów Krass malował się

luminescencyjną farbą), a więc było zdarzeniem nadnaturalnym, czyli cudem. Chyba że to światło było tworem mojej chorej wyobraźni, bo ani matka, ani Krass najwyraźniej go nie widzieli. I tę hipotezę odrzuciłam zdecydowanie, ponieważ nigdy dotąd wyobraźnia nie płątała mi tego rodzaju figli. Chociaż mojemu zdrowiu psychicznemu można było wiele zarzucić, to jednak, z całą pewnością, nie byłam wariatką miewającą halucynacje lub urojenia. Owszem, miewałam depresje, dręczyły mnie różne natręctwa i lęki, ale w gruncie rzeczy jestem osobą wyjątkowo przytomną. Musiałam więc spojrzeć prawdzie w oczy - byłam świadkiem cudu, najprawdopodobniej przeznaczonego tylko dla mnie. Przyjęłam ten wniosek z całkowitym spokojem, jakby świecący niczym aniołowie faceci byli równie częstą odmianą mężczyzny, jak ci z kolczykiem w uchu albo z włosami do pasa. Sama byłam zdumiona swoją reakcją, bo w znacznie mniej zaskakujących sytuacjach zachowywałam się gwałtownie i histerycznie. Tymczasem Krass zakończył rozmowę z moją matką i poprosił ją, aby wyszła do poczekalni. Kiedy zostaliśmy sami, gestem wskazał mi fotel naprzeciwko siebie i w milczeniu uważnie mnie oglądał, niespiesznie paląc papierosa. Najpierw otaksował moje nogi, potem przez dłuższą chwilę zatrzymał wzrok na moim kroczu (miałam na sobie obcisłe leginsy). W tym czasie jego poświata nabrała znów ciepłego, bursztynowego koloru. Kolejnym obiektem jego obserwacji były moje piersi, aż wreszcie skierował spojrzenie na moją twarz. Zobaczyłam przed sobą jego szeroko otwarte kocie oczy. Patrzyłam w nie, aż wydały mi się w pewnej chwili dwoma zielonymi otworami,

przez które zajrzałam w głąb jego głowy. Do dziś nie wiem, co tam wtaściwie zobaczyłam, ale było to coś, co kazało mi natychmiast uwierzyć, że Krass jest nosicielem mocy, przekraczającej zwykłe ludzkie pojmowanie, i że wydzielane światło jest tylko jednym z jego - nie da się tego inaczej nazwać - boskich atrybutów. Dużo później, projektując wraz z Libergiem „ubranie koncentrujące” dla Krassa, przypomniałam sobie, że widziałam go już tak ubranego w czasie tamtego, trwającego sekundy, spojrzenia w głąb jego oczu. Wiem, że brzmi to, jak gadanie nawiedzonej, ale zobaczyłam tam prawdę i wiarę w postaci biało ubranego człowieka, który był Krassem, tyle że dużo szczuplejszym i chyba młodszym. Ten człowiek coś mówił albo robił, albo po prostu stał nieruchomo, nie wiem, nie pamiętam, ale widząc go poczułam, jak sptywa na mnie spokój, będący wiarą. Czułam, że weszłam w posiadanie prawdy.

W końcu Krass skierował wzrok gdzieś ponad moim ramieniem i zapytał: - Jak się pani czuje?

- Dobrze - odpowiedziałam. - A czy pan wie, że wydziela pan światło?

Jego oczy na ułamek sekundy znów spotkały się z moimi i dostrzegłam w nich zdziwienie.

- Światło? - spytał - jakie światto?

- Świeci pan jak anioł - powiedziałam, nie wiem dlaczego szeptem. Pana ręce świecą i twarz. Mówię poważnie.

Odruchowo spojrział na swoje ręce i znów uniósł wzrok ponad moje ramię.

- Jest pani tego pewna?

- Oczywiście. I mogę pana zapewnić, że nie jest to wynik moich zaburzeń psychicznych. Świeci pan także w tej chwili, a przecież rozmawiam z panem normalnie i logicznie, prawda?

- Tak. Rozmawia pani ze mną bez wątpienia normalnie. Ale to, co pani mówi, kłóci się z moją wiedzą i doświadczeniem.

- Ja jednak twierdzą, że wydziela pan światto.

- Zgodnie z posiadaną przeze mnie wiedzą człowiek nie może, jak to pani określiła, „wydzielać światła”. Jest to fizycznie niemożliwe. Nigdy nie zetknąłem się z takim fenomenem i nie znam doniesień mówiących o jego występowaniu, poza bardzo historycznymi pismami religijnymi. Nigdy też nie stwierdziłem żadnego świecenia u siebie.

Wkurzył mnie rym starannie wyważonym, górnolotnym gadaniem.

- Moja wiedza i doświadczenie - powiedziałam ironicznie - byty takie same jak pana, aż do chwili, gdy wesztam do pańskiego gabinetu. W tym momencie moje doświadczenie uległo gwałtownemu poszerzeniu, a wiedza została zweryfikowana i teraz odpowiednie twierdzenie brzmi - jest możliwe, aby człowiek wydzielał światto. Jest też możliwych wiele innych rzeczy, o których nie wie pan, że są możliwe.

- Co pani ma na myśli?

- Och! Nic specjalnego - ochłonełam nagle. - Tak tylko powiedziałam.

Popatrzył w bok, za okno, a potem znów utkwiał spojrzenie ponad moim ramieniem.

- Jest pani zdenerwowana?

- Trochę.

- Nie lubi pani swojej matki?

- To ona mnie nie lubi. Ja tylko odpłacam pięknym za nadobne.

- Chce pani o tym szerzej porozmawiać następnym razem?

- Tak.

- Na dzisiaj to wszystko. Dziękuję i do zobaczenia za tydzień.

Odprowadził mnie do drzwi i poprosił moją matkę. Kiedy siedziałam w poczekalni, odniosłam nagle wrażenie zupełnej obcości. Przez chwilę nie wiedziałam, kim jestem i gdzie się znajduję, a kiedy to minęło, poczułam, że cała scena z Krassem i jego świeceniem była kompletnie absurdalna i nierealistyczna. Zastanawiałam się nawet, czy czasem nie zdrzemnęłam się w poczekalni i czy to wszystko mi się nie przyśniło, zanim jeszcze weszłam do gabinetu. Jednakże trzymałam w ręku karteczkę, na której Krass zapisał datę i godzinę mojej następnej wizyty.

W drodze do domu matka, swoim zwyczajem, nie odzywała się. Prowadziła samochód, słuchając z taśmy jednego ze swoich utworów, w którym tagot ciągnął skomplikowaną, smutną melodię na tle wznoszących się i opadających, jednostajnych dźwięków sekcji smyczkowej.

- Mamo? - spytałam. - Czy coś uderzyło cię w wyglądzie pana Krassa?

Spojrzała na mnie półprzytomnie i znów skierowała wzrok przed siebie.

- Wiesz, że tak - powiedziała po dłuższej chwili, kiedy pomyślałam już, że nie usłyszała pytania. - Jest trochę podobny do Johna Cage'a.

18.05.1988 r.

Okazało się, że poświatę wydzielaną przez Krassa widzę nie zawsze. Czasami jest ona wyraźna i silna, a czasami w ogóle nie mogę jej dostrzec. Nie wiem, czy on świeci ciągle, ale ja, z jakiegoś powodu, nie zawsze mogę to zobaczyć, czy też wydziela światło od czasu do czasu i wtedy je widzę. Istnieje jeszcze możliwość, że światło pojawia się czasami i tylko w mojej obecności, stanowiąc jakiś przekaz, którego nie potrafię rozszyfrować. Powiedziałam o tym Krassowi. Odpart, że nie chce więcej styszeć tych bzdur, bo okres historycznej dekompensacji mam już za sobą. No dobra, nie chce styszeć, to nie ustyszy.

27.09.1990 r.

Przyjechaliśmy tu, do Leby, na wakacje po wakacjach. Jest piękna wczesnojesienna pogoda. Słońce jeszcze nieźle przypieka, ale wieczory i noce są już bardzo chłodne. Krass przesiaduje godzinami na tarasie pensjonatu, w którym mieszkamy, grzejąc się w stońcu jak wielki kocur i sącząc swoje drinki. Nic nie robi.

Papiery, przywiezione pieczołowicie w kartonowym pudełku, ani razu nie zostaty z niego wyjęte. Dzisiaj wyjątkowo poszliśmy na spacer drogą wiodącą na diuny.

Na wąskiej, biegnącej przez stary las asfaltówce byto mato ludzi. Sezon dobiegał końca i przeważali wśród nich emeryci i rodziny z małymi dziećmi. Szliśmy wolno, rozkoszując się słońcem i żywicznym zapachem lasu, kiedy minął nas osiołek w czerwonej uprząży. Kroczy statecznie, kiwając łebkiem, a jego kopytka stukały na asfalcie w ciszy upalnego południa. Potulny klapouch był własnością faceta, prowadzącego przy wejściu na szlak wypożyczalnię rowerów, i stanowił nie lada atrakcję, służąc za wierzchowca dzieciom, których rodziców stać byto na jego wynajęcie. Tym razem wiózł siedzącą w czerwonym siodle małą dziewczynkę w białej sukience. Ośła amazonka miała może z pięć lat i prześliczną buzię pod ciężkim kaskiem rozpuszczonych blond włosów. Kiedy przejeżdżała obok nas, odwróciła nagle główkę i popatrzyła na mnie poważnie ogromnymi, ciemnymi oczami. W tym momencie czas się zatrzymał. Zapadła absolutna cisza. Nie sfyszytam ani świergotu ptaków, ani szumu wiatru, ani głosów idących przed nami i za nami ludzi. W tej ciszy Krass, idący obok mnie, znieruchomiał z uniesioną w czynionym właśnie kroku nogą i niesłychanie wolno, jak na bardzo zwolnionym filmie, zwrócił głowę w kierunku dziewczynki. Jego nika tego dnia i w stońcu ledwie widoczna poświata wypączkowata z siebie cienki promyczek, który wolno przeleciał nad drogą i dotknął matej, zapalając wokół niej bledziutkie, różowe światło. Przez chwilę tkwili tak połączeni gałązką blasku, aż promyk cofnął się z powrotem do Krassa i zniknął, pochłonięty przez jego jasność. Światło dziewczynki zbladło, otaczając fragmenty jej nieosłoniętego sukienką

ciała delikatnym, różowym lśnieniem, zaś ona sama, tak wolno jak Krass, odwróciła ode mnie oczy i patrzyła znów przed siebie, ponad znieruchomiałą głową osiołka. Poczułam napięcie i ból w brzuchu i wszystko na powrót ruszyło z miejsca. Znowu zaśpiewały ptaki, Krass postawił uniesioną nogę, robiąc kolejny krok, a osiołek podreptał dalej. W moich wnętrznościach coś miękkiego przekręciło się z boku na bok i ukąsiło mnie w wątrobę. Z bólu pociemniało mi w oczach. Chwyciłam się za brzuch, przystając gwałtownie w obawie, że upadnę.

I wtedy, na tej czarnej materii przysłaniającej mi oczy, jak na ekranie zobaczyłam zakrwawione ciało dziewczynki leżące wśród igliwia i suchych gałęzi w jakimś leśnym wykrocie i zaraz potem siebie samą, niosącą na rękach moją maleńką córkę, która była tą samą dziewczynką. Obie wizje trwały ułamek sekundy, tak że Krass, idący krok z tyłu, zdążył stanąć tuż za mną, aż poczułam na karku jego oddech.

- To Madzia - powiedziałam do niego - jedzie mi się urodzić.

A potem zawróciłam i szybko poszłam do domu, nie oglądając się na oniemiałego Krassa.

- Widziałeś swoją córkę - dodałam jeszcze, kiedy zdyszany zrównał się ze mną. Sam ją sobie wybrałeś i naznaczyłeś - dorzuciłam w duchu - chociaż najwyraźniej nic o tym nie wiesz, ale może tak właśnie trzeba. Może to lub ten, kto uczynił cię tym, kim jesteś, nie życzy sobie, abyś był do końca siebie świadomy.

Krass nigdy później nie zapytał mnie o to zdarzenie, chociaż,

gdy dotarta do nas wiadomość o śmierci dziecka, był wstrząśnięty, przerażony i patrzył na mnie jak na czarownicę. Nie pytał, bo najprawdopodobniej wiedział swoje i to było to, co w jego sytuacji należało wiedzieć. Zresztą nie wiem... Aha! Zapomniałam napisać, że dziewczynka zabiła się w dwadzieścia minut po naszym spotkaniu, spadając ze spłoszonego przez jakichś ludzi osiołka.

11.06.1991 r.

W czasie porodu byłam cały czas przytomna i skoncentrowana. Kiedy tylko Madzia wyszła ze mnie i jeszcze na uwięzi pępowiny tapata swój pierwszy oddech, zobaczyłam, że wszystko jest w porządku. Jej maleńkie ciało otaczała bledziuteńka, różowawa poświata, niczym umiejętnie oświetloną pertę. Oczekiwałam tego, ale i tak poczułam, jak serce obraca się we mnie powolnym spazmem radości i przerażenia. Po chwili przyniesiono ją do łóżka, na którym leżałam i położono mi na brzuchu. Dotknęłam jej mokrej główki i poczułam pod palcami pośpieszne pulsowanie ciemiączka.

- Śliczna dziewczynka - powiedziała krzątająca się przy nas położna. - A jaka spokojna! Tylko raz zamiauczata jak kotek i po wszystkim. Będzie z niej pani miała pociechę - dodała i przeżegnała Madzię ukradkiem.

28.08.1991 r.

Zaraz po swoich czterdziestych czwartych urodzinach Krass zniknął bez śladu. Zawiadomił tylko Liberga, że wyjeżdża na trzy tygodnie do Szwecji, ale nie powiedział nic bliższego i nie zostawił żadnych namiarów. Od razu pomyślałam, że stało się coś ważnego, a

nawet bardzo ważnego, co zmusiło go do podróży, ponieważ z błahego powodu na pewno by od nas w ten sposób nie odjechał. Od nas, czyli ode mnie i od Madzi, która miała wtedy trzy miesiące i w oczach znajomych uchodziła za dziecko Bigowskiego. Wprawdzie ani wtedy, ani nigdy potem nie mieszkaliśmy wspólnie, ale Krass bardzo poważnie potraktował swoją deklarację uczestnictwa w opiece nad matką. Odwiedzał nas bardzo często, chętnie pomagał w różnych pracach, robił zakupy, a nawet przygotowywał posiłki - niemal jak dobry mąż. Nade wszystko jednak lubił przesiadywać przy Madzi obserwując ją, kiedy spała, albo bawiąc się z nią, gdy czuwała. W pewnym okresie bytam nawet zazdrosna, bo Madzia czasami uśmiechała się do niego, czego ja, mimo spędzania z nią bez porównania większej ilości czasu, nie mogłam się doczekać.

Krass pokochał, jeśli można to tak nazwać, nasze dziecko od razu i bez zastrzeżeń, chociaż była to mitość inna niż ta, którą darzył Kassandra. Z Madzią tńczył go związek, będący rodzajem wzajemnej przynależności, jaki tńczy całość z jej częścią albo jaki podobno występuje pomiędzy niektórymi jednojajowymi bliźniętami. Sam o tym mówił, z pewnym zdumieniem stwierdzając, że chwilami odczuwa wręcz fizyczną potrzebę kontaktu z dzieckiem, manifestującą się przeżywaniem stanów podobnych dogłodu albo silnego pragnienia. Opowiadał mi też, że czasami wydaje mu się, a może w istocie tak jest, jakby odczuwał to, czego doznaje Madzia - jej niepokój, zadowolenie, łaknienie pokarmu, a nawet parcie na pęcherz. Rzeczywiście wielokrotnie widziałam, jak doskonale trafiał,

rozwijając matę z pieluszki właśnie w momencie, kiedy zaczynała robić siku albo przygotowywał butelkę sekundę wcześniej, nim data do zrozumienia, że jest głodna. Często jednocześnie ziewali, kichali, zasypiali czy zmieniali przez sen pozycję ciała.

Wyglądało na to, że łączy ich pewien rodzaj głębokiego współodczuwania, coś na kształt symbiozy lub wręcz zespolenia się jakiejś części ich umysłów, mimo przestrzeni oddzielającej ich ciała. Początkowo zdumiewało mnie, kiedy pogrążony w myślach lub czytający coś Krass nagle podnosił głowę i oświadczał, że śpiąca w sąsiednim pokoju Madzia właśnie się obudziła albo zmoczyła pieluszkę, że boli ją brzuch albo że wypadł jej smoczek, a następnie okazywało się, iż jest dokładnie tak, jak mówił. Później do tego przywykłam. Po prostu uznałam, że ich psychiczna symbioza jest faktem, który mnie zresztą nie dziwił, zważywszy na to, co miało miejsce w Łebie oraz na to, że obydwójce wydzielali światło, choć raczej należałoby powiedzieć, że ja widziałam, i to nie zawsze, promieniujący z nich obojga blask. Byli jedynymi istotami, u których to widziałam. Czasami przychodzi mi do głowy, że ja też należę do świecących, skoro wszyscy troje należymy do osób w pewien sposób wybranych (przez kogo?, przez co?). Nie mogę tego stwierdzić, ponieważ, tak jak Krass swojej, być może nie widzę własnej poświaty, a i Krass nic takiego nie dostrzega ani u mnie, ani u Madzi. Co do Madzi, to na razie nie wiadomo, czy coś takiego widzi. W każdym razie z jej zachowania nie wynika, żeby coś u mnie czy u Krassa specjalnie zwracato lub przyciągało jej uwagę. Inna sprawa, że jej

uwagi nie zwraca ani nie przyciąga prawie nic. Jest dzieckiem niezwykle spokojnym.

Od początku prawie nie znaleźliśmy jej ptaczu, nie wiedziałam, co to znaczy wstawać w nocy do dziecka, od urodzenia na nic nie chorowała, nie grymasiła, jeśli czuwała, to leżała cicho, wpatrzona swoimi ogromnymi oczami w jakiś punkt i tylko czasami zdarzało jej się jakby śledzić coś dla nas niewidocznego, co przesuwano się przed jej oczami. Potrafiła wtedy wyciągnąć w tym kierunku rękę, a nawet zmienić pozycję ciała, przekręcając się na bok. Niekiedy w takich chwilach śmiała się lub tylko uśmiechała. Dostrzegaliśmy niezwykłą u tak małego dziecka intensywność spojrzenia, rozumną powagę i skupienie, zupełnie jakby była pochłonięta roztrząsaniem w swojej maleńkiej główce jakichś bardzo ważnych problemów albo obserwacją dziejących się gdzieś w innej rzeczywistości, a może w jej wyobraźni zjawisk. No i była piękna. Niemowlęcy tłuszczek nie odbierał jej buzi wyrazu ani nie nadawał, jak to się często zdarza, wyglądu bezmyślnej lalki.

Miała szczupłą i wyrazistą, choć zdecydowanie dziecięcą twarz o niezwykle regularnych rysach i gęste, lekko wijące się jasne włosy. Krass był urzeczony jej urodą i twierdził, że będąc jednocześnie skończone doskonałą i po dziecięcemu niepełną jeszcze i niedokończoną, jest ona istotą nadzwyczajną i zagadkową. Może nieco przesadzał, ale niedużo.

Ze względu na dziecko nie brałam udziału w urodzinowym przyjęciu Krassa, po którym tak niespodziewanie wyjechał. Miałam

klucze do jego mieszkania (sam mi je dał) i w dwa dni później poszłam tam, bo się o niego bałam. Jak nigdy podczas jego częstych przecież wyjazdów, tym razem bałam się o Krassa, ponieważ miałam przeczucie, że przytrafiło mu się coś niedobrego. Intuicja podsuwała mi jakieś niejasne obrazy sali operacyjnej, krwi, pracującej aparatury medycznej albo jakiegoś zgromadzenia, tłumu oplakującego zawinięte w biały, poplamiony na czerwono całun ciało Krassa, spoczywające na jego własnym, doskonale mi znanym biurku. Nigdy dotąd tak nie było. Nigdy nie bałam się, że Krass może ulec wypadkowi czy zachorować. Wydawał mi się kimś niezniszczalnym, na kogo świat zewnętrzny wpływa tylko w niewielkim stopniu. Nigdy nie chorował, mimo że żył niedbale, a nawet niechlujnie, zupełnie nie przejmując się swoim ciałem i niemal ostentacyjnie je zaniedbując. Jednocześnie był zawsze przytomny, chociaż potrafił całą noc pisać albo gadać z ludźmi przy piwie. Rano brat natrysk i przyjmował swoją porcję pacjentów. Wypalał przy tym mnóstwo papierosów i wypijał niezliczone kubki lurowatej kawy. Kaszlał i sapał, wchodząc po schodach, ale zawsze był na chodzie, zaś najcięższą dolegliwością, na jaką się czasami skarżał, był ból głowy, ewentualnie kac. A teraz wyobrażenia podsuwała mi widok Krassa bezsilnego, oddanego w ręce lekarzy, których nigdy nie lubił.

W mieszkaniu śmierdziało rzygowinami i gównem, ale panował w nim względny porządek, to znaczy nigdzie, jak to nieraz bywało, nie walały się puste butelki, pety i zeschnięte kanapki. Tylko łazienka była zrujnowana. Z kabiny kąpielowej zostały potrzaskane ścianki i

pogięte listwy, a w brodziku byto kilka plam zaschniętej krwi. W kuchennej szafce pod zlewem znalazłam worek na śmieci, cuchnący jak dworcowa toaleta (to on był źródłem woni, którą poczułam tuż po wejściu do przedpokoju). Był w nim zielony płaszcz kąpielowy Krassa, przesiąknięty krwią i kompletnie upaprany zaschniętymi wymiocinami oraz, chyba, katem. Wyglądało, jakby broczący krwią Krass wpadł w nim do szamba. Zrobiło mi się niedobrze od smrodu i ze strachu. Coś się tutaj stalo. Coś okropnego. Być może Krass z kimś walczył, bronił się przed napaścią albo dostał jakiegoś strasznego ataku, który zwałił go z nóg w łazience i sponiewierał aż do krwi. Może potem, ranny, wezwał jakoś pogotowie i leży teraz półżywy w którymś szpitalu? Natychmiast przypomniała mi się historia amerykańskiego kosmonauty Glenna, który omal nie zabił się, poślizgnąwszy się we własnej wannie. Przez głowę przelatywało mi tysiąc myśli na sekundę, a nogi drżały tak, że musiałam w końcu usiąść. Gdy trochę ochłonęłam, przepatrzyłam mieszkanie w poszukiwaniu jakiejś wiadomości, którą Krass mógł zostawić. Nic jednak nie odkryłam poza tym, że zniknęła jego torba podróżna.

Po niecałej godzinie wyrzuciłam śmierdzący worek, poszłam do domu i zaczęłam czekać.

Madzia patrzyła na mnie poważnie, jak zwykle bez uśmiechu. Pomyślałam wtedy, że ona wie, gdzie jest Krass.

Moje czekanie trwało 23 dni. Większość tego czasu spędziłam z Libergiem, który przychodził codziennie i z którym prowadziłam długie rozmowy na temat zamierzonej przez niego książki.

To on zresztą namówił mnie do robienia tych notatek, wciąż powtarzając, że moje obserwacje i opinie na temat Krassa, jako osoby będącej z nim najbliższej, są bezcenne.

Liberg nie wydzielał światła, ale i tak zdawał się płonąć ogniem swego entuzjazmu. Nadwrażliwy i pokręcony wewnątrznie był jednocześnie ciepły, łagodny i całkowicie oddany osobom, które obdarzy) uczuciem. Na czele niezbyt długiej ich listy widniał oczywiście Krass, którego uważał za nadcztowieka i czasem nawet mówił o nim jako o nowej, wyższej formie ludzkiego życia. Większość ludzi w środowisku Krassa uważała Liberga za egzaltowanego pedała i odnosiła się do niego z subtelnym lekceważeniem, z jakim dorośli traktują miłe, inteligentne dzieci, którym nie chcą sprawiać przykrości, ale których nie mogą brać do końca poważnie. Liberg tego nie zauważał, jakby w ogóle nie brał pod uwagę, że ludzie mogą mieć jakieś ukryte opinie czy motywy działania, i ta swoista naiwność była w nim najbardziej urocza. Jego pomysły i teorie wydały mi się początkowo wątkami zaczerpniętymi z literatury science fiction, dopóki nie zorientowałam się, że stanowią one rodzaj doktryny religijnofilozoficznej, a nie próbę naukowego wytłumaczenia takich faktów, jak paranormalne zdolności występujące u niektórych ludzi czy cudowne uzdrowienia. Był on prorokiem tworzącym nową wiarę, a nie naukowcem badającym dostępną mu rzeczywistość, i, jak wszyscy prorocy, niespecjalnie przejmował się logiczną spójnością lub obiektywnym udokumentowaniem swoich wywodów. Zresztą po kilku dniach

rozmów z nim spostrzegłam, że w istocie planuje on napisać książkę o Krassie, któremu wyznaczył w swej - znów brakuje mi lepszego określenia - religii wiodącą rolę. Nie wiem, czy Liberg należał do wybranych i widział aurę Krassa. Raczej nie, ale i tak byt cholernie blisko sedna, które znałam (prawdopodobnie jednak z racji bycia wybraną), a które polegało na tym, że Krass, choć sam przypuszczalnie o tym nie wiedział, byt naprawdę nową formą gatunku homo sapiens. Być może do pewnego stopnia ja też nią bytam, szczególnie po urodzeniu Madzi, kiedy wszelkie mechanizmy sterujące moim ciałem zaczęły się wymykać spod kontroli. Madzia była wybrana na pewno, chociaż czasami przychodziło mi do głowy, że cała moja wiedza o niej i Krassie jest w gruncie rzeczy aktem wiary, ponieważ ich światła nikt poza mną nie widział (przynajmniej o nikim takim nie wiedziałam), a z kolei moje widzenie mogło być aberracją psychiczną, która tylko dla mnie wyglądała na rzeczywistość.

Krótko mówiąc, słuchałam Liberga uważnie, bo tak jak on wierzyłam w Krassa. Oboje wierzyliśmy w Boga, który pił wódkę, palił śmierdzące papierosy, lubił kanapki z czosnkiem i nosił 44 numer buta.

Krass wrócił dwudziestego czwartego dnia, prosto do nas, niedługo po tym, jak zwałił się Liberg z kilkoma osobami i kilkudziesięcioma butelkami piwa. Kiedy wszedł zapadła cisza, a kopary wszystkich gruchnęły o stół, przy którym siedzieliśmy. Wyglądał niesamowicie.

Szczupły, zgrabny, odmtodniały, z gładką, opaloną twarzą, uśmiechną) się od progu i powiedział:

- Bytem w Finlandii na niesamowitej kuracji odchudzającej. Pitem zioła lapońskich szamanów, gtodowatem, no i widzicie - po czym wziął ze stotu butelkę piwa, opróżnił ją kilkoma łykami i poszedł do pokoju Madzi. Ruszyłam za nim i zdążyłam zobaczyć, jak mała uśmiecha się szeroko, kiedy pochylił się nad jej łóżeczkiem.

- Krass - powiedziałam bezradnie. - Krass, co to jest?

Spojrzał na mnie postarzałymi, odmienionymi oczami i wtedy zobaczyłam, że cały jest odmieniony. Nie tylko na zewnątrz, ale i w środku. Miał odmienioną duszę i umysł jakoś tak, że mimo bliskości był daleki i obcy.

- Nic - odpowiedział po chwili - po prostu wreszcie udało mi się schudnąć.

Aja, patrząc na uśmiechniętą Madzię, pomyślałam idiotycznie: dobra, dobra, Krass, dobra, dobra.

Mariannie zależało, żeby Madzia oficjalnie nie była moim dzieckiem, żebym nie miał do niej żadnych urzędowych praw i żeby nie można jej było ze mną oficjalnie powiązać. Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć niż tym, że Marianna przewidywała (a może po prostu znała?) moje dalsze losy i chciała ustrzec swoje nadzwyczajne dziecko od piętna córki fałszywego proroka, oszusta i kryminalisty. W rezultacie moja córka nazywała się (i nazywa się nadal) Magdalena Bigowska, a Piotr Bigowski, mój przyjaciel i pacjent, czuł się jej ojcem i za takowego powszechnie uchodził. Ale trwało to chyba tylko

z miesiąc. Po tym czasie, głównie zresztą dzięki ostentacyjnemu zachowaniu Marianny, dla wszystkich stało się oczywiste, kto naprawdę jest ojcem dziecka, choć Bigowski starał się nadal odgrywać komedię swego rodzicielstwa. W końcu Marianna odbyła z nim (chyba?) rozmowę, w wyniku której Piotr właściwie zerwał z nami kontakty. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że zachorował psychicznie i został przez rodzinę wywieziony z Warszawy.

10.09.1992 r.

Kilka dni temu odbyła się promocja książki Liberga. Przyszło nadspodziewanie dużo ludzi, w większości, jak się okazało, aby spotkać się z Krassem. Część z nich zachowywała się jak jego fani, jeśli nie wyznawcy. Pojawili się też wielu chorych, przede wszystkim rodziców z chorymi dziećmi, błagających go o pomoc i podjęcie się leczenia. Tych Lusja Penar, dobrowolna asystentka i sekretarka Krassa, kierowała do jego gabinetu, wyznaczając im terminy wizyt i uzgadniając niezbędne szczegóły. Krass był spokojny. Siedział obok Liberga na estradzie wynajętego kina i odpowiadał na zadawane mu pytania, patrząc swoim zwyczajem w jeden punkt, nieco ponad głowami publiczności. Bładozielonej poświaty, otaczającej jego głowę i ręce, nikt z tłumu oczywiście nie zauważył.

Udało mi się nagrać na dyktafon obszernie fragmenty tego ponad dwugodzinnego spektaklu. Niektóre z nich, moim zdaniem najbardziej interesujące, spisałam potem z taśmy. Podaję je poniżej.

Pytanie: Podobno wynalazł pan bardzo skuteczną kurację odchudzającą. Na czym ona polega?

Odpowiedź: Nie wynalazłem takiej kuracji. To plotki. Przy okazji chcę zaznaczyć, że zawodowo nie zajmuję się odchudzaniem i telefonowanie do mnie w tej sprawie nie ma sensu.

- Czy zgadza się pan z wyrażonymi w książce opiniami autora na pański temat?

- Nie ze wszystkimi.

- A więc przynajmniej z niektórymi się pan zgadza?

- Tak.

- Pan Liberg pisze: „Krass to prawdopodobnie nowa, wyższa forma istnienia człowieka, będąca wynikiem świadomej działalności mieszkańców alternatywnej Ziemi”. Czy zgadza się pan z tą opinią?

- Liberg ma prawo wypowiadać dowolne opinie.

- Ale czy pan zgadza się z tą, którą przytoczyłam?

- Nie mam zdania w tej materii.

- Pan się wykręca od odpowiedzi?

- Chyba tak.

- Czy jest pan homoseksualistą?

- Nie.

- Czy popiera pan obecnie rządzącą koalicję?

- Nie.

- Opinia publiczna uparcie tączy pana z lewicą. Czy słusznie?

- Słusznie.

- Czy należy pan do partii socjaldemokratycznej?

- Nie.

- Panie Krass, czy wierzy pan w Boga?

- W pewnym sensie, ale nie jest to Bóg katolicki ani chrześcijański.

- Jest pan Muzułmaninem?

- Nie.

- Więc co to za Bóg, w którego pan wierzy?

- Fizycy na przykład nazywają Go „ogólną teorią pola”.

- To żart?

- Tak. Do pewnego stopnia. Ale, jak widać, niezbyt zabawny.

(ogólny śmiech i oklaski)

- Jakie jest pana zdanie na temat istnienia inteligentnego życia poza Ziemią?

- Dopuszczam taką możliwość.

- Sądzi pan, że to, co wypisuje Liberg, choćby w części jest prawdą?

- Trudno byłoby udowodnić, że to zupełny fałsz.

- Liberg pisze wprost, że posiada pan pewne, niemal boskie atrybuty. Czy to prawda?

- Istnieją przesłanki pozwalające wnioskować, że w istocie posiadam pewne tak zwane „paranormalne” zdolności.

- Jakie to zdolności?

- Chodzi o specyficzną telekinezę, pewien rodzaj prekognicji i energetyczne oddziaływanie na żywą tkankę.

- Czy może je pan publicznie zademonstrować?

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie potrafię tego zrobić. Nie mam świadomego wpływu na przejawianie się moich umiejętności.

- Czy to znaczy, że niespodziewanie dla samego siebie może pan na przykład zobaczyć kawałek przyszłości albo przesunąć jakiś przedmiot, nie dotykając go?

- W zasadzie tak. Z tym, że nie potrafię przesuwać przedmiotów w przestrzeni, ale najprawdopodobniej - bo nie jest to zupełnie jasne - w czasie. Najbardziej jednak znaczy to tyle, że moje świadome wysiłki, aby to zrobić, lub żeby oddziaływać na żywą tkankę często nie przynoszą żadnego rezultatu. Moje zdolności przejawiają się albo nie, niezależnie od mojej woli.

- Jak pan sądzi, dlaczego tak się dzieje?

- Nie wiem. Mogę tylko snuć różne przypuszczenia. Na przykład takie, że rozwój moich umiejętności z nieznanymi mi powodów uległ zahamowaniu. Albo że postępuje powoli i nie osiągnął jeszcze ostatecznego kształtu.

- Czy uzdrawia pan nieuleczalnie chorych?

- Staram się im pomagać dostępnymi mi środkami.

- Czy wśród tych środków jest to, co nazywa pan „energetycznym oddziaływaniem na żywą tkankę”?

- Tak.

- Na czym to polega?

- Nie wiem. Wydaje mi się, że czasami mam wpływ na pewne nieodkryte jeszcze energie, które mogą na przykład niszczyć tkankę nowotworową albo wytwarzane przez organizm toksyny,

odpowiedzialne za powstawanie niektórych chorób psychicznych.

- Czy sam pan jest źródłem takiej energii, magazynowanej w pańskich, słynnych już, szklanych kulkach?

- Być może. Ale niewykluczone, że kulki są stymulatorem sugestii i wiary, które uruchamiają w niektórych organizmach zawarte, przypuszczalnie, w ich kodach genetycznych mechanizmy samoleczenia.

- A więc wiara może leczyć?

- Nie, ale może być jednym z czynników pobudzających autoterapeutyczne programy zawarte w biologicznej strukturze naszych organizmów.

- Czyli, jeśli ktoś nie wierzy w możliwość uzdrowienia i w moc uzdrowiciela, nie można go uleczyć?

- Na to wygląda.

- A dzieci? Pan przecież leczy też dzieci.

- Ale nigdy nie są to dzieci tak małe, żeby nie rozumiały, że są chore i nie pragnęły wyzdrowieć.

- Czy za uzdrawianie pobiera pan opłaty?

- Pobieram opłaty za wizyty w moim prywatnym gabinecie terapeutycznym, czyli za mój czas poświęcany pacjentom.

- Czy ma pan uprawnienia do prowadzenia takiej działalności?

- Mam licencje terapeutyczne Polskiego Towarzystwa Psychologicznego i Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego oraz licencję terapeutyczną Stanu Kalifornia w USA. Posiadam też drugi stopień specjalizacji w zakresie psychologii klinicznej.

- Jeżeli nie jest pan w stanie świadomie kierować swoimi zdolnościami, to jak może je pan wykorzystywać do leczenia ludzi i brać za to pieniądze?

- To jest pewien problem. Proszę jednak nie zapominać, że zajmuję się głównie psychoterapią i doradztwem rodzinnym. Poza tym staram się nie unikać kontaktów z ludźmi ciężko lub nieuleczalnie chorymi, którzy mnie o to proszą, i czasami wynika z tego coś pozytywnego. Uważam, że to lepsze niż zaniechanie wszelkiego działania.

- Podobno czyni pan jednak pewne wysiłki, aby poddać swój dar kontroli świadomości?

- Tak. Staram się ćwiczyć różne formy koncentracji. Zauważyłem też, że próbom manipulowania energiami sprzyja kolor biały - białe otoczenie i białe ubranie.

- Dlaczego jest pan sympatykiem lewicy?

- Lewicowe poglądy mniej kłócą się z moim rozumem i poczuciem sprawiedliwości niż te, które reprezentuje prawica.

- Czy to prawda, że jest pan rzecznikiem wyeliminowania Kościoła Katolickiego z życia politycznego i społecznego?

- Jestem rzecznikiem wyeliminowania wpływu na politykę państwa i obecności w jego działaniach każdego kościoła i każdej religii, w tym przede wszystkim Kościoła Katolickiego jako organizacji, moim zdaniem, stricte politycznej i dążącej do przechwycenia władzy. Religia to prywatna sprawa każdego człowieka i państwo nie powinno się nią zajmować w żaden sposób,

poza ochroną sfery prywatności swoich obywateli.

- Domaga się pan wycofania nauki religii ze szkół publicznych?

- Tak.

- I zakazu ceremonii religijnych oraz udziału osób duchownych w uroczystościach państwowych i wojskowych?

- Tak. Oczywiście chodzi o oficjalny udział.

- Podobno postuluje pan systematyczne wychowanie seksualne w szkołach od piątej klasy szkoły podstawowej?

- Tak. Z tym, że nie „wychowanie seksualne”, a naukę o życiu seksualnym człowieka.

- Czy to prawda, że publicznie sugerował pan, aby ustawić automaty z prezerwatywami w szkołach średnich?

- Tak.

- I pełną dopuszczalność aborcji na życzenie matki?

- Tak.

- Pan propaguje rozwiązłość i kurestwo.

- Bynajmniej. Ale jedno i drugie uważam za prywatną sprawę każdego obywatela.

(śmiech i oklaski)

- Czy w takim razie pornografia powinna być dozwolona?

- Nie powinna być dozwolona ani zakazana. Państwo nie powinno zajmować się takimi sprawami.

- A jeśli jest to pornografia z udziałem dzieci?

- Wszelkie wciąganie dzieci w obszary życia zarezerwowane przez naturę dla dorosłych powinno być prawnie zakazane, ponieważ

najczęściej zaburza lub utrudnia rozwój dzieci. Wszystko, co przedwczesne jest nienaturalne i niekorzystne, czy to będzie przedwześnie rozpoczęta nauka, czy przedwczesna inicjacja seksualna.

- Czy ma pan dzieci, panie Krass?

- Tak.

- Czy zamierza pan wziąć czynny udział w życiu politycznym, na przykład kandydując do parlamentu?

- Nie wiem. Dotąd nie bratem pod uwagę takiej możliwości.

I to byłoby wszystko. Brzmi trochę drętwo, ale to moja wina. Spotkanie było bardzo żywe i pogmatwane. Ludzie się przekrzykiwali, jednocześnie zadawali pytania, śmiali się, gwizdali, panował ogólny chaos. Słuchając taśmy, starałam się wybrać z tego zamieszania najważniejsze rzeczy i trochę podredagowałam zarówno pytania, jak i odpowiedzi. Moim dziełem jest też zestawienie ich w trzy wyraźne grupy - zdolności paranormalne, uzdrawianie oraz światopogląd i przekonania polityczne. O tych trzech sprawach Krass mówił wtedy pierwszy raz publicznie i poważnie. Pierwszy raz publicznie potwierdził swoje zdolności i swój dar uzdrawiania. Od tego momentu zaczęła się też jego wciąż rosnąca popularność w mediach i niebывały rozkwit prywatnej praktyki. Myślę, że podjął wtedy jakąś ważną decyzję, która, być może, wyrażała się w słowach, jakie znalazłam napisane jego ręką na okładce dużego zeszytu z notatkami dotyczącymi nieuleczalnie chorych pacjentów. Napis brzmiał: „Idź tam śmiało”. I pod spodem, wielkimi literami:

„Eudajmonia”.

12.04.1994 r.

Obrazek: Madzia idzie przez podwórze domu Hansa Meyera we wsi Spychówek na Mazurach, gdzie spędzamy weekend. Meyer to mieszkający w Polsce Niemiec, kolega po fachu i współpracownik Krassa.

Madzia ma ponad trzy i pół roku, ale sprawność ruchową pięciolatki. Idzie więc zamaszyście i zręcznie, jakby zdążała do jakiegoś znanego jej i ważnego celu, zaprzatającego całkowicie jej uwagę. Chodzi tak zawsze, ale nikt nigdy nie wie, dokąd i po co się spieszy, ponieważ Madzia nie mówi i raczej nie stara się z nami porozumiewać. Do dziś karmię ją piersią i dokarmiam z butelki ze smoczkiem, bo odmawia przyjmowania jedzenia w innej postaci. Nie przywiązuje też żadnej wagi do kontroli wydalania, przez co chodzi z pieluchą. Idzie więc przez podwórze, mimo pieluchy zręcznie omijając katuże i bioto po niedawnym deszczu (nie znosi na sobie żadnego brudu, a jeśli się pobrudzi, natychmiast zdejmuje z siebie brudną rzecz - choćby to były buty czy spodnie, natomiast kupa czy siusiu w pieluszcze jej nie przeszkadzają), chociaż nie patrzy pod nogi, tylko, jak zwykle, gdzieś przed siebie, jakby widziała tam cel, do którego zmierza. Nagle na jej drodze pojawia się kura, wydziobująca coś z mokrej ziemi. Madzia staje jak wryta i patrzy na kurę. Stało się coś, co zdarza się bardzo rzadko - jakiś zewnętrzny obiekt przykuł jej uwagę. Na ogół nie interesuje się niczym, patrząc na rzeczy i zwierzęta, jakby spoglądała poprzez nie albo jakby były przezroczyste

i nie stanowiły przeszkody dla jej wzroku, śledzącego inne, niedostrzegalne dla nas obiekty. Tak samo patrzy na ludzi. Czasami jednak niespodziewanie zauważa kamyk, roślinę, zwierzę, człowieka, szkiełko, suchą gałązkę, gąsiennicę albo cokolwiek innego i długo studiuje to swoimi wielkimi, nieodgadnionymi oczami.

Teraz studiuje kurę. Trwa to dobre pięć minut. Madzia stoi i patrzy, a kura rozgrzebuje pazurami pulchną ziemię i wydziobuje z niej skrupulatnie kurze delicje. Wreszcie moja córka rusza z miejsca i - rzecz niebywała, dotąd jeszcze nie widziana - wyciąga ręce, chcąc najwidoczniej chwycić w nie ptaka. Ale kura jest czujna.

Zręcznie umyka spod rączek małej, odbiega kilka kroków i znów rozpoczyna ucztę. Madzia stoi chwilę nieruchomo i powtórnie rusza za kurą z wyciągniętymi rękami, lecz ta ponownie odbiega. Dziewczynka znów staje nieruchomo, patrząc na uparte ptaszysko. Buzię ma, jak zwykle, poważną i skupioną, ale tym razem maluje się na niej coś jeszcze, jakby wysiłek uwidaczniający się w zmarszczeniu czoła i przymrużeniu oczu. I wtedy kura nagle podskakuje z głośnym gdaknięciem, a potem zaczyna drobnymi kroczkami, wbrew wszelkiej logice, iść w kierunku Madzi. Wygląda to tak, jakby jakaś niewidzialna łapa schwyciła ptaka i wlokła powoli w kierunku dziecka. Kura gdacze, opiera się, stroszy pióra, trzepocze skrzydłami, ale wciąż idzie, aż dociera do stóp małej, gdzie nagle cichnie i przewraca się na plecy, ukazując podkurczone łapki. Leży całkowicie nieruchomo, jak martwa, albo też jest martwa, bowiem takiej pozycji żaden żywy ptak nie przybiera dobrowolnie. Madzia kuca nad nią i

patrzy długo, a potem paluszkami, delikatnie, dotyka nastroszonych piór, purpurowosiniego grzebienia i żółtawego, rozchylonego dzioba, w którym widać białawy, sztywny język. „Badanie” trwa może trzy minuty, po czym moja córka wstaje i szybko rusza dalej, w kierunku, w którym podążała uprzednio. Kura zaś zostaje na ziemi jak kupka uszarganych piór i dopiero, kiedy ruszam za Madzią, przekonana, że ptak nie żyje, on niespodziewanie zrywa się na nogi i z przeraźliwym gdakaniem umyka w pobliskie zarośla. A Madzia dochodzi do ptotu okalającego podwórze, zarośniętego w tym miejscu wysokimi na metr pokrzywami, bez wahania wchodzi w ich gąszcz, odsuwa jedną, jedyną chyba, obłuzowaną deskę (sprawdziliśmy po przyjeździe cały ptot, aby wyeliminować taką właśnie możliwość), przełazi przez powstałą dziurę i wychodzi na rozmiękle zaorane pole za domem. Patrzę za nią bezradnie, bo nie mogę się przecisnąć przez szparę pomiędzy sztachetami. Nie wołam jej, ponieważ wiem, że to nic nie da, że ona się nie zatrzyma, dopóki nie dojdzie tam, dokąd zdążyła i nigdy nie wiadomo, gdzie to jest. Kiedy już mam zawrócić, żeby pobiec do furki, mata zatacza niewielkie koto, potem drugie, mniejsze i trzecie jeszcze mniejsze, aż wreszcie zatrzymuje się, kuca i brytka po bryłce je, żując i potykając, czarną, tłustą ziemię. Jej główka i rączki płoną stabym bursztynowym światłem.

Marianna była (jest?) prawdopodobnie chora psychicznie na znacznie głębszym poziomie niż ten, na którym umiejscowiły się jej nawracające depresje i natręctwa, będące skutkiem przeżytych wcześniej urazów. Jednak równie prawdopodobne jest to, że była

jedną z osób, które przeszły przemianę, ale, podobnie jak ja, nie rozumiały jej sensu i nie potrafiły świadomie posługiwać się uzyskanymi w jej wyniku zdolnościami. Nie jest wykluczone, że jedna lub nawet kilka z jej depresyjnych zapaści to w istocie takie same epizody, jakie były moim udziałem w Uppsali i później w Warszawie. Ona sama nigdy nie mówiła jasno o swoich przeżyciach podczas niemal letargicznych otamowań, chociaż wspominała coś o owładnięciu jej ciała i duszy przez jakąś przemożną, zewnętrzną siłę, którego w ich trakcie doświadczała.

Widzenie przez nią światła wydzielanego przeze mnie i Madzię było w jej rzeczywistości i w jej strumieniu czasu niepodważalnym faktem. W mojej rzeczywistości i w moim czasie nic takiego nie miało miejsca. Aleja z rzeczywistości Marianny nie musiałem być tożsamy ze mną z mojej rzeczywistości.

Mówiąc inaczej, jest możliwe, że wydzielałem światło i nie wydzielałem go w zależności od tego, z czyjej rzeczywistości byłem oglądany.

Nigdy z Marianną o tych sprawach nie rozmawiałem, ponieważ zawsze, ilekroć wypływał temat mojej odmienności i moich atrybutów, czułem tak okropne zażenowanie, skrępowanie, wstyd, poczucie winy i całą masę innych emocji, że praktycznie uniemożliwiały mi one sensowne wypowiedzi.

Z jednej strony bałem się stanowczo oświadczyć, że nie posiadam żadnych szczególnych darów (bo bardzo pragnąłem je posiadać i miałem nadzieję, że jednak je posiadam), a z drugiej - nie

śmiałem również stanowczo przytaknąć i powiedzieć, że w istocie jestem kimś w rodzaju boskiego awatara (bo nie byłem pewien, że nim jestem i bałem się, że zaraz się wyda, iż nim wcale nie jestem). W rezultacie starałem się nie wypowiadać na ten temat pozwalając, żeby mówili inni, a inni mówili rozmaicie - jedni, że jestem, drudzy zaś, że nie jestem, jak to ujął Liberg, „nową, wyższą formą ludzkiego gatunku”.

Tak było w czasach, o których pisze Marianna. Później wiele się zmieniło.

Opis sytuacji z kurą był dla mnie zaskoczeniem. Nigdy nie widziałem podobnej sceny.

Bak popełnił samobójstwo.

-1 chuj mu na grób - powiedział przy śniadaniu Penar, jak zwykle nie zważając na obecność pań, czyli Marii Klemencji Darn i Wandy Ż. Pani Wanda przyniosła tę informację do stolika, przy którym siedziałem z generałem i była Miriam Bisiąg.

- Znaleźli go tuż przed świtem leżącego bez życia na podłodze celi - opowiada pani Wanda, siadając na wolnym krześle i sięgając po ciepłe bułeczki.

- Miał siną twarz, wybałuszone oczy i otwarte jak do krzyku usta, więc myśleli, że umarł na atak serca.

- Akurat - przerywa jej Penar - ten skurwysyn miał serce jak nowozelandzki kangur. Jeśli w ogóle miał serce. Swego czasu dostarczano mi na biurko wyczerpujące raporty o stanie jego zdrowia.

- Toteż nie umarł na serce - kontynuuje niezrażona pani Wanda.

Lekarz stwierdził, że zginął na skutek uduszenia.

Penar zamarł z uniesioną do ust filiżanką, po czym odstawił ją gwałtownie na stół, wychlapując herbatę.

- Ktoś go udusił w celi? - pyta i natychmiast odpowiada sam sobie - Nie, to niemożliwe. Po co mieliby to robić? Musiał się gad sam powiesić albo czymś udławić.

Pani Wanda kręci przecząco głową, jednocześnie przeżuwając kęs bulki posmarowanej dżemem z pigwy.

- Nikt go nie udusił - mówi w końcu przełknąwszy to, co miała w ustach.

- Ale też nie powiesił się ani nie udławił - ciągnie, kiwając zapraszająco ręką do przechodzących Kaliny i Biglera, którzy przysiadają się do naszej grupki.

- Na jego ciele nie było żadnych obrażeń ani śladów świadczących o użyciu przemocy. Lekarze mówią, że wygląda to tak, jakby nabrał w płuca maksimum powietrza, a potem przestał oddychać.

- Jak to przestał oddychać? - nie może zrozumieć Penar. - Szlag go trafił w tym momencie, sparaliżowało go czy co?

- Może powinnam powiedzieć, że zaprzestał oddychania - wyjaśnia pani Wanda. - Po prostu wstrzymał oddech i już więcej nie odetchnął, aż się udusił.

- To niemożliwe - odzywa się Kalina, który ma na swym koncie kilkanaście prób samobójczych. - Nikt nie ma takiej siły woli, żeby wstrzymać oddech aż do uduszenia się.

- Człowieku - Penar wychyla się w kierunku Kaliny za plecami Biglera - ty go nie znałeś. To był fanatyczny arcyskurwysyn. Mały, żylasty i twardy niczym diamentowe wiertło.

- Pan go chyba niezbyt lubił, panie generale? - była Miriam Bisiąg podnosi na Penara swoje sarnie oczy wbite dotąd w talerzyk z wegetariańską sałatką.

- Czy go lubiłem? - Penar dramatycznie zawiesza głos. - Srałem w portki na sam jego widok, a jak, nie daj Bóg, miał do mnie jakąś sprawę, to szedłem na spotkanie krokiem marynarza, bo jaja kurczyły mi się ze strachu i chowały w pachwinach.

Cisza. Wszyscy wpatrują się w to, co mają na talerzach albo we własne kolana. Ich myśli, czuję to, wracają do przeszłości. Moje też. Każdy z nas, z wyjątkiem Kaliny, mógłby właściwie powiedzieć to samo co Penar. Ja, spotykając się z Bąkiem, przeżywałem może nie tyle strach, chociaż na pewno się go bałem, ile specyficzny paraliż woli, swego rodzaju ubezwłasnowolnienie, w którym zgadzałem się na różne jego żądania i podporządkowywałem się jego pomysłom, mimo że byłem tym, kim byłem i sam nieźle sobie radziłem z wpływaniem na umysły innych ludzi. Przy Bąku najczęściej czułem się bezradny i nie potrafiłem mu się sprzeciwić, choć przeważnie miałem na to ochotę, a nawet czyniłem w duchu solenne postanowienia, że to zrobię. W zetknięciu z umysłem Bąka okazywały się one równie skuteczne, jak czynione sobie obietnice dotyczące odchudzania się, niepalenia papierosów czy wypicia na przyjęciu tylko jednego drinka.

- Uduszenie się poprzez świadome wstrzymanie oddechu jest jednak możliwe - wreszcie Bigler przerywa milczenie. - Niektórzy mnisi buddyjscy potrafią oddychać raz na 3 - 4 minuty. Myślę, że część z nich byłaby zdolna nakazać sobie całkowite zaprzestanie oddychania.

- Nie wiem, czy to jest możliwe, czy nie - pani Wanda odsuwa talerzyk i wyciąga z torebki papierosy - w każdym razie wstępnie orzeczono, że Bąk popełnił samobójstwo.

-1 chuj mu na grób - powtarza Penar. - Ja tam nawet nie będę udawał, że go żałuję.

- To był człowiek, panie generale - mówi cicho Maria Klemencja Darn. - Prawdopodobnie bardzo samotny i nieszczęśliwy.

- Na oko to był faktycznie człowiek - zgadza się Penar - ale kto go tam wie? Czasami zachowywał się jak bydlę albo jak komputer, a czasami, bardzo rzadko jak poeta lub ktoś taki, wie pani, co mam na myśli.

Znów zapada cisza. Pani Wanda pali w zamyśleniu. Kalina siedzi pochylony i rzuca tęskne spojrzenia na zamknięty jeszcze bar. Bigler przymknął oczy i siedzi bez ruchu, jakby medytował. Maria Klemencja Darn spogląda z łagodnym wyrzutem na Penara, który uporczywie przeszukuje kieszenie, w końcu znajduje kartonik jakichś tabletek i zażywa dwie z nich.

Scena zbiorowa. Pantomima skrępowania. Z ulgą rozeszlibyśmy się każdy w swoją stronę, ale jakoś nie można, coś nas tu trzyma, chociaż nie stanowimy dla siebie nawzajem atrakcyjnego

towarzystwa. Teraz wstanę i odejdę - postanawiam sobie w duchu i siedzę dalej. Patrzę, jak nad nietkniętą sałatką Miriam krąży niczym w transie bzycząca głośno osa albo pszczoła, a może szerszeń, trzmiel lub bąk. Tak, to bąk, oczywiście, to bąk, a w bąku bąkowa dusza wypędzona z ciała w tak okrutny sposób. Zerkam ukradkiem na Miriam i widzę, że ona też obserwuje bąka, albo trzmiela, albo osę. Raz, dwa, trzy, liczę bezgłośnie, jeśli myśli to, co ja, to kiedy doliczę do pięciu, popatrzy w moją stronę, cztery, pięć, bingo, patrzy na mnie i nasze oczy się spotykają.

To było jak uderzenie prądem. Nagle wiedziałem, miałem pewność, że ona niczego nie zapomniała. Jej oczy były pełne niechcianej pamięci i bólu, który ona sprawia. Te oczy należały do szalonej Miriam i patrzyły na mnie z głębi nieprawdziwego życia Marii Klemencji Darn z obawą, ze strachem przed moim zrozumieniem, które musiała dostrzec.

- Nie bój się - mówię w myślach - nic nikomu nie powiem, nikomu, nic a nic, jesteś Maria Klemencja, jak najbardziej i tak długo, jak zechcesz, ale nie wiem, czy mój przekaz do niej dociera, bo ona odwraca wzrok i błyskawicznym uderzeniem rozgniała na stole bąka albo trzmiela, a może osę. Trzask! Zastawa podskakuje z brzękiem i wszystkie oczy kierują się ze zdumieniem na nią i na owadziego trupa.

- Przepraszam - mówi Maria Klemencja Darn - bałam się, że mnie użądli.

- Można powiedzieć, że od śniadania zbija pani bąki - śmieje się Penar.

- To chyba nie bąk - Maria Klemencja rumieni się i odwraca należące do Miriam oczy.

- Taaa... - przeciąga knajacko pani Wanda - pewnie, że nie bąk. Bąk popełnił samobójstwo.

-1 chuj mu na grób - recytują jednocześnie Penar i Kalina. Wszyscy z wyjątkiem Biglera wybuchają śmiechem. Bigler nigdy się nie śmieje, bo uważa śmiech za czynnik wstrzymujący umysł w jego dążeniu do upragnionej pustki, czyli nirwany.

I cisza, którą znów pani Wanda, stuk, stuk, zapalniczką w stolik, stuk, stuk, przerywa.

- A swoją drogą ciekawe, dlaczego on to zrobił, jeśli zrobił - mówi.

- Sądzi pani, że nie zrobił? - to cicho Bigler. - Tak pani myśli, czy też wie pani coś, czego nam pani nie powiedziała?

- Nic nie wiem - pani Wanda zapala papierosa - ale Bąkowi różni ludzie źle życzyli i niejednemu z nich zależało na tym, żeby nigdy już nic nie powiedział.

- Ma pani kogoś konkretnego na myśli? - stroszy się Penar.

- Mam. Pewnie, że mam i na pewno pan się domyśla kogo - cedzi pani Wanda, patrząc mu prowokująco w oczy. - A może pan zaprzeczy?

Penar nie zaprzecza. Ani nie potwierdza.

- Moim zdaniem zabił się, bo go wreszcie ścisnęli za jaja i spuścili do kanału - mówi wymijająco. - On nie umiałby żyć bez władzy. - Panie generale - Wanda jak do dziecka - w tym kraju nie

traci się takiej władzy, jaką miał Bąk, z dnia na dzień. Mógł się dać zaskoczyć, mogli go nawet aresztować, ale to nie znaczy, że nagle stracił całą władzę. Póki żył, miał jej jeszcze wystarczająco dużo, żeby zamienić się miejscami z tymi, którzy prawdopodobnie kazali go aresztować, a przynajmniej z niektórymi z nich.

- Więc co? Sugeruje pani, że został zamordowany? Że załatwili go tu, w celi? - Penar ponownie wyciąga swoje tabletki i połyka jedną bez popicia.

- Ciśnienie mi skacze - wyjaśnia i znów do pani Wandy - Jeśli go chcieli zabić, to mieli do wyboru dziesiątki mniej kłopotliwych sposobów. Nie ma pani pojęcia, co można w takim celu zorganizować. Wszystko! Wypadek samochodowy, katastrofę lotniczą, utonięcie we własnej wannie, wybuch gazu, zawał serca we własnym łóżku i tak dalej, i tak dalej. A tu - śmierć w celi tajnego spec więzienia, o którym wszyscy wiedzą, czemu służy, nietypowe objawy, niejasne przyczyny, jacyś przypadkowi ludzie znajdują zwłoki i podnoszą alarm. Partanina nie do uwierzenia. On musiał naprawdę jakoś sam się załatwić, czym ich najprawdopodobniej tak zaskoczył, że dali dupy i sprawa wyszła na jaw.

- Ale dlaczego? - pyta Bigler, przenosząc wzrok z podłogi na generała.

- Co, dlaczego?

- Dlaczego się, jak pan powiedział, „załatwił”?

Penar wzrusza ramionami.

- Tego do końca nie wiem. Myślę, że się pogubił, kiedy go

przymknęli i spanikował.

- To nie Bąk - kręci głową pani Wanda. - Bąk się niczego i nikogo nie bał.

Zresztą pan o tym dobrze wie, generale. Nie miał nic do stracenia. Ani rodziny, ani pieniędzy, ani dobrego imienia. Po prostu nic, prócz życia.

- Może był zmęczony - odzywa się nagle Maria Klemencja - może miał już dość tego całego brudu, napięcia, strachu i łez, wśród których żył? Może zabrakło mu sił, żeby przeżyć jeszcze jeden dzień właśnie tu, w więzieniu, gdzie miał wreszcie trochę czasu, żeby pomyśleć? Może zajrzał w swoją duszę i zobaczył, że ktoś lepszy od niego założył mu tam podsłuch?

Cisza. Oczy wszystkich wlepione w jej należące do Miriam usta, które chyba nigdy jeszcze nie wypowiedziały w naszej obecności tylu słów. Zdumienie, bezruch, potem pochrząkiwania, kręcenie się na krzesłach, pokasły wanie Biglera, sapanie Kaliny, pani Wandy nagle zainteresowanie temperaturą dzbanka z herbatą.

- O jakiej duszy pani mówi? - to znów Penar, pochylony na krześle, z czerwoną, błyszczącą od potu twarzą - To był cyborg, głąz, pierdolony psychopata z wyprutymi nerwami, który mógłby pani wydłubać oko pilnikiem do paznokci, nie zmieniając wyrazu twarzy. Miał ksywę „portret pamięciowy”, bo tyle się w jego twarzy malowało uczuć, ile ich zawierały owe policyjne wizerunki. Nigdy nie zapomnę, jak przyszedł do mnie do domu tego dnia, kiedy zostałem szefem armii, a moja żona, Lusja, zabrała naszego syna i wyjechała do Rosji.

Usiadł naprzeciwko mnie i patrzył, jak płakałem. Czego chcesz? - spytałem w końcu. - Po coś przyszedłeś? A on: „Przyszedłem zobaczyć kutasa, który właśnie zaczął się kończyć, tylko jeszcze o tym nie wie”. Bąk - mówię - miejże Boga w sercu. Żona mnie opuściła, dziecko zabrała, żyć mi się nie chce.

Na co ten bydlak wyciągnął pistolet, położył przede mną i patrzy. Siedzieliśmy tak z pół godziny. Zabierz to - mówię wreszcie - nie będę się strzelał dla twojej przyjemności. „Dla mojej przyjemności?” - on na to - „dla mojej przyjemności, ty bździno, to musiałbyś wpełznąć do własnej dupy i zaszyć za sobą wejście”.

Kalina zachichotał.

- Ale ci dosunął - mówi z nieskrywanym podziwem - ekstra, można powiedzieć.

Penar patrzy na niego z goryczą.

- To jeszcze nie wszystko - zaznacza. - Potem wziął pistolet, zarepetował i mówi: „Mógłbym cię kropnąć i zrobić z tego samobójstwo albo skierować podejrzenia na twoją żonę, którą doprowadziłeś prawie do wariacji, ale nie warto marnować na ciebie wysiłku operacyjnego, ty smętna bździno. Chociaż...” - i kieruje we mnie lufę. Widziałem, że się poważnie zastanawia, czy pociągnąć za cyngiel, że rozważa tę kwestię punkt po punkcie, aż wreszcie schował broń i wyszedł bez słowa. A ja zrzygałem się na własne kolana i tylko cudem nie narznąłem w gacie. Do dziś nie wiem, czego wtedy ode mnie chciał.

- Czyżby? - pani Wanda uśmiecha się ironicznie. - Czyżby,

panie generale? A może on już wiedział o pańskich planach?

- Tego dnia - włącza się Bigler - dostał pan od biskupa Burzyńskiego cynk, że Kościół Katolicki poprze pański przewrót, co nawet dla pana było zapewne zaskoczeniem. To był ostatni element, którego brakowało do rozpoczęcia całej tej awantury. A Bąka miał pan na czele listy osób przeznaczonych do cichej likwidacji. Miał to załatwić jego najbliższy współpracownik Pelc, który po cichu przeszedł do pańskiej drużyny. Tylko że Pelc nigdzie nie przeszedł.

Był wtyczką Bąka, na której pan się poślizgnął. Kiedy pana odwiedził, miał już pełną kontrolę nad sytuacją, a jego ludzie w jednostkach wojskowych trzymali mocno w rękę tę część kadry dowódczej, która bezpośrednio komenderuje żołnierzami. Miał też w rękę kopię pańskiej tajnej listy, której oryginał Pelc wykradł panu tuż przed pańskim aresztowaniem, przez Bąka zresztą, co nastąpiło kilka dni później.

- Miał też - dodaje pani Wanda - kopie innych dokumentów, z których wynikało, że planował pan zawieszenie konstytucji, renacjonalizację największych banków i koncernów przemysłowych oraz rezygnację Polski z członkostwa w NATO i UE na rzecz przystąpienia do Wspólnoty Niepodległych Państw. To miało być nie co innego, tylko rekomunizacja, panie generale. To był główny powód tego, że tak pokornie dał się pan aresztować. I tego, że siedzi pan tu cicho i bez sprzeciwu.

- A najśmieszniejsze jest, że omal się panu udało - podejmuje znów Bigler - bo miał pan duże poparcie ludności, zmęczonej

nieudolnymi eksperymentami kolejnych rządów i tęskniącej do socjalnego bezpieczeństwa, choćby takiego jak za komuny. To poparcie było tak znaczące, iż nawet kościół uznał, że prokomunistyczny pucz może się panu udać i dał panu swoje ciche błogosławieństwo. Ale pan chciał za dużo, nie docenił pan znacznej jednak odrazy do komunizmu wśród naszych obywateli i przegrał pan sprawę. Wtedy kościół postawił na panu krzyżyk i oczywiście zaczął współpracować z Bąkiem, kiedy ten zaproponował, że nie ujawni deklaracji złożonej panu przez biskupa Burzyńskiego, w zamian za zgodę na zatuszowanie całej pańskiej afery. Bąkowi bardziej się opłacało mieć w ręku umoczonych w niej ludzi, ze szczególnym uwzględnieniem niektórych hierarchów kościelnych, niż doprowadzać do zamieszania w kraju i kompromitacji armii.

- Bąk, być może, uratował panu życie, umieszczając pana tutaj, bo inaczej mógłby pan dostać czapę za zdradę główną - stwierdza na koniec pani Wanda i zapala nowego papierosa.

Penar, purpurowy na twarzy i spocony, gorączkowo wygrzebuje z kartonika kolejne pastylki.

- Szlag mnie trafi - chrypi. - Co wy ludzie wygadujecie? Nigdy nie byłem aresztowany przez Bąka. Wpieprzył mnie tu wbrew prawu nowy prezydent, bo faktycznie miałem nieco inne od niego poglądy na kierowanie armią. Jak pani śmie pierdolić takie farmazony - krztusi się, patrząc w stronę pani Wandy. - Skąd niby pani to wszystko wie?

- Ja, panie generale - mówi pani Wanda tak spokojnie, że ciarki przebiegają mi po plecach - pracowałam przy pieniądzach, przy

bardzo dużych i tajnych pieniądzech, a tam zbiegają się nici wszystkich spraw, bo z pieniędzmi, w odróżnieniu od ludzi, nie ma żartów. Pan był skończony, jeszcze zanim pan zaczął swoją grę, ponieważ ci, którzy decydują o wielkich pieniądzech, uznali pańskie pomysły za źle rokujące z ich punktu widzenia. Bąk był wśród nich, bo im zawsze potrzebny jest ktoś, kto weźmie na siebie i udźwignie rolę sprawującego w imię pieniędzy władzę nad tymi, którzy ich nie mają. Zawsze poszukują kogoś, kto będzie robił wszystko to, czego ludzie nie cierpią w każdej władzy i na kim skupi się w końcu ich nienawiść. Bąk był jak ruski, którego wynajął dżentelmenbiznesmen, żeby obić mordę opieszalemu dłużnikowi. A upadł, jak sędzę, wtedy, kiedy zaczął tę swoją rolę rozumieć i przestał się na nią godzić.

- Chce pani powiedzieć, że Bąk nie miał prawdziwej władzy? - pytam.

Odzywam się pierwszy raz dzisiejszego poranka, więc wszystkie oczy kierują się na mnie. Nieprzeniknione, czarne dziury pani Wandy, bladoszare, załzawione guziki Penara, puste, błękitne jeziorka Kaliny, migdałowate, brązowe szczelinki Biglera i zielone płomyki Marii Klemencji należące do Miriam. Patrzą na mnie w zapadłym milczeniu, w zgęstniałym nagle powietrzu, które z trudem wciągam w płuca, czując, jak w moim brzuchu obraca się leniwie, z boku na bok, rosnący tam od dawna, blady płód strachu.

- Tak - odpowiada pani Wanda - chociaż pan sądził inaczej, panie Krass.

Wziął pan, jak większość ludzi, gówno za parówkę, co akurat w

pańskim przypadku jest nieco dziwne.

- Chryste, co pani znowu wygaduje? - Penar tymczasem nieco się uspokoił. - Bąk nie miał władzy? To kto ją, kurwa, miał? Kto ją ma?

- To jest dobre pytanie - uśmiecha się Bigler - nawet bardzo dobre.

- A pan co? - Penar znów podnosi głos. - Pan tu rżnie jakiegoś tureckiego świętego, a niby kto robił te wszystkie machloje z bronią? Kogo Bąk ochraniał wszelkimi sposobami? Kto rządził w jego imieniu Ministerstwem Obrony? Może ja?

- Nie - mówi spokojnie Bigler - ja. Robiłem to, dopóki nie zrozumiałem, co właściwie robię.

- Nie - wpada mu w słowo Penar - dopóki panu szajba nie odbiła na tyle, żeby próbować czegoś na własną rękę.

- Można to tak nazwać - Bigler kiwa potakująco głową - tak to mogło wyglądać. Ja też w końcu pracowałem przy gigantycznych pieniądzech. Tylko byłem, w odróżnieniu od Bąka, tym ruskim, którego dżentelmeni wynajęli, żeby przewoził przez granicę kradzione samochody, i któremu w pewnym momencie zaczęło się wydawać, iż jest na tyle oblatany, że może sam je kraść i sprzedawać.

- Wiem coś o tym - mruczy Kalina - mnie też kiedyś taka szajba odpier...

- Oczywiście był to nonsens - ciągnie Bigler. - Kiedy się w tym zorientowałem, wyszedłem z interesu.

- Wyszedełś, akurat - syczy Penar. - Usiłował pan szantażować swoich

mocodawców. Groził im pan ujawnieniem faktu, że przy pełnej aprobacie władz pańskie spółki sprzedawały „kałasze”, z których potem strzelała IRA, Hesbollah, Partia Pracujących Kurdystanu, Tamilskie Tygrysy i cała ta międzynarodowa, terrorystyczna swoloč.

Od dawna był zapis na pana, ale kolejne rządy bały się pańskich rewelacji. Tylko Bąk się nie przestraszył i ścisnął pana w końcu za jaja. Nie za handel bronią bynajmniej, bo to mu się raczej podobało, ale za szantaż. Pokazywał mi ten pański raport, o którym krążą legendy. To nie był żaden raport, panie Bigler, tylko ordynarne ultimatum szantażysty. Chciał pan być ministrem obrony i wicepremierem, nie mówiąc już o gwarancjach państwa na transfer za granicę 20 milionów dolarów i to gdzie, do banku w Mediolanie powiązanego z Watykanem.

- Na konto - dorzucą od niechcenia pani Wanda - będące w gestii „Opus Dei”, a „Opus Dei” miało wtedy, na pewno przez przypadek, większościowy pakiet akcji w Towarzystwie Ubezpieczeniowym „Concordia”, którego pierwszym wiceprezesem była pańska żona.

Bigler siedzi nieporuszony i wyprostowany, ale jego uszy płoną.

- Ktoś położył łapę na tych pieniądzach - mówi w końcu drewnianym głosem. - Nigdy nie dotarły na miejsce, chociaż wyszły z kraju.

- Ktoś zlizął pańskie konfitury, biedaku - śmieje się pani Wanda.

- Ciekawe, kto też mógł to być?

- Przejąłem ten szmal na polecenie Bąka - spieszy z wyjaśnieniami Penar - za pomocą kontrolowanego przez jego ludzi

państwowego przedsiębiorstwa handlu bronią „Bellona”. O ile wiem, miały pokryć straty wynikłe z niezrealizowania kontraktu na dostawę rakiet przeciwlotniczych „Osa”, oficjalnie zamówionych przez Syrię, ale przeznaczonych pewnie dla organizacji „Hamas” albo innego „cichego odbiorcy”.

-1 pewnie na to poszły - wzdycha Bigler. - Nie mogliśmy sobie pozwolić na ujawnienie powiązań „Bellony” z agendami światowego terroryzmu - w jego głosie brzmi autentyczne przejęcie, co wywołuje błyski rozbawienia w błękitnych jeziorkach Kaliny.

- O Chryste - mruczy pułkownik pod nosem - na pewno nie mogliśmy sobie na to pozwolić...

I cisza. Wszystkie inne stoliki już puste. Przez okna wpadają ukośne promienie słońca, w których wiruje kurz i dym z papierosów. Siedziałem obok Marii Klemencji Darn i wsłuchiwałem się w powolne ruchy ślepej larwy strachu, przekręcającej się w moich trzewiach. I w tętno, które tutuk, tutuk, tutuk w moich skroniach, a potem tututuuk, on nie żyje, on nie żyje. Ale został Pelc - ta myśl, jak skurcz pęcherza, od krocza do głowy i z powrotem.

Pelc, mój współpracownik, kolega po fachu, agent policji politycznej i oficer kotrwywiadu. Główny koordynator planu łączącego interesy

Bąka i episkopatu, a może tylko biskupa Burzyńskiego. Plan się generalnie nie powiódł, choć w części został zrealizowany, i to akurat w tej części, która Bą-ka interesowała najbardziej. Pelc brał w niej osobisty udział, aja? Ja dbałem o utrzymanie odpowiedniej motywacji u ludzi i odgrywałem Boga. Było to częścią planów Pelca, Rosnera i

Hólstrema, które to plany znalazem od powstania ich nieśmiałych załączków. Swoją drogą, skąd się wziął Rosner? Muszę sobie przypomnieć, w jaki sposób i przez kogo poznałem go w Ameryce. A Holstrem? Były oficer armii szwedzkiej i przedstawiciel „Bofforsa” na Europę ŚrodkowoWschodnią. Jak on się znalazł w Eudajmonii?

Już wiem.

Przez Liberga. Był jego kochankiem i, przez pewien czas, uwielbianym idolem. Wszystko się zgadza, wszystko się układa, wszystko gra i pierdzi. Rosnera polecił mi Pelc i nawet chyba dał do niego list. Fabryka Rosnera na Florydzie produkowała jakieś detektory, podsłuchy i radary, które kupował UOP. Wszystko pasuje. Tylko nie mów Krass, że o tym nie wiedziałeś. Tylko nie udawaj, że też byłeś niskiem, którego dżentelmeni wynajęli, żeby sprzedawał ludziom maść na złe sny, włosy świętego Pimena na kurzajki i figurki Lenina na powiększenie rozumu. Ty nie byłeś niskiem. Nawet w swojej pysze uważałeś się za mądrzejszego od tych Pelców, Bąków i im podobnych. I co? Pomógł ci ten twój rozum? Przypomnij sobie, jak w Palm Beach, siedząc na wrzynającym się w plażę tarasie domu Allana Rosnera, planowaliście stworzenie całkowicie izolowanej od otoczenia wspólnoty, w której mieliście obserwować, jak pozbawieni zdobyczy cywilizacji i odcięci od społecznej informacji zwrotnej ludzie będą traktować nakazy moralne i normy współżycia. Nazywaliście to empirycznym sprawdzeniem hipotezy Goldinga z „Władcy much”. Rosner opalony i, jak zwykle, nieco pijany, tuląc do siebie śliczną, może dziesięcioletnią Meksykankę (jedną ze swoich,

jak je nazywał, „siostrzeniczek”), obiecywał pieniądze i entuzjazmował się pomysłem. Sam próbował już organizować takie badania, ale tarapaty, w jakie popadł w związku z podejrzeniami o czyny nierządne z nieletnimi (nigdy mu jednak niczego nie udowodniono) uniemożliwiły mu ich kontynuowanie. Teraz chciał przyjechać do Polski. Zobacz przed sobą jeszcze raz oczy tamtej dziewczynki, dorosłe, pełne leniwej zmysłowości oczy w niewinnej buzi dziecka. Rosner jest zbrodnicem i ty o tym wiedziałeś, a mimo to nie potrafiłeś mu odmówić i ściągnąłeś go do zagrzebanej w kieleckich piachach wsi Klewo, gdzie prowadził „Deltę”, która dla żyjących tam przez dwa lata ludzi miała prawo nazywać się Gehenną. Zobacz też Magnusa Hólstrema, jak uzdrawia, dotykając ustami ust i brzuchów stojących przed nim nagich ludzi, i jak czyni to wyjątkowo długo w przypadku młodziutkich chłopców, muskając wargami również ich genitalia. Wiedziałeś przecież, że Holstrem jest zbrakowanym homoseksualistą, ale bawiło cię, że mogłeś’ jednym słowem nakłonić „uzdrawianych”, aby bez szemrania poddawali się jego wynaturzonym obrzędom. Patrz dalej, Krass. Patrz uważnie. To wszystko było naprawdę, to naprawdę się działo. Przyjrzyj się ponownie szalonym oczom Cardenas, proponującego ci projekt badań nad „wyborami ostatecznymi” i Pelca, opracowującego testy lojalności sięgające samookaleczeń. Przyjrzyj się, Krass, i pomyśl - jak do Eudajmonii trafił Cardenas? Trzask! Aż podskakuję na krześle. Trzask! Otworzyli wielkie, podwójne drzwi baru. Więc zaraz szuranie odsuwanych krzeseł. Kalina i Penar są już na nogach.

- Zapraszam - chrypi Kalina - proszę bardzo, ja stawiam.

Penar już idzie w stronę dystrybutora do piwa, błyszczącego w prześwicie drzwi, i rzędów kolorowych butelek. Ruszamy za nim. Ja też, chociaż mam doskonałą okazję, żeby się urwać, odejść, zamknąć się w swojej celi i zabarykadować drzwi. Ale idę, bo tamte sprawy wciąż żyją w moim umyśle i, choć boję się, to idę, ponieważ jestem ciekawy.

W barze usiedliśmy przy dwóch zestawionych stolikach. Penar i Kalina zebrali zamówienia. Wziąłem piwo. Maria Klemencja znów mnie zaskoczyła, prosząc równym głosem o setkę czystej wódki i wodę mineralną. Pani Wanda i Bigler wybrali czerwone wino. Po chwili napoje wjechały na stół wraz z dużą butelką „Absolutu” (głównie dla Kaliny i Penara), wodą mineralną, słonymi paluszkami i maleńkimi tartinkami z ostrym serem.

- Będzie stypa - mruczy Penar - jest powód, żeby się nawalić. Przynajmniej dla mnie.

- Myśli pan, że śmierć Bąka zmieni pańską sytuację? - uśmiecha się pod nosem Bigler.

- A nie? Przypuszczam, że już ją w jakiś sposób zmieniła. Zresztą pańskie położenie też zapewne ulegnie zmianie.

- Nie sądzę, panie generale. Przypuszczam, że raczej nic się nie zmieni.

Nie wiem nawet, czy w dawnych układach ktoś nas jeszcze pamięta, o ile naturalnie istnieją jakieś dawne układy.

- Mnie na pewno pamiętają, na pewno - mówi Penar - przecież

nie zapomina się tak szybko ludzi i spraw.

- Zależy, jakich ludzi i jakich spraw - zauważa pani Wanda, patrząc pod światło na gorejące w szklance wino. Pan zalicza się do ludzi przegranych, a pańska sprawa z czasem stała się po prostu wstydliva. Udział w tamtej awanturze nie jest czymś, czym należy się chwalić, tak samo, jak nie należy przyznawać się do tego, że na ulicy naciągnęła nas Cyganka, że robiliśmy nadużycia finansowe, kierując komunistycznym sierocińcem albo że jesteśmy po prostu ksenofobiczni, prymitywni i głupi.

- Którą awanturę ma pani na myśli? - chce wiedzieć Penar. - Pamiętam co najmniej kilka zdarzeń zasługujących na tę nazwę.

- Mam na myśli pańską nieudolną próbę przejęcia władzy - wyjaśnia pani Wanda, smakując wino drobnymi łykami. - O innych wydarzeniach, które nazywa pan awanturami, niewiele wiem, prawdopodobnie w odróżnieniu od naszego Pana Boga.

- Co? Pana Boga? - gubi się Bigler. - Jakiego Pana Boga?

- Pani Wanda chyba do mnie pije - mówię spokojnie. Zawsze umiałem mówić spokojnie, nawet gdy paliły mi się portki na tyłku.

- A jakże - śmieje się stara oszustka i podnosi w górę swą gorejącą szklankę - pańskie zdrowie, panie Krass.

- No tak - kiwa głową Bigler, którego uszy znów są blade - programy specjalne. Ukochane bąkowe dzieci.

- Jeżeli Bąk miał świra, a wszystko na to wskazuje, to miał go na punkcie tajności, wpływu kościoła na życie państwa i, mówiąc delikatnie, sposobów oddziaływania na ludzi. Kupował dla swoich

agentów podsłuchy, antypodsłuchy, radary, antyradary, komputery, telefony satelitarne i inne tego rodzaju rzeczy najnowszych generacji za niesamowite pieniądze. Kupował głównie w USA, gdzie dostarczał mu te duperele amerykański Żyd, niejaki Rosner, pański kumpel, nie? - zwracając się do mnie Penar.

No i masz, Krass, - myślę - masz za swoje, ty dziecienniały, ciekawski kutasie. Ale odzywam się spokojnie. Umiem to robić.

- Kumpel, to może nie jest najlepsze słowo na określenie moich stosunków z Rosnerem - mówię. - Jeśli oczywiście właściwie rozumiem słowo „kumpel”.

- A jakie słowo lepiej by panu pasowało? - pyta zjadliwie Penar. Może „zaufany współpracownik” albo „specjalista od human relations” w programach „Delta” i „Dobro”?

- Krążyły legendy - to znów Bigler - o tym, co się wyrabia w tych pańskich „ośrodkach terapeutycznych”. Podobno wypróbowałyście tam sposoby wpływania na ludzi za pomocą „prania mózgow” oraz psychicznego i fizycznego terroru. Miało dochodzić nawet do okaleczania waszych „podopiecznych”, którymi były też dzieci. Czy tak nie było, panie Krass? - pyta tonem salonowej konwersacji. Jego pytanie zawisa w zapadłej znów ciszy, odbijając się we wszystkich, skierowanych na mnie oczach.

- Legendy - odpowiadam ostrożnie, kiedy staje się jasne, że nikt nie przerwie trwającego milczenia - na ogół wyolbrzymiają zdarzenia, których dotyczą i, będąc formą baśni, upraszczają rzeczywistość.

- Nie pierdol pan tu o legendach - rzuca się Penar. - W „Delcie” i

w „Dobru” Rosner zmuszał ludzi do życia na poziomie stada pawianów. Bez prądu, bez żadnych środków transportu, bez pieniędzy. Jedli to, co zdołali wyhodować na tym pieprzonym piachu. Młodsze dzieci nie znały nawet chleba, bo były tylko jakieś placki i podpłomyki z kukurydzy. Po roku cywilizowani ludzie zmienili się w horde pierwotną, którą rządziły najsilniejsze osobniki, będące zresztą kapłanami pańskiego obłąkanego kultu. A pan pojawiał się tam cały w bieli, czynił cuda i obiecywał im, że pańscy kumple, istoty z innego świata, uratują ich ze zbliżającej się powszechnej zagłady. Rosner był królem tego pierdolnika, głównym kapłanem i pańskim namiestnikiem, z czego korzystał, żeby sobie stworzyć harem małych dziewczynek, do którego matki same przyprowadzały swoje córki, bo wybranki guru nie przymierały głodem jak inne dzieci.

- Co pan wygaduje? - mówię słabym głosem. - Co pan, na rany Chrystusa, plecie?

- Dobrze wiem, co wygaduję - zaperza się jeszcze bardziej Penar. - Bąka niezwykle interesowały takie „eksperymenty społeczne”, a pan był ich sumiennym wykonawcą, razem ze swoją ekipą zboczeńców i wariatów w rodzaju Rosnera czy Cardenasa.

- A biskup Burzyński - wpada mu w słowo Bigler - też miał w nich swój pośredni udział jako autor i koordynator kościelnego programu zwalczania sekt i ruchów heretyckich. Pan się dał kupić, panie Krass. Dostał pan od Bąka i Kościoła przyzwolenie na swoją działalność w zamian za rozbijanie i likwidowanie innych religii i ruchów religijnych w kraju. Miał pan być tym, który z jednej strony

ośmiesza i kompromituje sekciarskie inicjatywy, a z drugiej, po cichu, wyłącza z działalności ich przywódców i co aktywniejszych członków.

Nawet pomysł pańskiej kariery politycznej pochodził od Bąka i z kręgów kościelnej hierarchii najbardziej prących do udziału we władzy.

- To fakt - włącza się znów pani Wanda. - Krass miał być wybrany do Senatu głosami przede wszystkim innowierców i sekciarzy, co miało pokazać, że wspierają oni już nie liberalne, ale wręcz libertyńskie poglądy, wedle których nieograniczona, niczym nie skrzepowana wolność jednostki jest naczelną wartością, w imię której dozwolone jest pedałstwo, pornografia, aborcja, antykoncepcja, agencje towarzyskie, alkoholizm i ateizm, a państwo winno stać na straży owej wolności. Dla większości Polaków, przyzwyczajonych do wszechwładzy państwa, dającego zamiast wolności w miarę stabilne zabezpieczenia socjalne, takie poglądy musiały być nie do przyjęcia, ponieważ wolą oni mieć pracę i co włożyć do garnka, niż mieć wolność, szczególnie taką bezbożną i wyuzdaną.

- Kiedyś bardziej się rozchodziło o wolność - mówi już nieco bełkotliwie Kalina.

- Komu? - zwraca się w jego stronę Bigler. - Panu chodziło o wolność?

- Pewnie - bełkocze Kalina - a o co by innego? Ja byłem w gruncie rzeczy idealistą, tylko - wychyla kolejny kieliszek „Absolutu” - tylko tak to się jakoś potem popier... - macha ręką. - Wszystko

poszło nie tak.

Penar patrzy na niego ze współczuciem.

- Daj spokój. Mundek - chrypi podnosząc swój kieliszek - nikt nie ma do ciebie pretensji.

Maria Klemencja Darn też patrzy na Kalinę, ale w jej należących do Miriam oczach nie ma współczucia, jest tylko zimna odraza.

Patrzy na niego tak, jak Paulina patrzyła na pająki albo karaluchy - myślę.

Ona pamięta, że jako Miriam była swego czasu przeciwna proponowanej przez Amerykanów rehabilitacji pułkownika, ponieważ uważała go za bezideowego sprzedawczyka. Ona pamięta wszystko, ale jej umysł nie mógł się uporać z tym, co przychodziło mu zapamiętywać, więc postanowiła uciec od przeszłości w fikcyjne, nieswoje życie, gdzie już nic nie trzeba było zapamiętywać, bo nic godnego zapamiętania nie miało prawa się tam zdarzyć, gdzie nigdy już przed nikim nie miała się ukrywać, nikogo się bać, nikogo kochać, nikogo nienawidzić i prawie jej się to udało, chociaż od pamięci uciec nie można, o czym teraz prawdopodobnie się przekonywała, bo w jej spojrzeniu, oprócz wstrętu, był też strach i udręka.

- Nie wiem, w czym imieniu pan mówi - zwraca się do Penara Bigler - ale mojego mandatu pan nie ma.

Aja? - myślę. Czy ja w jakikolwiek sposób osądzam Kalinę? Nie, nie mam do niego pretensji, ale czuję się od niego trochę lepszy, bo ja przecież nie zdradziłem. Inne rzeczy, które robiłem lub w których brałem udział były porównywalne z tym, co robili pozostali.

Tak mi się przynajmniej zdawało. Oni robili to, co robili, bo z różnych powodów musieli tak postępować. Jednych zmuszała do tego ambicja, innych żądza władzy, a jeszcze innych chciwość lub dewiacje umysłowe. A mnie? Co mnie zmuszało do robienia tego, co robiłem? Może wszystkie te powody naraz? Przychodziło mi to czasami do głowy, chociaż jednocześnie wiedziałem w głębi duszy, że nie jestem szalonym, pożądanym władzy ambicjuszem. Byłem oczywiście ambitny, ale bez przesady. Nad ambicją górowało u mnie lenistwo, swoista ociężałość duchowa, która kazała mi się zawsze wzdragać przed podejmowaniem długofalowych wysiłków, i dzięki której komentowałem się najczęściej tym, co mogłem osiągnąć mniejszym nakładem pracy. Dlatego też niejednokrotnie podsuwałem innym pomysły do realizacji zadowolając się współdziałaniem albo współautorstwem w sprawie.

Tacy ludzie jak Liberg, którzy potrafili bez przerwy pracować w pocie czoła i nie zrażać się trudnościami byli dla mnie najbardziej pożądanymi współpracownikami.

Czy pragnąłem władzy? Pewnie. Któż jej w końcu w takiej czy innej formie nie pragnie, choć znów nie było to pragnienie namiętne, podporządkowujące sobie wszystkie inne pożądanienia, tak jak w przypadku Bąka. Ja chciałem mieć pewien wpływ na ludzi, ale jednocześnie nie chciałem ponosić odpowiedzialności i doświadczać kłopotów wynikających z jego posiadania. Najbardziej w gruncie rzeczy odpowiadał mi ten rodzaj wpływu, który miałem jako psychoterapeuta, chociaż był on jednak nieco zbyt ograniczony, a to,

co miałem jako lokalny Bóg, było z kolei zbyt uciążliwe i zobowiązujące. Szczególnie, że byłem Bogiem niedorozwiniętym, uszkodzonym, nie panującym nad swoją boskością i nie potrafiącym z niej korzystać wtedy, kiedy przychodziła mi na to ochota lub pojawiały się wymagające tego okoliczności. Pragnąłem więc władzy i jednocześnie jej nie chciałem. Byłem w tej sprawie neurotycznie chwiejny i niezdecydowany, co zwiększało moją podatność na różne pokusy, którym wciąż ulegałem. Wciąż bowiem wydawało mi się, że potrafię się tak ustawić, żeby mieć władzę i nie ponosić żadnej odpowiedzialności.

Byłem po prostu głupi. Tak głupi, że dałem się wciągnąć Bąkowi w jego machinacje i wdawałem się w różne podejrzanе przedsięwzięcia. A czy byłem szalony? Możliwe. Możliwe, że byłem totalnym odmieńcem i wariatem, ale mało prawdopodobne. Niestety, wszystko wskazywało na to, że mój status odmienionego był wynikiem rzeczywistej przemiany, chociaż nie miałem pojęcia, kto lub co tą przemianą sterowało i czemu miała ona służyć. Zostałem jej poddany wbrew mojej woli, a raczej bez udziału mojej woli i bez pytania mnie o zdanie.

Oto wizerunek Krassadziewicy, proszę państwa, który nic nie wie, niczemu nie jest winien, bo na nic nie miał wpływu. Tak, tak, Krass. Chciałaby dusza do raju. Chciałbyś, żeby tak było, ale tak nie było. Zawsze wiedziałeś, co robisz, chociaż nie zawsze do końca rozumiałeś dlaczego.

- Mojego też nie - głos Marii Klemencji wyrywa mnie z

zamyślenia.

- Proszę? - zwracam się do niej odruchowo.

- Mojego mandatu też pan nie ma - powtarza Maria Klemencja, patrząc na Penara. - Ja mam pretensje do pułkownika Kaliny - dodaje głosem Miriam Bisiąg, a jej należące do Miriam oczy patrzą teraz na mnie tak samo, jak przedtem patrzyły na Kalinę, z odrazą i strachem, tylko strachu jest w tym spojrzeniu więcej.

Ona się mnie boi - myślę gorączkowo. Boi się mnie i nienawidzi, bo wie, jak było naprawdę z programami Bąka. Wie, że Bąk jedynie przejął je i rozbudował. Pamięta, że były prowadzone jeszcze za komuny i że ona sama namawiała chwiejnego inteligenta Wielopolskiego, żeby je kontynuował, zwłaszcza że prezydentlaureat był ich zapalonym entuzjastą. Bąk pokazywał mi rozmaite kwity podpisane przez Miriam za czasów jej zajmowania się służbami specjalnymi, z których wynikało, że nie szczydziła państwowych pieniędzy na programy badające sposoby warunkowania ludzi na lojalność wobec innych ludzi, co szczególnie ją interesowało. Czytywała też regularnie szczegółowe sprawozdania i raporty z ich przebiegu wraz z opisami stosowanych w nich metod. A teraz wie o tym, że ja to wiem, i boi się, chociaż jest już poza zasięgiem wszelkich układów i nikomu nawet do głowy nie przychodzi, żeby rozliczać z czegokolwiek osobę jawnie nie zrównoważoną psychicznie, nie pamiętającą nawet swojego właściwego nazwiska, żyjącą realnym, choć urojonym życiem Marii Klemencji Darn, którą wszyscy przyjęli w miejsce Miriam Bisiąg, chociaż może nie wszyscy, bo ja na

przykład nigdy do końca nie uwierzyłem w jej przemianę, bo sam jestem przemieniony i wiem, jak to jest, a mam podstawy przypuszczać, że pozostali też przeszli przez takie doświadczenia i być może, podobnie jak ja, dostrzegają oczy Miriam w twarzy Marii Klemencji. Jeśli Maria Klemencja jest wynikiem przemiany Miriam, to powinna mieć (i wiem już, że ma) pamięć Miriam i musi odgrywać jakąś rolę w nieznanym mi planie, którego część stanowimy wszyscy tutaj, związani zagmatwanym węzłem zależności i wzajemnych wpływów, który coraz bardziej się zaciska, pozbawiając nas udawanego dobrego samopoczucia i utrwalanych pracowicie wyobrażeń o sobie samych, zaciska się aż do dna, aż do bólu płynącego z konfrontacji z własną niedoskonałością i łajdactwem, zupełnie jakbyśmy się znaleźli w piekle, gdzie rozpoczęło się liczenie słów i czynów przed wydaniem wyroku i gdzie nie ma niewinnych, są tylko mniej lub bardziej zakłamanani.

A może naprawdę nasz „ośrodek” to piekło żywych, chociaż nie wiadomo, czy żywych, bo może wszyscy zostaliśmy, jak Bąk, uduszeni przez nasze własne sumienia.

- Pani? - wybałusza oczy Penar. - Dlaczego pani? I jakież pani może mieć do niego pretensje?

- Pułkownik Kalina jest zdrajcą - odpowiada stanowczo Maria Klemencja.

- To szpieg, który sprzeniewierzył się przysiędze - jej należące do Miriam oczy wciąż patrzą na mnie.

- Co za bz... bzdety pani p... plecie, paniusiu - zacina się po

pijacku generał. - Kalina to bohater, jeden z grabarzy komunizmu. Gazet pani nie czytała czy co?

- Zdrajca! - suchy jak wystrzał głos należy do Taborskiego, który siedzi przy jednym ze stojących w pobliżu drzwi stolików. Musiał wejść niedostrzeżony przez nikogo.

Ciekawe jak dawno przyszedł - myślę. Cisza. Prawdopodobnie wszyscy zadają sobie to samo pytanie, zaskoczeni okrzykiem mecenasa, który przecież prawie zawsze milczy.

- Witamy na pokładzie - odzywa się wreszcie pani Wanda. - Może się pan do nas przysiadzie? Mamy stypę z powodu Bąka.

- Dziękuję, nie - odpowiada Taborski. - Żałobę odprawiam sam - dodaje, wychylając pękaty kielich przejrzystego płynu. Potem wyjmując z pazuchy butelkę i ponownie napełnia naczynie.

- Bimber - mówi jeszcze. - Bąk lubił bimber. I gardził zdrajcami.

- Dajcie spokój, ludzie - Kalina podnosi się chwiejnie z kieliszkiem w ręku. - Jakie to ma dzisiaj za znaczenie? Przez dziesięć lat jedni mówili „zdrajca”, drudzy „bohater”, a ja siedziałem tu albo gdzie indziej, jak, z przeproszeniem, dupa w pokrzywach i czułem się raz jak świnia, a raz jak gieroj. Aż kiedyś o mało mnie od tego hertzszlag nie trafił i wtedy zrozumiałem, no, dużo zrozumiałem - macha ręką z rezygnacją. - Wypijmy, ludzie, najlepiej za wolność, bo za to się słusznie pije i nikomu to ujmy nie przynosi. Ja się tam za „zdrajcę” nie obrażam i bohaterem się nie czuję. Bogiem a prawdą, to w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że będę miał to, co w końcu zostało mi dane. Pan wie, co mam na myśli, panie Krass.

Pańskie zdrowie.

- Bynajmniej - mówię spokojnie, chociaż oczywiście wiem, co on ma na myśli. - Nie mam pojęcia, o co panu chodzi, pułkownik.

- To widać u pana stan chroniczny, że nie wie pan, o co chodzi, panie Krass - uśmiecha się pani Wanda. - Ale przyłączam się, pańskie zdrowie. A pan, mecenasie? - zwraca się do Taborskiego, podnosząc swoją szklanę, która wygląda, jakby była pełna krwi.

- Nie przyłączam się - mówi Taborski. - Krass to drań.

Krass to drań. Ba - ba - bach. Trzy strzały i cisza pełna patrzących na mnie oczu, do których doszły teraz podświetlone od wewnątrz bursztyny mecenasa.

- O kurde! - chrypi w końcu Kalina. - Aleś pan, mecenasie, przydzwonił doktorowi.

- Taaa - przeciąga pani Wanda. - Aż echo poszło. I to nie pierwszy raz tak pan przydzwonił, co mecenasie? Pierwszy raz to było chyba wtedy, kiedy spowodował pan, że Krass przegrał wybory. To pańscy ludzie powiązali jego działalność z sektami „Atomis” i „Stolica Boża”, skompromitowanymi przez kryminalne afery jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych. Rzucili wtedy chwytliwe hasła: „Krass - żydowski prorok” i „Krass do senatu, Polska do Europy, Polacy do budy”.

- To był pański pomysł? - Penar wychyla się w stronę Taborskiego - A ja myślałem, że klechów.

- Skądże - obrusza się Bigler. - Kościół chciał, żeby Krass wygrał. Nie rozumie pan, że zamierzał w ten sposób skompromitować

innowierców i sekciarzy?

- Rozumiem - kiwa głową Penar. - Tylko coś mi tu nie pasuje, bo przecież Kościół po cichu popierał mecenasa.

- Aż mecenas postanowił - podchwytuje pani Wanda - wykolegować, jak pan to powiedział, klechów i uwolnić się od politycznej kurateli hierarchów, atakując jednocześnie tych, których serdecznie nienawidził. Ale źle wyliczył czas. Było jeszcze za wcześnie, żeby jego ultrakatolicki nacjonalizm bez osłonek wystąpił na politycznej scenie. Zaś Krass padł ofiarą jego pomyłki.

- Pani plecie - skrzeczy sucho Taborski. - Krass to oszust i tajny agent, zajmujący się bardzo brudną robotą.

- Nie agent. Cco tto, to nie - wtrąca się coraz bardziej pijany Penar - akurat tto wiem na pewno.

- Krass zabił Bąka - mówi nieoczekiwanie Maria Klemencja. - A teraz zabije mnie i generała - dodaje w zapadłej znów śmiertelnej ciszy.

Na mgnienie oka zobaczyłem gdzieś z góry, z wielkiej wysokości, moje ciało pochylone nad stolikiem obok wyprostowanej figurki Marii Klemencji Darn, a potem mój umysł runął w dół. Spojrzałem w swoje rozszerzone, nieruchome źrenice i serce uderzyło kolejny raz i jeszcze raz powoli, jakby z namysłem podejmując swoją pracę. Butelka piwa nie zdążyła wypaść mi z rąk.

Wreszcie cisza pęka, rozbita bezładnymi okrzykami, wśród których nie ma mojego głosu.

- Zwariowała baba - krztusi się nagle wytrzeźwiały Penar. -

Kompletnie jej odbiło.

- Co pani powiedziała? - dopytuje się Bigler. - Co zrobił Krass?

- Nie słyszał pan? - syczy pani Wanda. - Słuch panu odebrało?

- Słyszałem, ale...

- Dom wariatów - miota się między stolikami Penar. - Pieprzony dom wariatów.

- Słyszał pan - szarpie mnie za ramię. - Słyszał pan, co ona mówi?

Kiwam potakująco głową.

- Słyszałem.

- No i co? - generał przestaje mną potrząsać i pochyla się nad blatem stolika, żeby zajrzeć mi w twarz.

-1 nic - mówię, czując jak wbrew sobie uśmiecham się głupkowato.

Penar patrzy na mnie oszołomiony.

- To jest - jąka w końcu - to jest... Z czego się, kurwa, śmiejesz - wybucha wreszcie. - No z czego?

- Spokojnie, generale - ciągnie go za marynarkę pani Wanda. - Spokojnie.

- Pan Krass nie mógł zabić Bąka - zwraca się cierpliwie jak do dziecka do Marii Klemencji - bo nie miał z nim żadnej styczności. Bąk znajdował się w silnie strzeżonej celi, dobry kilometr stąd.

- A jednak zrobił to - mówi była Miriam Bisiąg. - Zrobił to na odległość.

Penar przestaje się szarpać w rękach pani Wandy i patrzy na

Marię Klemencję z otwartymi ustami jak wsiowy, zagapiony chłopiec. Bigler wstaje i siada znowu, poruszając ustami, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale nic nie mówi. Kalina siedzi rozwalony niedbale na krześle, lecz z jego twarzy znikł pijacki uśmiech, a niebieskie jeziorka spoglądają z lodowatą czujnością.

Taborski przy swoim stoliku niewzruszenie napełnia pękaty puchar, nie zwracając uwagi na to, że trzyma w ręku pustą już butelkę. Pani Wanda zaciska wciąż w dłoni marynarkę Penara. Błysk. Zdjęcie grupowe i wszyscy się odprężają. Wanda puszcza Penara, który zamyka usta. Taborski ze złością odstawia pustą butelkę, z której usiłował nalać. Kalina prostuje się na krześle.

Bigler wstaje.

- Na odległość? - pyta bez zdziwienia. - Jak to na odległość?

- On - wskazuje na mnie Maria Klemencja - opanował umysł Bąka przy pomocy tych swoich białych energii i uzależnił go od siebie, tak że tamten był w jego rękach bezwolnym narzędziem. To nie Bąk, ale Krass, posługując się Bąkiem, tworzył programy specjalne. A teraz, kiedy Bąk trafił do więzienia, z obawy o własną skórę zabił go telepatycznym impulsem blokującym mózgowy ośrodek oddechowy.

Głos Marii Klemencji jest cichy i monotony niczym głos medium w transie. Ona sama sztywna, blada, z potarganymi włosami i nieruchomymi oczami somnambuliczki wygląda jak uśpione medium. W kąciku jej ust pojawia się strużka mętnej, żółtawej cieczy i wolno spływa na jej białą bluzkę, tworząc tam powiększającą się, śluzowatą plamę.

- Pani jest pijana - stwierdza z obrzydzeniem pani Wanda. - Za chwilę nas pani obrzyga.

Nie - Maria Klemencja kręci przecząco głową - nic podobnego. Od dawna nie mogę się upić, choćbym nie wiem, ile wypila.

A kto w ogóle jest tu pijany? - podchwytuje Penar. - No? Proszę! Nikt.

Wszyscy trzeźwi jak muzułmańscy święci, a wypiliśmy półtora litra wódki, trzy butelki wina i osiem piw.

- Co to ma do rzeczy? - zżyma się nagle Bigler. - Pan, panie Penar, ma wyjątkową zdolność do czepiania się pierdoł, nie mających nic wspólnego z tematem.

- A może mających coś wspólnego? - odkrzykuje zaperzony Penar. - Ja też za Boga nie mogę się nawalić, a Kalina to nawet nauczył się doskonale udawać pijanego, tak tęskni za tym stanem, bo od czasu swego zawału także nie może się urznąć. Pana też nie widziałem nawet przymulonego, choć pan za koszulę nie wylewa i na ten przykład przedwczoraj przy kartach wychlał pan litrową butelkę koniaku. A poza tym, Bigler, ja wciąż jestem dla pana generałem.

- Panowie - wtrąca się pani Wanda, uosobienie trzeźwości po dwóch butelkach wina - dajcie spokój. Pozwólcie mówić pani Darn.

Maria Klemencja wzrusza ramionami, dając do zrozumienia, że powiedziała już wszystko. Zdążyła też wytrzeć sobie usta.

- Dlaczego jednak - chce wiedzieć Bigler - Krass ma teraz zabić panią?

- Bo on myśli, że ja coś wiem na temat tych programów i jego w

nich roli - mówi cicho niegdysiejsza Miriam.

- A wie pani? - równie cicho pyta Bigler.

Maria Klemencja wolno kiwa głową, a następnie wychyla stojącą przed nią szklaneczkę wódki.

- Wiem - mówi jeszcze ciszej. - Nie rozumiem skąd, ale wiem. Tak jak wiem, że Krass zabije mnie, chociaż będzie wtedy daleko ode mnie i z innymi ludźmi.

Wszyscy znów zamierają w pół ruchu, dzięki czemu widać, że Taborski zawładnął „Absolutem” Penara, a Kalina ukradkiem masuje sobie kciukami skronie. Bigler stoi wspięty na palce, Penar zaś przycupnął obok pani Wandy i sięga do jej paczki po papierosa.

Pstryk. Zdjęcie grupowe.

- A mnie? - ocknął się nagle Penar. - A dlaczego mnie?

- Z tego samego powodu co mnie - mówi Maria Klemencja. - Pana też „przetransferuje”.

- No to fajnie - generał zaciąga się papierosem. - Tylko że to gówno prawda. Ja się nie dam. Krass nie ma nade mną żadnej władzy.

- Jest pan pewny? - w głosie pani Wandy słychać powątpiewanie. - Krass leczył pańskiego syna, a pańska żona była nawet swego czasu kimś w rodzaju jego asystentki.

- Ale ja? - warczy Penar - Chyba, kurwa, widać, że nie jestem moją żoną ani moim synem. Znam Krassa nie od dziś i tak jak nie dałem się wciągnąć w jego terapeutyczne sztuki, których próbował w mojej rodzinie, tak nie dam się i teraz.

- Pan przecież sam zabiegał o to, żeby Krass zajął się pańskim

synem - odzywa się Bigler, który siedzi teraz obok Taborskiego i Absolutu”. - Wiem, bo ułatwiałem panu nawiązanie z nim kontaktu.

- No to co? - Penar zwraca się ku niemu z zaciśniętymi pięściami. Lusja mi kazała wynająć go do Borysa. Zresztą już przed panem skontaktował nas ten dupek z Partii Republikanów, Mariusz P.

- Ale - upiera się Bigler - Krass wtedy pana spławił i odmówił zajmowania się pańską sprawą. Zgodził się z panem spotkać dopiero na prośbę biskupa Burzyńskiego i moją. Był pan tym spotkaniem poruszony i zafascynowany.

Krass zrobił na panu wielkie wrażenie.

- Może i zrobił - mruczy Penar. - Jednak nie takie, żeby zawładnąć moim umysłem.

- Wcale nie trzeba zawładnąć czyimś umysłem - niespodziewanie zabiera głos Kalina - żeby go... - robi nieokreślony, kolisty gest ręką i milknie równie niespodziewanie, jak się odezwał.

- A pan skąd to wie? - pyta podejrzliwie pani Wanda. - Poza tym - dodaje - rozmawiamy tak, jakbyśmy wszyscy zgodzili się już z tym, że pan Krass zabił Bąka oraz że zabije panią Darn i generała. Przecież to jest horror! Rzucamy na człowieka, który tu siedzi, straszliwe oskarżenia i nawet nie pytamy, co on na to?

- No to zapytajmy - mówi ironicznie Bigler. - Co pan na to, panie Krass?

Chciałem odpowiedzieć na jego pytanie, chociaż nie wiedziałem co, ale czułem, że wypełnia mnie zbyt dużo strachu i złości. Chciałem krzyknąć, żeby dali mi spokój i jednocześnie pragnąłem, żeby mi

wybaczyli, żeby się zlitowali nad moją nikczemną słabością. W moich stopach zakiełkowała idąca w górę, aż do głowy, fala gorąca, w uszach zabrzmiało mi natarczywe dzwonięcie i zobaczyłem, jak cały bar i nas wszystkich ogarnia zimne, jaskrawe światło. Znałem to. Pamiętałem niknące w takim świetle ludzkie sylwetki i huk pożaru nad Eudajmonia. Zacisnąłem więc zęby i uderzyłem z całej siły czołem o blat stolika, raz i drugi, aż dzwonki w uszach zamilkły. Musiałem to przerwać natychmiast, zanim...

- Panie Krass - słyszę dobiegające z daleka wołanie. - Panie Krass, dobrze się pan czuje?

Otwieram oczy i widzę pochyloną nade mną twarz barmana Koteli.

Źle się czuję, panie Kotela - mówię. - Nawet bardzo źle. A gdzie są wszyscy?

- Poszli niedługo potem, jak pan zasnął. Chcieli pana dobudzić, ale w końcu dali spokój.

- Zasnąłem? - pytam, dotykając czoła. - Jak to zasnąłem?

Czoło mam całe, gładkie i niebolesne. Ani śladu rozcięcia albo guza, a przecież...

- Ano zwyczajnie, panie doktorze - uśmiecha się Kotela. - Położył pan głowę na stoliku i odjazd. Jak to po dziesięciu piwach. Obudziłem pana, bo zaraz kończą serwować obiad. Trzeba coś zjeść.

- A tamci? - pytam.

- Już zjedli. Wszyscy. Tylko pani Darn nie widziałem. Pewnie nie była głodna.

Nazajutrz w porannych wiadomościach podano informację o zabójstwie Pelca. Usłyszałem ją przez przypadek. Tej nocy nie mogłem spać, więc usiadłem do pisania i nagle poczułem gwałtowną potrzebę usłyszenia głosu ludzkiego, muzyki, jakiegokolwiek dźwięku, który zburzyłby głęboką ciszę Weteliny. Poderwałem się więc od biurka i włączyłem radio, chociaż od dawna już nie tykałem odbiornika. Była piąta trzydzieści rano.

Zastępca i doradca następcy Bąka został zastrzelony poprzedniego wieczoru przed swoim domem, kiedy wracał, jak się później okazało, ze spotkania ze znanym w Polsce amerykańskim biznesmenem i filantropem Allanem Rosnerem. Zabójca trafił Pelca dwoma strzałami w głowę i zniknął przez nikogo nie zauważony. Policja i UOP stawały własnie na głowie, żeby go złapać, ale póki co nie znalazły nawet najmniejszego śladu. Na miejscu zdarzenia, mimo późnej pory, pojawił się minister spraw wewnętrznych i kilku różnej maści polityków, którzy przyczynili się do zdeptania ewentualnych śladów mordercy.

Przyjechali sprawdzić, czy na pewno nie żyje - pomyślałem. Niektórzy pewnie z trudem ukrywali zadowolenie, a inni strach. Bąk i Pelc to były tuzy i teraz ci z drugiego rzędu bali się, że przyszedł czas na drobniejszą faunę. Rosner już pewnie siedzi w jakimś samolocie, lecącym dostatecznie szybko i daleko. O Bąku nie było chyba żadnych publicznych informacji, ale ci, co trzeba, na pewno wiedzieli i na pewno kojarzyli te dwie śmierci. Zresztą trudno ich było nie skojarzyć.

Moje rozmyślania przerwał głos spikera, który oświadczył, że dzisiejszy wtorek jest czarnym dniem polskich służb specjalnych, oto bowiem, na wieść o zabójstwie swego zastępcy, przebywający od kilku dni na urlopie szef UOPu, Bąk, doznał ataku serca i, mimo usiłowań lekarzy, zmarł godzinę temu, nie odzyskawszy przytomności. Słowa „nie odzyskawszy przytomności” spiker wypowiedział jakby z pewnym naciskiem, a może tak mi się tylko zdawało bladym świtem po nieprzespanej nocy. Tak czy inaczej ta informacja znaczyła tyle, co stwierdzenie: „nie zdążył nic powiedzieć” i pewnie czekało na nią z niecierpliwością wiele ważnych person w kraju i może nie tylko. Więc władze postanowiły podać do publicznej wiadomości wersję, wedle której Pelc został zabity przed śmiercią Bąka. Może skorzystały ze śmierci Pelca, aby uwiarygodnić śmierć Bąka, która była dla nich zaskoczeniem? A może wcale nie była zaskoczeniem, lecz kłopotem, wypadkiem przy pracy i teraz nadarzyła się okazja, żeby w sposób w miarę przekonujący przedstawić zniknięcie Bąka, o aresztowaniu którego nie było naturalnie żadnych oficjalnych wiadomości. Faktycznie Bąk umarł przed Pelcem, a jeśli nie popełnił samobójstwa, tylko został zamordowany, to najprawdopodobniej na rozkaz tego ostatniego lub z jego inspiracji. Pelc nie miał żadnych skrupułów i był niesłychanie ambitny, a Bąk trzymał go w garści dokumentacją programów specjalnych, będących w istocie niedopuszczalnymi eksperymentami na ludziach. Ale ta smycz zaczęła okazywać się niepewna. Bąk zdawał sobie sprawę, że on sam tkwi w tych przedsięwzięciach po uszy i wiedział, że Pelc nie

tylko wie o tym, ale ma też wiarygodne dowody. Znaleźli się w sytuacji klinczu i prawdopodobnie obaj rozumieli, że ruch któregośkolwiek z nich będzie oznaczał koniec tego drugiego. Pelc pierwszy nie wytrzymał i wykonał ten ruch, decydując się na aresztowanie Bąka i umieszczenie go w Wetelinie. Jednak Bąk w ostatniej chwili zdążył jeszcze wydać swoim ludziom odpowiednie polecenia albo już wcześniej przygotował się na atak i stworzył program, który miał zostać uruchomiony w przypadku jego zniknięcia, aresztowania lub śmierci. Obaj czegoś nie dopatrzyli, zawiodła ich wyobraźnia. Może Pelc sądził, że złamie Bąka i uciszy go, odbierając mu władzę i wolność, i zbyt późno zorientował się, że Bąka może uciszyć tylko fizyczna likwidacja? Bąk z kolei nie docenił determinacji Pelca i także zbyt późno wysłał sygnał uruchamiający anonimowego snajpera? W każdym razie wyglądało na to, że Bąk i Pelc zabili się nawzajem, oczywiście za pośrednictwem podległych sobie i oddanych ludzi, których obaj mieli w różnych instytucjach i środowiskach. Zarówno dla polityków rządzącej koalicji, jak i dla tych z opozycji jest to niespodziewany dar losu, dzięki któremu mogą odetchnąć z ulgą. Mogę się założyć o złotówki przeciwko orzechom, że zabójca Pelca nigdy nie zostanie złapany, a obaj szacowni nieboszczycy będą mieli pogrzeby z pełnym rządowoprezydenckokościelnym garniturem.

Wszystko, co powyżej napisałem, to naturalnie tylko domysły i hipotezy, które przyszły mi do głowy po wysłuchaniu w radiu obu bulwersujących wiadomości. Mogło oczywiście być i tak, że Bąk

naprawę popełnił samobójstwo, a Pelca zamordował jakiś szaleniec z osobistej zemsty albo dla kaprysu.

W zamordowaniu Pelca mógł też odgrywać znaczącą rolę Rosner, którego bliskie kontakty i związki z Bąkiem były w pewnych kręgach znane. Niewykluczone, że Pelc miał już swojego Rosnera i nie chciał przejąć interesów prowadzonych z firmą Rosner Electronics na Florydzie oraz zobowiązań Bąka wobec jej właściciela. Mógł też próbować wywrzeć nacisk na Amerykanina za pomocą materiałów ilustrujących jego działalność w Delcie i szczególne upodobania seksualne. Rosner zaś bardzo nie lubił być obiektem szantażu.

Bąk, Pelc i Rosner byli ściśle i bezpośrednio związani z tym, co działo się w Eudajmonii, Delcie i Dobru, a Penar, Bigler, Maria Klemencja Darn, Wanda Ź. i Taborski byli z tym związani pośrednio. Teraz Bąk i

Pelc zginęli gwałtowną śmiercią. Powoli stawało się jasne, że zgromadzenie niemal wszystkich tych osób w Wetelinie nie jest przypadkiem, choć nadrzędny plan, w którym prawdopodobnie uczestniczyliśmy, nadal nie był nam znany. A był jeszcze ksiądz Weise, który też nie znalazł się tu bez powodu. Nie chcę przez to powiedzieć, że cokolwiek było już naprawdę wiadomo, bo nie było, ale to, co zdarzyło się wczoraj, dawało dużo do myślenia. Po długim okresie milczenia i skrętnego omijania tematów z przeszłości nagle okazało się, że wszystkich nas łączą sprawy wprawdzie przebrzmiałe, ale paradoksalnie wciąż żywe i mające swoje aktualne rozwinięcie. Siedząc za biurkiem w swojej przytulnej „celi” miałem wrażenie, że zainteresowanie możliwością psychologicznego leczenia ciężkich

schorzeń i miska szklanych kulek na stole w Uppsali wtrąciły mnie przed laty w ciąg wydarzeń, które, choć zagmatwane i niejasne, były jednak koherentne i zmierzały do jakiegoś celu. W końcu mogło okazać się, że Eudajmonia powstała z mojej inspiracji po to, żeby Bąk, Pelc, Rosner, Halstrem, Cardenas i inni mogli znaleźć tam bazę dla realizacji swoich (i moich?) obłąkańczych koncepcji. Zresztą może właśnie tak było?

Może moje przemiany i coraz większa pewność posiadania niepokornych, nieposłusznych, ale jednak nadzwyczajnych atrybutów służyły właśnie temu celowi? Wreszcie, może to rzeczywiście ja zabiłem Bąka, nie mając o tym pojęcia, tak jak nie miałem pojęcia o tym, co stało się z czterdziestoma ludźmi pewnej grudniowej nocy w Eudajmonii? A może miałem o tym pojęcie, tylko mieściło się ono w wymiarze mojej świadomości funkcjonującym w innej rzeczywistości, gdzie mój strumień czasu ostatecznie zderzył się ze strumieniem czasu Bąka i jeden z nich pochłonął drugi?

Koniec tego ciągu zdarzeń tonął w mroku jego początku, a początek okrywała noc niewiadomego końca.

Radio podaje właśnie, że w sondażach przedwyborczych prowadzi lewica.

W Okopach Świętej Trójcy popłoch.

Inauguracja Eudajmonii odbyła się 15 maja 1996 roku. Tego dnia w 1934 roku urodził się Marek Hłasko, w 1859 roku - Piotr Curie, w 1957 roku Anglicy zdetonowali swoją pierwszą bombę wodorową, a w 1958 roku Rosjanie wypuścili Sputnika nr 3. Poza tym

na przestrzeni dziejów nic ważnego się w tym dniu nie zdarzyło.

W papierach przekazanych mi przez Mariannę, oprócz pamiętnika, znajdował się nie datowany tekst dotyczący początków Eudajmonii. Marianna należała do ścisłego grona jej założycieli.

Gdzieś od roku Krass zaczął dawać niejasne sygnały, z których wynikało, że chodzi mu po głowie pomysł stworzenia ośrodka terapeutycznobadawczego, gdzie chorzy mogliby na jakiś czas zamieszkać, by poddawać się różnym formom intensywnej terapii i rehabilitacji. Opowiadał o Esalen Institute nieopodal Monterey w Kalifornii, gdzie pracował kiedyś Frederick Perls i o podobnym, choć zupełnie inaczej zorientowanym ośrodku prowadzonym przez Lowena i Janova w Nowym Yorku, gdzie pacjenci dochodzili do rozwiązania swoich problemów emocjonalnych, poprzez pracę nad swoim ciałem i niewerbalną ekspresją uczuć.

Najwidoczniej czuł się na sitach, aby taki ośrodek programować i prowadzić, choć pytany o to wprost nie udzielał jednoznacznych odpowiedzi i mawiał, że „tylko tak sobie fantazjuje”.

Rzecz jasna Liberg, pełniący już od jakiegoś czasu obowiązki pierwszego asystenta Krassa i specjalisty od wcielania jego marzeń w życie, od razu prawidłowo odczytał intencje szefa i zabrał się do roboty. Nic nie mówiąc Krassowi, przeczytał najważniejsze książki Perlsa, Lowena i Janova, przestudiował dostępne opisy funkcjonowania różnych ośrodków terapeutycznych w Europie i Ameryce i opracował własny projekt takiego przedsięwzięcia.

Najpierw pokazał go mnie, bo sądził, mylnie zresztą, że jestem

księżnąmatzonką, mającą przemożny, choć zakulisowy wpływ na króla. Myślę, że na Krassa nikt wtedy nie miał wpływu, nawet on sam, co uwidoczniło się na przykład w jego rozpaczliwych usiłowaniach, aby poddać kontroli własne zdolności uzdrowicielskie i inne niezwykle atrybuty, które posiadał, czy też w decyzjach dotyczących rozpoczęcia publicznej, a potem politycznej kariery, będących dla mnie i kilku najbliższych mu osób zaskoczeniem.

Moje stosunki i kontakty z Krassem uległy w tym okresie znacznemu rozluźnieniu.

Madzia skończyła siódmy rok życia i od dwu lat, czyli od momentu, kiedy Krass dal jej białą, różowo opalizującą kulkę i kazał jej (a jak to inaczej nazwać?) wyjść z autystycznej izolacji, była normalnym, choć opóźnionym w rozwoju umysłowym dzieckiem. Z dawnej nadprzyrodzonej, nieziemskiej Madzi pozostała tylko uroda, pewien nieco tajemniczy dystans, jaki zachowywała w stosunku do wszystkich i wszystkiego, no i światło, które wciąż z niej emanowało, i które, podobnie jak światło Krassa, tylko ja widziałam. Mimo jej, jak mawiał Krass, przebudzenia się z autystycznego uśpienia, światło pozostało. Zmieniła się nieco tylko jego tonacja, przybierając cieplejsze, biatoróżowe tony, podobne do tych, jakie miała szklana kulka użyta przez Krassa.

Pamiętam swój strach, kiedy zobaczyłam tamtego wieczoru, jak światło pochylonego nad śpiącym dzieckiem Krassa skupia się w jedną białą gałązkę i petznie w stronę trzymanej przez niego w palcach kulki, przechodzi przez nią i jak różowo opalizująca kaniula

wnika gdzieś na wysokości lewego obojczyka w otaczający matą pęcherzyk zielonkawej poświaty, który w mgnieniu oka bezgłośnie znika, a Madzia otwiera oczy i, patrząc na Krassa, mówi: „Tato, ja spałam...”, a Krass stłumionym głosem odpowiada: „Tak, bardzo długo spałaś, ale teraz chodź do mnie” i moja córka jednym skokiem wtula się w niego, aż jego światło, mocne i białe, zamyka się wokół niej niby połyskliwy kokon. Krzyknęłam, a oni odwrócili się w moją stronę. Krass bez słowa otworzył! otaczające małą ramiona, zaś ona podbiegła do mnie, spowita, ku mojej uldze i szczęściu, w swój własny różowobiały blask. Przez chwilę ich świetlne powłoki (czemu nie śmiem powiedzieć - aureole?) łączyła, jak pępowina, coraz cieńsza, świetlna nitka, która w końcu bez szmeru pękła i pozostali każdy w swojej poświacie. Tuląc do siebie córkę, która i mnie obwieściła, że „spała, ale tata kazał jej już wstać”, miałam wrażenie, że byłam świadkiem porodu, że teraz Krass, tak jak poprzednio ja, urodził Madzię, która poprzez jego duszę, tak jak przedtem przez moje ciało, przestąpiła granicę dwu rzeczywistości i jej oddzielny dotąd strumień czasu skrzyżował się z naszymi.

Od tego momentu specjalna więź pomiędzy Krassem i Madzią zniknęła. Już nie zdarzało mi się widzieć, jak jednocześnie ziewają, drapią się w jakieś miejsce albo we śnie równocześnie zmieniają pozycję. Krass przestał też nieomylnie wyczuwać, co Madzia robi, czego chce, co ją boli i jak się czuje. Teraz Madzia po prostu o tym mówiła, budując stopniowo coraz bardziej złożone zdania. Zniknął specyficzny magnetyzm dziewczynki, przyciągający Krassa i

powodujący, że ustawicznie dążył do kontaktu z matą, spędzając z nią masę czasu, a nawet przesiadując godzinami przy jej tóżku, kiedy spała. Wkrótce po „przebudzeniu” Krass zaczął wręcz unikać małej, twierdząc, że przebywanie w pobliżu niej jest dla niego, w jakiś trudno wytłumaczalny sposób, nieprzyjemne. Madzia zresztą rewanżowała mu się tym samym, zdradzając w jego obecności pewne rozdrażnienie i niepokój, co nie zdarzało jej się w żadnych innych okolicznościach. Trzymali się więc od siebie z daleka. Krass praktycznie przestał z nami spędzać czas i był u nas rzadkim gościem, a Madzia przestała mówić do niego „tato”, wybierając w to miejsce mato dla mnie i innych zrozumiące przezwisko „dun” albo „dunek”.

Dzięki temu większość otaczających nas ludzi nadal nie była pewna, czy moja córka jest dzieckiem Krassa, czy też, na co wskazywało jej nazwisko, Bigowskiego. Niemniej Liberg, wprowadzony przez Krassa w tajniki pochodzenia Madzi, uważał, że nadal jestem w życiu jego szefa osobą szczególną, mającą na niego specjalny wpływ.

Swój projekt stworzenia ośrodka terapeutycznego pokazał najpierw mnie także dlatego, że moja opinia miała być, w jego przeświadczeniu, najbliższa temu, co myśli Krass.

Pomysł mi się spodobał. Liberg planował zebranie funduszy wśród pacjentów i sympatyków Krassa i zakupienie gospodarstwa wiejskiego położonego względnie na uboczu, w jakiejś spokojnej okolicy, a następnie zaadaptowanie go do potrzeb ośrodka. Znalazł nawet takie gospodarstwo we wsi Rybna koło Iławy, nad pięknym

jeziorem, na skraju lasu, za które właściciel, autochton, który wyemigrował do Niemiec, chciał rzeczywiście niewielkie pieniądze. Obejście składało się z dużego, murowanego domu oraz zbudowanych z kamienia przestronnych obór i ogromnej stodoły. Wszystko to było w opłakanym stanie, ale nie aż tak opłakanym, żeby remont i przebudowa straciły sens. W domu i oborach zamierzał Liberg urządzić pokoje dla pacjentów, zaś w mającej dwie kondygnacje stodole miały się zmieścić sale terapeutyczne, pokoje terapeutów, pracownie i gabinety.

Będąc obdarzonym pewnymi talentami architektonicznymi inżynierem, wykonał nawet wstępne projekty i kosztorysy. Wynikało z nich, że koszt całej operacji wyniesie od ośmiuset tysięcy do miliona złotych. Była to suma ogromna, ale nie niemożliwa do zgromadzenia.

Ośrodek miał służyć dwu rodzajom pacjentów - takim, którzy przyjeżdżaliby doń na dłużej (nawet na kilka miesięcy) i takim, którzy braliby udział w krótkoterminowych, kilkudniowych albo wręcz weekendowych, turnusach. Zajęcia miało prowadzić 5-6 terapeutów pod kierunkiem i według programów Krassa.

Piszę, że miało być, ponieważ nigdy tak nie było, bo Krass planował coś zupełnie innego. Na razie jednak o całej inicjatywie nic nie wiedział. Liberg zorganizował spotkanie, na które zaprosił do swego mieszkania kilku byłych i aktualnych pacjentów Krassa oraz parę innych osób, zafascynowanych Krassem i należących do jego wyznawców. Pamiętam, że był wśród nich psycholog Pelc i mówiący dość dobrze po polsku Szwed, manifestujący bez większego

skrępowania swoją zażyłość z gospodarzem.

Liberg przedstawił zebranym projekt, który od razu zyskał uznanie całej grupy. Szczególnie entuzjasmował się nim Pelc, podkreślając, że planowany ośrodek może stanowić również bazę dla poważnych badań nad mechanizmami psychoterapii i wpływem ludzi na ludzi. Na zakończenie zebrania utworzyli z siebie komitet założycielski fundacji mającej na celu stworzenie i prowadzenie ośrodka.

Nadano jej roboczą nazwę: „Centrum Terapii i Rozwoju”.

W związku z takim obrotem spraw sytuacja dojrzała do przedstawienia jej Krassowi. Liberg odbył z nim kilkugodzinną rozmowę, w wyniku której Krass zaakceptował cały plan i zgodził się zostać prezesem fundacji, proponując jednocześnie zmianę jej nazwy. Miała się mianowicie nazywać Fundacja Eudajmonia.

Następne zebranie komitetu odbyło się znów u Liberga, już z udziałem Krassa. Pelc przyprowadził na nie swojego znajomego, zafascynowanego psychologią, Polką i Krassem amerykańskiego przedsiębiorcę z Florydy, który wprawdzie nie zgodził się wejść do komitetu, ale ofiarował fundacji pięćdziesiąt tysięcy dolarów na dobry początek. Do komitetu dokooptowano za to zaproszoną przez Krassa jego byłą pacjentkę, Rosjankę z pochodzenia i żonę jakiegoś wpływowego generała. Uroczą Lusią od razu zyskała sympatię wszystkich członków grupy, a ja, po kilku chwilach spędzonych w jej towarzystwie, zyskałam pewność, że sypia z Krassem, pełniąc nieskomplikowane obowiązki jego aktualnej kobiety. Sama zdziwiłam

się, jak bardzo mnie to obeszło i z niedowierzaniem skonstatowałam, że jestem zazdrosna, choć mój związek z Krassem nigdy nie opierał się na męskodamskich igraszkach.

Krass sprawiał wrażenie zadowolonego i byt, co mu się rzadko zdarza, bardzo rozgadany. Szczególnie dużo rozmawiał z Pelcem i z tym Amerykaninem, używając swej kanciastej angielszczyzny (przez całe życie nie nauczył się pożądnie żadnego obcego języka), czego, jak wiedziałam, nie znosił. Oznaczało to, że traktował całą sprawę Fundacji Eudajmonia bardzo poważnie. Na razie jednak nie wspominał o swoich planach co do niej, akceptując wszystkie rozwiązania zaproponowane przez Liberga, a na zakończenie spotkania wzniosł w ciepłych słowach toast za jego zdrowie, co na twarzy gospodarza wywołało rumieniec zadowolenia, na którego tle wystąpił wyraźnie ciemniejszy ślad po znamieniu szpecącym kiedyś jego policzek.

Kilka dni później Krass wystąpił w telewizyjnym talkshow, gdzie z niebywałą swadą i dowcipem ogłosił powstanie fundacji i zwrócił się z prośbą o datki na jej rzecz. Był to początek jego medialnej kariery, w wyniku której stał się popularną osobą publiczną, autorem własnego programu telewizyjnego, bywalcem bankietów, wernisaży i salonów politycznych. Pieniądze na konto fundacji płynęły szerokim strumieniem, głównie od indywidualnych ofiarodawców, ale też od firm i banków, a nawet ze specjalnych funduszy Unii Europejskiej i UNESCO. Pozwoliło to już po sześciu miesiącach kupić posiadłość w Rybnej wraz ze sporą działką

zalesionego gruntu i rozpocząć prace adaptacyjne prowadzone w iście ekspresowym tempie. Część z nich nieodpłatnie wykonywały różne firmy, traktując to jako formę datku na rzecz fundacji. Przedsiębiorstwo „Instal” z Krakowa wykonało instalacje wodnokanalizacyjne, firma „Energopol” - elektrykę. Po ośmiu miesiącach wyłożonych prac, na początku maja 1996 roku, Krass otrzymał z rąk Liberga nie tylko symboliczne klucze do gotowego obiektu. Nie tylko symboliczne, gdyż górną kondygnację dawnego spichlerza zajmował kompletnie wyposażony, prawie osiemdziesięciometrowy apartament, przeznaczony wyłącznie do jego użytku. Ku mojemu zaskoczeniu Krass przyjął to luksusowe mieszkanie bez mrugnięcia okiem.

Ośrodek składał się z dwunastu dwuosobowych, wygodnych pokoi, z sześciu apartamentów rodzinnych, przeznaczonych dla małżeństw, rodzin i matek z dziećmi, oraz z pięciu „jedynek”. Mogło więc w nim zamieszkać jednorazowo ponad czterdzieści osób. Wobec dobrej sytuacji finansowej fundacji (Krass zdobył nawet sobie znanymi sposobami niemały kredyt bankowy) wybudowano od podstaw pawilon stanowiący zaplecze gospodarcze, w którym mieściła się stołówka, kuchnia, magazyn oraz mieszkanie dla przyszłego dyrektora ośrodka. Całość robiła prawdziwie imponujące wrażenie.

Jeszcze w trakcie budowy Krass niespodziewanie powołał do życia Fundację Oświecenia, Badań i Apercepcji, którą zarejestrował w sądzie jako związek wyznaniowy i której Fundacja Eudajmonia

przekazała nowopowstały ośrodek i wszystkie swoje aktywa, ulegając jednocześnie samorozwiązaniu. Nazwa „Eudajmonia” na wyraźne życzenie Krassa przeszła na ośrodek, który przybrał oficjalną nazwę: „Centrum Oświecenia, Badań i Apercepcji Eudajmonia”.

Kiedy zapytałam Krassa, co właściwie oznacza nazwa jego organizacji, bez słowa napisał mi jej skrót - FOBiA i mrugnął porozumiewawczo okiem. Myślałam więc, że to rodzaj żartu albo wybiegu finansowopodatkowego, tym bardziej, że najbliższymi doradcami Krassa w sprawach formalnych byli Pelc i Amerykanin Rosner oraz naturalnie Liberg i jego Szwed Halstrem. Obaj obcokrajowcy, podobno z racji licznych, prowadzonych w Polsce interesów, mieli znakomite rozeznanie w najróżniejszych przepisach i duże doświadczenie w ich omijaniu.

Uroczystą inaugurację Eudajmonii wyznaczył Krass na dzień 15 maja 1996 roku. Wzięto w niej udział ponad tysiąc ludzi z całego kraju, których sam Krass i jego najbliższe otoczenie nazywali z przymrużeniem oka „wyznawcami”, chociaż dano się obserwować, iż owo przymrużenie oka stawato się z czasem coraz mniej wyraźne. Gośćmi oficjalnymi byli posłowie, senatorowie, wysocy urzędnicy państwowi, wśród których dostrzegłam szefa UOPu Bąka, artyści i dziennikarze. Co najmniej trzy stacje telewizyjne nadały krótkie relacje z całego wydarzenia, a Krass nie nadążał z udzielaniem wywiadów. Obecność Bąka, o którym mówito się, że trzęsie państwem, wydała mi się znacząca, zwłaszcza że Krass długo z nim rozmawiał, przechadzając się po lesie, gdzie Liberg zorganizował

wielki piknik. Najwidoczniej Krass chciał pozyskać życzliwość najwyższego policjanta w kraju dla nowopowstałej placówki i organizacji. Przybycia Bąka nikt jednak specjalnie nie komentował. Powszechną uwagę zwracał za to fakt braku obecnych wtedy na każdej uroczystości przedstawicieli kleru. Oznaczało to, że Kościół odnosi się z rezerwą do poczynań Krassa, choć jednocześnie ze strony hierarchii nie padło ani jedno słowo krytycznego komentarza, co było dziwne w dobie nasilającej się, inspirowanej przez kler ofensywy przeciwko sektom i mogło oznaczać formę cichego poparcia.

Sama uroczystość otwarcia była bardzo krótka i skromna. Krass wygłosił pięciominutowe przemówienie, w którym powiedział, że w Eudajmonii realizowany będzie, cieszący się zainteresowaniem i poparciem państwa program terapeutycznobadawczy, poświęcony pozamedycznym metodom leczenia najcięższych chorób psychosomatycznych. Istotą tego programu jest całościowe, holistyczne podejście, obejmujące również oddziaływania duchowe i społeczne. Wyraził też nadzieję, że Eudajmonia stanie się azylem i punktem wyjścia do nowego życia dla tych, których cierpienie przywiodło do zwątpienia w sens ich dotychczasowej egzystencji. „Jutro Eudajmonia przyjmie pierwszych pacjentów. Na mapie świata przybyła jeszcze jedna wyspa nadziei” - tymi słowami zakończył przemówienie.

Skwitowano je burzliwymi oklaskami, a potem wszyscy poszli pić piwo, jeść kiełbaski i brać udział w rozmaitych konkursach, w których nagrodami były ufundowane przez firmę Rosnera telefony

komórkowe i systemy alarmowe do samochodów. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że Krass właściwie nic nie powiedział, zaś wiele z użytych przez niego sformułowań brzmiało niejasno i tajemniczo, jak choćby to o poparciu państwa dla programów Eudajmonii.

Wtedy też Krass po raz pierwszy zrobił rzecz, którą potem miałam oglądać wiele razy, wciąż z tym samym dreszczykiem przebiegającym mi po ciele. Stał mianowicie przed gromadą ludzi i patrzył na nich długo, w milczeniu, aż zapadła całkowita, pełna wyczuwalnej w niej koncentracji cisza. Z jego jaśniejącej twarzy i rąk pączkowały pędy światła, których ostre, trzepoczące końce skierowane były w stronę tłumu. Nie wyglądał wtedy jak Bóg kaleki i bezradny. Wyglądał po prostu jak Bóg.

K@(M)©Gfi)ftai?

Relacja Marianny jest zasadniczo zgodna z faktami, oczywiście poza tym, co rozgrywało się w jej prywatnej rzeczywistości - mam tu na myśli rewelacje dotyczące mojej i Madzi aureoli. Relacja ta wymaga jednak pewnych uzupełnień.

Pelc był wtedy jednym z zastępców Bąka, o czym wiedziałem od niego samego, i pojawił się na zebraniu grupy Liberga za moim niejako przyzwoleniem. Nie miałem wówczas wobec niego zbyt mocnej pozycji przetargowej, a bardzo zależało mi na powstaniu Eudajmonii.

Rosner wszedł do grupy przyproawdzony przez Pelca, oczywiście na polecenie Bąka. Pieniądze, które przekazał na rzecz fundacji, pochodziły w połowie z funduszków Bąka. W tamtym czasie

wydawało mi się, że zainteresowanie szefa UOPu naszą organizacją jest zrozumiałe i usprawiedliwione. Byłem też przekonany, że potrafię sobie z nim poradzić. Niestety przeceniłem swoje siły. Głównie zresztą siły moralne. Część pieniędzy przeznaczonych na budowę Eudajmonii, która miała pochodzić z kredytu bankowego, była w rzeczywistości dotacją przelaną na nasze konto z kilku różnych kont UOPu i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Również firmy wykonujące za darmo różne prace na rzecz ośrodka czyniły to najczęściej na polecenie Pelca. Dzwonił do takiej firmy lub wysyłał faks, w którym w krótkich, chciałoby się powiedzieć, żołnierskich słowach nakazywał wykonanie tego czy tamtego w Eudajmonii, i sprawa była załatwiona.

Kościół w istocie udzielał mi cichego poparcia, chociaż już w dwa miesiące po starcie Eudajmonii miał zacząć przeciwko mnie bezpardonową kampanię, ale wtedy już wiedziałem, o co chodzi. W dniu inauguracji byłem umówiony z biskupem Burzyńskim, który na następne trzy lata stał się łącznikiem pomiędzy mną i hierarchią.

Suche zapiski Marianny uprzytomniły mi, jakie to wszystko na początku było zwyczajne, a nawet banalne. Choćby te kielbaski, piwo i loterie fantowe.

Ale było to też, jeśli się bliżej przyjrzeć, jajo węża, w którym przez miejscami przezroczystą błonę można dostrzec zwiniętą miniaturę dorosłego gada.

Znów kupuję gazety, choć z trudem przychodzi mi ich wertowanie. Większość to beznadziejne szmatławce, pełne

stronniczego politycznego bełkotu i najtańszej sensacji. Aktualnie pełno w nich dywagacji na temat zbliżających się wyborów, które mają być wielką konfrontacją pomiędzy formacjami lewicowymi i zjednoczoną, jak na razie, prawicą. Drugim tematem chwili jest zabójstwo Pelca i śmierć Bąka. Oczywiście powszechnie łączy się te zdarzenia, sugerując różne scenariusze ich przebiegu. Według jednych, tych usytuowanych bliżej rządu, obaj, szef i jego zastępca, padli ofiarą zemsty mafijnych kręgów czy też w ogóle zorganizowanej przestępczości. Jest to najprawdopodobniej, jak zwykł mawiać będący ozdobą mediów ksiądz filozof, gówno prawda, bowiem mafia rzadko zabija powodowana romantyczną zemstą, a poza tym akurat na tych dwóch doprawdy nie miała się za co mścić, jako że specjalnie jej się nie naprzykrzali.

Inni twierdzą, że Bąk i Pelc padli ofiarą wewnętrznych rozgrywek kompetencyjnych między UOPem, policją i wojskowymi służbami specjalnymi.

Najodważniejsi i nie darzący rządu ciepłymi uczuciami twierdzą wprost, że wojsko i policja miały dość rządów Bąka, opartych na strachu i szantażu. Komandosi mieli na pryncypale i podwładnym po prostu wykonać tajny wyrok, dusząc jednego w hotelowym pokoju, a drugiemu dziurawiąc głowę dwoma snajperskimi strzałami. Dziennikarze nie wiedzieli więc nadal, że Bąk został aresztowany i że umarł w więziennej celi. Władze jak ognia bały się ujawniania kolejnych rozdzierających koalicję rządową konfliktów i skandali, więc nie były zainteresowane informowaniem opinii publicznej o

upadku Bąka w tajemniczych okolicznościach.

Jeszcze inny scenariusz głosi, iż Bąk popełnił samobójstwo, stojąc wobec perspektywy ujawnienia popełnionych przez siebie gigantycznych nadużyć finansowych, a Pelca zastrzelił z zemsty wyrzucony z pracy, niezrównoważony psychicznie funkcjonariusz. Traf chce, że Bąk był akurat szeroko znany ze swojej uczciwości, co przyznawali nawet jego wrogowie, zaś Pelc cieszył się zaufaniem i szacunkiem podwładnych, którzy wybrali go nawet na szefa sądu koleżeńskiego.

Nie znalazłem ani jednego materiału rozwijającego scenariusz sugerowany przez władze, wedle którego Bąkowi pękło serce na wieść o zamordowaniu Pelca. Idiotyzm tego pomysłu powstrzymał widocznie nawet najbardziej serwilistycznych pismaków. Nigdzie też nie było najmniejszej wzmianki o tak zwanych „programach specjalnych” Bąka. Nasuwało to co najmniej dwa wnioski:

1. Programy były jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic w państwie.
2. Państwo zamierzało je kontynuować albo przynajmniej wykorzystywać dotychczas osiągnięte w nich rezultaty.

W gazecie „Goniec Przemyski” oraz w kilku pomniejszych, lokalnych szmatławcach znalazłem jeszcze jedną, nad wyraz interesującą wiadomość:

„Wczoraj w nocy na przedmieściach Przemysła gwałtowny pożar strawił do cna opuszczony magazyn kolejowy, w którym miała swoją siedzibę sekta pod nazwą Centrum Odbudowy Świadomości

Boga Żywego, kierowana przez popularnego na tutejszym terenie uzdrowiciela, byłego księdza katolickiego Jana Weise. Zdołano ustalić, że w chwili wybuchu pożaru w „kościelnie” sekty znajdowało się około piętnastu mężczyzn, kobiet i dzieci, odbywających sesję uzdrowicielską pod kierunkiem swojego guru. Po ugaszeniu żywiołu nie znaleziono po nich najmniejszego śladu, w związku z czym wszyscy zostali uznani za zaginionych. Trwa intensywne śledztwo w sprawie przyczyn pożaru oraz szeroko zakrojona akcja poszukiwania zaginionych osób lub też ich ewentualnych szczątków pogrzebanych w dogasającym pogorzelisku”.

Była to tragedia, o której informacje powinny się znaleźć na pierwszych stronach wszystkich gazet. Ale się nie znalazły.

Zaczynam czekać na przyjazd księdza Weise. Teraz możemy znowu porozmawiać.

U

Wszystkie wiarygodnie opisane uzdrowienia, o których czytałem, albo które były mi znane z relacji samych uzdrawianych, odbyły się publicznie. Nie słyszałem nigdy o tego rodzaju zdarzeniu, które odbyłoby się w zaciszu gabinetu uzdrowiciela czy w jakimkolwiek innym miejscu, gdzie uzdrawiający i uzdrawiany pozostawaliby sami w jakimś szczególnym rodzaju kontakcie albo związku, którego zda się wręcz domagać tak specyficzna odmiana wpływu jednego człowieka na drugiego. Nic z tych rzeczy. Od zarania dziejów ten najczęściej sprawiany i, w pewnym sensie, spowszedniały cud odbywał się w asyście tłumów. Monarchowie brytyjscy aż do

XVIII w. uzdrawiali chorych na skrofuły, czyli gruźlicę węzłów chłonnych, dotykając schorzałych miejsc nieraz po kilka tysięcy razy w ciągu kilkugodzinnej ceremonii ściągającej nieprzebrane rzesze ludzi. W okresie postu, będącym sezonem uzdrawiania przez nakładanie rąk, tego rodzaju uroczystości odbywały się co drugi, trzeci dzień.

Współcześni uzdrowiciele wykonują swoją pracę na stadionach, w kościołach, w wynajętych w tym celu salach widowiskowych i halach sportowych, wreszcie za pośrednictwem telewizji. W świecie uzdrowicieli i uzdrawianych nie ma bakterii, wirusów, toksyn, uszkodzonych genów czy komórek, których podziały wymknęły się spod kontroli organizmu. Na dobrą sprawę nie ma w nim chorych narządów ani nawet ciała, które się z tych narządów składa.

Nie jest ono nikomu do niczego potrzebne w tej rzeczywistości energii, fal i fluidów, przenikających każdą materię i poruszających się z szybkością myśli. Energie te oddziałują holistycznie na osobę ludzką, będącą jednocześnie ciałem, psychiką i duchem. Nie ma więc potrzeby jakiegoś szczególnego kontaktu akurat z ciałem uzdrawianego albo wykonywania jakichś zabiegów w stosunku do jego psychiki. Wystarczy duchowy nośnik owych energii, jakim jest wiara w uzdrowiciela i pragnienie wyzdrowienia objawiane choćby przed telewizorem.

Delizia Cirolli, Garrett Parker, Barbara Kordek i wielu innych wracało do zdrowia w asyście i z udziałem dużych grup ludzi, których uwaga i pragnienie niesienia pomocy koncentrowało się na ich osobach. Uzdrowiciele byli raczej organizatorami tego zbiorowego

wysiłku niż terapeutami bezpośrednio angażującymi się w proces zwalczania choroby. Parker bliżej kontaktował się z księdzem LaBianca właściwie poza sesjami uzdrawiania. Podobnie było z Barbarą Kordek i księdzem Weise. George Frost, założyciel Kościoła i Szkoły WiCCA, uzdrawiał wprawdzie chore kobiety, odbywając z nimi stosunki płciowe w obecności innych członków sekty, ale nawet ten rodzaj kontaktu trudno nazwać szczególnie osobistym. Inną sprawą pozostaje zdolność uzdrawianych do bliskiego, osobistego kontaktu. Będąc sam na sam z osobami, którym starałem się pomagać w ich cierpieniu, zawsze miałem wrażenie, że są one w pewien sposób nieobecne, uśpione duchowo, pozostając albo w nieco głupkowskim zachwycie, albo w rodzaju somnambulicznego transu, odbierającego im żywość uczuciowych reakcji i zdolność jasnego rozumowania. Zachowywali się, jakby pełni uniesienia obserwowali już cud, którego dopiero oczekiwali, i w którego możliwość wierzyli, ale wejście z nimi w intelektualny i emocjonalny kontakt było mało możliwe.

Tego rodzaju obserwacje legły u podstaw mojej decyzji o powołaniu do życia Eudajmonii. Chciałem mieć miejsce, gdzie mógłbym sprawdzić, czy i w jaki sposób tłum i jego ukierunkowana psychiczna aktywność rzeczywiście wpływa na uzdrawianego.

W ogromnej większości udokumentowanych, nieuzasadnionych medycznie wyzdrowień, tłum asystujący uzdrawianemu tworzyli ludzie ubodzy, niezadowoleni, chorzy lub inaczej pokrzywdzeni przez los i, w pewnym sensie, przeciw temu losowi zbuntowani. W tym znaczeniu tłum taki stanowił rodzaj wspólnoty jednostek,

powiązanych podobnymi doświadczeniami i w zbliżony sposób przeżywających swoje prywatne rzeczywistości, dzięki czemu ich strumienie czasu mogły skrzyżować się w jednym punkcie zwanym komunią albo łączeniem umysłów.

Nie są znane uzdrowienia, które odbyły się przy udziale gromady arystokratów, bogaczy lub ludzi tak czy inaczej uprzywilejowanych i zadowolonych.

Chciałem więc zbadać, czego ludzi trzeba pozbawić, co im odebrać, aby wykrzesać z nich harmoniczny akord psychiczny, generujący nowe energie i przekształcający materię. Nie martwiłem się wtedy specjalnie tym, że ludzie mogą nie chcieć poddać się takim badaniom, gdyż wiedziałem, jak sprawić, żeby chcieli. Wystarczy im dać konkretną wiarę i dotykálną nadzieję. Ja miałem być tą wiarą i nadzieją.

Czułem, bo przecież nie wiedziałem, że taki, między innymi, jest sens mojej przemiany i posiadania niejasnych, niepodporządkowanych woli atrybutów. W moim umys'le pojawiło się przyzwolenie na to, żeby nie pytać ludzi o zgodę, tylko robić to, co należało robić, aby cud uzdrowienia został urzeczywistniony i poznany. W swojej pysze i zaciętrzewieniu pragnąłem stworzyć i wierzyłem, że mi się to uda, epistemologię uzdrawiania i oprzeć na niej dającą się stosować jak metoda, powtarzalną praktykę. Kreowałem w wyobraźni wyszkolone, wyspecjalizowane wspólnoty uzdrowicielskie, do których można by kierować chorych jak do szpitala. Tworzyłem plany i programy szkolenia takich grup, ale nie pomyślałem o kadrach, sądząc, że

zawsze znajdę ochotników do wzięcia udziału w robieniu cudów. Nie przyszło mi do głowy, choć przecież dobrze o tym wiedziałem, że odebranie ludziom poczucia bezpieczeństwa, wolności i godności osobistej może być tym, co najmocniej ich skłania do połączenia umysłów w nadrzędną jakość.

Dlatego pojawienie się Bąka, Pelca, Rosnera, Halstrema i innych nie wzbudziło mojej czujności, nie zapaliło w moim mózgu lampki ostrzegawczej, ale raczej przyniosło pewne uspokojenie i ulgę płynącą z faktu, iż nie tylko w mojej głowie powstają takie pomysły. W gruncie rzeczy ci ludzie imponowali mi swoją odwagą w formułowaniu celów, przed którymi ja się jeszcze wzdragałem. Wydawali mi się tymi, którzy mówią śmiało „b”, po moim, wystękanym wśród obaw i skrupułów „a”, tworząc odważne, natchnione wizje przyszłego społeczeństwa.

Koncepcje nowego modelu otwartego małżeństwa stworzone przez Bonaro, jego propozycje nowej obyczajowości seksualnej, nawet szokujące pomysły dietetyczne Miry Rejmer i jej teoria zdrowego życia jako zrywania niektórych cywilizacyjnych pęt zdawały mi się intrygującymi wyzwaniem intelektualnymi, będącymi próbą twórczego przewyciężenia obyczajowej stagnacji i rutyny. Nie widziałem w nich nic zdrożnego i próby eksperymentów społecznych, podejmowane przez świadomie zdecydowanych na ponoszenie związanego z nimi ryzyka ludzi uważałem za dopuszczalne i uzasadnione. Nie wiedziałem, że ludzie ci nie będą ani zdecydowani, ani świadomi, lecz tylko uwiedzeni nadzieją i oczarowani prostotą

wyjścia z życiowych potrzasków, które miało im zapewnić uwierzenie w moje posłannictwo. Byli przy mnie nie dlatego, że rozumieli i chcieli, ale dlatego, że uwalniałem ich od strachu i dawałem nadzieję na dalsze życie bez jego brzemienia. Przyszli nie po moje idee, ale po moje uzasadnienie ich niezgody na własną dotychczasową egzystencję, po przyzwolenie na jej zmianę, do której zachęcały zmieniające się czasy.

Ukryty wspólny mianownik wszystkich sekt jest bowiem polityczny i zawsze zawdzięczają one swe narodziny pojawiającemu się duchowi niezależności i swobody, który budzi chęć zmiany i lęk, uśmierzany przy pomocy wiary i religii. Każdy czas kryzysu i przemian to czas sekt. Ale ja nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Znowu mnie poniosło. Znowu przemożne, choć nie do końca uświadomione pragnienie wytłumaczenia się i usprawiedliwienia podyktowało mi słowa niebezpiecznie balansujące na granicy kłamstwa, chociaż nie chcę kłamać.

I właściwie nie kłamię, tylko nader często naprawdę widzę siebie jako uczciwego, prostolinijnego faceta, napędzanego wysokooktanową szlachetnością, tyle że trochę naiwnego, łatwowiernego, bezgranicznie ufającego dobrym ludziom, dążącym dobrymi metodami do dobrych celów. I to jest moja zguba i moja tragedia, bo okazuje się, że ludzie przeważnie nie są dobrzy, nie mają dobrych celów, a ich metody działania wyciskają z innych ludzi krew i łzy, spadające na moją głowę i duszę ciężarem nie do udźwignięcia. Żal mi więc siebie, rozczulam się i wzruszam swoim losem, chociaż

tak naprawdę jestem starym, cwany Krassem, który od dziecka nikomu nie ufał, a od progu dorosłości nie miał już żadnych złudzeń co do ludzkich pragnień i motywów. Krassem, którego inteligencja pozwalała mu zawsze zachować stosowny dystans wobec świata i samego siebie, dystans wynikający z podporządkowania emocji rozumowi, z organicznej wprost niezdolności do nawiedzonych uniesień, łącznie z tą odrobiną egzaltacji i patosu, jaka jest potrzebna w miłości i przyjaźni. Krassem patrzącym na świat z pewnym przymrużeniem oka, powtarzającym u progu starości, że żyje już tylko z przyzwyczajenia i z ciekawości, co jeszcze może się przydarzyć jemu i naszej zdewastowanej planecie, potrafiącym, nawet gdy bierze udział w zdarzeniach przekraczających chłodne granice rozumu, zachować zdolność do refleksji i sceptycyzm, odgradzający go od fanatyzmu i szaleństwa proroków i pomniejszych bogów, spełniających tu, na Ziemi, swoje mniej lub bardziej obłąkane misje. Wreszcie Krassem mówiącym, że zawsze wie, co robi, chociaż czasem nie potrafi do końca wyjaśnić, dlaczego to robi. Jestem tym Krassem nadal, mimo tego, co mi się przytrafiło, a raczej, co mi się nadal przytrafia. Może zresztą tym bardziej nim jestem, im bardziej przemiana, której podlegam, wydaje się wszelkiemu ziemskiemu rozumowi niemożliwa. I dlatego nie jest prawdą albo nie do końca jest prawdą, że stworzyłem Eudaj monie po to, by studiować społeczne uwarunkowania nadzwyczajnych uzdrowień. W istocie stworzyłem ją też po to, by zostać Bogiem, pomniejszym Bogiem lub, jeśli tak można powiedzieć, Bogiem lokalnym, ważnym dla garstki ludzi, ale

mającym nad tą garstką nieograniczoną władzę, różną od władzy dyktatorskiej tym, że nie było w niej przymusu i przeciw niej oporu. Ludzie sami mi ją oddawali, znajdując w podleganiu tej władzy ulgę w cierpieniu i radość dobrej służby, dobrze wypełnionego obowiązku, dającego spokój i ufne zadowolenie. Zrobiłem to, bo pragnąłem takiej władzy zakosztować, bo od dziecka wpływanie na innych ludzi wydawało mi się jedyną rzeczą godną zachodu w nudnym świecie newtonowskiej fizyki, mechanicznej psychologii i nawykowej moralności, w którym mój umysł nie potrafił znaleźć odpowiedniej pożywki dla moich namiętności i nie chciał godzić się z ograniczeniami, jakie nakładała nań obowiązująca hierarchia wartości, uznająca wolność człowieka i szacunek dla jego osoby za naczelne reguły życia społecznego. Bo dla mnie ludzie nigdy nie byli specjalnie ważni, nawet ci, których kochałem lub podziwiałem. Mówiąc szczerze, nic nie było dla mnie specjalnie ważne i nawet nie wiem dokładnie, co to znaczy, że coś jest ważne, bowiem nigdy nie spotkałem rzeczy, osoby czy idei, bez której nie mógłbym się obejść albo której nie mógłbym zamienić na inną rzecz, inną osobę i inną ideę. Może zresztą nie przyszłoby mi to tak łatwo, jak mi się wydaje, ale jest faktem, że nie odczuwam specjalnego przywiązania ani do osób pojawiających się w moim życiu, ani do płodów mojego umysłu. Ta letniość i mała stanowczość moich życiowych wyborów męczy mnie i martwi, lecz niezbyt intensywnie. Nie stanowi mojego problemu, podobnie jak nie stanowi go właściwie nic, nawet ciekawość, która często, szczególnie teraz, kiedy wyczerpałem już

większą część mojego czasu, jest najsilniejszym motywem mojego działania, każącym mi przymykać oczy na rzeczy, mogące być przeszkodą w urzeczywistnieniu moich pomysłów lub w sprawdzeniu zajmujących mnie hipotez. Nie jest więc też do końca prawdą, że nie zdawałem sobie sprawy, kto pojawił się obok mnie w osobach Bąka, Pelca, Rosnera czy Halstema, bo Pelc przyszedł do mnie, jeszcze zanim skontaktował się z Libergiem, i powiedział, że jest oficerem kontrwywiadu, specjalistą od psychologii przesłuchań i agentem Bąka, zaś Rosnera zdążyłem poznać za pośrednictwem Pelca w Ameryce, zanim przyjechał do Polski, żeby wejść do Eudajmonii. Byłem w jego domu w Daytona Beach na Florydzie i wiedziałem, że jest pedofilem owładniętym swoimi seksualnymi pragnieniami, dla których zaspokojenia łamał prawo swojego i kilku innych krajów i którym podporządkowywał niemal wszystko, co robił. Ale przymykałem oczy, ponieważ miał wielkie pieniądze i potrzebne mi kontakty. Sądziłem zresztą, że uda mi się jakoś utrzymać kontrolę nad jego poczynaniami, co w końcu okazało się złudzeniem, choć zdołałem się tak ustawić, że nie sposób było, mimo podejmowania takich prób, bezpośrednio powiązać mnie z tym, co robił w Delcie, choć i do mnie przyłgnęła w pewnych kręgach opinia amatora zielonych jabłuszek, a w innych - tajnego agenta policji politycznej. Lecz były to plotki, tylko plotki. Chociaż moje kontakty z Bąkiem od początku były dalekie od niewinnych towarzyskich spotkań, to nie były to też odprawy agenta z prowadzącym go oficerem. Dostawałem od Bąka zawoalowane instrukcje i przekazywałem mu zawoalowane

informacje.

Obaj mieliśmy przy tym świadomość, że w istocie jest to współpraca i że za swoje pieniądze Bąk dostaje to, na czym mu zależy. Byłem tego świadomy i akceptowałem ten stan rzeczy, bo chciałem mieć swoje małe królestwo boże, w którym mógłbym bezpiecznie, pod dobrym parasolem ochronnym, sycić ciekawość i wypróbować pomysły dotyczące wspólnot uzdrowicielskich.

Nie uważam, aby moje idee były przejawem pychy i intelektualnego zacietrzewienia. Wręcz przeciwnie. Nadal wierzę, że tego rodzaju wspólnoty można tworzyć, używając lepszych, subtelniejszych socjotechnik od tych, które stosowaliśmy w Delcie i Dobru, ale żeby do nich dojść, musieliśmy przecież od czegoś zacząć i zdecydować się na to, że nasze poszukiwania mogą pochłonąć jakieś ofiary, tak jak pochłaniały je nowe koncepcje i metody w medycynie.

Oczywiście to, że przy okazji testowano nowe metody przesłuchań i wywierania presji psychicznej lub badano wpływ deprivacji i zagrożeń na lojalność i gotowość do współdziałania nie było do końca w porządku, ale, moim zdaniem, postęp w dziedzinie psychologicznych technik uzdrawiania wart był takiej ceny i byłem przekonany, że cenę tę należy zapłacić, tak jak teraz jestem gotów ponieść odpowiedzialność za moje tamtejsze decyzje, obciążone, zdaję sobie z tego sprawę, moralną dwuznacznością, a nawet, z punktu widzenia tradycyjnej, zachowawczej etyki, całkiem niemoralne. Nie chcę więc twierdzić, że byłem porządnym naiwniakiem, którego politykierzy nabili w butelkę i wykorzystali do swoich brudnych

celów, bo byłem w gruncie rzeczy ich równorzędnym partnerem, mającym nadzieję, że to mnie uda się nabić ich w butelkę i wykorzystać do swoich, może nieco mniej brudnych celów. Choć wcale nie jestem pewien czystości moich intencji, tak jak nie jestem pewny, czy i teraz nie zniekształcam prawdy, powodowany rozpaczliwym pragnieniem, aby jednak być tym dobrym, tradycyjnie moralnym i uczciwym facetem, którego okoliczności i źli ludzie zwiedli na manowce.

Porządkuję swoje papiery. Mieszczą się swobodnie w trzech niedużych kartonach z odbitymi fioletowym tuszem napisami: „półgolf damski”. To kartony jeszcze ze starego stroju, solidne, z twardej jak blacha, komunistycznej tektury. Przed dwudziestu laty zawierały szarobure, brązowe i buraczkowe bluzki, w których kobiety wyglądały jak przystało na przedstawicielki mas pracujących. Teraz spoczywa w nich dwadzieścia lat mojego życia, w postaci zadrukowanych i zapisanych kartek. Porządkuję papiery, ponieważ zaistniała możliwość, że stąd wyjdę. Jak się można było spodziewać, lewica niewysoko, ale jednak wygrała wybory, co stwarza pewnym ludziom możliwość uwolnienia mnie. Obawiam się, że mogą z niej skorzystać. Z jednej strony postawiłoby mnie to w trudnej sytuacji, bowiem zapewne nie mam dokąd ani po co wracać, choć z drugiej - mam irracjonalną nadzieję, że to nieprawda. Czternaście miesięcy spędzonych w Wetelinie należy do najspokojniejszych, najbardziej beztrudnych okresów w moim życiu, ale mimo to jakaś część mnie chciałaby powrócić do tamtego, zdawałoby się wyczerpanego, czasu

sprzed aresztowania. Dlatego boję się, że mnie stąd wyrzucą, i jednocześnie pragnę, żeby tak się stało. Wyobraźnia podsuwa mi fantazje, w których wracam do Warszawy, gdzie odzyskuję Deltę i Dobro albo obejmuję jakieś wysokie stanowisko i łudzę się, że moja popularność jeszcze całkowicie nie przeminęła. Rozum zaś mówi mi, że gra skończona, że zaczyna się rozdanie, w którym nie przewidziano dla mnie miejsca przy stoliku, i że naprawdę nie mam do czego wracać. Rozum oczywiście ma rację. Komisaryczny zarząd fundacji sprzedał to, co zostało z Eudajmonii, a także Deltę i Dobro. Duża część wyznawców uwierzyła, że jestem oszustem i zboczeńcem, inni otrząsnęli się z zauroczenia i zaczęli żyć na własną rękę albo poszukali miejsca w innych wspólnotach. Marianna i Madzia zniknęły. Moje mieszkanie spłonęło. Paulina żyje swoim życiem. Kassandra też. Moja zawodowa reputacja została bezpowrotnie zrujnowana. Środowisko uznało mnie za hochsztaplera od szklanych kulek, taniego politykiera i telewizyjnego terapeutę. Bilans, trzeba przyznać, niezbyt zachęcający. I jeszcze śmierć Bąka i Pelca. Parasol nad moją głową został nieodwołalnie zwinięty i w jego miejsce nie pojawiła się żadna inna osłona. Poza tym te dwie śmierci wysuwają mnie na czoło niewielkiej grupy żyjących, którzy dużo wiedzieli o sprawach szacownych nieboszczyków, pochowanych, tak jak przewidywałem, z wszelkimi szykanami, salwami i biskupami. Jeśli nie miałem racji i Bąk z Pelcem nie zabili się nawzajem, to i ja mogłem podzielić ich los wraz z byłą Miriam i generałem Penarem, którym w pewnym sensie już to zwiastowano.

Wszak Maria Klemencja Darn, niczym pijana Pytia, wygłosiła proroctwo.

Szkopuł w tym, że według jej przepowiedni to ja, zabiwszy uprzednio Bąka, miałem zabić ją i generała. Kto w takim razie zamorduje mnie, jeśli miałby to zrobić?

Nie zabiłem Bąka. Przynajmniej w tej rzeczywistości i w tym strumieniu czasu. Może więc, jeśli wróżba była w tym punkcie fałszywa, to fałszem były też jej pozostałe człony? A może to nie była żadna wróżba, jak mi się zdawało, ale bełkot pijanej wariatki? Może. Tylko że Miriam, co wiedziałem teraz na pewno, nie była wariatką i, skoro przeszła przemianę, to tak jak inni nie mogła się upić. Poza tym w swoim oskarżeniu użyła słowa „przetransferować” w taki sposób, w jaki tylko ja go używałem w rozmowie z księdzem Weise i w tych notatkach. Być może był to przypadek. A jeśli nie był? Nie wiem, więc i dlatego porządkuję papiery. Niektóre czytam dopiero teraz, jak choćby te pochodzące z cienkiej, tekturowej teczki, ofiarowanej mi przez księdza Weise. Na teczce ktoś, najpewniej sam ksiądz, napisał zielonym atramentem: „Krass - ważne”. Skąd on wie, co jest ważne?

Teczka zawiera w większości pokwitowania na różne sumy pieniędzy przekazywane różnym osobom, głównie wyznania prawosławnego. Prawdopodobnie były to łapówki, o których wspominała pani Wanda, mające nakłonić te osoby do głosowania na mnie w pamiętnych wyborach do Senatu.

Pomiędzy tymi kwitami jest kilka innych pism, z których wynika, że Weise pośredniczył też w przekazywaniu jakimś ludziom

kwot pochodzących z budżetu UOP i MSW. Ci z kolei byli prawie wyłącznie katolikami. Być może ksiądz Weise sądził, że ważne jest, abym wiedział, że Bąk po cichu starał się torpedować zamiary kościoła, nawet gdy je głośno popierał. Albo żebym wiedział, iż był agentem Bąka. Wbrew pozorom nie było to dla mnie ważne ani wtedy, ani tym bardziej teraz. Nie było też ważne pismo, które przytaczam, jako swego rodzaju ewenement. Zostało ono sporządzone po niemiecku, ale do oryginału załączono tłumaczenie.

Monachium, 23.09.1997 r.

Ksiądz Proboszcz Jan Weise

Parafia Wełelina

Polska

Dotyczy przypadku Jana Krassa, lat 50.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Na skierowane do mnie przez Księdza pytania udzielam, wedle mojej najlepszej wiedzy, następujących odpowiedzi: 1. Opisane przez księdza zmiany w zachowaniu ww. mężczyzny, ze szczególnym uwzględnieniem spontanicznego ustąpienia objawów alkoholizmu, niczym nieuzasadnionej radykalnej poprawy zdrowia fizycznego i dobroczynnego wptywu na rośliny nie mieszczą się w obrazie klinicznym opętania.

2. Zdarzenia, które nastąpiły po porażeniu ww. mężczyzny prądem elektrycznym, nie noszą znamion zstąpienia na niego złego ducha.

3. Brak typowych objawów, takich jak mówienie różnymi

głosami, używanie nieznanymi uprzednio języków, wypowiedzianie treści obscenicznych i świętokradczych, występowanie drgawek, utrata wrażliwości na ból w różnych częściach ciała, unoszenie się w powietrzu, poruszanie przedmiotów na odległość, pozwala sądzić, że ww. Jan Krass nie uległ opętaniu przez demony lub demona.

4. Zjawisk i zmian opisanych przez Księdza, włącznie z gwałtowną utratą wiary, nie potrafię wytłumaczyć na gruncie mojej specjalności. Zamysły boże są niezbadane i dlatego sądzę, że należy temu człowiekowi udzielić pomocy duchowej i czekać.

Pozdrawiam Księdza i polecam Boskiej Opatrzności

Carl Gustaw Alt S.J., egzorcysta

Zasięgając konsultacji egzorcysty, Weise użył mojego nazwiska, ale opisał własne przejścia. Być może zakładał i to nie bez racji, że mam za sobą podobne do niego doświadczenia. Prawdopodobnie już wtedy, w 1997 roku, nie znając mnie osobiście, podejrzewał, że jestem opętany przez złego ducha i że nasze rzeczywistości skrzyżowały się bez naszej wiedzy, w wyniku czego on również stał się ofiarą demona.

Niestety, zły duch nie miał nic wspólnego z moimi i jego doświadczeniami, i prawdopodobnie to chciał mi przekazać.

W jednym z pudełek po komunistycznych damskich bluzkach znalazłem jeszcze i ten tekst, napisany przez trzynastoletnią wówczas Nelę Sabatównę, cudowne dziecko skrzypiec o skrzącej się niepokojąco inteligencji i jednocześnie anorektyczkę, pogrążoną w kompulsjach, obsesyjnych lękach i dziwacznych rytuałach.

Rozdział póki co pierwszy

W Eudajmonii jest ekstra, czyli fajnie, czyli w porządku, chociaż mama wygaduje na nasze mieszkanie, że „prymityw”. Wcale nie. Mamy dwa pokoiki połączone łazienką, w której jest wanna, natrysk w kabinie i nawet bidet. W moim pokoju jest biurko, tapczan, fotel, regał, telewizor i szafa. Jak dla mnie to wystarczy. Mama ma u siebie to samo i jeszcze dodatkowo okrągły stolik z trzema fotelikami. Naprawdę jest w porządku, ale mama wygaduje, bo wyżej sra niż dupę ma, jak mawia o niej Micia, nasza „pani sprzątająca”, do swojej koleżanki po fachu spod dwunastego. Tacie by się tu podobało, ponieważ, w ocenie pani Mici, jest równy, co prawdopodobnie oznacza, że nie sra ani poniżej, ani powyżej swojej dupy, tylko w sam raz. Ale tata pojechał do swojej kochanki, Adelajdy, z którą zdradził mamę dwa lata temu. Adelajda to miasto w południowej Australii, gdzie tata prowadzi prima orkiestrę symfoniczną. Wcześniej zdradzał mamę z Augustą w stanie Maine w USA i z Kolonią w Niemczech, a mama jego tylko raz i na krótko z Washingtonem też w Ameryce - wtedy nie było mnie jeszcze na świecie.

Do tej Adelajdy nie mogliśmy z tatą pojechać, bo ja jestem chora. Jestem chora na głowę, czyli na rozum, czyli na psychikę, co nie przeszkadza, że od tej choroby nie wyrosły mi piersi ani włosy pod pachami i tam na dole, jak innym moim koleżankom. Nie mam też tak zwanego okresu, czyli miesiączki, czyli cioty i ważę 37 kilo. No i bardzo dobrze. Wcale nie chcę mieć piersi ani cioty, ani wałeczków tłuszczu na biodrach. Te podrygujące woreczki z przodu są

obrzydliwe, tak samo jak konieczność noszenia w majtkach jakichś podkładów i pieluszek przesiąkniętych krwią. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. Nie chcę być kobietą, chociaż z drugiej strony nie chciałabym też być mężczyzną, z tymi jego wiszącymi i majtającymi rzeczami. Najbardziej odpowiada mi bycie tym, kim jestem teraz, czyli dziewczynką, już nie tak małą, żeby ją traktować jak zupełnie dziecko, ale i nie tak dużą, żeby jej groziło przedzierzgnięcie się w kobietę za pomocą nagłego krwotoku spomiędzy nóg.

Moja choroba nazywa się jadłowstręt psychiczny. Brzmi to okropnie i jest w dodatku całkowicie mylące i głupie, bo ja nie odczuwam żadnego wstrętu do jedzenia. Wręcz przeciwnie. Na myśl o niektórych smakołykach aż mnie skręca z głodu. Ale nie mogę jeść, bo kiedy sięgam po kanapkę, kotlet, ziemniaka albo cokolwiek innego w tym rodzaju, słyszę w głowie głos, który zakazuje mi jedzenia i ostrzega przed jego skutkami w postaci grubych ud, wielkiej pupy, pyzatyh policzków, wyrostu piersi, porostu włosom w różnych miejscach i wycieku krwi z cipki. Ten sam głos każe mi powtarzać w nieskończoność różne słowa albo pytania, wycierać szmatką wszystkie miejsca w moim pokoju, których dotknie mama (choć bardzo mamę kocham) i myć się zawsze w określonej kolejności (pachwiny, pachy, palce - każdy z osobna, piersi, pięty, plecy, policzki, pośladki, barki, brodę, boki, brzuch, cipkę, czoło, dziurki - w cipce i w pupie, głowę, kolana, kostki, łokcie, łydki, nos, oczy, szyję, uda, wargi, włosy, zęby). Jeśli tę kolejność pomylę, głos nakazuje mi

zaczynać całą listę od nowa, przez co, gdy jestem nieuważna, moja kąpiel trwa kilka godzin. Nazywam ten głos „pokusą”, bo wciąż mnie do czegoś kusi, a jeśli usiłuję temu nie ulegać, czuję strach i w całym ciele takie dziwne łaskotanie, które jest strasznie niemiłe i które nie pozwala mi ani na chwilę przestać myśleć o tym, do czego namawia mnie głos, aż w końcu robię to i łaskotanie ustaje. Kiedy tłumaczę to dorosłym (dzieciom niczego nie tłumaczę), oni nie mogą nic zrozumieć i dziwią się, jak z powodu łaskotania można myć się trzy godziny, sześćdziesiąt razy podciągać rajstopy, mimo że nie ma na nich nawet mikroskopijnej zmarszczki lub przez godzinę pytać mamę w kółko, czy na pewno przyjdzie po mnie pod szkołę, chociaż ona za każdym razem odpowiada, że na pewno przyjdzie.

Tylko pan Krass to rozumie. Przecież to oczywiste - mówi - że jak nas ktoś naprawdę taskocze, to, chociaż się śmiejemy, wcale tego nie chcemy i pragniemy ze wszystkich sił, żeby się wyrwać i uciec od tego łaskotania, bo łaskotanie to tortura.

Pan Krass jest terapeutą i chyba jeszcze kimś bardzo ważnym. Leczy mnie z jadtowstrętu i tych innych świrów, które każe mi robić „pokusa”. Na jego zaproszenie przyjechałyśmy z mamą do Eudajmonii, żeby leczenie było bardziej intensywne. To był świetny pomysł, bo jest tu naprawdę ekstra. Fajne jezioro, las, w porządku ludzie. Jest tu nawet kilkoro dzieci (dokładnie ośmioro), młodszych wprawdzie ode mnie (tylko jeden Łukasz ma 14 lat, ale on jest chory na raka i mało się udziela), ale można się z nimi pobawić. Wszyscy są na coś chorzy, choć przeważnie tego nie widać. Jeden chłopiec,

Piotrek z czwartej klasy, jest chory na to, żeby być dziewczynką (czemu się wcale nie dziwię) i pan Krass pozwolił mu, jeśli chce, ubierać się jak dziewczynka. Kiedy go poznałam, myślałam, że jest dziewczynką, ale on zaprowadził mnie do lasu i tam pokazał mi, co ma między nogami i prosił, żebym mu pokazała, co ja tam mam, bo on chciałby chociaż popatrzeć, jak nie może tego mieć. No to mu pokazałam. Nigdy nie myślałam, że może być taka choroba, ale może. Ten Piotrek jest naprawdę chory na dziewczynkę i bardzo cierpi, że jest chłopcem.

W Eudajmonii jest też superekstra dlatego, że nie ma tu szkoły i nikt nie musi do niej chodzić. Pan Krass powiedział, że jak ktoś chce się czegoś dowiedzieć albo nauczyć, to ma poszukać dorosłego, który mu odpowie na pytanie albo go tego, o co mu chodzi, nauczy. Ja raz chciałam się nauczyć czegoś o Adelajdzie i o Wyspie Kangurów, o której pisał tata, więc powiesiłam na tablicy ogłoszenie, że poszukuję nauczyciela i zgłosiła się do mnie jedna pani, z którą miałam trzy lekcje na ten temat. Były to ekstra lekcje, nienudne i dużo się dowiedziałam.

Szkota to straszne miejsce, przynajmniej dla mnie. Pan Krass powiedział kiedyś, że jest to organizacja zbrodnicza i faszystowska czy jakoś tak, i ja się z nim zgadzam. W szkole zawsze się boję i zawsze czuję się nie w porządku, jakbym zrobiła coś złego, zakazanego albo przynajmniej jakbym nie zrobiła nic dobrego, chociaż mam zawsze same piątki i szóstki. Umieram ze strachu, że ktoś z nauczycieli powie przy klasie coś na mój temat, co spowoduje,

że wszyscy będą rechotać, tak jak wtedy, gdy pani od biologii powiedziała, że dobrze by było, żeby Karolina (najgrubsza w klasie, prawdziwy, wielkopupy grubas) się ode mnie zaraziła moją chorobą i kazała nam usiąść w jednej ławce, przez co dzieci zaczęły nas nazywać Flipka i Flapka. Tutaj czuję się świetnie, jak na fajnych wakacjach. Nawet ćwiczyć mogę, tyle ile chcę i jak chcę. Gram więc dużo jazzu i muzyki rozrywkowej na elektrycznych skrzypcach, co oczywiście nie podoba się mamie, ale nic nie mówi, bo tu wszystkim rządzi pan Krass, a on pozwala mi grać, co chcę.

Wszyscy tutaj bardzo szanują pana Krassa i słuchają go, jak grzeczne dzieci tatusia. Ja go kocham bardziej niż tatę i Jezusa. Piotrek, ten chtopakdziewczyna, też go kocha i Łukasz, i pani Górecka, ta która uczyła mnie o Australii, i w ogóle wszyscy. Moja mama też go kocha i stara się to przede mną ukryć, ale ja wiem. Jestem oczywiście zazdrosna. Chciałabym, żeby pan Krass tylko mnie lubił, a może nawet coś więcej, i wydaje mi się, że trochę tak jest, szczególnie kiedy jesteśmy tylko we dwoje, na terapii albo na spacerach, na które mnie czasem zaprasza. Ale chodzi też, niestety, na spacerach z innymi i prawie wszyscy mają z nim terapię. Żyje się tutaj bardzo fajnie. Od 8 rano do 10 jest śniadanie w naszej restauracji, ale można je sobie, jak w hotelu, zamówić do pokoju. My z mamą zawsze jemy w pokoju wszystkie posiłki, bo ja jem bardzo wolno i nie mogę tego robić przy ludziach. Potem można robić, co się chce. Ja mam od 11 do 12.30 terapię z panem Krassem, więc muszę się trochę spieszyć ze śniadaniem, żeby zdążyć się ubrać i pójść do jego gabinetu.

Ubieram się zawsze bardzo starannie (mama mówi, że się stroję), w sukienki albo w spódniczki i bluzki, bo pan Krass powiedział kiedyś, że nie podoba mu się, kiedy dziewczęta noszą spodnie.

Po terapii znów można robić, co się komu podoba. Od 15 do 17 jest obiad. Ja znów od 17 do 18 mam godzinę autoterapii, kiedy wykonuję ćwiczenia i zadania przeznaczone dla mnie przez pana Krassa. Mama ma w tym czasie terapię grupową z panem Bonaro. Od 19 do 20 jest kolacja, a o 20 w dużej sali odbywa się dla wszystkich wspólna sesja terapeutyczna z panem Krassem. Zazwyczaj trwa ona 2-3 godziny, czasami dłużej, i potem, kiedy kto chce, idzie spać. Jeśli ma kłopoty ze spaniem, to zawsze może pogadać z „nocnym terapeutą”, którym bywają na zmianę pan Krass, pan Liberg, pan Bonaro albo pani Fłejmer. Ja oczywiście nie mogę spać, kiedy dyżur ma pan Krass. Przychodzi wtedy do mnie i gadamy, gramy w szachy albo po prostu siedzi na moim łóżku, a ja mogę się do niego przytulić i zasnąć.

Prawie dla wszystkich tutaj najważniejszym punktem dnia jest wieczorne spotkanie z panem Krassem, które między sobą nazywamy „wielką sesją”. Ja wolę spotkania z nim w jego gabinecie. Na wielkich sesjach jest przeważnie jak w kościele, uroczyście i nudno. Nie można rozmawiać, nie wolno chodzić ani w ogóle ruszać się, bo to rozprasza koncentrację. Należy robić tylko to, co każe pan Krass, który jest wtedy bardzo poważny i skupiony. W czasie naszej terapii jest całkiem inny. Często się śmieje, żartuje, opowiada różne historie, wymyśla zagadki. Czasami mówi do mnie jak do małego dziecka,

jakby wiedział, że bardzo lubię być niekiedy tak traktowana (przede wszystkim przez mamę), chociaż mu nigdy tego nie mówię, bierze mnie na kolana, zachęca, żebym sobie pobyła maluchem, a on udaje moją mamę. Raz nawet nakarmił mnie z butelki ze smoczką, którą dla mnie przygotował. Było to bardzo miłe, mimo że się trochę wstydziałam, ale tyle co nic. Jak z mamą, której się wcale nie wstydzę. Są też oczywiście chwile poważne, kiedy pan Krass patrzy mi w oczy, trzyma za ręce, w których mam kulki i powtarza, żebym się skupiła na myślach podsuwanych mi przez „pokusę” i wyobraziła ją sobie jako prąd elektryczny płynący z mojej głowy i ciała do kulek. Ja się bardzo staram to sobie wyobrazić i często czuję mrowienie i szczypanie tego prądu w różnych miejscach, najczęściej między nogami i mam ochotę się tam dotykać, ale przy panu Krassie tego nie robię. Dotykałam się tam, jak byłam dużo młodsza i, chociaż mama o to na mnie krzyczała, nie potrafiłam się powstrzymać. Powiedziałam o tym panu Krassowi i on mi wytłumaczył, że to nic złego, tylko powinnam uważać, żeby nie robić tego przy ludziach, bo to czynność intymna, tak jak siusianie albo wypróżnianie się, a tych czynności przecież nie robi się publicznie. To tłumaczenie bardzo mnie uspokoiło, bo lubię się dotykać i jeszcze przyjemniej jest to robić wiedząc, że nie jest to nic złego.

Po sesji z panem Krassem jestem najczęściej spokojna i senna, a „pokusa” na długie godziny znika z mojej głowy. Pewnie siedzi uwięziona w czarnej kulce pana Krassa (którą zawsze trzymam w prawej ręce, w lewej mam białą), zamknięta tam jego czarami. Bo pan

Krass jest czarodziejem, który świeci czasami jak anioł. Autoterapię też lubię. Kładę się wtedy na moim tapczanie i „przerabiam” w myśli wszystkie ćwiczenia, które zadaje mi pan Krass. Polegają one głównie na tym, żeby dopuścić do głosu „pokusę”, zanurzyć się całkowicie w jej myślach i nakazach, i spełniać je wszystkie w wyobraźni, w rzeczywistości nic nie robiąc, oprócz trzymania w lewej ręce białej kulki. Pan Krass każe mi nawet przywoływać „pokusę”, jeśli siedzi cicho, zamknięta w czarnej kulce, i zmuszać ją do „roboty”, czyli do dręczenia mnie swoimi żądaniami, ale tak naprawdę, to ja ją dręcę, każąc jej wciąż od nowa recytować swoje rozkazy i spełniając je bez szemrania, ale tylko w wyobraźni. W ten sposób robię ją w konia, bo podporządkowuję się na niby, w głowie, w nieistniejącej rzeczywistości. Prawie zawsze w trakcie tych wyobrażeń zaczynam się dotykać coraz mocniej i szybciej, aż robi mi się błogo i wtedy zasypiam, spocona i zasapana. Budzi mnie dopiero powrót mamy i jej krzątanie się w łazience. Po autoterapii nigdy nie mam myśli ani żadnych przymusów.

Najczęściej wtedy ćwiczę albo, jak ostatnio, układam taki kaprys na skrzypce solo, który chcę podarować panu Krassowi.

Potem z ważnych rzeczy jest już tylko wielka sesja. Punktualnie o 20 wszyscy przychodzą do dużej sali i siadają na fotelach pod ścianami w wielkim kręgu. Kilka minut później wchodzi Pan Krass, najczęściej z panią Lusią albo z panem Libergiem. Bardzo lubię tę chwilę, bo on wtedy przepięknie wygląda. Jest cały ubrany na biało. Ma białe spodnie i białą bluzę zapiętą pod szyję, białe buty i skarpetki,

na ramionach ma długą do ziemi białą pelerynę, a na głowie maty, biały berecik ze sterzącą antenką. Widać tylko jego twarz i dłonie, które wśród tej bieli jakby świecą słabym, żółtawym blaskiem. Ja myślę, że one naprawdę świecą, ale mama mówi, że to tylko w mojej wyobraźni tak się dzieje. Może ma rację, chociaż znam przecież dobrze swoją wyobraźnię i podczas wejścia pana Krassa do sali na pewno sobie niczego nie wyobrażam.

Pan Krass podchodzi do swojego fotela, siada w nim jak jakiś biały król i mówi: „zaczynamy”.

Pan Liberg, kiedy zapytałam go o ten biały strój, powiedział mi, że to jest specjalne „ubranie koncentrujące”, które pomaga panu Krassowi skupić się i kierować swoją dobrą energią na nasze chore miejsca, bo biały kolor nie pozwala się tej energii rozpraszać na boki bez pożytku.

Po komendzie „zaczynamy” wszyscy po kolei mówią, jak się czują, jak im minął dzień, co robili i jakie myśli przychodziły im do głowy. Trwa to strasznie długo, bo dorośli mają mnóstwo do powiedzenia i gadają bez końca. Za to dzieci mówią zawsze krótko. Pan Krass słucha wszystkich uważnie, czasami zadaje, a czasami odpowiada na pytanie, najczęściej jednak siedzi nieruchomo, patrząc gdzieś w górę, ponad głowami ludzi, jakby oglądał tam ciekawy film. Niekiedy patrzę w to samo miejsce co on i usiłuję wyobrazić sobie ten film, który on widzi, ale to mi się nie udaje, bo robi się z tego zawsze mój film, tyle że czas szybciej mija.

Znacznie częściej, korzystając z półmroku panującego w sali,

wkładam sobie ukradkiem rękę pod spódniczkę i dotykam się w tym miejscu, gdzie jest to najprzyjemniejsze, dzięki czemu mogę wytrzymać tę okropnie długą i nudną część sesji. Przyznałam się do tego panu Krassowi, a on powiedział, że to nic nie szkodzi i że mam prawo robić, co mi się podoba, więc sobie robię to, co lubię, bez wstydu i poczucia winy, uważając tylko, żeby mnie nikt na tym nie przyłapał.

Kiedy wreszcie wszyscy już powiedzą swoje, pan Krass wstaje z fotela i podchodzi do jakiejś osoby, która też wstaje, i zaczyna się druga, najważniejsza część wieczoru. Pan Krass patrzy w jakiś punkt na ciele tej osoby, potem bierze od niej czarną kulkę i na chwilę zamyka ją w swoich dłoniach. Wydaje mi się, że wtedy ich blask na moment przygasa, jakby wchłonęły w siebie trochę czerni z kulki, i znów wraca do poprzedniego stanu. W zupełnej ciszy pan Krass przechodzi od osoby do osoby, podczas gdy pani Lusia albo ktoś inny, kto mu asystuje, zapala rozmieszczone w różnych miejscach sali pęki kadzidełek, tak że po chwili wszędzie czuje się ich słodkawy zapach, a dym rozplywa się w powietrzu niebieskimi pasmami. Pod koniec tej części sesji jest go tyle, że wszyscy stoimy jakby we mgle. Zapach i dym kadzidełek, tak jak biały kolor, pomaga w koncentracji dobrej energii.

Kiedy pan Krass obejdzie już wszystkich obecnych (dzieci oczywiście też) i dotknie wszystkich kulek (ja swoją noszę w maleńkim, skórzanym woreczku na szyi) staje na środku kręgu i prosi, żebyśmy zamknęli oczy i wyobrażali sobie, że opuszczamy swoje

ciała.

„Poczuj - mów - że twoje życie, twój oddech, twoje krążenie krwi, twoje trawienie, twoje wydalanie, twoje myśli i uczucia, wszystko, co dzieje się w twoim ciele, opuszcza je i unosi się swobodnie w przestrzeni, aż trafia na inne ciało, identyczne jak to, które opuściło, ale zdrowe i sprawne, i wchodzi w nie, znajdując swoje właściwe miejsca - oddychanie w płucach, krążenie krwi w żyłach i tętnicach, trawienie i wydalanie w jelitach i moczowodach, myśli i uczucia w mózgu, poczuj, jak twoje życie wypełnia to nowe ciało, krąży w nim, obejmuje je we władanie, jesteś teraz ten sam, ale inny, nie zmieniłeś się, ale przeszedłeś do innej rzeczywistości, w której jesteś zdrowy, doświadcz tego swoim umysłem, poczuj to swoimi zmysłami, uwolnij się, zostań w tym miejscu najdłużej, jak potrafisz, a potem idź do siebie i połóż się spać”.

Moje nowe ciało jest piękne. Mam gładką, nieowtosioną w żadnym miejscu poza głową skórę i zgrabną figurę. Nie jestem chuda, ale cudownie szczupła z małymi (trudno!), ale twardymi piersiami i ze zgrabną, jak mówi babcia Sabatowa, pupą niczym orzeszek. Moje nogi nie są już kościste, ale długie i toczone.

Czuję się jak najlepsza wiolonczela, jak skrzypce Stradivariego, leciutkie i zdrowe. Unosząc moją skrzypcową duszę, idę spokojnie przez dziedziniec do swego pokoju, a wraz ze mną idzie cała orkiestra, skrzypce, basy, trąbki, altówki, puzony, klarnety, fagoty, nowe i dźwięczne, w końcu rozchodzą się do swoich pokoi, znikają. Jestem zmęczona. Nie zapalając światła, rozbieram się szybko i zasypiam

otulona kołdrą, wsłuchana w życie krążące w moim nowym ciele.

Tekst nosi tytuł „Akademia Pana Krassa” i najwyraźniej stanowi część zamierzonej przez autorkę większej całości. Został mi przekazany przez matkę

Neli po śmierci dziewczynki. Była ona jedną z moich ulubionych pacjentek i poświęcałem jej dużo uwagi. Po czterech miesiącach pobytu w Eudajmonii miała ciało prawie takie, jak opisała je w swojej fantazji. Ustąpiły też obezwładniające ją natręctwa i lęki. Niestety, po dalszych sześciu miesiącach, już oczywiście w domu, ujawnił się u niej wyjątkowo złośliwy rak macicy z błyskawicznymi przerzutami do pochwy, jajników, a potem do całego układu limfatycznego. Umarła, mając niespełna piętnaście lat, po niewyobrażalnych, choć na szczęście krótkich męczarniach. Ja i cała miska moich szklanych kulek nic nie potrafiliśmy na to poradzić.

Na temat zabójstwa Pelca i śmierci Bąka zapadła cisza. Lewica po wygraniu wyborów zajęła się wywalaniem z posad tych, których umieściła na nich prawica, czyli dokładnie tym samym, czym zajmowała się prawica po zwycięstwie w poprzednich wyborach.

Wielka czystka, tak jak i wtedy, przebiega bez hałasu. Nie słychać poszczekiwania na siebie osobistości z obu stron sceny politycznej, nie ma afer i skandali. Społeczeństwo też pogrążyło się w ciszy. Ustały demonstracje i protesty.

W ogóle panuje cisza, jakby rzeczywistość zamarła, przerażona perspektywą zrobienia kroku w nowe tysiąclecie. Prawdopodobnie coraz więcej ludzi podlega przemianie, a ona powoduje ich zwrócenie

się w stronę własnych dusz, a tym samym rozbija konsensualną, wspólną rzeczywistość na mrowie prywatnych światów, które krzyżują się ze sobą coraz rzadziej. W pokazywanych w telewizji tłumach wypełniających przedświąteczne ulice coraz więcej osób nosi na twarzach dostrzegalne dla mnie symptomy transformacji, wyzierające z oczu skierowanych w przestrzeń, poza granicę, za którą rozpościera się inna rzeczywistość. Przemienieni są samotni. Zanurzeni w swoich prywatnych rzeczywistościach i strumieniach czasu nie krzyżują ich z rzeczywistościami i strumieniami czasu innych. Dlatego nie powstaje wspólnota ani konsensualną rzeczywistość tej wspólnoty, zwana życiem społecznym, w której dzieją się dla wszystkich takie same zdarzenia i gdzie powstają wspólne motywy działania, czyli interes społeczny. Przy jego braku, oparta na nim organizacja społeczna rozpada się i jej instytucje, z państwem na czele, coraz częściej działają bez specjalnego zainteresowania obywateli. Coraz rzadziej odbywają się imprezy kulturalne, spektakle i prezentacje sztuki, ponieważ przestaje funkcjonować wspólna płaszczyzna odbioru zawartych w nich przekazów. Nawet zawody sportowe stają się rzadkością, bo przemienionych nie interesuje proponowana przez nie forma rywalizacji wysoko wyspecjalizowanych, prawdopodobnie częściowo cyborgizowanych zawodowców.

Rozpadają się też materialne nośniki konsensualnej rzeczywistości. Gazety i inne media pełne są doniesień o niespodziewanych zawaleniach się budynków, pożarach, osunięciach

się ziemi, zniknięciach rzek i podobnych katastrofach. Tylko w ostatnim miesiącu w Warszawie zawaliło się dziewiętnaście budynków, w których mieściły się głównie urzędy i banki. Najgłośniejsze było zawalenie się części gmachu sądów przy dawnej ulicy Świerczewskiego, a obecnie Alei Solidarności, oraz runięcie w gruzy głównego budynku Ministerstwa Edukacji Narodowej w Alei Szucha, dawniej Pierwszej Armii Wojska Polskiego.

Miały też miejsce gwałtowne osunięcia się gruntu w różnych częściach kraju, w wyniku których powstały olbrzymie dziury w ziemi. W stolicy do takiego osuwiska przy ulicy Kujawskiej wpadł Urząd Skarbowy Dzielnicy Mokotów. Do innej dziury, wraz z osuwającą się ziemią, zwałił się pałac Mostowskich, mieszczący Stołeczną Komendę Policji. We Wrocławiu do dziury wpadła politechnika i gmach Urzędu Wojewódzkiego. W Lublinie w dziurze zniknął Wydział Filozoficzny Katolickiego Uniwersytetu Ludowego, a w Gdańsku sławny kościół pod wezwaniem św. Brygidy.

Splonęły doszczętnie teatry w Toruniu, Kaliszu i Częstochowie. W Warszawie spaliła się Centralna Biblioteka Wojskowa i Muzeum Niepodległości, dawniej Muzeum Lenina. W Szczecinie pożar strawił filharmonię i Urząd Prezydenta Miasta. W Poznaniu splonęła aula Uniwersytetu Adama Mickiewicza i główna hala wystawowa Targów Poznańskich.

W ciągu jednej nocy zniknęła rzeka Biebrza wraz z dopływami, pozostawiając po sobie tylko szybko wysychające bagna. Podobny los spotkał San i kilka pomniejszych rzek. Hydrologzy stwierdzili, że, z

nieznanych przyczyn, źródła zasilające te ciek wodne nagle zaprzestały swojej działalności, zaś woda wypełniająca ich koryta najprawdopodobniej błyskawicznie spłynęła do wnętrza Ziemi przez prowadzące tam szczeliny i wloty, których jednak nie udało się znaleźć. Gwałtowne obniżanie się poziomu wody zaobserwowano też w jeziorze Śniardwy. Specjaliści podejrzewają, że w jego dnie nastąpiło wielkie osunięcie się ziemi i „mazurskie morze” jest właśnie w trakcie wpadania do dziury. I tak dalej. Wymieniam tu tylko zdarzenia o zasięgu niejako ogólnopolskim, ale gazety i radio donoszą o setkach podobnych wypadków, tyle że na mniejszą skalę, dziejących się w dziesiątkach miast, miasteczek i wsi. Fakt, że gdzieś wpadł do dziury urząd gminny, bank spółdzielczy czy posterunek policji jest odnotowywany już tylko przez lokalną prasę i to nie na pierwszych stronach.

Do takich wydarzeń należał prawdopodobnie pożar kościoła księdza Weise, choć liczba ofiar lub domniemanych ofiar była tu wyjątkowo wysoka, bowiem większość katastrof miała miejsce w nocy, kiedy zniszczone obiekty były puste i dlatego, w stosunku do rozmiaru owych kataklizmów, zginęło w nich niewielu ludzi. Znacznie więcej jest zaginionych i przepadłych bez wieści, gdyż poszukiwania w ogromnych gruzowiskach czy przepastnych dziurach są bardzo trudne.

Transformacja przejawia się również w zmianach branych początkowo za nieznane choroby, jak i w nagłych ozdrowieniach z przypadłości aż nadto dobrze znanych. Najpowszechniejszym tego

rodzaju fenomenem jest następujące z dnia na dzień zanikanie uzależnienia od alkoholu i narkotyków. Całe rzesze alkoholików i narkomanów stwierdzają któregoś dnia, że nie mogą się upić ani zaćpać. Stopniowo też zanika u nich utrzymujące się początkowo łaknienie tych używek, aż do zupełnego wobec nich zubożenia.

W ciągu dwóch minionych lat sprzedaż napojów wysokokowych spadła o 70 procent, a rynek narkotyków prawie przestał istnieć. Pierwszy z tych faktów spowodował zresztą bardzo poważne trudności budżetowe państwa, w którego dochodach sumy pochodzące z monopolistycznego handlu alkoholem i nałożonej nań akcyzy stanowiły bardzo znaczące pozycje.

Najpowszechniejszą z nieznanych chorób jest ogarniająca co pewien czas całe obszary kraju epidemia tak zwanej depresji wegetatywnej, polegającej na odczuwaniu przez chorego stałego, bezprzedmiotowego lęku zlokalizowanego w żołądku w postaci, jak to często określają pacjenci, „szamoczącego się szczura” oraz towarzyszących temu ustawicznych mdłości powodujących odruchy wymiotne i torsje. Poza tym, co wydaje się zrozumiałe, u chorego występuje obniżenie nastroju i apatia. Stan taki utrzymuje się zazwyczaj przez kilka tygodni do kilku miesięcy i stopniowo zanika, aby u człowieka, który go przeżył, już nie powrócić. Choroba nigdy nie atakuje dzieci do 16 - 17 roku życia i jest oporna na wszelkie próby leczenia zarówno farmakologicznego, jak i psychoterapeutycznego. Najczęściej występuje na terenach położonych wzdłuż wschodniej granicy, ale jej fale przetaczają się też

co jakiś czas przez Śląsk i Pomorze. W centrum kraju i w okolicach Warszawy atakuje tylko stosunkowo niewielkie grupy ludzi. Największe jej ogniska notuje się wśród nauczycieli, pielęgniarek i drobnych urzędników.

W ciągu ostatnich trzech lat w zasadzie zaprzestano bezowocnych prób leczenia depresji wegetatywnej, uznając ją w końcu za coś naturalnego i normalnego. Przyjęto, że jest ona rodzajem stadium rozwojowego, przez które przechodzi większość ludzi po osiągnięciu biologicznej dojrzałości (przynajmniej w naszym kraju), i skupiono się nad doskonaleniem środków przeciwwymiotnych. W rzeczy samej wygląda na to, że przeżywany w trakcie depresji wegetatywnej lęk, smutek i apatia są jedynymi punktami, w których prywatne rzeczywistości chorych krzyżują się, a ich strumienie czasu biegną do tego samego zlewiska. W ten sposób powstaje jakby jednowymiarowa, konsensualna rzeczywistość tych osób, w której głównym wspólnym doświadczeniem są stale nudności i wymioty.

Mimo tych wszystkich wydarzeń w kraju panuje cisza. Katastrofy i epidemie bynajmniej jej nie zakłócają, dziejąc się niejako bez uwagi i emocjonalnego zaangażowania ludzi. To, że gdzieś jakiś urząd wpadł do dziury albo zniknęła rzeka, płynąca tu zawsze, nie budzi żywszych uczuć ani zainteresowania przemienionych, którzy borykają się z lękiem i potrzebą puszczania pawia. Tkanka życia społecznego rozłazi się bezgłośnie niczym pajęczyna.

W Wetelinie też jest cicho. Miłosierny śnieg przysypał wszystko grubą warstwą, tłumiąc nawet odgłosy natury. Na razie nie nastąpiły

żadne wydarzenia, których się mniej lub bardziej świadomie spodziewałem. Nikt nie próbował się ze mną skontaktować. Z Warszawy nie nadeszły żadne nowe dyspozycje w mojej sprawie. Uporządkowane papiery spoczywają w pudełkach po komunistycznych bluzkach, te zaś kartki wkładam do czwartego kartonu, kolorowego i pachnącego, z napisem „Fa”.

Od czasu rozmowy związanej ze śmiercią Bąka właściwie się nie spotykamy. Mijamy się tylko, z daleka wymieniając ukłony. Maria Klemencja za każdym razem patrzy na mnie oczami należącymi do Miriam i odklania się ze zwykłą u niej gracją, jakby nigdy nie wygłosiła swego oskarżenia i ponurego proroctwa. Kalina i Penar chodzą razem do baru, gdzie piją „Absolut” i jeden przed drugim udają pijanych. Pani Wanda chadza na spacerzy z barmanem Kotela, skądinąd postawnym mężczyzną, jednym z więźniów kryminalnych, pełniących tu różne pomocnicze funkcje. Bigler i Taborski rzadko się pokazują.

Kubicki spaceruje już bez strażnika. Cisza.

Radio podało, że wczoraj w nocy do dziury wpadł Giewont.

Po wieczery wigilijnej, odbywającej się przy wspólnym stole zaaranżowanym w restauracji, Kalina zaprosił nas, to znaczy Penara, panią Wandę, Biglera, Marię Klemencję, Taborskiego i mnie, do swojej celi. Było to dość zaskakujące, bo odwiedzanie się w celach nie należało do przyjętych w Wetelinie obyczajów. Zresztą takich wizyt wyraźnie zakazywał obowiązujący nas regulamin. Kalina przeszedł nad tym przepisem do porządku dziennego, zapowiadając nam jeszcze

przed oficjalną imprezą, że później odbędzie się u niego „wigilia szpiega”.

Usiedliśmy więc w jego gabinecie, ku mojemu zaskoczeniu dużo większym od tego, w którym sam rezyduję. Nie ma w nim standardowych mebli, tylko kanapa, trzy fotele, duży antyczny stół do pracy, zastawiony teraz butelkami i półmiskami, kilka starych krzesel, wzdłuż ścian regały pełne książek i bibelotów, jednym słowem przytulny, męski pokój. Kalina siedzi tu już dziewiąty rok. Jak się okazuje, nie siedzi, tylko mieszka. To ja siedzę. Siedzę wciąż jednym półdupkiem na połówce krzesła, czekając naiwnie, aż moja przeszłość zawoła: „Chodź już! Nic się takiego nie stało!”. Bigler też siedzi, bo ma żonę i troje dzieci, a raczej miał, ponieważ zasadnicza Joanna przeprowadziła z nim rozwód. Może po to, żeby dzieciom nie utrudniać sytuacji albo po to, żeby uratować gruby szmal, zarobiony przez męża na nielegalnych prowizjach od handlowych operacji. Pani Wanda na pewno tu mieszka. Ona wie, że nigdy nie wyjdzie na wolność, bo taki zawarła układ. Zresztą wcale nie chce. Najprawdopodobniej ma tu zapewnione luksusowe dożywocie. Urządziła całą rodzinę, której finansami zarządza z Weteliny niczym Lucky Luciano interesami mafii ze swojej celi, stroi się za pośrednictwem katalogów firm wysyłkowych, pije markowe francuskie wina i zalicza kochanków. Penar jeszcze siedzi, ale powoli zaczyna mieszkać. Siedzi, albowiem wciąż jeszcze ma nadzieję, że ktoś go pamięta i że w nowym układzie znajdzie się znów dla niego miejsce, bo ten układ aż roi się od takich jak on albo jeszcze gorszych,

więc czemu miałyby się znów nie przydać ze swoim doświadczeniem i gorliwością w służeniu dowolnej sprawie, która postawiłaby go w rzędzie mających dostęp do półki z konfiturami, ale jego rozum, porządny, chłopski rozum, mówi mu, że się jednak nie przyda, ponieważ dał dupy, bo nie umiał pójść na całość jak Piłsudski albo jak Pinochet, którego podziwia na równi z Franco i Stalinem, bo wreszcie jest już za stary, zbyt zużyty, aby wyżreć sobie miejsce w sforze młodych wilków ogryzających

Rzeczpospolitą, więc powoli zaczyna mieszkać, obrastać w rzeczy, podrzemywać otulony szlafrokiem w wygodnym fotelu, podjadać ukradkiem ptysie z bitą śmietaną, sprowadzać coraz to nowe militarne gry telewizyjne, zapadać się bezgłośnie we własną duchową dziurę, powstałą po osunięciu się nadziei. Z Taborskim nie wiadomo do końca jak jest. Niby mieszka, bo sprowadził fotel, zbiory znaczków, bibliotekę prawniczą, pisuje do czasopism o brydżu, pędzi bimber, a jednak jakby siedział, bo nic nie mówi, dostaje i wysyła liczną korespondencję i zachowuje się jak wypełniający tajemniczą misję konspirator. Według mnie to wariat, którego szaleństwo jest może nawet większe niż świr Kubickiego, ale też głębiej ukryte pod pozorami normalności. Maria Klemencja Darn, której nie było z nami od początku, bo miała jeszcze jakieś zobowiązania towarzyskie, ale obiecała dołączyć później, na pewno mieszka. Ma nawet w budynku administracji małe służbowe mieszkanie, przydzielone jej w ramach podtrzymywania fikcyjnej egzystencji, która stała się jej udziałem. Natomiast Miriam Bisiąg z pewnością siedzi. Siedzi podwójnie

uwięziona, w Wetelinie i w Marii Klemencji Dam, jako jej pamięć, jako jej minione, ale nie zapomniane szaleństwo, wreszcie, jako jej strach i złość. Miriam chciałaby stąd uciec i schować się gdzieś na krańcu świata albo wręcz przeciwnie - wrócić do dawnych spraw i dokończyć je zgodnie ze swoją wizją rzeczywistości, ale Maria Klemencja na to nie pozwala. Ona wie, że Miriam jest szalona i że jej pragnienia w żaden sposób nie mogą się spełnić, bo nie może uciec ktoś, kogo nikt nie ściga i nie może niczego dokończyć ktoś, kto niczego nie zaczął. Mieszka tu, aby pełnić swą misję i strzec Miriam, zaś Miriam, wiedząc, jakiego ma strażnika, nawet nie próbuje uciekać.

Usiedliśmy więc na kanapie i w fotelach Kaliny, ci co mieszkają i ci, co siedzą, a on sam, gospodarz, nalewał każdemu jego ulubione alkohole, podsuwał półmiski z rybą i wykwintnymi wędlinami.

- Proszę - mówi z uśmiechem - bardzo proszę, karp szpiega i pstrąg szpiega, polędwiczka szpiega i wódeczka szpiega. Ja piję zdrowie państwa, a państwo nie muszą pić mojego. Zdrowie szpiega - to nie brzmi dobrze. Lepiej wypić za wolność albo za równość. Proszę, bardzo proszę.

- Ja tam wypiję zdrowie szpiega - odzywa się Penar - a równość, wolność i jeszcze sprawiedliwość, szczególnie tu i teraz, mam w dupie.

Śmiechy, podniesione kieliszki.

- Co pan chce nam udowodnić, panie Kalina? - pyta niespodziewanie Taborski, który nie podniósł swojej szklanki „Absolutu” - że ze zdrady i sprzedawania ojczyzny można sobie robić

jaja? Otóż nie można.

- Ależ skąd, broń Boże - macha rękami Kalina. - Ja tylko chciałem państwa jakoś ośmielić, wprowadzić atmosferę. Ja, panie mecenasie, wiem, że jestem zdrajcą. Jestem przechodzony zdrajca, stary model zdrajcy jeszcze z czasów, gdy istniała uczciwość i wierność, i dlatego pozwalam sobie przy wigilii na nieco lżejszy ton. Jako weteran czy coś w tym rodzaju...

- Pan to powiedział poważnie? - zwraca się do Taborskiego Penar - to o sprzedawaniu ojczyzny?

- Poważnie - Taborski dopiero teraz podnosi szklankę i wychyla jej zawartość.

- Pan mecenas nigdy nie mówi niepoważnie - odzywa się pani Wanda.

Szczególnie o ojczyźnie, zdradzie, masonach i Żydach - dodaje z przekąsem.

- Chce pan powiedzieć - Bigler do Kaliny - że dzisiaj nie ma już uczciwości i wierności?

Kalina znów napełnia kieliszki i szklanki.

- Bywa - zwraca się do Biglera - ale rzadko. Dzisiaj rządzą nami dwa małe słówka „to zależy”.

Moje serce wykonuje aż nadto dobrze mi już znany skok lęku i zdumienia.

Gdzieś to już słyszałem, a może sam tak myślałem, może sam tak myślę.

- Więc jeśli wierność - ciągnie Kalina - „to zależy” komu, czemu

i po co?

Na ten przykład wierność komunistycznym przekonaniom to dziś zbrodnicze zaślepienie. A kiedyś? Albo uczciwość - „to zależy” z czyjego punktu widzenia. Z punktu widzenia polskiego rządu był pan uczciwy, z punktu widzenia ONZ był pan oszustem, a z punktu widzenia Izraelczyków - zasługującym na śmierć terrorystą, dostarczającym broni do ich zabijania. I tak dalej.

On pewnie wie - myślę - wie tak samo jak ja, że tylko w miłości i przyjaźni jesteśmy w stanie częściowo ustrzec się przed wszechwładzą „Tozależy”, ale nie doświadcza ani miłości, ani przyjaźni, więc wszystko wydaje mu się względne, a co za tym idzie, mało ważne.

- Dlatego ja - mówi wciąż Kalina - dla komunistów byłem zdrajcą i szpiegiem, a dla tych z prawa - bohaterem. Chociaż - dodaje po chwili milczenia - tak naprawdę byłem wtedy karierowiczem i rzeczywiście, jak mówi mecenas, sprzedawałem ojczyznę. Sprzedawałem zresztą coś, czego nie miałem, bo moją ojczyzną były pieniądze i wygodne życie.

Cisza. Tak zwana niezręczna cisza. Wszyscy patrzą w swoje szklanki, w podłogę, na ściany. Tylko Taborski patrzy na Kalinę, tak jak niedawno spoglądała na niego Maria Klemencja oczami Miriam.

- Co ty pleciesz, człowieku - mruczy w końcu Penar. -1 po co się tak ponizasz?

- Może przy wigilii - odzywa się pani Wanda - pan pułkownik postanowił się wypowiedzieć, co jest zresztą zrozumiałe u takiego

grzesznika. Tylko dlaczego przed nami, którzyśmy nie lepsi.

Nikt się po tym żarciku nie śmieje. Cisza. Wyobrażam sobie, że pod fotelem Taborskiego zapada się podłoga, a on bezgłośnie wpada do dziury.

Ale podłoga się nie zapada. Taborski siedzi sztywno, tak samo jak i Penar.

Pani Wanda pali teraz w milczeniu, puszczając równe kółka dymu. Ja też palę i obserwuję spod oka, jak odwrócony tyłem Bigler pije niczym wodę koniak z butelki. Ale nie tylko ja go obserwuję. Penar też wlepił wzrok w butelkę.

- Nie ma sensu, panie Bigler - mówi cicho po chwili.

- Co nie ma sensu? - tamten na to, odstawiając szybko pustą flaszkę.

- I tak się pan nie upije - wzdycha z rezygnacją generał. - Ma pan jeszcze na to nadzieję? Ja już nie. Kilka dni temu wypilem szklankami litr wódki, jedną po drugiej cztery szklanki cholernego „Absolutu”, mało mi flaków nie upaliło i co? I nic. Tyle że byłem na lekkim rauszu może przez pół godziny.

- Pan znowu ni w pięć ni w dziewięć o tym picciu - obrusza się Bigler. - Ma pan jakąś obsesję czy co?

- Ma sens czy nie ma sensu, zdrowie pięknych pań - woła Kalina, kłaniając się pani Wandzie.

- Dziękuję - odklania się ona - to miło z pana strony pułkownika, ale nie widzę tu więcej pań. Czy pani Darn poszła już do siebie?

- Przyjdzie - rzuca Taborski. - Lada moment.

- Nawiązując do pani poprzedniej wypowiedzi - Kalina znów kłania się pani Wandzie - to rzeczywiście chciałem państwu coś powiedzieć i coś pokazać. Nie chodzi mi jednak o to, co pani była uprzejma nazwać „spowiedzią”, choćby dlatego, że nie czuję się grzesznikiem, a poza tym moje życie i tak zostało swego czasu publicznie przenicowane. Nie mam, więc już żadnych tajemnic (dobra, dobra - myślę - dobra, dobra), z których mógłbym się zwierzyć.

Mam natomiast pewne przemyślenia oraz wynikające z nich wnioski i nimi chciałbym się z państwem podzielić. Ale wolałbym jeszcze chwilę poczekać na panią Darn. Może jednak przyjdzie.

- Przyjdzie - skrzeczy znów Taborski - może nawet już idzie.

- Po co ci ta...? - Penar robi palcem charakterystyczne kółko na czole.

- To, co mam do powiedzenia, dotyczy też pani Darn - odpowiada Kalina.

- A poza tym... zresztą nieważne - macha ręką i siada na kanapie pomiędzy mną i Biglerem.

- Czy rzeczywiście uważa pan - pytam go, korzystając z okazji - że rozpowszechniający się relatywizm to jakiś problem?

- Bynajmniej - odpowiada. - To po prostu nasza życiowa sytuacja. To co poznajemy jest naszą prywatną rzeczywistością, wynikiem prywatnych doświadczeń, a więc jest związane najściślej z podmiotem poznania, nieprzekładalne i jedyne w swoim rodzaju.

- Proszę? - jak powiedziała by Marianna, kopara opada mi ze

zdumienia.

- Słucham? - niepokoi się z kolei Kalina.

- Przepraszam - mówię nieco ochłonawszy - po prostu żadną miarą nie spodziewałem się w pana ustach takiego języka. I w pana głowie takich myśli.

- Pan przesadza, doktorze - krzywi się stary szpieg - przecież mówię panu rzeczy oczywiste.

- Pan wybaczy, pułkowniku - wtrąca się z drugiego końca kanapy Bigler - słyszałem, co pan powiedział, i nie wydaje mi się, żeby to były takie oczywistości.

- W pewnym sensie jednak są - upiera się delikatnie Kalina. - Wystarczy się dobrze zastanowić, poddać te sprawy jakiej takiej refleksji. Wtedy musimy dojść do wniosku, że wszelkie poznanie jest zdeterminowane przez strukturę naszego organizmu, a mówiąc konkretnie, przez budowę i funkcje naszego układu nerwowego, nie zaś przez rzeczy i zjawiska świata zewnętrznego. Jest więc ono zjawiskiem biologicznym. System nerwowy człowieka jest natomiast, w sensie sposobów swojego działania i zakresu funkcji, układem zamkniętym, który nie odróżnia bodźców zewnętrznych od wewnętrznych. Nie potrafimy odróżnić swoich wrażeń i spostrzeżeń od halucynacji, a takie same ukłucie bólu może pochodzić z zewnątrz, jak i z wewnątrz organizmu. Siłą rzeczy nasza aktywność poznawcza, jako realizująca się poprzez strukturę i funkcje naszego układu nerwowego, jest związana z podmiotem poznania, a nie z tym, co poznajemy. Wypływają stąd konkretne wnioski. Przede wszystkim

poznanie nie jest odwzorowaniem rzeczywistości istniejącej niezależnie od podmiotu poznającego, ale służącą podtrzymywaniu życia funkcją struktury tego podmiotu. Ten biologiczny charakter aktów poznania oraz niemożność odróżnienia iluzji od rzeczywistości powodują, że obiektywizm staje się niemożliwy lub ogranicza się do komunikacji służącej realizacji pragmatycznych celów związanych z zaspokajaniem potrzeb. Dążenie do realizacji tych samych, praktycznych celów powoduje, że ludzie podejmują proces komunikacji i koordynują swoje prywatne rzeczywistości, tak że tworzą one szerszą rzeczywistość konsensualną, sprzyjającą wprowadzeniu w życie ich zamierzeń i pragnień. Nie można natomiast ujednolicić struktury nadawcy i odbiorcy tak, aby gwarantowało to tożsamość nadanego i odebranego komunikatu. Jak mawia pewien filozof: „Odpowiadam za to, co mówię, ale nie odpowiadam za to, co panowie słyszą”. Możemy jednak tak długo rozmawiać, aż uzgodnimy sposoby realizacji naszego wspólnego celu i to będzie dla nas kryterium obiektywizmu w naszej konsensualnej rzeczywistości.

- No, no - kręci głową Bigler. - Prawie wszystko zrozumiałem, panie pułkowniku. Na dodatek brzmi to dziwnie znajomo, jakbym już to gdzieś słyszał albo sam tak myślał, chociaż dałbym sobie głowę uciąć, że z nikim o takich sprawach nie rozmawiałem.

Aja - myślę - rozmawiałem. Rozmawiałem o tym z Libergiem i z Marianną. Sądziłem, że wpadłem na oryginalny pomysł tłumaczący „prywatność” i „nieprzekazywalność” naszego poznania. Nikt nie może poznać bólu mojego zęba - mówiłem do Liberga - ale fakt, że

boli mnie ząb i że chcę, aby przestał mnie boleć, jest możliwy do przekazania dentyście, tak żeby był on w stanie ten ból usunąć. Ból zęba jest więc impulsem do podjęcia z dentystą komunikacji, mającej pragmatyczny cel. W trakcie trwania procesu komunikacji nasze prywatne rzeczywistości krzyżują się i powstaje rodzaj wspólnoty powołanej do realizacji owego celu. Celem miłości i przyjaźni są rozmaite formy bliskości i do jego realizacji powstaje w procesie komunikowania się wspólnota kochanków albo przyjaciół, chociaż jedno nie może doświadczyć uczuć, wrażeń ani spostrzeżeń drugiego, bo są one prywatne i nieprzekazywalne. I tak dalej. Kalina wyjątkowo jasno i krótko to ujął. Musiał całą sprawę dłużej i dokładniej obrabiać intelektualnie. A ja myślałem, że pierwszy dokonałem tego odkrycia. Tymczasem najprawdopodobniej ten sposób myślenia został mnie i innym przekazany w trakcie przemiany jako zakodowany w niej subprogram. To tłumaczyłoby nieprawdopodobne rozpowszechnienie relatywistycznych postaw wśród ludzi i ich coraz bardziej widoczny brak zainteresowania tworzeniem konsensualnej rzeczywistości. Po prostu coraz mniej jest wspólnych celów w skali dużych grup społecznych czy narodu.

- Panie generale - zwracam się na próbę do Penara. - Czym jest ludzkie poznanie?

Ten patrzy na mnie bez zdziwienia.

- Poznanie - mówi - to biologia. W człowieku, o czym pan pewnie dobrze wie, doktorze, nie ma nic, co by nie było biologią. Więc i poznanie ma charakter biologiczny.

To potwierdzałoby moje wnioski. Penar też był zorientowany w zagadnieniu, chociaż raczej nie studiował w swojej celi książek filozoficznych, jakie były licznie reprezentowane na regałach Kaliny. Nawet się nie zdziwił moim pytaniem, jakby był na nie przygotowany. A może był? Może subprogram filozoficznoetycznej refleksji włączył się u niego niedawno, znacznie później niż u mnie czy pułkownika, dzięki czemu miał go w umyśle na świeżo, w pełnej gotowości? A Liberg? Prawdopodobnie, kiedy z nim rozmawiałem, jego program jeszcze nie ruszył, dlatego uznał moje pomysły za rewelację i wykorzystał (za moją zgodą) w swojej książce. Postanawiam zrobić jeszcze jedną próbę.

- Pani Wando - pytam, przystając za jej fotelem - czym jest ludzkie poznanie?

Znów to spojrzenie bez zdziwienia, trochę z dołu, w moje oczy.

- Poznanie to punkt wyjścia do wspólnego działania - uśmiecha się królowa tajnych finansów. - Bez zamiaru i celu wspólnego działania nie ma obiektywnego poznania. Bez wspólnoty jesteśmy w stanie poznać jedynie plody własnego umysłu. No i jak się panu podoba moja odpowiedź?

- Podoba mi się - mówię - bo jest słuszna.

Teraz już wiem prawie na pewno. To subprogram. Fragment większego programu wpisanego w generalny plan. Choć z drugiej strony, przecież można sobie wyobrazić, że to jednak przypadek, że jakimś cudem Kalina, Bigler, Penar, pani Wanda i ja wpadliśmy na ten sam pomysł, zadawszy sobie uprzednio te same pytania. Tak.

Można to sobie wyobrazić. Wszystko sobie można wyobrazić. Można sobie wyobrazić...

Dzyń, dzyń - moje myśli przerywa natarczywe dzwonięcie. -
Dzyń, dzyń.

To Kalina potrząsa wziętym z regału antycznym dzwonkiem.

- Proszę państwa - odzywa się, kiedy zapada cisza - pani Darn chyba zmieniła plany, więc pozwolę sobie teraz zabrać państwu chwilę czasu. Podkreślam, że chcę się z wami podzielić moimi przemyśleniami i obserwacjami, które mają rangę hipotez, aczkolwiek nie ukrywam, że, moim zdaniem, są to bardzo mocne hipotezy.

I tak, po pierwsze, mam przekonanie graniczące z pewnością, że spotkaliśmy się w Wetelinie nie przypadkiem. Trafiliśmy tu wprawdzie różnymi drogami, w różnym czasie i z różnych powodów, ale wszyscy znaleźliśmy się uprzednio i byliśmy ze sobą w różnoraki sposób powiązani za pośrednictwem spraw, w których uczestniczyliśmy. Spotkawszy się tutaj, wszyscy intuicyjnie udawaliśmy, że się nie znamy. Wszyscy poczuliśmy taki sam impuls, aby nie ujawniać naszych przeszłych kontaktów, chociaż, z punktu widzenia tzw.

„zdrowego rozumu”, jest to niezrozumiałe, a nawet absurdalne. Do dziś na przykład doktor Krass udaje, że mnie wcześniej nie znał, chociaż w 1982 roku, w stanie wojennym, poznała nas ze sobą Lusja Penarowa i na jej prośbę pomogłem mu w uzyskaniu paszportu na wyjazd do USA.

Podobnie pan Bigler udaje, że nie zetknaliśmy się ze sobą przed

znalezieniem się tutaj, mimo że w 1983 roku prowadziłem z nim rozmowy, szukając kontaktu z ówczesną opozycją polityczną.

- Otrzymałem wtedy z wiarygodnych źródeł ostrzeżenie - wtrąca Bigler z płonącymi uszami - że jest pan agentem Wojskowej Służby Informacyjnej i wycofałem się z tych rozmów.

- Mnie zaś - Kalina uśmiecha się uprzejmie - nakazała zerwanie naszych kontaktów Służba Bezpieczeństwa, gdyż mógłbym niechcący zdekonspirować ich agenta. Po prostu już pan był zajęty, panie Bigler. WSI się spóźniła.

- To są pomówienia - chrypi Bigler - bezpodstawne, złośliwe pomówienia.

- Nie mam oczywiście dowodów na to, co mówię - stwierdza wciąż uprzejmie pułkownik - ale też nie chodzi mi teraz, panie Bigler, o udowadnianie, kto był, a kto nie był agentem. Chciałem po prostu powiedzieć, że znaliśmy się już szesnaście lat temu, kiedy uczył pan historii w seminarium duchownym i zawzięcie konspirował. Trochę wcześniej zetknąłem się również z panią - Kalina po raz trzeci dzisiejszego wieczora kłania się pani Wandzie.

- Tak - mówi spokojnie stara oszustka, popijając swoje wino. - Byłam wtedy księgową w Głównym Zarządzie Politycznym Armii, a pan reprezentował Polskę w międzynarodowej misji rozjemczej w Wietnamie.

- Zgadza się - przytakuje Kalina. -1 pobierałem u pani „fundusze specjalne” przeznaczone na werbunek agentów WSI w armii amerykańskiej. Dawała mi pani do ręki żywe dolary, z których nie

musiałem się zbyt skrupulatnie rozliczać.

- To były fundusze operacyjne przeznaczone na łapówki, prezenty, knajpy i inne przyjemności fundowane ludziom, których trzeba było pozyskać - stwierdza sucho pani Wanda. - Nie prowadziliśmy rachunków, bo dostawali je do rąk wyjątkowo zaufani ludzie. Oczywiście musieli się też cieszyć zaufaniem partii - dodaje z przekąsem.

- Tak - uśmiecha się znów pułkownik - partii, w której obydwójce byliśmy towarzyszami.

- Pani była w partii? - dziwi się Penar.

- Owszem - wydmuchuje dym pani Wanda. - W odróżnieniu od pana, byłam w niej do końca.

- O moich z panem kontaktach proszę nie mówić - odzywa się teraz Taborski. - Nie życzę sobie.

- Naturalnie, panie mecenasie - pochyla głowę Kalina. Pozwoli pan tylko zaznaczyć, że takowe były.

Były - parska Taborski. - Mogę tylko dodać - niestety.

Kalina bezradnie rozkłada ręce, a następnie wypija szklaneczkę „Absolutu”.

- Po drugie - ciągnie - i tu z góry proszę o wybaczenie, wszyscy jesteście my łajdakami i przestępcami.

Cisza. Każdy patrzy uparcie w jakiś wybrany punkt, uważając pilnie, żeby nie spojrzeć na kogoś innego. Ja patrzę na wiszący pomiędzy regałami, oprawiony w metalowe ramki portret mężczyzny. Jest to dagerotyp przedstawiający Harry'ego Houdiniego,

trzymającego w rękach melonik i białe rękawiczki.

Liczę w myślach do dziesięciu, ale nikt się nie odzywa, nikt nie protestuje, więc jeszcze raz do dziesięciu, i ja też postanawiam nie protestować, mimo że miałbym ochotę. Pewnie każdy ma ochotę, ale też każdy rozumie, że byłoby to śmieszne, bo Kalina ma rację. Ale jednocześnie w jakiś sposób tej racji nie ma. Czuję to, czuję, że w gruncie rzeczy nie jestem łajdakiem i czuję też po raz nie wiadomo który, że moje łajdactwa tak mi się jakoś przydarzyły, bo kupiłem kiedyś miskę szklanych kulek, niczym miskę owoców z drzewa wiadomości, rosnącego gdzieś w środku piekła i zasadzonego tam przez szatana w szyderyczym geście parodiującym Stwórcę. Niemniej one mi się przydarzyły, ja je popełniłem. Tak. Popełniłem je i w tej konsensualnej rzeczywistości zbudowanej przez starego szpiega tylko to się liczyło.

- Ja na przykład - podejmuje swój wątek Kalina - jestem szpiegiem, zdrajcą i złodziejem. Myślę, że każdy z was potrafi w myślach dobrać określenia pasujące do jego przypadku. Niech to zrobi albo nie, nieważne. Nasze łajdactwa i naruszenia prawa, jakiegokolwiek one były, łączy to, że, z różnych powodów, nie można nas było za nie normalnie i uczciwie ukarać. Najważniejszym zaś z tych powodów jest fakt, że stanowiły one część innych łajdactw, dokonywanych na większą skalę i usprawiedliwianych rozmaitymi ważnymi racjami, takimi jak dobro społeczne, racja stanu, interes narodu, bezpieczeństwo państwa czy wierność tradycji. Mam wrażenie, że wszyscy wiedzą, co mam na myśli.

Znów cisza. Cisza, która znaczy - jasne, że wiemy. Jeszcze jak wiemy. Ale słowa nie padają. Nikomu nie będzie można zarzucić, że potwierdził enuncjacje Kaliny i nikt nie będzie mógł zarzucić sobie, że im zaprzeczył.

- Po trzecie - kontynuuje pułkownik po chwili wypełnionej milczeniem - w ciągu kilku ostatnich lat wszyscy przeszliśmy pewną przemianę. Była ona najczęściej połączona z przejściowymi dolegliwościami i dłuższą lub krótszą utratą przytomności. Wiem, że epizody takie oprócz mnie przeżyli pan Bigler, generał Penar, pani Darn i mecenas Taborski. Zakładam, że pani - znów skłania się przed panią Wandą - i doktorowi Krassowi też się coś takiego przydarzyło.

Patrzę, jak pani Wanda po chwili namysłu kiwa potakująco głową i sam też kiwam głową, że tak, tak, tak było.

- Wylew - stwierdza sucho pani Wanda. - Dwa lata temu podobno miałam wylew. -1 milknie bez dodatkowych wyjaśnień.

- Ja też - mówię lakonicznie. - Trochę dawniej.

- Ja miałem coś takiego dwa razy - odzywa się Penar. - Pierwszy raz w dziewięćdziesiątym roku. Lekarze stwierdzili, że miałem napad padaczkowy. Nigdy w to nie wierzyłem, bo niby skąd u mnie napad padaczkowy, no ale coś takiego było. Potem, dwa lata temu miałem podobno atak serca, ale nawet nie byłem w szpitalu. Samo przeszło bez śladu.

- No właśnie - kwituje nasze deklaracje Kalina. - Dolegliwości te minęły bez śladu, a w dodatku nasz ogólny stan zdrowia zaczął się poprawiać. Stopniowo ustąpiły różne zastarzałe niedomagania, bóle i

niesprawności, tak że aktualnie czujemy się wyśmienicie i na dobrą sprawę przestaliśmy chorować.

Również nasza kondycja psychiczna, po przejściowych załamaniach, głównie o charakterze depresyjnym, znacznie się poprawiła i nie odczuwamy obecnie specjalnych wahań nastroju, lęków czy zaburzeń snu. Poprawiła nam się pamięć, zdolność koncentracji i szybkość uczenia się, wzrosła ogólna odporność psychiczna i zdolność panowania nad emocjami, spadła podatność na stres.

Krótko mówiąc, naturalny proces starzenia się i niedołożnienia zaczął u nas przebiegać wolniej, jeśli w ogóle nie ustał.

U dotkniętych tą przypadłością, czyli u mnie, u generała, sądzę, że i u pana mecenas, cofnęło się wieloletnie uzależnienie od alkoholu, a u wszystkich ogromnie wzrosła nań tolerancja. Praktycznie rzecz biorąc, nie możemy się upić i nawet jeśli pijemy bardzo dużo, mamy jedynie niewielkiego i na ogół przyjemnego rausza.

W trakcie różnie długiego u różnych osób okresu nieprzytomności, będącego początkiem przemiany, każdy z nas przeżył różne doświadczenia, o których część z nas wolałaby zapomnieć, a na pewno nikt nie ma ochoty ich opowiadać. Ja, na przykład, o swoich bałem się komukolwiek wspomnieć, żeby nie uznano mnie za psychicznie chorego, co mogłoby mieć miejsce, gdybym opowiedział, że fizycznie i realnie przeniosłem się do jakiejś innej rzeczywistości i spotkałem się tam z miejscową, jeśli tak można

powiedzieć, wersją samego siebie, równie fizyczną i realną jak ja. Wiem, że niektórzy z nas przeżyli spotkania z osobami dawno w ich życiu nieobecnymi, mieszkającymi w innych częściach świata, a nawet zmarłymi. Wszyscy doznali specyficznego uczucia zniewolenia, opanowania ich ciała i woli przez jakąś przemożną siłę oraz zapamiętali rodzaj operacji chirurgicznej, wykonywanej na ich mózgach przy pomocy narzędzia wprowadzanego do wnętrza czaszki najczęściej przez lewe ucho. Wspomnienia te były tak mgliste i niejasne, że uznaliśmy je prawie wszyscy za rodzaj sennego koszmaru lub halucynacji, mimo że z lewego ucha ciekła nam krew i odczuwaliśmy tam, krótkotrwały co prawda, ale silny ból już po powrocie do przytomności.

- Chce pan powiedzieć, że ktoś naprawdę grzebał w naszych mózgach? - pyta ze zdumieniem Bigler.

- Wiele na to wskazuje - odpowiada bez uśmiechu Kalina.

- Ale, kurwa, kto? - wyrywa się Penar. - I jakim cudem?

- Kto lub co? - pyta pułkownik. - No właśnie! Wszystko wskazuje też na to - dodaje - że ów ktoś lub owo coś spowodowało naszą przemianę w sobie tylko, jak na razie, znanym celu.

- Coś? - zabiera głos pani Wanda. - Jak to coś? Co pan ma na myśli? - zwraca się do Kaliny.

- Nie wiem - odpowiada pułkownik - ale wydaje mi się, że to może być jakaś kosmiczna energia, rodzaj promieniowania, który uruchomił w naszych genach zakodowane tam programy. Może to być także jakaś obca forma inteligentnego życia, która dotarła na Ziemię,

albo idea, myśl, splot wszystkich aktualnych psychologicznych, społecznych i fizycznych czynników, które oddziałując na nas, uruchomiły rezerwowe kody genetyczne. Naprawdę nie wiem.

- I twierdzi pan, że ta, jak pan to nazwał, przemiana jest celowa?

- indaguje dalej pani Wanda.

- Tak. - Kalina zdecydowanie kiwa głową. - Wszystko na to wskazuje, że jesteśmy swego rodzaju, powiedzmy, specgrupą, powołaną przez nieznane siły sprawcze do realizacji nieznanego nam planu.

- Bzdury - skrzeczy Taborski. - Fantazmaty chorego mózgu. Pan, panie Kalina, zwariował. Ma pan paranoję. Odbiło panu.

- Być może - Kalina jest cały czas uprzejmy i spokojny. - Ale jak pan w takim razie wytłumaczy to, co się z nami stało? Dlaczego staliśmy się prawdopodobnie nową formą życia? Dlaczego starzejemy się wolniej, jeśli w ogóle się starzejemy, bo jest też możliwe, że stopniowo stajemy się nieśmiertelni?

- To jest pieprzenie wyczytane w głupawej książce pańskiego przydupasa - zwraca się do mnie Taborski - tego żydowskiego pedała, Liberga. A pan jest wariat - mierzy oskarżycielskim palcem w Kalinę. - Zdrajca, szpieg i wariat.

- Z tą nieśmiertelnością - mruczy niepewnie Penar - to chyba przesadziłeś, Mundeck. I w ogóle to wszystko brzmi tak...

- Wiem, jak brzmi - przerywa mu Kalina. - I nic na to nie poradzę.

W większości, przyznacie państwo, mówiłem o faktach.

- Ale od pewnego momentu - wtrąca ironicznie Bigler - przeszedł pan na interpretacje.

- Wobec tego powróćmy do faktów - podchwytuje pułkownik. - Jest bowiem jeszcze jedna łącząca nas rzecz, o której wiemy najmniej, jeśli w ogóle coś wiemy, ponieważ nigdy o tym nie było mowy poza niejasnymi aluzjami i plotkami personelu, dotyczącymi tego, co dzieje się w naszych mieszkaniach (mówi - „mieszkaniach”). Otóż śmiem twierdzić, że w wyniku przemiany każde z nas otrzymało dar w postaci, mówiąc ogólnie, pewnych nadzwyczajnych umiejętności albo atrybutów, które można z grubsza porównać do niektórych właściwości przypisywanych Bogu.

- No nie! - mówi Taborski. - To już przekracza wszelkie granice. Nie zamierzam dłużej słuchać tych świętokradczych bredni.

Ale siedzi. Nie zamierza, ale słucha. A Kalina znów spokojnie zwraca się do niego.

- Pan na przykład - mówi cicho - potrafi widzieć na odległość. Można powiedzieć, że na ekranie pańskiej duszy pojawiają się wyraziste obrazy, a w myśli dotyczące ich informacje. Są to bez wyjątku obrazy i informacje na temat dziejącej się dookoła ludzkiej krzywdy. Widzi pan po prostu, jak Kowalskiemu z miejscowości X dzieje się jakaś niesprawiedliwość, a Malinowskiemu z innej miejscowości inna krzywda. Od dłuższego czasu świadczy pan takim ludziom bezinteresowną pomoc prawną, a pańska cela to istna, zawalona sprawami, kancelaria prawna. Staje pan nawet w sądzie za pomocą ustanowionych przez siebie substytutów, wywodzących się

spośród pańskich dawnych przyjaciół i współpracowników.

- Skąd pan to wie? - pyta Taborski ochryłym szeptem, już bez poprzedniej wojowniczości.

- Od pani Darn - odpowiada Kalina - której zwierzył się pan w zaufaniu, a ona z kolei zaufała mnie.

- To nieprawda - głos Taborskiego znów brzmi skrzekliwą zaczepnością.

- Pani Darn jest niezrównoważoną psychicznie mitomanką i, jak wszyscy wiedzą, wcale nie jest żadną panią Darn.

- OK - wycofuje się Kalina. - Jak pan chce.

- A pan, panie Krass? - zwraca się teraz do mnie. - O pańskim darze uzdrawiania było nawet głośno. W niektórych kręgach mówiło się też o pana umiejętności teleportacji. W pańskim otoczeniu znikali ludzie.

- Moje działania, panie pułkowniku - mówię jak zawsze spokojnie - były próbami stworzenia skutecznej psychologicznej terapii ciężkich chorób somatycznych. Reszta to legendy albo zbiegi okoliczności. Ludzie zaś znikali, jak przypuszczam, z powodu realizowania w moich ośrodkach pewnych nielegalnych badań, na co nie miałem wpływu.

- Dobra, dobra - mruczy Penar. - Daj pan spokój, panie Krass.

Nie wiem, dlaczego mówię to, co mówię, bo przecież chciałbym powiedzieć coś innego. Chciałbym powiedzieć Kalinie, że mówi dokładnie to, co ja myślę, i że podziwiam jego odwagę i przenikliwość umysłu, ale czuję w sobie jakąś barierę, jakiś psychiczny przymus

zaprzeczania, wręcz słyszę w głowie drewniany głos, który powtarza - zaprzecz, wyprzyj się wszystkiego, idź w zaparte, więc wypowiadam te swoje kłamstwa i półprawdy ze wstydem, ale i z ulgą, bo przecież tak do końca nie wiem, czy mam jakiś dar, a nawet jeśli go mam, to nie umiem go użyć albo, co gorsza, używam go bezwiednie, przez co, być może, wyrządzam więcej szkody niż pożytku i myślę, że prawdziwy dar nie może być aż tak niedostępny woli, iż jest raczej przekleństwem i defektem niż darem.

- Dobrze - podejmuje wątek Kalina. - Jak rozumiem, pani też - zwraca się w kierunku pani Wandy - nie posiada umiejętności telepatycznych i nie potrafi pani narzucić wyobrażonej sobie jednostce decyzji dotyczących spraw finansowych?

- Oczywiście - wzrusza ramionami pani Wanda. - Ktoś napłócił panu strasznych bzdur.

- Pan zaś - Kalina spogląda teraz na Biglera - nie stymuluje samą swoją obecnością wzrostu roślin, gojenia się ran i regeneracji tkanek, a pan - przerzuca wzrok na generała - nie potrafi czytać palcami i wskazać miejsca pobytu zaginionej osoby lub miejsca ukrycia poszukiwanego przedmiotu na podstawie ich fotografii lub innego materialnego śladu?

Bigler i Penar zgodnie wzruszają ramionami.

- W porządku - Kalina na powrót rozluźnia się. - Przewidywałem, że tak będzie. Nie chcecie mówić o swoich atrybutach, bo są one jakby niepełne, nie słuchają was, nie są podporządkowane waszej woli i przejawiają się, kiedy chcą,

niezależnie od tego, czy chcecie ich użyć, czy nie. Pan Bigler nie wie, jak wpływa na gojenie się ran i nierzadko, kiedy chce komuś pomóc, to nie jest w stanie, chociaż innym razem może spowodować nawet większy efekt - na przykład przyrośnięcie obciętej w wypadku stopy - niechcący, bez intencji, żeby to właśnie uczynić. Pan mecenas widzi tylko ludzi i sytuacje, które niejako same z siebie pokazują się na jego wewnętrznym ekranie, ale najczęściej nie może na nim zobaczyć tych, których chciałby tam widzieć, choć niechcący i to może się zdarzyć. Pan Krass nigdy nie jest pewien, czy w jakiś sposób oddziałał na uzdrawianą osobę, czy też nie. I tak dalej. Dlatego nikt z was nie jest pewny, czy rzeczywiście ma jakiś dar, czy tylko ulega aberracjom swojego umysłu. Ze mną też tak było, ale od niedawna już nie jest. I to właśnie chciałem państwu pokazać.

Kalina jest nadal rozluźniony, ale jednocześnie skoncentrowany. Na jego czole lśnią krople potu. Podchodzi miękko do stołu i kładzie ręce po obu stronach pustej butelki opróżnionej przez Biglera z koniaku. Ustawia dłonie prostopadle do blatu, opierając o niego tylko małe palce, podczas gdy kciuki skierowane są sztywno do góry. Pomiędzy każdą z jego dłoni i butelką jest około trzydziestu centymetrów odległości. Potem nieruchomieje na chwilę, wpatrując się w jakiś punkt przestrzeni przed sobą i zaczyna wolno unosić ręce. I wtedy, widzę to doskonale, flaszka odrywa się od stołu i zawisa dobre dwadzieścia centymetrów nad blatem pomiędzy wyraźnie drżącymi dłońmi pułkownika. Kalina stoi tak chwilę z uniesionymi rękami, a następnie opuszcza je wzdłuż ciała, ale butelka pozostaje nadal

zawieszona w powietrzu, chwiejąc się lekko i kołysząc na boki. Wreszcie stary szpieg spuszcza głowę, pochylając ją na piersi i w tej sekundzie butelka, trzask, spada na blat stołu, odbija się od niego, toczy i, trzask, spada na podłogę, toczy się chwilę po dywanie i nieruchomieje u stóp skamieniałej pani Wandy.

Przez chwilę w pokoju nie ma żadnego ruchu. Wszyscy siedzimy jak grupa manekinów. Penar i Taborski pochyleni do przodu z otwartymi ustami, Bigler z dłońmi płasko położonymi na udach, sztywny, z woskowoblada twarzą, pani Wanda nienaturalnie odchylona w bok, jakby właśnie zmieniała pozycję ciała, ja okrakiem na krześle, przodem do jego oparcia, ze spoconymi dłońmi w kieszeniach spodni, i tylko Kalina stoi zgarbiony, z opuszczoną głową i zwisającymi wzdłuż ciała rękami.

Cisza. Słyszeć tylko, jak Taborski szybko i głośno oddycha.

Oddech zgonionego zwierzęcia - myślę - on ma oddech zgonionego zwierzęcia, ziaje jak pies w upał, jak zgoniony pies w upalny dzień.

Nagle Penar zrywa się i drobnym truchtem wybiega z pokoju. Po chwili słyszeć trzaśnięcie drzwi łazienki. Jakby na ten sygnał wszyscy ożywają. Kalina unosi głowę i siada na kanapie, pani Wanda podnosi leżącą obok swojej stopy butelkę i uważnie ogląda ją ze wszystkich stron, Bigler opada na oparcie fotela i nerwowo wyciera czoło rękawem marynarki, Taborski siada prosto i zamyka usta, dzięki czemu przestaje słyszeć jego zgoniony oddech, ja wstaję z mojego krzesła i siadam na kanapie obok Kaliny. W drzwiach pojawia się

Penar, obmacując jeszcze kontrolnie rozporek.

- Chryste - mówi ochryplym szeptem - mało nie zlałem się w portki.

- Zmieniam zdanie - skrzeczy zaraz potem Taborski, wychylając się w stronę Kaliny. - Jesteś pan polski Uri Geller.

Kalina nie zwraca na niego uwagi. Siedzi zgarbiony, z przymkniętymi oczami.

- Mogę tak zrobić, kiedy zechcę, i z dużo większej odległości - mówi cicho. - A jeszcze kilka tygodni temu zdarzało mi się niechcący przesunąć szafę albo samochód, na który spojrzałem z okna. Nieraz przedmioty ni z tego, ni z owego dosłownie latały po pokoju. Ale kiedy świadomie natężyłem wolę, żeby przesunąć choć zapałkę - ani drgnęła. Myślę - dodaje po chwili - że mój dar podporządkował się w końcu mojej woli, bo taki jest następny etap przemiany, która wciąż postępuje. Realizacja planu jeszcze się więc prawdopodobnie nie rozpoczęła. Sprawdźcie, czy z wami jest tak samo.

Proszę bardzo - myślę - czemu nie, mogę sprawdzić. W końcu większość mojego życia jest jednym wielkim „czemu nie”. To się nawet dobrze składa.

Jeśli próba miałaby być udana, to okoliczności są sprzyjające, więc oczywiście chętnie spróbuję na prośbę pułkownika, czemu nie?

Nikt się nie rusza. Pani Wanda zapala papierosa, dając tym do zrozumienia, że nic nie zamierza sprawdzać. Penar, Bigler i Taborski piją szklankami „Absolut”. A ja czuję gorąco posuwające się od stóp w górę, do głowy, i słyszę dzwonki w uszach. Zaciskam oczy, żeby nie

widzieć światła, gdy się pojawi, i napinam mięśnie w nieświadomej obronie - zaraz zaboli gdzieś w mózgu.

I już, niby świetlisty gwóźdź, wbija się przez gałkę oczną i oczodół strużka bólu, gdzieś do środka głowy, nad podniebienie...

Gwałtownie otwierają się drzwi wejściowe i staje w nich zaspany senator KubaKubicki w mokrej od śniegu pelisie.

- Pani Darn - dyszy spazmatycznie - ona... Przed wejściem do budynku podała mi na pożegnanie rękę i wtedy...

- No co wtedy? - nie wytrzymuje Penar.

- I wtedy ona zniknęła - mówi bezradnie Kubicki. - Była i nagle... Został mi w ręku...

Wyciąga przed siebie zaciśniętą pięść i powoli ją otwiera. Na jego dłoni leży ucięty równo, jak skalpelem, szczupły palec z polakierowanym na różowo paznokciem.

